

Autorka bestsellerowej powieści
TA DZIEWCZYNA

MICHELLE FRANCES

thriller

KOCHA...

MÓJ

CHŁOPAK

NIE KOCHA...

ALBATROS

POKRĘCONA HISTORIA (ANTY)MIŁOSNA.

TEN MĘŻCZYŻNA SPADŁ JEJ Z NIEBA. ZNA JĄ DOSKONALE I ODGA-
DUJE KAŻDE JEJ PRAGNIENIE. TYLKO DLACZEGO WYDAJE JEJ SIĘ,
ŻE NIGDY GO NIE SPOTKAŁA?

Amy wiecie niezależne życie, robi błyskotliwą karierę prawniczki, ma wła-
sne przytulne mieszkanie w Londynie, grupę oddanych przyjaciółek i matkę,
z którą jest zżyta. Ale w obliczu nadchodzących trzydziestych urodzin coraz
częściej musi przyznać, że jednej rzeczy jej brakuje: prawdziwego uczucia.

Kiedy więc budzi się po poważnym wypadku i nie pamięta niczego z ostat-
nich sześciu miesięcy, jest zdziwiona, że kogoś ma. I to nie po prostu „ko-
goś”, ale chłopaka marzeń – przystojnego, opiekuńczego, bezgranicznie jej
oddanego lekarza, Jacka.

Mężczyzna pojawia się bez zapowiedzi w malowniczych Alpach, na jej wyjeź-
dzie urodzinowym, i od razu wszystkich oczarowuje. Z każdym dniem jednak
Amy przypomina sobie coraz więcej z minionego półrocza. I obecność Jacka
zaczyna ją przerażać. Czemu nie może pozbyć się wrażenia, że nic ich nie
łączy? Czyżby po wypadku umysł płatał jej figle? A może ten ideał jest zbyt
doskonały, żeby mógł być prawdziwy?

MICHELLE FRANCES

MÓJ
CHŁOPAK

Z angielskiego przełożyła
MARIA GĘBICKA-FRĄC

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

MICHELLE FRANCES

Angielka, absolwentka Bournemouth Film School i American Film Institute w Los Angeles. Po powrocie do Londynu przez piętnaście lat pracowała w telewizji jako producentka i scenarzystka, m.in. dla BBC.

Debiutowała thrillerem psychologicznym *Ta dziewczyna*, który został wydany w 19 krajach; sprzedano także prawa do jego ekranizacji. W Wielkiej Brytanii ta powieść była jednym z 10 najlepiej sprzedających się e-booków, została też największym bestsellerem wśród e-booków sprzedawanych na Amazonie i przez serwis i-Tunes.

Obecnie autorka mieszka w East Sussex z rodziną i bardzo uroczym field spanielem, Ripleyem.

michellefrancesbooks.com

Tej autorki

TA DZIEWCZYNA

TA DRUGA

CÓRKA

SIOSTRY

MÓJ CHŁOPAK

Tytuł oryginału:
THE BOYFRIEND

Copyright © Michelle Frances 2022
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Maria Gębicka-Frać 2023

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka

Zdjęcie na okładce: Gorodenkoff/Shutterstock

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Konwersja do formatu elektronicznego

woblink

woblink.com

Spis treści

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

PIĘĆ

SZEŚĆ

SIEDEM

OSIEM

DZIEWIĘĆ

DZIESIĘĆ

JEDENAŚCIE

DWANAŚCIE

TRZYNAŚCIE

CZTERNAŚCIE

PIĘTNAŚCIE

SZESNAŚCIE

SIEDEMNAŚCIE

OSIEMNAŚCIE

DZIEWIĘTNAŚCIE

DWADZIEŚCIA

DWADZIEŚCIA JEDEN

DWADZIEŚCIA DWA

DWADZIEŚCIA TRZY

DWADZIEŚCIA CZTERY

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

DWADZIEŚCIA SIEDEM

DWADZIEŚCIA OSIEM

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ
TRZYDZIEŚCI
TRZYDZIEŚCI JEDEN
TRZYDZIEŚCI DWA
TRZYDZIEŚCI TRZY
TRZYDZIEŚCI CZTERY
TRZYDZIEŚCI PIĘĆ
TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ
TRZYDZIEŚCI SIEDEM
TRZYDZIEŚCI OSIEM
TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ
CZTERDZIEŚCI
CZTERDZIEŚCI JEDEN
CZTERDZIEŚCI DWA
CZTERDZIEŚCI TRZY
CZTERDZIEŚCI CZTERY
CZTERDZIEŚCI PIĘĆ
CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ
CZTERDZIEŚCI SIEDEM
CZTERDZIEŚCI OSIEM
CZTERDZIEŚCI DZIEWIĘĆ
PIĘĆDZIESIĄT
PIĘĆDZIESIĄT JEDEN
PIĘĆDZIESIĄT DWA
PIĘĆDZIESIĄT TRZY
PIĘĆDZIESIĄT CZTERY
PIĘĆDZIESIĄT PIĘĆ
PIĘĆDZIESIĄT SZEŚĆ
PIĘĆDZIESIĄT SIEDEM
PIĘĆDZIESIĄT OSIEM

PIĘĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ
SZEŚĆDZIESIĄT
SZEŚĆDZIESIĄT JEDEN
SZEŚĆDZIESIĄT DWA
SZEŚĆDZIESIĄT TRZY
SZEŚĆDZIESIĄT CZTERY
SZEŚĆDZIESIĄT PIĘĆ
SZEŚĆDZIESIĄT SZEŚĆ
SZEŚĆDZIESIĄT SIEDEM
SZEŚĆDZIESIĄT OSIEM
SZEŚĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ
SIEDEMDZIESIĄT
SIEDEMDZIESIĄT JEDEN
SIEDEMDZIESIĄT DWA
SIEDEMDZIESIĄT TRZY
SIEDEMDZIESIĄT CZTERY
SIEDEMDZIESIĄT PIĘĆ
SIEDEMDZIESIĄT SZEŚĆ
SIEDEMDZIESIĄT SIEDEM
SIEDEMDZIESIĄT OSIEM
SIEDEMDZIESIĄT DZIEWIĘĆ
OSIEMDZIESIĄT
OSIEMDZIESIĄT JEDEN
EPILOG
PODZIĘKOWANIA

Dla Trishy Jackson. Dzięki za wszystko.

JEDEN

19 lutego

– Halo? Halo? Słyszysz mnie pani?

Stanowczy niski głos dotarł w głąb otchłani, w której ugrzęzła jej świadomość.

– Halo? Śmiało, proszę otworzyć oczy.

Głos, do kogokolwiek należał, był natrętny. Amy miała nieprzyjemne wrażenie, że stała się celem ataku.

– Jest pani w szpitalu. Jestem doktor Kunda. Miała pani wypadek i zraniła się w głowę.

Odczuwała ból, głęboki, wszechogarniający ból, który tłumił wszystkie inne zmysły i pozbawiał ją siły woli.

– Chcę, żeby postarała się pani otworzyć oczy. Da pani radę to zrobić?

Spróbowała uchylić powieki. Udało się. Wąska kreska rozmytego światła, zbyt jasna. Amy zdała sobie sprawę, że leży w łóżku. Później pojawiły się kształty. Postacie z innego świata, poruszające się wokół niej jak wielkie biało-niebieskie plamy. Przestraszyły ją.

Jedna z nich przemówiła, choć Amy nie potrafiła wskazać która.

– O to chodzi. Bardzo dobrze. Czy może mi pani powiedzieć, jak się pani nazywa?

To było zbyt wiele. Zamknęła oczy.

DWA

19 lutego

– Ach! Więc moja pacjentka już mnie nie ignoruje.

Amy zobaczyła, że do jej łóżka zbliża się wielkolud ubrany w niebieski fartuch, a za nim kilku innych lekarzy. Pielęgniarka, która opiekowała się nią od czasu, gdy Amy odzyskała przytomność, posłała jej uspokajający uśmiech.

– Ignorowałam pana? – zapytała Amy.

– Miała pani dobrą wymówkę – odparł mężczyzna. – Jestem doktor Kunda. Miło panią poznać, Amy. – Stał nad nią, przyglądając się jej bystrych brązowymi oczami. – Słyszałem od siostry Morgan, że niezupełnie pani wie, z jakiego powodu trafiła do szpitala.

Amy spojrzała na piegowatą rudowłosą pielęgniarkę, zajętą sprawdzaniem urządzeń, do których ona była podłączona.

– Zgadza się.

– Zrobiliśmy już tomografię i z radością informuję, że nie ma śladów krwawienia śródczaszkowego – oznajmił doktor Kunda. – Przez kilka dni będziemy panią uważnie obserwować, po prostu dla pewności, że nie ma powodu do zmartwień.

– Na przykład jakich? – spytała nerwowo.

– Zawsze monitorujemy pacjentów po urazie głowy. Najczęściej wszystko jest w porządku, ale musimy się upewnić, zanim będziemy mogli panią wypisać. Ma pani bóle głowy?

– Tak. Okropne.

Uśmiechnął się.

– Tego należy się spodziewać. A co z pamięcią?

– Nadal nic nie pamiętam.

– Wie pani, jaki dziś dzień?

– Dziewiętnasty lutego. Wiem tylko dzięki temu, że powiedziała mi siostra Morgan.

– Przypomina sobie pani coś w związku z wypadkiem?

Pokręciła głową.

– Wieczorem znaleziono panią na oblodzonej ulicy w Earlsfield. Nieprzytomną.

– Blisko mojego mieszkania – zauważyła Amy.

Siostra Morgan powiedziała jej, że jakiś przechodzień wezwał karetkę. Ona sama nie pamiętała wypadku.

– Jak pani sądzi, z jakiego okresu pochodzą pani ostatnie wspomnienia?

– Sprzed około pół roku. Z końca ubiegłego lata. Pamiętam święto bankowe w sierpniu. Było gorąco. Wybrałam się na plażę.

– A teraz mamy minus jeden i pada śnieg! – Lekarz roześmiał się hałaśliwie, jakby powiedział przedni żart. Siostra Morgan podchwyciła jej spojrzenie i skrzywiła się. – Pani mózg doznał lekkiego wstrząśnienia – ciągnął doktor Kunda. – Amnezja prawdopodobnie będzie tymczasowa. Wspomnienia powrócą, chociaż najpewniej nie wszystkie naraz.

– Kiedy?

– Trudno powiedzieć. Może dopisze pani szczęście i zacznie pani coś sobie przypominać w ciągu kilku dni. A może miną tygodnie...

– Jaka jest najgorsza możliwość? – zapytała Amy z niepokojem.

– Nie sposób tego przewidzieć. Miesiące? Może dłużej. I gdy wspomnienia powrócą, nie muszą być kompletne. Mogą być przemieszane z tym, co przydarzyło się pani w innych momentach życia, niektóre mogą być zniekształcone.

Albo – dodał radośnie, widząc jej przygnębioną minę – to może być jak włączenie telewizora. Pstryk i ma pani przed sobą wszystko we wspaniałym technikolorze.

Uśmiechnęła się blado.

– A teraz musimy porozmawiać o skutkach ubocznych – odezwał się po chwili lekarz.

Zbladła.

– Nie ma powodu do obaw. Oczywiście będą bóle głowy. Może pani czuć się bardziej rozdrażniona niż zwykle. Bardzo możliwe, że wystąpią lekkie objawy paranoi: najzwyczajniejsze sytuacje mogą wydawać się groźne. – Uśmiechnął się. – Dlatego proszę na jakiś czas zrezygnować z horrorów, dobrze?

– Jasne – mruknęła.

Doktor Kunda przewertował notatki, po czym spojrzał na nią badawczo.

– Ma pani męża? Chłopaka?

Zawahała się.

– Nie – odparła, jak zwykle z lekkim zażenowaniem.

Dobiega trzydziestki i nie ma nikogo, z kim można by się skontaktować w sprawie jej nagłego pobytu w szpitalu. Zastanawiała się, czy lekarz jest zaskoczony, czy ją osądza.

Zwrócił uwagę na jej powściągliwość.

– Dziewczyne?

Amy westchnęła.

– Nie. Matkę.

– Świetnie! Może panią odwiedzi? Zostanie z panią jakiś czas po wypisie?

Mruknęła coś niewyraźnie. Nie miała zamiaru ściągać tutaj matki, która mieszkała w Dorset. To za daleko, a poza tym Amy była pewna, że sama da sobie radę.

– Cóż, pora na odpoczynek – powiedział doktor Kunda. Wyprostował się. – Uszy do góry – rzucił na odchodnym. – Może przypomni sobie pani, że wygrała na loterii.

Amy odprowadziła go wzrokiem. Tak, racja, pomyślała. Dzięki, doktorze komediancie. Boże, ból rozsadzał jej głowę. Nie mogąc dłużej tego znieść, zamknęła oczy.

TRZY

20 lutego

W szpitalu dni się dłużą. Gdy Amy obudziła się tego poranka, rażące światła lamp szpitalnych nasiliły jej ból głowy. Zjadła śniadanie. Zawieziono ją na kolejne badania. Podczas przedpołudniowej pory odwiedzin oglądała telewizję, starając się nie zwracać uwagi na atmosferę życzliwości, która panowała na całym oddziale, gdy bliscy odwiedzali pacjentów. Pielęgniarka sprawiła jej niespodziankę, przynosząc jej torebkę. Była brudna, bo Amy upuściła ją na ziemię, kiedy upadła, ale jakiś dobry samarytanin ją znalazł i dostarczył do szpitala. Odruchowo sprawdziła zawartość, chociaż oczywiście nie pamiętała, co powinno w niej być. Były tam klucze, portmonetka i telefon. To ją nieco uspokoiło. Po lunchu znów zasnęła.

Gdy się zbudziła, światła na oddziale płonęły oślepiająco jak zawsze. Skrzywiła się i spróbowała popatrzeć dokoła bez poruszania głową. Kolejna fala energii wlewała się do sali wraz z popołudniowymi gośćmi. Amy wodziła wzrokiem, nie będąc w stanie pohamować zabarwionej tęsknotą ciekawości. Naprzeciwko leżała miła kobieta po czterdziestce i jej mąż przyszedł do niej po raz drugi tego dnia. Zresztą przy łóżku każdej z pozostałych pięciu kobiet w sali siedział jakiś mężczyzna. Cicho mówiący mężowie, którzy przynieśli łakocie i czasopisma, dawali żonom buziaki, trzymali je za ręce.

Amy chciała usiąść, ale uniemożliwił jej to koszmarny ból głowy. Z nadzieją spojrzała na zegarek; minie co najmniej godzina, zanim dostanie kolejną dawkę środków przeciwbólowych. Za długo, zdecydowanie za długo. Wyciągnęła rękę do

przycisku przywołania, gdy do sali zdecydowanym krokiem weszła znajoma osoba.

– Aleś się urządziła – powiedziała całkiem życzliwym tonem Lisa, pochyliła się nad łóżkiem i spojrzała na nią wyćwiczonym okiem lekarki pierwszego kontaktu.

Amy wcześniej przejrzała się w lusterku i wiedziała, że lewe oko i policzek są opuchnięte i mają kolor bakłażana, ale mimo to poczuła się lekko urażona.

– Co ze mną nie tak?

– Głównie siniaki. O rany, jest też podbite oko.

– Co ty tu robisz? – zapytała Amy, w duchu zadowolona z widoku przyjaciółki.

Dobrze było myśleć, że daje sobie radę, jednak w rzeczywistości czuła się rozpaczliwie samotna.

– Nagrałaś mi wiadomość, że jesteś szpitalu. Powiedziałaś, że wszystko w porządku, ale nie mogłam przepuścić okazji, żeby na ciebie spojrzeć. Wiesz, jak uwielbiam urazy. Jak się czujesz?

– Teraz o niebo lepiej, gdy moja opiekuńcza przyjaciółka zaprezentowała swoje popisowe podejście do pacjenta.

– Dlatego trzymam się z dala od pracy w szpitalu. Wolę diagnozować pacjentów w gabinecie, a potem kierować ich do specjalistów.

– Masz serce na dłoni. Naprawdę wyglądam tak tragicznie?

Amy zdawała sobie sprawę, że szuka pociechy, że jest rozbita emocjonalnie. Próbowała ukryć twarz za długimi ciemnymi włosami, ale równie dobrze mogłaby zasłaniać wybitą szybę ściereczką, więc się poddała.

– Jakbyś zderzyła się z krawężnikiem.

Właśnie to się stało, jak jej powiedziano. Amy poczuła powiew chłodu, gdy Lisa zdjęła płaszcz w przegrzanej sali szpitalnej. Na dworze musi być bardzo zimno. Ściągnęła szalik i potrząsnęła kucykiem, z którego uwolniło się kilka ja-

snych kosmyków. Przysunęła krzesło, rzuciła płaszcz na oparcie i usiadła, zakładając nogę na nogę i splatając dłonie na kolanie.

– Ból głowy? – zapytała.

– Potworny.

– Nie, nic ci nie dam – oznajmiła stanowczo Lisa w odpowiedzi na najbardziej żalosne spojrzenie, na jakie Amy mogła się zdobyć. – Jesteś już wystarczająco naćpana. – Złagodziła ton. – Co z pamięcią?

– Nic z ostatnich sześciu miesięcy. – Głos Amy cichł z każdym słowem.

Kiedy ocknęła się w szpitalu, była przerażona i nie wiedziała, jak się tam znalazła. Siostra Morgan zadała jej kontrolne pytania w taki sposób, by brzmiały rzeczowo i uspokajająco, odnosiły się do podstawowych informacji, jak jej wiek, bieżąca data, kto jest premierem; Amy widziała jej reakcję na swoją odpowiedź, że jest koniec sierpnia. Twarz pielęgniarki cechował wystudiowany brak wyrazu, jednak skinienie głowy wiele mówiło. Brakowało w nim potwierdzenia. Amy od razu zorientowała się, że coś jest nie w porządku. Zapytała wprost i dowiedziała się, że jest połowa lutego – prawie pół roku później niż w świecie, w którym żyła. Aż zakręciło jej się w głowie, gdy uświadomiła sobie, że nie pamięta kilku miesięcy swojego życia. Tam, gdzie powinny być wspomnienia, ziała wielka dziura.

Teraz, mając za sobą trochę czasu na pogodzenie się ze swoim stanem, czuła pustkę; utraciła część siebie, a brak wspomnień sprawił, że była niespokojna i bezbronna. Obecność przyjaciółki podniosła ją nieco na duchu.

– Hej, nie płacz. – Lisa wyjęła z torebki chusteczkę higieniczną i podała jej. – Wspomnienia wrócą, wiesz o tym, prawda?

– Tak mi mówią.

– Mają rację. Jakies inne obrażenia?

– Nie zauważyłam.

Wcześniej Amy podniosła koce, żeby sprawdzić stan swojego ciała, bojąc się, że może znaleźć coś poważnego, czego nie pamiętała z upadku. Wszystko wyglądało normalnie, z wyjątkiem blizny na kolanie. Nie mogła sobie przypomnieć,

skąd ona się wzięła, więc uznała, że dorobiła się jej w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. W niedostępnej dla niej teraz części własnego życia. Dziwnie się czuła, nie mając pojęcia, co się z nią działo w tym czasie.

Lisa obserwowała ją, coś rozważając. Odchrząknęła.

– No więc... czy wiesz, że za cztery dni wyjeżdżasz na urlop?

Amy nie kryła zaskoczenia.

– Co robię?

– Zarezerwowałaś tydzień w Val d'Isère. Ty, ja, Jenna i twoja mama. Pobyt w górskim domku twojej ciotki. Żeby uczcić twoje trzydzieste urodziny. Mamy rezerwację biletów na pociągi, kuszetkę z Paryża. Ze składanymi łózkami!

Amy próbowała jakoś to wszystko sobie poukładać.

– Moja matka będzie spać w pociągu? – spytała w końcu.

– Hm... nie. Poleci. Stwierdziła, że nie obchodzi jej kryzys klimatyczny. Coś w stylu: „jaką różnicę zrobi jeden pasażer więcej, skoro samolot i tak leci?”.

Odetchnęła głęboko. Niepokoiło ją, że mogła zapomnieć o czymś tak ważnym jak wyjazd w góry. Chociaż, jak przypuszczała, jej mózg nie będzie wybiórczy w tym, co robi i czego nie pamięta. Zastanawiała się, co jeszcze wyleciało jej z głowy.

Spojrzała na Lisę.

– Naprawdę to zorganizowałam?

– W październiku.

– Aha. Cóż, fajny pomysł. Dziewczyńska wycieczka.

– Nie całkiem... David i Lewis też mają przyjechać – powiedziała Lisa. – Dołączą do nas dzień później i zostaną tylko na weekend. Pamiętasz Davida i Lewisa?

– Oczywiście.

Byli mężami jej przyjaciółek, a ona była druzną na obu ślubach. Przyjaźniły się od czasów, gdy mieszkały w jednym akademiku, od ponad dziesięciu lat. Jenna studiowała sztukę, Lisa medycynę, a ona prawo. Po studiach wszystkie dostały

pracę w Londynie i zdecydowały się wspólnie wynająć jakieś lokum. Z czasem przyjaciółki wyprowadziły się ze swoimi chłopakami, a ona postanowiła kupić małe mieszkanie. Teraz Jenna mieszkała w dużym drogim domu w zielonym Richmond, z Lewisem, który dorobił się znacznego majątku w City i obecnie prowadził galerię sztuki. Lisa także spełniła swoje marzenie o domu na przedmieściach i osiedliła się w Epsom, w Surrey, z Davidem, który tak jak ona był lekarzem rodzinnym. Na wiadomość o tym, że przyjadą też obaj mężowie, Amy poczuła znajome ukłucie samotności. Nie licząc kilku nieudanych prób z aplikacji randkowych, od jej ostatniego związku minęło pięć długich lat. Szybko zagłuszyła te uczucia.

– Świetnie. David i Lewis. Ktoś jeszcze?

– Zaprosiłaś Jacka...

– Jacka?

Lisa zakryła usta dłonią.

– O mój Boże... Tego też nie pamiętasz.

– Co miałabym pamiętać? Kim jest Jack?

Lisa uśmiechnęła się.

– Twoim chłopakiem.

Amy aż otworzyła usta.

– Moim kim?

– Doktor Jack Stewart. Konsultant pediatra w szpitalu St. Thomas.

– Czy ty mnie wkręcasz?

Lisa usiadła na łóżku.

– Poznałaś go trzy miesiące temu. Przed stacją Waterloo. Po tym, jak wyszłaś z pracy o jednej z tych twoich nieludzko późnych godzin. Na pierwszej randce zabrał cię na tapas do restauracji w Wandsworth i oboje oszaleliście na punkcie nadziejących kwiatów cukinii. – Westchnęła. – Nic z tego nie pamiętasz, prawda?

Amy pokręciła głową, oszołomiona. Miała wrażenie, jakby Lisa mówiła o życiu kogoś innego. Ma chłopaka? Nagle zrobiło jej się lżej na sercu.

– Jaki on jest? – spytała.

– Całkiem fajny. Cóż, przynajmniej tak wynika z tego, co nam powiedziałaś.

– Nie poznałyście go?

– Jeszcze nie. To było w planie na ten weekend.

Amy zamarło serce.

– Było?

Lisa skrzywiła się.

– Nie wydawałaś się przejęta, kiedy nam o tym mówiłaś. Okazało się, że nie może.

– Och.

– Ma dyżury w szpitalu. Zmienili mu grafik w ostatniej chwili. – Lisa uśmiechnęła się szeroko i szturchnęła Amy w ramię. – Zajmuje się tam ratowaniem życia.

– Jasne.

– I to nie byle jakiego życia. Ratuje dzieci.

Amy uśmiechnęła się, próbując cokolwiek z tego zrozumieć, ale w jej obecnym stanie nie było to łatwe.

– Jeżeli badania wykluczą poważne uszkodzenie mózgu, w co nie wątpię, zostaniesz wypisana dość szybko... – podjęła Lisa – ale jeśli nie masz ochoty na wyjazd i chcesz go odwołać, to będzie absolutnie w porządku.

Amy skinęła głową. Zamieniły jeszcze kilka słów i Lisa pożegnała się, obiecując, że przyjdzie jutro. Amy położyła się i spróbowała poukładać sobie w głowie to, czego się dowiedziała.

Ma chłopaka.

To słowo brzmiało dla niej obco. Dziwne słowo, które trudno w jakikolwiek sposób połączyć z jej osobą. Amy ma chłopaka. Ma na imię Jack. Jack Stewart. Doktor Jack Stewart. Poczuała się tak, jakby nagle i niespodziewanie została nim obdarowana. Przecież spotykamy się od trzech miesięcy, uświadomiła sobie. Przynajmniej tak powiedziała Lisa. Amy próbowała go sobie wyobrazić, ale miała

pustkę w głowie. Mama na pewno się ucieszyła, pomyślała z krzywym uśmiechem. Och, jakże żałowała, że nie pamięta tego, jak jej o nim mówiła. Po tych wszystkich latach rozczarowań.

Wzięła swoją torebkę z szafki przy łóżku i wyjęła telefon. Zdołała go uruchomić dopiero po kilku próbach, bo najwyraźniej lubił się zawieszać. Był stary i przypuszczała, że ma z nim problemy od jakiegoś czasu, tak jak rano, kiedy zadzwoniła do mamy i Lisy. Potem już do niego nie zaglądała. Przygnębiona utratą pamięci i zmęczona, po prostu nie miała siły.

Sprawdziła wiadomości. Kilka pierwszych pochodziło od bliskich jej osób: mamy, Jenny, Lisy. Przewijała różne grupy, SMS-y od szefa w prestiżowej kancelarii prawnej, od jakiegoś klienta. Nagle serce jej zamarło. Zobaczyła jego imię i nazwisko. Jack Stewart. Jej chłopak. Z mieszaniną podekscytowania i niepokoju otworzyła ostatnią wiadomość, wysłaną trzy dni temu.

Jeszcze tylko kilka dni do Twojej podróży. Szkoda, że nie mogę jechać, ale wyskoczmy gdzieś innym razem. Tylko we dwoje.

Ogarnęło ją przyjemne podniecenie. Nagle przepełniła ją chęć do życia. Znowu spojrzała na ekran, przewinęła nieco w górę wiadomości, przeczytała kolejną:

Proszę, przekaż swojej mamie, że bardzo mi przykro, że nie spotkam się z Wami dziś wieczorem. Czuję się przez to naprawdę okropnie, bo bardzo zależało mi na tym spotkaniu, ale wiem, że będziecie miały cudowny wieczór. W Bentley's robią najlepsze ciastka krabowe. Martho, jeśli ma to jakieś znaczenie, Amy powiedziała o Pani mnóstwo wspaniałych rzeczy i ogromnie pragnę poznać kobietę, która urodziła tak fantastyczną córkę.

No proszę, błyskotliwy. Następna:

Amy, jesteś najbardziej fantastyczną, inteligentną, cudowną dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem. I uważam, że dobrze Ci w zielonym.

Żadna z tych wiadomości nie miała dla niej większego sensu – Amy nie pamiętała, do czego nawiązywał, ale był, istniał! Przytuliła telefon do piersi i na jej twarzy pojawił się uśmiech. Od razu poprawił jej się humor. Ma chłopaka. Kto by pomyślał?

Przyszła jej do głowy kolejna myśl. On przypuszczalnie nawet nie wie, co jej się przydarzyło – nikt nie miał danych kontaktowych, by go powiadomić.

Układanie wiadomości do mężczyzny, którego nie pamiętała, było dziwne i dopiero po kilku próbach znalazła właściwe słowa. Nagle nowa myśl obudziła w niej nadzieję. Może odzyska pamięć, kiedy go usłyszy.

Cześć, jak się masz? Jestem w szpitalu St. George. Nie martw się, w nienaruszonym stanie. Tyle że, co dziwne, straciłam trochę pamięci. Miło będzie Cię usłyszeć.

Nie chciała przyznać wprost, że go nie pamięta; zbyt trudno byłoby to wyjaśnić. Tak czy inaczej, gdy Jack odpowie, będą mogli porozmawiać przez telefon i może brzmienie jego głosu przywoła wspomnienia.

Nacisnęła „wyślij” i czekała. Po kilku minutach trzymanie komórki w dłoni wydało jej się głupie. Odłożyła telefon na szafkę i tylko zerkała na niego co jakiś czas. Ale uparcie milczał.

Milczał przez resztę wieczoru i nie odezwał się następnego dnia ani kolejnego.

CZTERY

24 lutego

Dziwnie się czuła, wracając do swojego mieszkania. Gdy otworzyła drzwi, powitała ją grobowa cisza. Powietrze było zatęchłe i nic dziwnego: od pięciu dni nikt tu nie zaglądał. Podniosła z wycieraczki stertę listów i przejrzała je pobieżnie, nie widząc niczego, co wymagałoby natychmiastowej uwagi.

Zapach stęchlizny płynął ze stojącego w korytarzu wazonu z martwymi pąsowymi różami. Amy podeszła do nich, przygnębiona widokiem leżących na stole i podłodze brązowych płatków. Zobaczyła oparty o wazon bilecik.

Dla najpiękniejszej kobiety na świecie. Wiem, że jesteś dziwnie sceptyczna wobec walentynek, ale nie mogłem się oprzeć. Dostajesz kwiaty, czy Ci się to podoba, czy nie. Ponieważ Cię kocham. Jack

Trzymała bilecik, wpatrując się w te słowa, zaskoczona tym, ile w nich uczucia i że dostała kwiaty na walentynki. Smutek ścisnął jej serce. To było zaledwie dziesięć dni temu, ale dla tych kwiatów i, jak się wydawało, dla jej związku, upłynęło całe życie. Od czasu, gdy w szpitalu wysłała mu wiadomość, Jack nie odezwał się ani słowem. Sprawdzała telefon kilka razy, aż jej nadzieja stała się żałosna, i zmusiła się, by więcej tego nie robić.

Wzięła kwiaty i wyniosła je do kosza na zewnątrz. Odetchnęła kilka razy mroźnym powietrzem i sięgnęła do kieszeni po sekretne przyjaciół. Rzadko paliła – czasami czuła, że daje jej to poczucie tożsamości. Ona i papieros, kultowy symbol samotnych buntowników. Kogo oszukujesz, pomyślała. Może samotnych,

ale niekoniecznie buntowników. Zapaliła i przeciągle wypuściła smugę dymu. Zapomnij o nim, powiedziała sobie. To niewypał. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć, gdy napisałaś mu o wypadku.

Wszystkie te myśli były prawdziwe, ale to i tak nie koło jej bólu. Być ignorowaną przez chłopaka, którego nawet nie pamiętała, było w pewnym sensie gorsze niż brak chłopaka. Może istniało jakieś rozsądne wytłumaczenie? Coś, co powiedział, a czego teraz nie mogła sobie przypomnieć? Może zgubił telefon i jeszcze nie miał nowego? A może coś mu się stało? Przez chwilę się martwiła, po czym zdała sobie sprawę, że na siłę próbuje go usprawiedliwić. Musi zmierzyć się z faktem, że została potraktowana jak powietrze. Zniknął z jej życia z powodów znanych tylko jemu samemu.

Dopaliła papierosa i wyrzuciła niedopałek do kosza. Może podróż do Val d'Isère oderwie ją od tego wszystkiego. Postanowiła tam jechać, bo chociaż wciąż czuła się trochę osłabiona, snucie się po domu nie miało najmniejszego sensu. Poza tym chciała zobaczyć ciotkę Esme.

Wróciła do mieszkania i poszła do kuchni sprawdzić, czy jest tam coś choć trochę jadalnego. Dopiero po powrocie do domu uświadomiła sobie, że nie pamięta zawartości lodówki, ale przecież była bardzo zorganizowaną osobą, która wszystko planowała. Z zadowoleniem odkryła, że jej stare ja nie sprawiło zawodu: zupa w kartonie wciąż nadawała się do spożycia. Odwróciła się po rondel, żeby ją podgrzać, i znieruchomiała. Na kuchennym blacie stał kubek niedopitej kawy z szarawym kożuchem pleśniejącego mleka. Musiała go tu zostawić, wychodząc do pracy w dniu wypadku. Wiedziała, że nigdy nie zostawia brudnych naczyń, a nawet czystych do wysuszenia; zawsze przed wyjściem z domu myła je i po wytarciu odkładała na miejsce. Wzięła kubek i wylała obrzydliwą zawartość do zlewu. Coś musiało ją rozproszyć tamtego ranka.

Zjadła lunch i poszła się spakować. Po południu pojedzie na dworzec St. Pancras, gdzie spotka się z Lisą i Jenną. Wrzuciła ubrania do walizki, wysunęła górną szufladę toaletki i wyjęła swoją skromną biżuterię. Było tam pudełeczko, którego nie rozpoznała, szafirowe, ze złotym obrzeżem. Zdziwiona, uniosła wieczko i sze-

roko otworzyła oczy. Mrugnął do niej spory brylant na złotym łańcuszku. Zaintrygowana, wyjęła naszyjnik, próbując sobie przypomnieć, skąd się wziął. Oczywiście na próżno.

Odłożyła go do pudełeczka i schowała je do walizki wraz z resztą rzeczy. Może jako jedyna będę tam bez partnera, ale przynajmniej z jednokaratowym diamentem na szyi, pomyślała wyzywająco.

PIĘĆ

24 lutego

Strzelił korek od szampana i Lisa napełniła trzy stojące na niewielkim stoliku kieliszki, ostatni tylko w jednej czwartej. W pędzącym pociągu zadrżała jej ręka i musiała przytrzymać naczynie za nóżkę.

– Dla kogo ten? – zapytała Amy, podejrzliwie spoglądając na niedopełniony kieliszek, choć znała już odpowiedź.

– W ogóle nie powinnaś pić – powiedziała Lisa. – Zalecenie lekarza.

– Będiesz mi matkować przez całą podróż? – rzuciła lekkim tonem Amy.

Lisa zaproponowała, że rankiem po wypisie odstawi ją do domu, Amy jednak odparła, że da sobie radę. Mieszkała blisko szpitala i ściąganie Lisy do Londynu tylko po to, żeby trzymała ją za rękę podczas dziesięciominutowej jazdy taksówką, byłoby wariactwem.

Siedziały w wagonie barowym pociągu nocnego jadącego w Alpy, przycupnięte na stołkach tak małych, jakby zrobiono je dla krasnoludków. Amy wzięła swój kieliszek szampana i spojrzała na Jennę, która patrzyła w okno, najwyraźniej zafascynowana widokami. Popołudniowe słońce rozpałało złote błyski w burzy jej jasnobrązowych kędziorów i w niemal kocich orzechowych oczach. Zawsze była najpiękniejsza z całej ich trójki.

– Napijesz się, Jenna? – zapytała Lisa.

Jenna oderwała wzrok od okna.

– Tak, czemu nie? – Wzięła od Lisy kieliszek.

– Wszystko w porządku? – odezwała się Amy.

Ich przyjaciółka milczała, odkąd spotkały się na dworcu St. Pancras.

– Jasne, w porządku – potwierdziła Jenna z nutą zdziwienia w głosie. Spojrzała na Amy, prosto na poślizgnięty siniak na jej twarzy, aż ta z zakłopotaniem uniosła rękę do policzka. – A ty? Na pewno czujesz się wystarczająco dobrze, byjechać tak daleko?

– Trochę za późno na takie pytanie. – Amy uśmiechnęła się. – Mknijemy przez Francję z prędkością ponad dwustu kilometrów na godzinę.

– Ale wyszłaś ze szpitala dopiero dziś rano.

– Zgadza się.

Jenna patrzyła na nią, jakby czekała na jakieś wyjaśnienie, i Amy stłumiła lekką irytację.

– To moje urodziny – mruknęła. Jenna nadal nie wyglądała na przekonaną. – Moje trzydzieste urodziny.

Lekarze nie mieli żadnego medycznego powodu, by odradzać jej wyjazd, chociaż zalecali umiar, przynajmniej przez pierwsze kilka dni, i przypomnieli o możliwych skutkach ubocznych: o całej gamie dolegliwości, łącznie z bólami głowy i paranoją. Amy założyła, że nie wszystkie u niej wystąpią. Co ważniejsze, przyjaciółki specjalnie wzięły wolne i zapłaciły za bilety. I była ciocia Esme. Cudowna, zuchwała ciocia Esme, która wspaniałomyślnie udostępniła im dom. Amy znalazła maila sprzed pięciu miesięcy, kiedy planowała tę podróż. Wprawdzie nie uśmiechało jej się odgrywanie przyzwoitki przyjaciółek i ich mężów oraz wyklócanie się z apodyktyczną matką, ale będzie mogła spędzić trochę czasu z ciotką. Minął prawie rok, odkąd widziała ją ostatnio. I jaką miała alternatywę? Spędzić urodziny samotnie w czterech ścianach?

Lisa podniosła kieliszek.

– Za nasz tydzień w Alpach. Za świętowanie trzech dekad życia Amy.

– Szkoda, że Jackowi się nie udało – powiedziała Jenna.

Amy spojrzała na nią. Czy sobie to wyobraziła, czy też rzeczywiście głos przyjaciółki brzmiał trochę oziębło? Westchnęła.

– Właściwie to myślę, że mnie rzucił.

Lisa parsknęła.

– Daj spokój, nie rzucił cię.

– Nie słowami, ale milczeniem.

– Jest zajęty, to wszystko.

– Wysłałam mu wiadomość, że leżę w szpitalu. Jest lekarzem, na litość boską.

Można by sądzić, że to będzie dla niego jednoznaczny sygnał.

– Wcześniej przysłał ci kwiaty – przypomniała jej Lisa. – Tuzin róż.

– Powiedziałaś mi o tym?

– Wrzuciłaś zdjęcie na Facebooka.

Lisa wyjęła telefon, kilka razy przeciągnęła palcem po ekranie i pokazała Amy. Były tam. Tuzin szkarłatnych róż z jej postem: *Prezent walentynkowy od Jacka*.

Amy się wzdrygnęła.

– Naprawdę to zamieściłam? Publicznie?

– Musiałaś być zadowolona, że je dostałaś.

Podejrzewała, że tak było. Ale wiedziała też, że ceni sobie prywatność, i po cichu uważała, że afiszowanie się w mediach społecznościowych ze swoim życiem miłosnym, by w subtelny sposób udowodnić własną wyższość, jest trochę nachalne. Nie mogła uwierzyć, że sama tak postąpiła.

– Nie tylko to. – Lisa znów przeciągnęła palcem. – Spójrz, fotka waszego pierwszego wspólnego posiłku. Pamiętasz, w Wandsworth. Mówiłam ci o tym. O ile dobrze pamiętam, wysłałaś mnie, Davidowi, Jennie i Lewisowi wiadomość, że wybierasz się z Jackiem na tapas.

Amy spojrzała na zdjęcie w telefonie Lisy. Przedstawiało trzy talerze z oliwkami, serami i wędliną.

– Boże, czemu uznałam, że kogoś to może zainteresować?

– Cóż, taka jesteś, gdy chodzi o Jacka.

Lisa pokazała jej zdjęcie mężczyzny siedzącego przy kawiarnianym stoliku, widocznego od ramion w dół. Podpis głosił: *Jack i ja na niedzielnym brunchu.*

Amy poczuła wstrząs, gdy to zobaczyła. A więc to on. Miał dobrą sylwetkę i ciemne włoski na przedramionach.

– Dlaczego nie sfotografowałam głowy? – jęknęła.

– Skupiłaś się na skarpetkach – powiedziała Lisa.

Przeczytała resztę opisu. *Nowe słońce w moim życiu i jego trafnie dobrane skarpetki.*

Amy skrzywiła się. To chore! Spojrzała na zdjęcie skarpetek Jacka. Były jasnożółte. Wesołe.

– Wrzuciłam coś jeszcze? – zapytała.

– Fotki z wycieczki do Krainy Jezior – odparła Lisa.

– We Włoszech? – spytała z nadzieją Amy.

– W Kumbrii. Pojechałaś z Jackiem na Boże Narodzenie. – Pokazała zdjęcie znad jeziora Windermere. – *Najbardziej romantyczne jezioro na świecie* – przeczytała głośno. – *Idealne miejsce na spędzenie świąt Bożego Narodzenia z idealnym chłopakiem.*

Amy próbowała sobie przypomnieć. Wpis sugerował, że była szczęśliwa, zakochana. Ale nic z tego nie budziło w niej skojarzeń.

– Ile on ma lat? – zwróciła się Jenna do Amy.

– Trzydzieści dwa – odpowiedziała za nią Lisa. – I doskonale gra w rugby.

– Skąd wiesz? – spytała Amy.

– Sama o tym napisałaś – odparła Lisa, wskazując swój telefon. Poklepała dłoń Amy. – Jeśli chcesz coś wiedzieć o swoim chłopaku, po prostu daj mi znać. Jest fantastyczny. Szkoda, że nie mógł jechać.

– Szkoda, że nie odpisał na moją wiadomość – mruknęła Amy.

Uniosła wzrok i spostrzegła, że Jenna się jej przygląda, ale odwróciła głowę, gdy tylko ich oczy się spotkały.

– Dlaczego do niego nie zadzwonisz? – zapytała Lisa.

– Co, tutaj? Z pociągu?

– Chwila dobra jak każda inna.

Amy pokręciła głową.

– Nie, dziękuję. Nie jestem w nastroju na oficjalne rozstanie. Zresztą – dodała po namyśle – najpewniej po prostu odrzuci moje połączenie.

Widziała, że Jenna znów patrzy z roztargnieniem w okno, ale wydało jej się, że bardzo uważnie przysłuchuje się rozmowie. Co tu jest grane? A może tylko to sobie wyobraża? Przypomniała sobie ostrzeżenie lekarza przed objawami paranoi.

Potem Jenna zrobiła coś, co Amy rozpoznała. Jenna miała tik, który dawał o sobie znać, gdy coś ją martwiło. Strzelała kostkami w palcach. W tej chwili oparła podbródek na dłoniach, więc tik był ledwie zauważalny, ale Amy słyszała cichy, niespokojny dźwięk. Coś się stało, pomyślała, coś, o czym Jenna nie chce rozmawiać.

Wstała i wzięła swoją torebkę.

– Idę do łazienki.

Gdy szła przez wagon, próbowała zignorować ciężki kamień w brzuchu, ale wtulił się tam, przygniatając ją smutkiem, który znała aż za dobrze. Jakikolwiek był jej związek z Jackiem, wcale nie należał do udanych. Jack nie skontaktował się z nią i zaczynało do niej docierać, że jest singielką. Znowu.

Toaleta była zajęta i Amy musiała czekać. Rozglądała się po wagonie, patrząc na pasażerów. Była tam rodzina; dwoje małych dzieci zajmowało się kolorowanymi, podczas gdy rodzice rozmawiali po francusku. Trzej wysportowani młodzi mężczyźni, najwyraźniej amatorzy narciarstwa, siedzieli z wyciągniętymi przed siebie długimi nogami i popijali piwo. Było też kilka samotnych osób: kobieta w średnim wieku czytająca książkę, starsza pani stukająca w ekran telefonu. Amy nagle zatrzymała na kimś spojrzenie. Siedział jakieś siedem rzędów dalej, przy oknie – mężczyzna po dwudziestce, szczupły, z brodą, w czapce naciągniętej nisko nad oczy. Uznała, że jest w nim coś niezwykłego, choć nie umiała określić co. Przygarbiony, z ręką na leżącym przed nim na stoliku czarnym plecaku, wydawał

się spięty. Nie patrzył w okno, nie czytał, nie zajmował się telefonem. Jakby na coś czekał. Widziała, jak nerwowo zerka na zegarek i niespokojnie bębni palcami w podłokietnik. Jego druga ręka ani na chwilę nie oderwała się od plecaka.

Amy zaczęła się denerwować. Rozejrzała się, próbując zobaczyć, czy ktoś jeszcze zwrócił uwagę na tego mężczyznę, ale wszyscy byli zajęci swoimi sprawami. Pomyślała o przyjaciółkach w sąsiednim wagonie. Za blisko. Żadna z nich nie przeżyje, jeśli jej podejrzenia co do zawartości plecaka mężczyzny są uzasadnione. Spojrzała przez ramię do następnego wagonu, mając nadzieję, że zobaczy kogoś z załogi pociągu. Potrzebowała pomocy. Musi komuś powiedzieć, co się dzieje. Nie dostrzegła nikogo z personelu. Będzie musiała przejść obok mężczyzny, wrócić do baru i zaalarmować kogoś z obsługi.

Ruszyła z powrotem, przytrzymując się oparcia, by zachować równowagę. Wciąż spoglądała na mężczyznę, z każdym krokiem coraz bardziej przerażona. Gdy prawie się z nim zrównała, wyobraziła sobie siebie w momencie eksplozji. Zamachowiec zdetonuje bombę, a ona przemieni się w niemożliwą do zidentyfikowania miazgę ciała i kości. Nie patrz na niego, przykazała sobie. Żebyś go nie ostrzegła. Serce waliło jej w piersi. Poczuła, że pociąg zwalnia. Usłyszała komunikat po francusku i zrozumiała, że wjeżdżają na jakąś stację. Nowa informacja utkwiała w jej mózgu. Nagle z przerażeniem pomyślała, że mężczyzna zamierza pewnie poczekać do postoju, żeby wsiadło więcej pasażerów, i w ten sposób zwiększyć liczbę ofiar. Z sercem w gardle przyspieszyła, aż znalazła się tuż przy nim. Mimo woli znów zerknęła na podejrzanego plecaka. Resztę drogi pokonała niemal biegiem, gdy tymczasem pociąg zbliżał się do peronu. Nacisnęła guziki, żeby otworzyć drzwi między wagonami, i wpadła do baru. Jenna i Lisa uniosły głowy i ich twarze natychmiast spoważniały.

– Co się stało? – zapytała Lisa.

Amy spojrzała na barmana. Musi powiadomić najpierw jego, nie może tracić ani sekundy. Podeszła do baru.

– W sąsiednim wagonie jest mężczyzna. Zachowuje się bardzo podejrzanie. Ma torbę. Plecak, na stoliku przed sobą.

Barman wyraźnie się zaniepokoił.

– Myśli pani, że jest niebezpieczny?

Skinęła głową.

– Ma dwadzieścia kilka lat. Granatowa czapka, czarne dżinsy, szara kurtka.

Barman już rozmawiał przez wewnętrzny telefon z kimś z załogi.

O Boże, proszę, żeby tylko nikomu nic się nie stało, pomyślała Amy.

– Co się dzieje? – spytała Jenna. – Jaki mężczyzna?

– Siedzi tam. – Amy wskazała sąsiedni wagon. – Coś zdecydowanie jest z nim nie w porządku. I ma ten plecak. Cały czas go trzyma.

Nerwowo patrzyła w okno, żeby widzieć wsiadających. Z ciężkim sercem zobaczyła, jak kilka osób wchodzi po schodkach do pociągu. Nagle zamarła. Po peronie szedł mężczyzna z plecakiem w ręce.

– To on! – wykrzyknęła, wskazując palcem.

Odwróciła się do barmana, który z drugim członkiem załogi właśnie wszedł do wagonu. Przypadli do okna, gdy na peron wbiegło czterech żandarmów. Zobaczyli mężczyznę i zaczęli do niego krzyczeć. Amy poczuła, że się cofa, z napięciem czekając na wybuch, ale kiedy znów spojrzała, mężczyzna, wyraźnie oszołomiony, kuczał przy otwartym plecaku; otaczało go czterech policjantów z wycelowaną w niego bronią. Obok stała zdezorientowana, przerażona kobieta w dżinsach i zielonej puchowej kurtce. Mężczyzna trzymał w rękach zapakowany prezent dla niej, prezent, który wyjął z plecaka.

*

– Nie mogłaś wiedzieć – powiedziała Lisa. – Dobrze zrobiłaś, zgłaszając to.

– Zupełnie opacznie to zrozumiałam – szepnęła Amy.

Było jej strasznie wstyd, żarliwie przeprosiła za swoje zachowanie. Żandarmi potraktowali ją szorstko i odeszli. Całe zdarzenie mocno nią wstrząsnęło, nie tylko z powodu przekonania, że jest świadkiem ataku terrorystycznego, ale też intensywności, z jaką w to uwierzyła. Stworzyła scenariusz koszmaru, mając za

punkt wyjścia jedynie widok mężczyzny, zdenerwowanego przed spotkaniem z dziewczyną. Dała się ponieść fantazji. Naprawdę się spociła, wracając do wagonu restauracyjnego; wciąż czuła wilgoć pod pachami. To wszystko wydawało się takie realne.

– Musiałaś zareagować – odezwała się Jenna. – Wyobraź sobie, co by było, gdybyś miała rację i nic nie zrobiła.

– Tak czy inaczej, to skutki tego urazu głowy. Lekka paranoja. Nie martw się – dodała Lisa. – To może się przydarzyć każdemu. Byłam kiedyś na Heathrow i ktoś zostawił torbę pod ścianą w hali odlotów. Wyobraźcie sobie! Na Heathrow. Już miałam to zgłosić, gdy wrócił właściciel. Stał w kolejce po kanapkę. Idiota. Skończyło się na tym, że podeszłam do niego i powiedziałam mu, co myślę, a on kazał mi spadać.

Amy uśmiechnęła się blado. Wiedziała, że przyjaciółka próbuje ją pocieszyć. Członkowie załogi roześmiali się z ulgą i pociąg ruszył w dalszą drogę. To zdarzenie będzie dla nich tematem tygodnia. Angielka i jej paranoja. Ale nie tym się martwiła. Ważniejsze było to, że jej mózg funkcjonował w sposób, jakiego kompletnie nie rozpoznawała.

SZEŚĆ

25 lutego

Amy leżała w zaciemnionej kuszecie, słuchając uspokajającego rytmu pociągu. Widziała cienką linię światła na krawędzi rolety w niewielkim oknie. Wiedząc, że jej przyjaciółki jeszcze śpią, przesunęła się po cichu i uniosła róg granatowej tkaniny z logo linii kolejowych.

Ze świstem wciągnęła powietrze. Okno ujmowało w ramy pejzaż imponujących ośnieżonych gór na tle lazurowego nieba. Wpatrywała się w oświetlone słońcem, poszarpane szczyty, majestatyczne i spokojne, śpiące białe olbrzymy. Rosnące na ich zboczach lasy wydawały się miniaturowe, rozpoznawalne dzięki smugom czarniawej zieleni tam, gdzie ciężki śnieg osypał się z drzew na ziemię.

– Musicie to zobaczyć – powiedziała do przyjaciółek, nie mogąc opanować zachwytu.

Gdy podciągnęła roletę, Lisa i Jenna ocknęły się, mrugając w porannym słońcu.

– O rany! – wykrzyknęła Lisa z przejęciem.

Jenna odgarnęła z twarzy potargane po spaniu włosy i spojrzała w okno. Amy zauważyła, że ma cienie pod oczami.

Kiedy później jadły w wagonie restauracyjnym śniadanie – rogaliki, kawa i sok pomarańczowy – sceneria za oknem pędzącego pociągu ciągle się zmieniała.

– Skąd je wzięli? – spytała Lisa ze zdziwieniem, podnosząc ciepłe puszyste pieczywo bez celofanowego opakowania.

– Pociąg zatrzymał się o czwartej nad ranem – powiedziała Jenna.

Amy i Lisa spojrzały na nią.

– Nie spałaś? – zapytała Amy.

Jenna wzruszyła ramionami.

– Nie mogłam spać. Poszłam się przejść. Załoga pociągu odebrała dostawę. Najwyraźniej są świeżo upieczone.

Wysiadły na peron w Bourg-Saint-Maurice. Para z ich ust unosiła się w zimnym powietrzu niczym pióropusze. Znalazły taksówkę i jadąc, patrzyły przez okna na miasto. Na wiadukcie wyciągnęły szyje, żeby zobaczyć lodowatą spienioną rzekę, która spływała kaskadą po kamienistym dnie między śnieżnymi brzegami.

Dalej taksówka jechała krętą górską drogą, wśród zasp wysokich na dwa albo trzy metry, sięgających znacznie powyżej dachu auta. Na szczycie wzniesienia ujrzały przed sobą panoramę szczytów i płaskowyżów, a słońce oświetlało tak wiele kilometrów bieli, że nie sposób było ogarnąć wszystkiego wzrokiem. Amy czuła moc w tych górach, siłę, która jednocześnie wyciszała i uczyła pokory. Były urzekająco piękne, ale wiedziała, że są również niebezpieczne. Jej rodzinę spotkała tu tragedia.

– Pogoda jest dobra, nie? – zagadnął taksówkarz.

Przytaknęły, zahipnotyzowane widokami.

– Jutro przysypie śniegu – dodał.

Gdzieniedzie w oddali dostrzegały domy, niektóre tradycyjnie drewniane, inne bardziej nowoczesne. Każdy wydawał się maleńki w porównaniu z ogromem jaśniejących w słońcu gór. Minęły Val d'Isère, z hotelami i restauracjami dla turystów, i znów wjechały w góry, pozostawiając wioskę za sobą.

– Gdzie mieszka twoja ciotka? – spytała Lisa.

– Mniej więcej półtora kilometra stąd. Trochę daleko – odparła Amy. – Ale poczekaj, aż zobaczysz widoki.

Po dziesięciu minutach taksówkarz zwolnił, a następnie skręcił w wąską drogę, gdzie koła nieco ślizgały się po śniegu. Za zakrętem ukazało się przytulone do zbocza nowoczesne arcydzieło ze szkła i stali.

– To ten dom? – W głosie Jenny brzmiało zaskoczenie.

– Tak – potwierdziła Amy.

Widok przywołał uśmiech na jej twarz. Minął rok, odkąd była tu ostatnio, i poczuła radość na myśl o nadrabianiu zaległości z ciocią Esme.

– O mój Boże – szepnęła Lisa, robiąc wielkie oczy ze zdumienia – dlaczego nigdy wcześniej nas tu nie zaprosiłaś?

Amy wzruszyła ramionami. Zaprosiła je kilka lat temu, ale obie zaplanowały już wtedy wyjazdy na narty z mężami.

Gdy wjechali na podjazd, w drzwiach pojawiła się jej matka, Martha. Amy uniosła wzrok – pamiętała ją ze spotkania latem minionego roku i czuła ciekawość, jakby matka mogła się zmienić przez czas jej amnezji. Okazała się taka sama: drobna, z modnym bależem pod kaszmirową błękitną czapką. Miała na sobie dopasowany kolorystycznie sweter, którym się otulała.

– Dziewczyny! – Uśmiechnęła się do nich promiennie i w jej policzkach zrobiły się dołeczki. Wyglądała ładnie i dziewczęco, mimo że stuknęła jej pięćdziesiątka. – Jak miło was wszystkie widzieć.

Amy szła ścieżką ostatnia i zatrzymała się, gdy zauważyła, że matka obrzuca ją badawczym spojrzeniem.

– Wyglądasz trochę blado, Amy – odezwała się. – Jak się czujesz po wypadku?

– Nieźle. Nie miałaś kłopotu z kluczami?

– Nie, były w sejfie, jak powiedziałaś.

Pocałowały się lekko w policzki i Amy zeszywniała, czując nikły zapach alkoholu. Natychmiast doznała znajomego bolesnego skurczu serca. Była dopiero jedenasta.

– Przepraszam, że nie odwiedziłam cię w szpitalu – dodała Martha.

– Już ci mówiłam, nie było takiej potrzeby. Spędziłam tam tylko kilka dni, a z Dorset jest daleko do Londynu.

– A jak pamięć? Wróciła?

– Nie.

Martha położyła dłoń na ramieniu Amy.

– Biedactwo. – Odciągnęła ją od otwartych drzwi. – Wejdz dalej, jest naprawdę zimno.

– W końcu to zima, mamó, i jesteśmy w Alpach.

– I po co ten sarkazm? Zdejmij kurtkę. – Wzięła okrycie Amy i powiesiła w szafie w korytarzu. Machnęła ręką w stronę wnętrza domu. – Nie zmienił się. Ani trochę.

– Dobrze się tu czujesz?

Westchnęła i uśmiechnęła się dzielnie.

– W porządku.

Amy przeszła po drewnianej podłodze do salonu, gdzie jej przyjaciółki rozglądały się wokół z szeroko otwartymi oczami – i nic dziwnego. Dom ciotki Esme był wyjątkowy, jedyny w swoim rodzaju. Pośrodku salonu królował wielki kominek, w którym Martha rozpałała ogień. Całą ścianę z jednej strony tworzyły sięgające od podłogi do sufitu okna, a tuż za nimi rosło kilka sosen; trzydzieści metrów dalej ośnieżone czuby drzew stapały się z malowniczą panoramą skrzących się białych zboczy.

– Rany! – wykrzyknęła Lisa. Szła przez salon i dotykała skórzanych sof i miękkich narzut, wciąż wpatrzona w okno. – Ten dom jest niesamowity. Co za widok!

W oddali, kilka kilometrów dalej, ciągnęło się jedyne tutaj zbocze ze śladami ludzkiego życia. Zjeżdżała po nim garstka narciarzy. Jenna spojrzała w tamtą stronę.

– Co to?

– La Face – odparła Amy. – Tutejsza słynna czarna trasa.

Maleńkie postacie bezszelestnie spływały z góry.

– Jest trudna? – zapytała Jenna.

– Tak, stroma i miejscami niewiarygodnie wąska. I biegnie tuż nad skrajem przepaści. Trzeba szybko skręcać, to piekło dla ud.

– Jeździłaś tam? – W głosie Lisy brzmiało podniecenie.

Amy nie musiała patrzeć na matkę, by wiedzieć, że jej twarz pociemniała z dezaprobaty.

– Kiedy miałam trzynaście lat. Ciocia Esme mnie tam zabrała.

– Mogłaś zginąć – warknęła Martha.

– Ale nie zginęłam – odpowiedziała spokojnie Amy.

– Nie, tylko złamałaś nogę.

– O Boże, serio? – wtrąciła Jenna.

– Tak. Zabrał mnie śmigłowiec. Miałam kilka dni wolnego od szkoły.

Wybuchła potężna awantura, gdy Martha odkryła, że szwagierka zabrała jej córkę na stok, który ona już wcześniej uznała za niebezpieczny. Amy wiedziała, że matka ma rację, ale wciąż podejrzewała, że szuka powodu, by pokłócić się z Esme. Nigdy nie lubiła szwagierki. Wzajemnie działały sobie na nerwy, i to od pierwszego spotkania, ponad trzydzieści lat temu. Esme uważała, że Martha za bardzo przejmuje się swoim wyglądem i tym, co myślą o niej inni. Miała ją za sztywniarę, podczas gdy sama była buntowniczką i lubiła łamać zasady. Martha dowiedziała się, że jej szwagierka jako dziewiętnastolatka wyszła za starszego o kilka lat bogatego mężczyznę. Źródło jego dochodów nigdy nie zostało ujawnione i matka Amy przypuszczała, że było niezupełnie legalne. Nigdy nie poznała François, ponieważ zmarł na guza mózgu rok przed tym, nim zaczęła spotykać się z Peterem, bratem Esme. Widziała tylko owoce jego bogactwa: spektakularny dom w górach, piękny klasyczny dwuosobowy samochód sportowy, olśniewającą biżuterię. I oczywiście to, że Esme w wieku trzydziestu lat mogła robić, co chciała. Na początku małżeństwa Martha i Peter borykali się z problemami finansowymi, ale Peter z uporem powtarzał, że poradzą sobie bez niczyjej pomocy, chociaż Martha nadal po cichu zazdrościła szwagierce majątku.

Amy od dziecka przepadała za Esme, nie tylko dlatego, że ciocia była miła i hojna. Przyjęła je w swoim domu i nalegała, by traktowały go jak własny. Tak, może pływała nago w basenie w rozgwieżdżone zimowe noce, lecz Amy skrycie

podziwiała ją za to, tym bardziej gdy Esme wyznała, że lubi myśleć, że François jest jedną z gwiazd i dzięki temu może być blisko niego. Życie potrafi być okrutnie krótkie, mawiała. Nie miała dzieci i Amy zawsze czuła, że ciotka lubi brać ją pod swoje skrzydła i dostarczać jej nowych doświadczeń, w rodzaju jazdy konnej, snowboardu czy alkoholu, albo zabierać na jednodniowe wycieczki, których Martha często nie pochwalała. Peter znalazł się między młotem a kowadłem, ale pozostał niewzruszony, łagodnie przekonując żonę, że jego siostra nie ma złych intencji.

Incydent z czarną trasą dopełnił miary. Po wypadku Martha przestała odwiedzać Esme. Siedem lat później wydarzyło się coś nie do pomyślenia: Peter zginął na stoku. Sam wybrał się w odwiedziny do siostry i do tragedii doszło, gdy razem jeździli na nartach.

Amy wiedziała, że matka po raz ostatni widziała się ze szwagierką na pogrzebie męża. Kobiety różniły się jak ogień i woda, a Martha nie miała ochoty niwelować dzielących je różnic. Co gorsza, nie ukrywała, że obwinia Esme o śmierć Petera.

Amy nadal co roku odwiedzała ciotkę i teraz bardzo chciała nadrobić wielomiesięczne zaległości, ale tym razem Esme wspaniałomyślnie przeniosła się do domu swojego partnera Gabriela, po drugiej stronie doliny. Żeby dać Marcie przestrzeń, jak napisała w mailu z października ubiegłego roku. Amy planowała spotkanie z ciotką; może wybierze się do niej, gdy przyjadą mężowie Lisy i Jenny, bo wtedy chwila wytchnienia dobrze jej zrobi.

– Zamierzasz spróbować jeszcze raz? – spytała Jenna, wskazując głową w stronę La Face.

Amy czuła, że matka sztywnieje. Pokręciła głową.

– Nie. Może stąd nie wygląda groźnie, ale podczas zjazdu możesz osiągnąć prędkość do stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. I na razie wystarczy mi jeden upadek – dodała, ostrożnie dotykając wciąż wrażliwego miejsca z boku głowy.

– Cieszę się, że to słyszę, bo inaczej musiałabym tupnąć nogą – powiedziała Lisa. Odwróciła głowę i jej uwagę przyciągnęło okno panoramiczne po drugiej stronie pokoju. Podeszła, wpatrując się w coś na tarasie. – Dobry Boże, czy to basen?

– Zgadza się – potwierdziła Amy.

Dom stał u wejścia do wąskiej doliny, z górami po obu stronach. W oddali był niewielki las ogromnych sosen, pokrytych śniegiem. A za nimi stał tradycyjny drewniany dom, jedyna siedziba w zasięgu wzroku. W tej części gór nie było ani wyciągów, ani kolejek linowych. Turyści tu nie zaglądali, wystarczały im atrakcje oferowane w Val d’Isère.

– Chcecie obejrzeć resztę domu? – zapytała Amy.

– Przygotuję lunch – zapowiedziała Martha, kierując się do kuchni. – Mam nadzieję, że nikomu nie przeszkadza, że zajęłam już jeden z pokoi – dodała lekkim tonem.

Amy dostrzegła, że jej oczy spochmurniały, i wiedziała, że matka wybrała pokój od frontu, skąd nie widać było doliny.

– Wszystko w porządku? – szepnęła.

Martha skinęła głową.

– Mogę otworzyć wino do lunchu – odparła.

Amy popatrzyła na wychodzącą matkę i niepokój ścisnął jej serce.

SIEDEM

25 lutego

Każdy pokój miał balkon z zapierającą dech w piersiach panoramą. Przy jednym z nich sosny rosły tak blisko, że można było dotknąć ośnieżonych gałęzi. Lisa zgarnęła garść śniegu i rzuciła Amy prosto w twarz.

– Rozejm! – wrzasnęła niemal natychmiast, gdy Amy zaczęła się śmiać i parskać.

– Zrewanżuję się – zapewniła ją Amy.

– Te widoki są niesamowicie inspirujące! – wykrzyknęła Jenna z entuzjazmem.

– Wzięłaś aparat? – zapytała Amy.

– Oczywiście.

– Jenna miała wystawę – oznajmiła Lisa. – W styczniu.

– Naprawdę? – Amy nie kryła zachwyty. – Przepraszam, nie pamiętam. Przyszłam? Było fantastycznie?

Minęła chwila, zanim Jenna odpowiedziała:

– Tak, przyszłaś. I można mówić o sukcesie. W znacznej mierze – dodała chłodno, wracając do sypialni.

Amy zorientowała się, że wkroczyła na niebezpieczny grunt, choć nie rozumiała dlaczego. Poszła za Jenną.

– Cieszysz się, że masz ten pokój?

– Jest idealny.

Amy powiodła wzrokiem po ręcznie wykonanych szafach, miękkim dywanie na podłodze i wytwornych narzutach na łóżku. Z każdego okna roztaczał się widok na górskie zbocza – można było podziwiać je nawet z wanny. Tyle że pokój, podobnie jak inne, wydawał się trochę zaniedbany. Tu i ówdzie zalegał kurz i Amy pomyślała, że sprzątaczką Esme nieco się rozleniwiła.

A zatem wszystkie miały swoje pokoje. Jedyny, który ominęły podczas oglądania posiadłości, należał do Esme. Tylko Amy zajrzała tam i na widok rzeczy ciotki zatęskniła za nią jeszcze bardziej, ale spotkanie musiało poczekać. Tak jak w innych pokojach, zasłony były zaciągnięte. Amy chciała je rozsunąć, lecz szybko porzuciła ten zamiar; może Esme wolałaby, żeby niczego nie zmieniać podczas jej nieobecności.

– Gdzie jest twoja ciotka? – spytała Jenna.

Amy wskazała przez okno w korytarzu na drugą stronę doliny, gdzie stał drewniany dom. Dym snuł się z komina.

– U swojego faceta, Gabriela. Prawdopodobnie właśnie wrócili ze stoku, popijają kawę i zjadają się *pain au chocolat*.

– Skoro o tym mowa, konam z głodu – rzuciła Lisa i poszła na dół.

Amy jeszcze chwilę stała przy oknie. Za chatą Gabriela widziała początek Południowego Stoku, trzykilometrowej trasy prowadzącej do Val d'Isère. Tam zginął jej ojciec, prawie dokładnie przed dziesięciu laty. Był to straszny wypadek, ale wbrew temu, co myślała matka, Esme nie ponosiła żadnej winy. Mimo to ciotka od tamtej pory nie jeździła na nartach. Amy westchnęła i znów spojrzała na domek Gabriela. W głębi duszy żałowała, że nie może tam teraz pójść, odwiedzić Esme. Odwróciła się od okna i dołączyła do przyjaciółek, które już siedziały przy stole.

Martha zrobiła zupę i podała ją z ciepłymi bagietkami.

– W kuchni nie było niczego do jedzenia – powiedziała z nutą dezaprobaty w głosie. – Nawet mleka! Musiałam wezwać taksówkę i jechać z powrotem do wioski.

– W pobliżu nie ma sklepów? – spytała Jenna.

– Żadnego w odległości spaceru – odparła Amy. – Chata Gabriela jest najbliższym świadectwem cywilizacji, ponad półtora kilometra stąd. Do Val d’Isère są dwie godziny marszu.

Po lunchu pojechały taksówką do miasta, żeby zaopatrzyć się w narty i buty, po czym wybrały się na stok. Dawno nie jeździły, a Amy miała ściśle instrukcje, by nie przesadzać, więc trzymały się zielonych tras. W nocy spadł świeży śnieg i błękit nieba aż raził w oczy. Gdy Amy zjeżdżała po śniegu, skrzącym się przed czubkami nart, zaczęła budzić się jej pamięć mięśniowa. Wkrótce coraz płynniej balansowała na zakrętach i odprężyła się, z przyjemnością słuchając ostrego, zgrzytliwego dźwięku desek. Po kilku zjazdach postanowiły wrócić do domu, wszystkie w doskonałym nastroju. Martha ukroiła grube kawałki *gâteau au chocolat*, ciasta kupionego rano w cukierni. Otworzyła też kolejną butelkę wina, co Amy próbowała zignorować.

– Och – jęknęła Lisa z udawaną rozpaczą, zaglądając do pudełka po cieście – nic nie zostało na jutro dla chłopaków.

– O której będą? – zapytała z przejęciem Martha.

– Samolot przylatuje o szóstej po południu – odparła Jenna.

– Zatem wreszcie poznam... – Martha lekko zabębniła palcami po blacie i spojrzała na Amy – doktora Jacka Stewarta.

Amy zastygła, z widelczykiem do ciasta w połowie drogi do ust. No tak, powiadomiła przyjaciółki, że jej chłopaka nie będzie, ale pominęła matkę. Chyba wiedziała dlaczego.

– Właściwie, mam... – zaczęła, dostrzegając, że obie przyjaciółki nagle zainteresowały się winem w swoich kieliszkach. – Jack nie może przyjechać.

Matka była wyraźnie zdezorientowana.

– Nie może w jakim sensie?

– Musi pracować.

– Przecież to twoje urodziny. Twoje trzydzieste urodziny.

Wiem, chciała powiedzieć Amy, myślisz, że mógł się postarać. Postanowiła wyjawic powód jego nieobecności.

– Prawda jest taka, że od ponad tygodnia nie dał znaku życia, i jestem prawie pewna, że ze mną zerwał.

– Tego nie możesz wiedzieć – wtrąciła szybko Lisa.

– To już koniec? – zapytała Martha, nie kryjąc konsternacji. – Przecież spotykaliście się zaledwie od trzech miesięcy!

Amy wzruszyła ramionami.

– Ale dlaczego z tobą zerwał?

– Nie mam pojęcia, mam. Nie pamiętam.

– Przecież coś musisz pamiętać.

– Nie. Zupełna pustka.

– To niemożliwe.

– Możliwe. Straciłam pamięć. – Amy postukała się w głowę. – Niczego tam nie ma od końca sierpnia. Zaczęłam spotykać się z Jackiem w listopadzie.

– A widzisz, pamiętasz! – zawołała z triumfem Martha.

– Nie, mam, wiem, bo mam to w kalendarzu. Dwudziesty pierwszy listopada.

Kolacja z J.

– Ktoś chce jeszcze wina? – spytała Lisa, podchodząc do lodówki.

– Tak, poproszę. Sądzę, że dobrze mi zrobi. – Martha wyciągnęła swój kieliszek. Z niedowierzaniem spojrzała na Lisę i Jennę. – Czy to jest możliwe?

– Utrata pamięci po urazie głowy jest całkiem normalna – powiedziała Lisa. – Jestem pewna, że Amy przypomni sobie wszystko w ciągu najbliższych kilku tygodni.

– Ale wtedy już będzie za późno – zauważyła Martha.

– Za późno na co? – spytała Jenna, ale Amy wiedziała już, do czego zmierza matka.

– Żeby dowiedzieć się, co poszło źle, i naprawić sytuację.

– Chodzi ci o to, co ja zrobiłam źle – powiedziała Amy.

– Nie tak to ujęłam.

– Ale o to ci chodziło, prawda?

– Po prostu jest mi szkoda. Wszystkich tych zmarnowanych lat. Szkoda, że nie udało ci się zatrzymać Richarda.

– Mamo, to było wieki temu. I wcale nie chciałam go zatrzymać. To ja z nim zerwałam. Jak już kilka razy ci mówiłam – dodała pod nosem.

– Richard – rzuciła z zadumą Jenna. – Niegdyś redaktor gazety zrzeszenia studentów. Czy nie został znanym dziennikarzem?

– Był ambitny – powiedziała Martha. – Zawsze uważałam, że to małe rzeczy utrzymują związek. Drobnie gesty, które pokazują, że ci zależy. Liścik miłosny w pudełku na lunch. Wisząca w szafie wyprasowana koszula do pracy na następny dzień.

– Myślisz, że gdybym prasowała Richardowi koszule, nadal bylibyśmy razem?
– wycedziła Amy.

– Jesteś bardzo zgryźliwa – skomentowała Martha. – A mądrze byłoby czasami mnie posłuchać.

Amy kipiała z irytacji, ale ugryzła się w język.

– Wiesz – ciągnęła matka – poznałam twojego ojca na studiach i udało nam się, pomimo młodego wieku.

– Nie byłam gotowa się ustatkować. Wiesz o tym.

Martha machnęła ręką.

– Zresztą i tak już za późno.

– Tak? – odezwała się Jenna, ignorując ostrzegawczy grymas Amy.

– Ożenił się z córką mojej przyjaciółki – wyjaśniła Martha. – Z Harriet. Niedawno doczekali się pierwszego dziecka. W listopadzie ubiegłego roku. – Spojrzała na Amy. – Nie będziesz pamiętać... mówiłam ci o tym podczas jednego z naszych lunchów... ale ich mała jest absolutnie urocza.

– Życzę im jak najlepiej – rzuciła Amy.

– Czy nie jesteś ani trochę... – zaczęła Martha.

– Co?

– Nieważne.

Amy jednak wiedziała, co matka miała na myśli. Czy nie jesteś zawiedziona? Rozżalona? Czy nie zastanawiasz się, jak mogłoby być? Prawda była taka, że Amy niezliczone sobotnie wieczory spędzała sama w swoim mieszkaniu, podczas gdy jej przyjaciółki randkowały. Brakowało jej towarzystwa. Brakowało jej dotyku. Czasami wracała w piątek z pracy i wiedziała, że nie porozmawia z nikim aż do poniedziałku.

– Richard i tak był dla Amy za niski – odezwała się Lisa, a Amy rzuciła jej wdzięczne spojrzenie.

– Przypomnij mi jeszcze raz, ile miał wzrostu – poprosiła Jenna.

– Ledwie sięgał mi do brwi – odparła Amy, pokazując ręką.

– Zawsze zazdrościłam ci tej postury amazonki – przyznała Lisa.

– Ma ją po ojcu – wtrąciła Martha.

– Musi się przydawać w pracy z tymi wszystkimi facetami. Możesz stanąć z nimi oko w oko, kiedy zachowują się wyjątkowo wrednie.

Amy była jedną z dwóch kobiet, które pracowały w małej, zdominowanej przez mężczyzn kancelarii Alpha, specjalizującej się w sporach sądowych. Jej kolegów ekscytowały sprawy z największymi, wielomilionowymi ugodami, ale ona wolała te, w których walczyła o zwykłe płotki. O ludzi wykołowanych przez bezwzględne korporacje. Kierowała nią silna potrzeba naprawiania niesprawiedliwości, rozciągająca się na jej własne życie. Podczas jej pierwszego całonocnego spotkania firmowego spóźniła się dostawa lunchu. Prawnicy zaczęli narzekać i głośno zastanawiali się, kiedy wreszcie dostaną jedzenie.

Arogancki, zadufany w sobie mężczyzna, młodszy prawnik jak ona, odezwał się: „Amy będzie wiedziała. O której dostarczą kanapki, Amy?”.

To ją ubodło. Poczowała rumieńce wściekłości i upokorzenia. Wydawało się, że nikt inny nie zauważył, jak bardzo seksistowski był jego komentarz. Mężczyźni unieśli głowy znad tabletów i notesów, ciekawi, dlaczego nic nie mówi.

„Nie wiem – odparła – ale skonsultuję się z moimi narządami płciowymi, skoro najwyraźniej myślisz, że są obdarzone wyższą wiedzą w sprawach cateringu”.

Na ich twarzach pojawiło się zdumienie, po którym nastąpił wybuch śmiechu – niemal u wszystkich. Prawnik, który ją sprowokował, był głęboko urażony, zwłaszcza że koledzy śmiali się z niego. Od tamtej pory liczył się ze słowami. Ciągłe dochodziło do różnych incydentów, lecz Amy zawsze publicznie piętnowała tego rodzaju nietakt. Zyskała w ten sposób podszyty niechęcią szacunek. Była dumna z siebie, że potrafi na pierwszy rzut oka rozpoznać idiotę. Może była wieczną singielką, ale przynajmniej nigdy nie zadurzyła się w draniu.

– Dziwię się, że nie znalazłaś sobie kogoś w pracy – powiedziała Martha. – Chociaż zawsze nosisz tak wysokie obcasy, że z pewnością patrzysz z góry na większość mężczyzn.

– Nie sądzę, że to obcasy powstrzymują ich od zaproszenia mnie na randkę – burknęła Amy.

– Tak, ja też nie sądzę.

Amy zesztyniała.

– Co przez to rozumiesz?

– Słucham?

– Zabrzmiało to tak, jakbyś uważała, że mężczyźni nie zapraszają mnie na randki z jakiegoś innego powodu.

Martha milczała.

– Śmiało, mamó. Chcę wiedzieć.

– Cóż, to dla ciebie trudne. Rozumiem.

– Co jest dla mnie trudne?

– Pozowanie na twardzielkę, pielęgnowanie tej twardej skorupy.

– Muszę być twarda, tak. Ale czy dlatego nie jestem atrakcyjna?

Martha rozpostarła szeroko ręce i kropla wina spadła na podłogę. Nie zwróciła na to uwagi.

– Kochanie, jesteś niezwykle atrakcyjna. Spójrz na siebie. Jesteś piękna. Chodzi mi nie o to, jak wyglądasz, tylko o... cóż, czasami odnoszę wrażenie, że trudno ci otworzyć się na ludzi... na mężczyzn.

– Słucham? – Amy się najeżyła.

– Może jesteś nieco oziębła, zbyt zamknięta w sobie. Mężczyźni wolą ciepłe, zachęcające kobiety.

– Chwileczkę, a ci faceci, z którymi pracuję, nie są oziębli i zamknięci w sobie?

– No tak, ale oni muszą tacy być. Bardziej stanowczy, silniejsi.

– Czyli mężczyzna jest silny i stanowczy, a ja jestem oziębła i zamknięta? – Amy starała się pohamować złość. – Mamo, to brzmi tak, jakbyś właśnie przeniosła się prosto z lat pięćdziesiątych.

– Mogłaś sobie darować tę uwagę – powiedziała Martha urażonym tonem.

Amy zacisnęła zęby. Była wściekła, ale część tego, co powiedziała matka, trafiło w czuły punkt. Jest, jaka jest, ale czy to ją dyskwalifikuje? Skazuje na życie w samotności? I dlaczego miałyby się zmieniać? Dlaczego silna kobieta, która zna swoją wartość, miałyby odpychać mężczyznę?

Lisa i Jenna, siedzące podczas tej wymiany zdań jak trusie, nagle się podniosły, spragnione chwili wytchnienia. Jenna wstała pierwsza.

– Pójdę po aparat. Pstryknę kilka zdjęć, zanim się ściemni.

– A ja muszę się rozpakować – powiedziała Lisa, wychodząc z salonu za Jenną.

Po ich wyjściu Martha wstała, trochę niepewnie. Przeniosła się na kanapę i usiadła, niezbyt blisko córki.

– Nie chciałam wywołać awantury. Pragnę, byś była szczęśliwa, to wszystko.

Amy spojrzała na matkę, na jej oczy przygaszone rozczarowaniem – czyżby dostrzegła w nich litość? Boże, ona jej współczuje. Szybko stłumiła chęć uzalania się nad sobą. Nie ma mowy, nie wejdzie na tę równię pochyłą.

– Jestem szczęśliwa, mamo.

Martha zrobiła sceptyczną minę.

– A ja naprawdę nie chciałam posunąć się tak daleko. Trochę się zdenerwowałam, słysząc o Jacku, to wszystko. Lubiłam go.

– Przecież go nie poznałaś.

– Ale podobał mi się, z tego, co o nim mówiłaś – rzuciła tęsknie Martha.

I w tym rzecz. Amy zrozumiała, że opowiadanie o Jacku stworzyło między nimi pomost, złagodziło napięcie. Z pewnością ucinały sobie pełne optymizmu pogawędki i Martha nie postrzegała córki jako porażki. Amy nie pamiętała żadnej z tych rozmów, ale smutek na twarzy matki powiedział jej wszystko.

Serce ścisnął jej żal – połączony z głęboko zakorzenioną irytacją. Brak zięcia i potencjalnych wnuków, o których można by porozmawiać z gronem przyjaciółek, był dla Marthy źródłem ciągłego niezadowolenia. I oczywiście sytuację pogarszało to, że od czasu śmierci męża nie miała nikogo poza córką.

– Mamo, wiem, trudno tu być... w tym domu, ale... jak myślisz, mogłabyś trochę przystopować z winem?

– Słucham?

– Nie chcę cię denerwować, ale to nie jest dla ciebie dobre.

– To miejsce przywołuje złe wspomnienia, przecież wiesz – zachnęła się Martha. – A ta kobieta ponosi odpowiedzialność za śmierć twojego ojca. Zabrała go na ten straszny stok.

– Mamo, to była decyzja taty. Oboje postanowili się ścinać.

– Esme z pewnością go namówiła. Wiesz, jaka jest lekkomyślna.

– Był dorosłym mężczyzną. Potrafił samodzielnie podejmować decyzje.

Spojrzała na nią z zaciśniętymi ustami.

– Twoja ciotka zamierza nas tu odwiedzić?

– Myślę, że chce nam dać więcej swobody. Chociaż oczywiście mam zamiar się z nią zobaczyć.

Martha skinęła głową.

– Przepraszam – mruknęła Amy, pocierając skronie. – Chyba pójde się na trochę położyć. Nie masz nic przeciwko temu? Czuję, że nadciąga ból głowy.

– Oczywiście, idź. Dać ci coś? Może paracetamol?

– Nie, dzięki.

Na górze usłyszała, że Lisa w swoim pokoju rozmawia przez telefon. Cichy śmiech i pełen intymności ton świadczyły, że gawędzi z mężem, Davidem. Amy nie rozumiała słów, ale głos przyjaciółki wyczarował cały świat więzi, których sama nie miała.

Zamknęła drzwi pokoju i się położyła. Spojrzała na drugą stronę łóżka, przesunęła rękę na puste miejsce. Czy mogła zrobić coś, by zapobiec rozpadowi związku z Jackiem? Czy odepchnęła go? Była oziębła i zamknięta w sobie? Nagle zalała ją fala wstydu i nienawiści do siebie. Nie zdołała utrzymać chłopaka nawet na pierwszym etapie romansu. Przekręciła się na bok i nagle uderzyła ją pewna myśl. Spotykała się z Jackiem od trzech miesięcy, więc na pewno uprawiali seks. Westchnęła ciężko. Nie pamiętała nawet seksu. To cholernie niesprawiedliwe!

Jej wzrok padł na szafkę nocną i leżący tam telefon. Wzięła go i chociaż mówiła sobie, że nic dobrego nie wyniknie z przesadnego analizowania, szukania czegoś, czego nie ma, zaczęła przeglądać wiadomości, jakie wymieniała z Jackiem. Miała nadzieję, że ustali przyczynę jego milczenia. Nie znalazła żadnych wskazówek. W ostatniej wiadomości napisał, jak bardzo mu przykro, że nie może jechać do Francji. Amy była zaskoczona, że nie umówili się na randkę w weekend przed podróżą. Czy choćby na spotkanie przy drinku. Spojrzała na rejestr połączeń i choć zdawała sobie sprawę, że kieruje nią desperacja, nie mogła się powstrzymać. Może mieli się spotkać, ale ona trafiła do szpitala?

Nie było nieodebranych telefonów od Jacka w piątkowy wieczór, kiedy doszło do wypadku. Co za niespodzianka. Już miała rzucić komórkę na łóżko, gdy coś przykuło jej uwagę. Zmarszczyła brwi, ze zdziwieniem patrząc na ekran. Piątek, dziewiętnastego lutego, godzina 19.39, przed jej niefortunnym upadkiem. Połą-

czenie trwało tylko trzydzieści sekund, więc zapewne włączyła się poczta głosowa. Wyświetliło się jako nieodebrane.

Dlaczego zadzwoniła do Jenny akurat w tamtym momencie i co ważniejsze, dlaczego Jenna o tym nie wspomniała?

OSIEM

25 lutego

Gdy Amy się obudziła, światło za oknem przygasało. Usiadła zdezorientowana, przez chwilę nie wiedząc, gdzie jest. Przypomniało jej się, że bolała ją głowa, i zdała sobie sprawę, że musiała zasnąć.

Zeszła do kuchni, gdzie Lisa i Martha szykowały kolację.

– Miła drzemka? – spytała Martha.

– Bardzo. Ból głowy zniknął bez śladu. Gdzie Jenna?

– Wciąż robi zdjęcia. – Lisa kiwnęła głową w stronę okna, za którym zachód słońca malował góry różem. – Czy nie nazywają tego złotą godziną?

Amy włączyła radio; leciała optymistyczna popowa piosenka.

– Pomóc wam? – spytała, obserwując przygotowania do kolacji.

– Utłucz ziemniaki, jeśli chcesz – powiedziała Lisa. – To co robimy jutro? Będziemy tylko my, dziewczęta, dopóki chłopcy nie zjawią się wieczorem.

– Czy na jutro nie zapowiadają opadów śniegu? – spytała Martha.

– Dopiero pod wieczór – odparła Amy. – Wiecie, o czym zawsze marzyłam? O locie parolotnią nad górami.

Matka gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Mój Boże. Skąd u ciebie to wieczne życzenie śmierci?

Lisa uśmiechnęła się.

– Brzmi fantastycznie. – Szturchnęła Marthę w ramię. – No dalej, pomyśl o widokach! Założę się, że Jenna też będzie chciała to zrobić.

– Skoro o niej mowa – zaczęła Amy, patrząc na szybko ciemniejące niebo – czy nie powinna już wrócić?

Lisa wzięła swój telefon.

– Zadzwonię do niej, zapytam, czy wraca. – Wybrała numer i zmarszczyła brwi. – Poczta głosowa.

– Dziwne – stwierdziła Amy.

– Może padła jej bateria – powiedziała Martha. – Wiesz, na mrozie szybciej się rozładowują.

– Jeśli tak, to latarka w telefonie też nie zadziała. – Amy zeskoczyła z wyspy kuchennej. – Pójdę się rozejrzeć.

W korytarzu włożyła śniegowce i skafander i otworzyła drzwi frontowe. Nikt nie szedł w górę podjazdu. Ściemniało się, więc włączyła światło na zewnątrz. Blask lampy sięgał kilka metrów od domu. Spojrzała na śnieg. Zobaczyła ślady butów i opon – po ich porannym przybyciu. Dalej dostrzegła trop oddalający się od domu – ślady Jenny. Zadrżała. Było co najmniej minus pięć stopni.

– Jenna?! – zawołała, ale odpowiedzi nie było.

Jej głos brzmiał cicho, tłumił go śnieg. Krzyknęła ponownie, głośniejszym głosem. Bez skutku.

Wróciła do domu.

– I co? – spytała Lisa.

– Nic. Po ciemku naprawdę łatwo się zgubić. Sądzę, że należy pójść po śladach Jenny i spróbować ją odszukać.

– Robi się ciemno. – Martha z niepokojem spojrzała w okno.

– Ja pójdę – oznajmiła Lisa.

– Nie trzeba – odparła Amy. – Znam okolicę.

– W porządku, idę z tobą.

– Szczerze mówiąc...

Lisa podniosła rękę w geście protestu.

– Nie pójdiesz sama.

– Ja też pójdę – oświadczyła Martha.

– Nie, mam. Ktoś musi tu zostać, na wypadek gdyby Jenna wróciła.

Amy wyszła do holu, Lisa za nią.

– Będziecie ostrożne, prawda? – spytała Martha. – I zadzwońcie do mnie, jak tylko ją znajdziecie. Bo będę się zamartwiać.

– Oczywiście – zapewniła ją Amy. Spojrzała na Lisę, która już zapinała skafander. – Gotowa?

W tym momencie drzwi otworzyły się z trzaskiem i podmuch zimnego powietrza zawirował w holu. Amy odwróciła się i zobaczyła Jenę z aparatem na szyi i męskim ramieniem wokół talii. Oparta o stojącego za nią mężczyznę, wyglądała na wyczerpaną i wstrząśniętą.

– Cześć, dziewczęta – powiedziała. – Zgadnijcie, kogo spotkałam. – Ruchem głowy wskazała podtrzymującego ją mężczyznę. – Wygląda na to, że doktor Jack Stewart jednak zdołał przyjechać.

DZIEWIĘĆ

25 lutego

Zapadła cisza, a do kobiet powoli docierało to, co powiedziała Jenny. Oszołomienie odjęło Amy mowę. Przyjechał? Facet, który napisał, że musi zostać w pracy, o którym myślała, że ją rzucił, rzeczywiście się zjawił? Jej mózg nie nadążał.

Martha pierwsza się uśmiechnęła.

– Jack? – Z niedowierzaniem spojrzała na córkę. – Jack, chłopak Amy?

– Uścisnąłbym pani rękę, ale obawiam się, że jeśli puszcę moją pacjentkę, jej kostka nie wytrzyma – powiedział z uśmiechem Jack.

– Co sobie zrobiłaś? – spytała Lisa.

Stanęła po drugiej stronie Jenny i razem z Jackiem pomogli jej wejść do salonu i usiąść na krzesle.

– To pewnie tylko zwichnięcie – orzekł Jack.

– Potknęłam się o ukrytą pod śniegiem skałę, niedaleko stąd, na zboczu – wyjaśniła Jenna. – Ledwie mogłam się podnieść, a co dopiero iść z powrotem. Miałam szczęście, że akurat zjawił się Jack. Chciałam do was zadzwonić, ale komórka mi padła.

– Miło cię poznać, Jack – powiedziała Lisa. – Pójdę po lód na tę kostkę.

Idąc do kuchni, ukradkiem mrugnęła do Amy. Mrugnięcie mówiło: A widzisz! Nie zerwał z tobą.

– Prawdziwy łut szczęścia – uznała Martha z radością. Odwróciła się do Jacka.
– Myślałam, że musisz być w pracy.

– Udało mi się w ostatniej chwili zamienić na dyżury. Nie byłem pewien, czy dostanę bilet na samolot, a potem... – Jack szeroko uśmiechnął się do Amy – cóż, to tylko kilka godzin, więc pomyślałem, że zrobię ci niespodziankę.

Amy spojrzała mu w oczy. Patrzyła na jego uśmiech i spłaszczone przez czapkę kręcone ciemne włosy, które zaraz zmierzwił. Miła, otwarta twarz, jasnoniebieskie oczy. Sportowa sylwetka, metr osiemdziesiąt wzrostu.

Nigdy w życiu nie widziała tego mężczyzny.

DZIESIĘĆ

25 lutego

– To naturalna reakcja – szepnęła Lisa. Stały obok siebie po drugiej stronie kuchni, daleko od Marthy i Jacka. – Straciłaś pamięć i po prostu go nie pamiętasz, to wszystko. Chociaż nie mam pojęcia, jak można zapomnieć takiego przystojnego faceta.

– Nie pomagasz – burknęła Amy.

– Przepraszam, wybacz. W profesjonalny, medyczny sposób próbuję powiedzieć, co oznacza twoja amnezja. Przez krótki czas wszystko będzie wydawać ci się dziwne. Z czasem wspomnienia powrócą. Może obecność Jacka sprawi, że niektóre napłyną wcześniej.

Amy spojrzała na Jacka, który nakrywał do stołu pod nadzorem Marthy. Jack. Jej chłopak. Lisa miała rację, był bardzo przystojny. Poczowała dreszcz dumy, lecz zaraz ze wstydem odsunęła od siebie te myśli. Ale nie mogła oderwać od niego wzroku. To był mężczyzna, z którym spotykała się przez ostatnie trzy miesiące. Gdyby tylko potrafiła coś sobie przypomnieć. Nie opowieść przekazaną jej przez przyjaciółki, ale coś swojego, jakieś intymne wspomnienie, które należało wyłącznie do niej. Nagle Jack spojrzał na nią i uśmiechnął się, a ona poczuła, że się rumieni. O Boże, to niedorzeczne! Wysoko unosząc głowę, odwzajemniła uśmiech.

– W porządku, gotowe – oznajmiła Martha. Skinęła głową do Lisy. – Pomożesz mi wprowadzić poszkodowaną?

Gdy matka i Lisa wyszły z kuchni, żeby pomóc Jennie, Amy została sama z Jackiem. Czuła się zakłopotana, nawet onieśmielona, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

– Jestem strasznym prostakiem, który nie dba o higienę i kolekcjonuje tabliczki z numerami lokomotyw – odezwał się Jack. – Aha, i głośno chrapię.

Amy popatrzyła na niego z przerażeniem, ale dostrzegła wesoły błysk w jego oku i wybuchła śmiechem.

– Wybacz... – bąknęła, nie do końca wiedząc, jak wytłumaczyć swoje zakłopotanie.

– Nie ma sprawy. Wiem, że mnie nie pamiętasz.

Amy zarumieniła się, już po raz drugi tego wieczoru.

– Próbowałam... – Uniosła ręce na znak porażki.

Podszedł do niej i poczuła zapach jego wody po goleniu. Nie był nieprzyjemny. Proszę, błagała w duchu, przypomnij sobie coś. Cokolwiek. Ale jej umysł uparcie odmawiał wyjawienia jakichkolwiek informacji.

– Jak się czujesz? – zapytał Jack i lekko zmarszczył czoło, gdy dotknął jej zasinionego policzka.

– Znacznie lepiej. Dzięki.

– To było straszne, kiedy dowiedziałem się o twoim wypadku. Wygląda na to, że zaliczyłaś niezłą przewrotkę.

Amy wzruszyła ramionami.

– Nie pamiętam.

– No to powiedz, czy zaprosiłabyś mnie na randkę? – Uśmiechnął się. – Widząc mnie teraz jakby po raz pierwszy?

– To ja zaprosiłam ciebie?

– Byłem zachwycony. A gdybyś tego nie zrobiła, nie zakończyłbym tamtej rozmowy, dopóki sam bym cię nie zaprosił.

Amy była zaintrygowana.

– Jakiej rozmowy?

– Masz bliznę na prawym kolanie.

Spojrzała w dół i przypomniała sobie szramę, której pochodzenia nie potrafiła wyjaśnić.

– Tak.

– Spotkaliśmy się w poniedziałek szesnastego listopada. Przed stacją Waterloo. Oboje wracaliśmy z pracy do domu, było tłoczno, godziny szczytu, szłaś kawałek przede mną i widziałem, jak się przewróciłaś. Zapytałem, czy wszystko w porządku, i zauważyłem, że stłukłaś sobie kolano. Poradziłem ci, że warto zrobić kilka szwów, ale upierałaś się, że nic ci nie jest. No więc, jak się obawiam, wykorzystałem sytuację. Ponieważ odmówiłaś wizyty u swojego lekarza, spytałem, czy mogę zadzwonić za kilka dni, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Dałaś mi swój numer, a ja zadzwoniłem do ciebie i podczas tej rozmowy zaprosiłaś mnie na randkę.

– Poważnie? O rany.

Amy nagle poczuła się trochę przytłoczona. Dziwnie było słuchać, jak ktoś nieznamy opowiada o jej życiu.

Ujął jej dłoń i delikatnie ścisnął. Był to miły gest, jednak Amy czuła się lekko skrepowana tym, że mężczyzna, którego nie rozpoznawała, trzyma ją za rękę. Znasz go, upomniała się w duchu.

– Będzie dobrze. Odzyskasz pamięć – zapewnił ją. – A dopóki to nie nastąpi, mogę ci wszystko opowiedzieć. Przeżyję na nowo wszystkie nasze randki.

– Były dobre?

– Najlepsze. Ale... – wskazał dłonią na nich oboje – możemy zwolnić, jeśli tak wolisz. Po prostu bardzo się cieszę, że spędzę z tobą twoje urodziny. Powiedziałaś, że rozumiesz, że muszę pracować, wiem, ale...

– Kłamałam?

– Byłaś tylko bardzo uprzejma.

Amy w duchu poczuła ogromną ulgę. A jednak nie była wymagającą karierowiczką, za jaką miała ją matka. Przynajmniej nie przez cały czas.

– Zdradź mi coś... – Zawahała się.

– Co?

– Nie, już nic.

– Powiedz, proszę. Nie krępuj się.

No dobrze, niech będzie. Amy uważnie popatrzyła na jego twarz.

– Czy kiedykolwiek prasowałam twoje koszule?

Roześmiał się – był to miły śmiech, głośny i spontaniczny.

– Dlaczego miałabyś to robić?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

– Nie, jesteś w pełni wyemancypowaną kobietą i między innymi dlatego tak bardzo mi się podobasz.

Rozpromieniła się w środku. Był to jeden z najmiłszych komplementów, jakie kiedykolwiek słyszała.

– Zróbcie miejsce dla inwalidki! – zawołała Martha.

Jenna, podtrzymywana z obu stron, kuśtykała właśnie do pokoju.

Jack pospieszył, by pomóc jej usiąść przy stole. Podsunął drugie krzesło, żeby mogła położyć na nim nogę. To miłe, pomyślała Amy, miłe, że się troszczy.

Martha, chcąc już podać gulasz wołowy i tłuczone ziemniaki, poleciła Jackowi zająć miejsce naprzeciwko siebie, co oznaczało, że będzie siedział obok Amy.

– Pyszny gulasz, proszę pani – pochwalił Jack.

– Po prostu Martha, proszę.

Uśmiechnął się.

– Dobrze w końcu was wszystkie poznać. Amy tyle mi o tobie opowiadała.

– Tak? – Martha natychmiast stała się czujna, podobnie jak Amy. Co takiego mu powiedziała?

– Wszystko sprowadza się do tego, że jesteś cudowną mamą.

Martha była zaskoczona, a nawet wzruszona jego słowami.

– To bardzo miłe. – Spojrzała na Amy, wzrokiem dziękując córce za rzadki komplement.

– Właściwie teraz, gdy już się wszyscy spotkaliśmy – podjął Jack – czuję, że jestem wam winien przeprosiny.

Kobiety uniosły brwi, ale najbardziej zdumiona wydawała się Amy.

– Wiem, że powinniśmy się poznać już dawno temu, ale poza tym, że popołudniowe i nocne dyżury w szpitalu nie sprzyjają życiu towarzyskiemu, to w każdy wolny weekend samolubnie chciałem mieć Amy wyłącznie dla siebie.

– Cóż, cieszymy się, że w końcu cię poznałyśmy – oznajmiła Martha.

– I kazałeś nam czekać tak długo, że teraz chcemy wiedzieć o tobie wszystko – dodała Lisa.

– Szczerze mówiąc, nic we mnie ciekawego. – Roześmiał się. – Wiecie, że jestem lekarzem... Od trzech lat pracuję w szpitalu St. Thomas. Mieszkam w Battersea... mam małe mieszkanie na skraju parku. Żadnych zwierzątek, niestety, brak czasu, chociaż kiedyś chciałbym mieć psa. W weekendy lubię grać w rugby, jeśli nadarzy się okazja... – Skromnie rozłożył ręce, dochodząc do końca listy.

– A rodzina? – zapytała Lisa.

Amy już miała zgromić przyjaciółkę – przecież to nie przesłuchanie – ale zdała sobie sprawę, że nie zna odpowiedzi i chce ją poznać.

– Oboje rodzice zmarli – odparł Jack.

– Wyrazy współczucia – powiedziała Martha. – To się stało niedawno?

– Nie, kilka lat temu.

– Masz rodzeństwo? – zapytała Jenna. – Och, zaraz. Przecież Amy nam mówiła. Masz siostrę.

– Owszem. Clare. Jest trzy lata młodsza ode mnie.

– No tak, chociaż myślałam, że jest starsza. – Jenna spojrzała na Amy. – Czy nie tak mówiłaś?

– A mówiłam? – Amy nie miała pojęcia.

– Clara czasami lubi uważać się za starszą siostrę – powiedział Jack. Podniósł butelkę wina. – Komu dolać?

Po kolacji, gdy grali w karty, Amy ukradkiem spoglądała na swojego chłopaka. Z ulgą stwierdziła, że jej się podoba. Był miły w obejściu i z przyjemnością patrzyła, jak stara się zintegrować z grupą. Tasował i rozdawał karty, przekomarztał się z Marthą, kiedy miał lepsze rozdanie niż ona, rozśmieszał ją. Lisa też się z nim dogadywała. Od czasu do czasu Amy przyłapywała Jennę, jak obserwuje Jacka i ją, a wtedy przyjaciółka szybko odwracała spojrzenie, unikając jej wzroku.

Amy wstała, żeby dołożyć polano do ognia, i Jack uśmiechnął się do niej. Nagle przestało mieć dla niej znaczenie, że nie pamięta ich wcześniejszych randek; Jack znał ją, nawet jeśli ona jego nie – jeszcze nie – i przebywanie w jego towarzystwie sprawiało jej radość.

Zakończyli partię; Jenna wygrała po raz trzeci z rzędu. Lisa wstała i ziewnęła, wyciągając ręce ku sufitowi.

– No dobrze, pora spać – rzuciła. – Jestem wykończona.

Amy wstrzymała oddech. Gdzie będzie spać Jack?

Lisa patrzyła na nią; najwyraźniej przyszła jej do głowy ta sama myśl.

– Hm... – zaczął Jack. – Wystarczy mi kanapa. To znaczy, nie spodziewam się...

– Jest wolny pokój – powiedziała Amy.

I rzeczywiście był, niewielki, ale nadający się do użytku. Po drugiej stronie korytarza od tego, w którym spała ona.

– Świetnie!

– Pokażę ci.

Pierwsza ruszyła na górę. Jack szedł za nią ze swoją torbą, którą przyniósł z górskiej ścieżki po tym, jak pomógł Jennie wrócić do domu.

Amy otworzyła drzwi pokoju. Łóżko było nieposłane, ale zajrzała do szafy i znalazła pościel. Gdy podeszła do łóżka, Jack wziął ją od niej.

– Sam to zrobię.

Stali przez chwilę, nie wiedząc, jak się pożegnać.

– Dzięki, że nie wyrzuciłaś mnie na śnieg – powiedział, a ona się roześmiała. – Do zobaczenia rano – dodał.

Poczuła się lekko zawiedziona, ale zaraz potem delikatnie pocałował ją w policzek.

– Do zobaczenia – odparła i zamknęła za sobą drzwi.

Leżąc już w łóżku, przeciągnęła się, wciąż oszołomiona wydarzeniami wieczoru. Wyglądało na to, że ma chłopaka. Nie, nie wyglądało. Naprawdę ma chłopaka. I to całkiem niezłego. Pozwoliła, by na jej twarzy pojawił się nieznaczny uśmiech. Stało się coś, co było dla niej nowością: przepęłniał ją optymizm. Od bardzo dawna nie doświadczała tego uczucia i uznała, że jest cudowne.

JEDENAŚCIE

26 lutego

– Amy powinna lecieć pierwsza – powiedziała Lisa. – W końcu to jej wycieczka urodzinowa.

Wszyscy skierowali oczy na Amy: Lisa, Jack, matka i instruktor paralotniarstwa, Christophe. Amy czuła podekscytowanie, gdy Christophe przypiął ją do swojej uprzęży, do lotu w tandemie.

– Jesteś gotowy?! – zawołała do niego.

– Chwileczkę, to ja powinienem cię o to zapytać.

Amy z szerokim uśmiechem ustawiła narty równolegle do jego nart i ruszyli. Jechali w dół stoku Solaise, nabierając prędkości, aż napełnione powietrzem skrzydło oderwało ich od ziemi. Gdy krawędź góry opadła, komin termiczny gwałtownie ich uniósł, a jej żołądek fiknął koziołka. Spojrzała w dół i zobaczyła, że wszyscy wyciągają szyje; ich twarze stawały się coraz mniejsze. Widziała, jak Lisa szykuje się do startu z drugim instruktorem. Zadarła głowę. Niebo było kopułą najwspanialszego błękitu i miała wrażenie, że może go dotknąć. Szybowała nad ośnieżonymi górami, przy akompaniamencie szumu wiatru i cichego poświetywania linek.

– Wszystko w porządku? – zapytał Christophe.

Amy podniosła kciuki. Widziała kilometry rozległych, nieskazitelnie białych zboczy, które opadały ku wiosce Val d'Isère z maleńkimi domkami w dolinie. Widok był tak piękny, a światło tak krystalicznie czyste, że pomyślała, że zadzwęczy, jeśli postuka w nie niebiański palec. Prąd powietrza przechylił ich i zanurko-

wali jak ptak. Christophe umiejętnie sterował skrzydłem, gdy sunęli nad białym pejzażem.

Nagle coś naprawdę zaparło jej dech w piersi. Pojawił się drapieżny ptak, wciąż daleko, ale widziała jego złote upierzenie i bursztynowe oko, gdy unosił się w kominie termicznym, wypatrując zdobyczy.

– To orzeł przedni – powiedział jej Christophe do ucha – symbol inteligencji, odwagi, siły i nieśmiertelności. Potrafi wypatrzeć ofiarę z odległości trzech kilometrów.

To było ekscytujące. Amy szybowiała równolegle do orła, mając wrażenie, że lecą razem.

– Są gatunkiem zagrożonym – mówił dalej Christophe – jak wiele ptaków w tych górach. Kłusownicy – dodał ze smutkiem.

Amy obserwowała, jak ptak krąży przed nimi, stopniowo się zbliżając. Był wspaniały. Rozpiętość jego skrzydeł musiała wynosić ze dwa metry i szybowiał bez wysiłku, zjednoczony z powietrzem. Kilka sekund później skręcił i odleciał, stając się punkcikiem w oddali.

– Trzymaj się mocno – powiedział Christophe i zobaczyła, że zmniejszają wysokość.

Przypomniał jej o nartach. Amy wyprostowała je i zanim zdążyła się zorientować, miękko wylądowała na śniegu. Po chwili oboje się zatrzymali.

– Podobało ci się? – spytał Christophe.

– To było niesamowite – wysapała, wciąż oszołomiona, wiedząc, że żadne słowa nie oddadzą tego, co właśnie przeżyła.

– Wybrałaś właściwy poranek. Później spadnie śnieg.

Zobaczyła, że Lisa właśnie wylądowała niedaleko od niej. Obaj instruktorzy pojechali kolejką linową z powrotem na górę, by poszybować z Jackiem i Marthą.

– Szkoda, że Jenna odpadła – powiedziała Lisa, z oczami wciąż błyszczącymi od emocji.

– Tak. Czuję się winna, że ją zostawiłyśmy.

– Nalegała. Nie chciała, żebyśmy odwołały loty, bo zwichnęła nogę. I przez kilka godzin ma luksusowy dom wyłącznie dla siebie.

Amy skinęła głową.

– Była czymś zaabsorbowana, odkąd wyjechałyśmy z Londynu, nie sądzisz? – zapytała, starannie dobierając słowa.

– W jakim sensie?

– Nie wiem. Po prostu wydawała mi się trochę nieobecna w pociągu i parę razy tutaj, w domu.

– Nie zauważyłam. Myślisz, że ma jakiś problem?

Amy szybko porzuciła temat.

– Nie, pewnie źle to interpretuję. Wiesz, że Jack wypożyczył kamerę, żeby nagrać lot i pokazać Jennie?

Lisa spojrzała na nią.

– Słodkie. Lubię go, Amy, naprawdę. I wszystkie te rzeczy dziś rano...

– Jakie rzeczy?

– Wstał i posprzątał kuchnię po wczorajszym wieczorze. Zmył naczynia – zanaczyła. – Sam z siebie!

– Czy to coś wyjątkowego? – rzuciła Amy z cierpką nutą w głosie.

Lisa poklepała ją po ramieniu.

– Och, moja droga dziewczyno. Nie masz pojęcia. Chodzi nie tyle o to, że facetom się czegoś nie chce, bo czasami się nie chce, ile o to, że nawet tego nie widzą. Uwierz kobiecie, która od sześciu długich lat mieszka z mężem.

Amy zrobiła współczującą minę. Czasami opowieści przyjaciółek o codziennym funkcjonowaniu ich związków brzmiały dla niej zupełnie obco. Nie potrafiła sobie wyobrazić tych zwykłych, monottonnych spraw. Nigdy nie mieszkała z mężczyzną, więc nie wiedziała, jak to jest. Aż do tej podróży nie była z facetem nawet na wakacjach. A im więcej lat mijało bez żadnej z tych rzeczy, tym bardziej czuła się oderwana od swoich przyjaciółek i reszty „normalnych” ludzi. Niekiedy miała wrażenie, że różni się od nich tak bardzo, że nigdy nie znajdą wspólnego języka.

– A później – ciągnęła Lisa, przejęta – zrobił nam wszystkim śniadanie! – Uniosła wzrok. – Oto i on, Superman we własnej osobie – dodała z podziwem w głosie.

Amy z uśmiechem obserwowała lądowanie swojego Supermana, a zaraz po nim matki. Ale gdy obudziła się tego ranka, przyszła jej do głowy pewna myśl dotycząca Jacka, która nie miała sensownego wyjaśnienia. Coś, czego nie mogła zrozumieć, sprawiało, że czuła się niekomfortowo. Chciała z nim o tym porozmawiać, chociaż nie bardzo wiedziała, jak to wyrazić.

– To z pewnością najbardziej przerażająca rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam – oświadczyła Martha, gdy podjechała do nich na nartach.

Amy pomyślała, że matka jest pełna życia: jej skóra promieniała, oczy błyszcząły.

– Ale podobało ci się, mammo?

– Latałam! Naprawdę latałam.

Kamień spadł jej z serca. Poczowała ulgę, że może jednak ten wyjazd nie jest dla Marthy całkowicie stracony.

Radosny nastrój nie opuścił ich w domu. Spędzali czas na zewnątrz, w basenie infinity, gdzie woda podgrzana do czterdziestu stopni wyrzucała kłęby pary w powietrze, którego temperatura wynosiła minus dziewięć stopni.

Amy podpłynęła do krawędzi i spojrzała na dolinę, na góry wznoszące się po obu jej stronach. Miała przed sobą rozległe białe pustkowia. Śnieg pokrywał zbocza, szare i nagie tylko na stromiznach. W oddali anonimowe wrogie szczyty pięły się ku błękitnemu niebu.

– To niesamowite! – zawołała Lisa z drugiej strony basenu. – Jesteśmy wciśnięci między dwa masywy gór. Hej, nie ma tu lawin, prawda? Nie bawi mnie wijsza, że tkwię w tym basenie, podczas gdy tony śniegu z hukiem pędzą w moją stronę.

Amy uśmiechnęła się.

– Było kilka, ale nic tak dramatycznego, jak opisujesz. Tak czy inaczej, ta pogoda nie sprzyja lawinom.

– Nie? A jaka jest pogoda lawinowa?

– Z dużymi zmianami. Odwilż po mrozie.

– W takim razie lepiej, żeby było zimno. Zimno i pięknie, gdy jestem w tej rozkosznie ciepłej wodzie.

– Twoja ciotka ma bardzo dobry gust, jeśli chodzi o alpejskie chaty – zauważył Jack, podpływając.

Podciągnął się do krawędzi basenu i Amy zwróciła uwagę na jego szerokie, umięśnione ramiona. Mimo woli wlepiła w nie oczy, nieprzywykła do bliskości nagiej męskiej skóry. Boże, ależ on atrakcyjny. Spostrzegł, że na niego patrzy, a ona uśmiechnęła się z zakłopotaniem, podejrzewając, że rumieni się jak nieśmiała uczennica. On jest twoim chłopakiem, zganiła się w duchu, i widziałaś to wszystko już wcześniej, nawet jeśli nie pamiętasz.

– Powtórzę jej to, kiedy się z nią zobaczę – powiedziała.

– Tak?

– Zatrzymała się na tydzień u swojego partnera. – Amy wskazała przez dolinę na daleki dom Gabriela. – Na czas naszego pobytu. Mam zamiar ją odwiedzić, może jutro albo pojutrze.

– Chciałbym ją poznać – oznajmił Jack. – Jeśli to wypada. Zabierzesz mnie ze sobą?

Zaskoczyła ją ta prośba, ale pomyślała: czemu nie?

– Jasne.

– Dzięki. Co jeszcze planujesz?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– To znaczy?

– Nie wiem. Odwiedzisz kogoś poza nią, przyjaciół albo krewnych?

– Znam tu tylko ciotkę Esme i Gabriela, nikogo innego. – Westchnęła. – Przynajmniej tak mi się wydaje. Nie mam pojęcia, co wydarzyło się w ciągu ostatnich

sześciu miesięcy mojego życia.

– Nadal żadnego sygnału, że pamięć ci wraca?

Amy z przygnębieniem pokręciła głową. Spojrzała na krawędź basenu, gdzie Jack trzymał rękę, i spostrzegła coś, co zauważyła już wczoraj podczas kolacji.

– Co się stało z twoim palcem?

Jack uniósł dłoń, pokazując palec serdeczny z brakującym czubkiem.

– Z tym? Odmrożenie. Dawno temu, zanim zacząłem studia medyczne, zrobiłem sobie kilka miesięcy wolnego, by zarobić w sezonie narciarskim jako sprzętacz w Klosters. W górach wpadłem w tarapaty.

– To znaczy?

– Jeden z moich kolegów zaginął. Jego dziewczyna przybiegła po mnie, cała rozhisteryzowana, więc poszedłem go szukać. Szukałem godzinami i głupio zgubiłem rękawiczkę w ciemności. Ratownicy zabrali z góry mnie, nie jego.

– I... co się z nim stało?

Oczy Jacka na chwilę pociemniały.

– Z nim? Przez cały czas siedział w barze. Był przy drugiej butelce szampana, gdy zabierano mnie do szpitala. Okazało się, że zaszło nieporozumienie. Zapomniał powiedzieć swojej dziewczynie, że umówił się na spotkanie ze starymi kumplami ze szkoły.

– Mój Boże. Mam nadzieję, że był ci wdzięczny.

– Nigdy więcej go nie widziałem. Wyjechał następnego dnia.

– Cholera. Bez podziękowania?

– Bez. – Jack wzruszył ramionami. – Ale z drugiej strony miałem szczęście, że skończyło się na małym odmrożeniu.

Ponownie spojrzała na jego palec i stwierdziła, że z bliska wygląda trochę niepokojąco.

Roześmiał się.

– Jest odpychający? Wcześniej ci to nie przeszkadzało.

– Nie, nie – zaprzeczyła szybko, po czym dodała żartobliwym tonem: – No dobrze, jestem trochę przewrażliwiona. Ale twój palec jest... śliczny.

– Nie nazwałbym go tak, chociaż ma swoje zalety. – Pokiwał nim. – Poznaj Dymka. Odwraca uwagę dzieci w szpitalu. Nie masz pojęcia, ile łez powstrzymuje, kiedy go unoszę.

– Dymek?

– Od zasłony dymnej. – Zobaczył jej minę i unióśł ręce w obronnym geście. – Byłem wtedy pod presją. Narysowałem na nim buźkę i pewna dziewczynka zapytała, jak ma na imię. Nic innego nie przyszło mi na myśl.

Amy uśmiechnęła się.

– Posłuchaj, nie martw się utratą pamięci. Minęło dopiero kilka dni. A co z twoim telefonem? Znalazłaś coś, co ci pomogło?

– Przejrzałam wszystko. Mnóstwo wiadomości od przyjaciół, codzienne sprawy albo umawianie się na drinka czy kolację, tyle że nie pamiętam barów ani restauracji. Robocza wymiana maili z klientami, ale nie przypominam sobie spotkań. – Po chwili dodała: – I oczywiście kilka wiadomości od ciebie.

– Napisałem coś, co byłoby chociaż trochę przydatne w odzyskaniu przez ciebie pamięci?

– Niestety, nie. W sumie nie ma zbyt wielu tych wiadomości.

– Głównie rozmawialiśmy przez telefon.

– Historia połączeń też nie jest zbyt bogata.

Westchnął smutno.

– Życie lekarza, szkoda gadać. Straciłem rachubę dodatkowych godzin po zakończeniu dyżuru. – Umilkł, lekko podenerwowany. – Czy to dla ciebie problem? Że spotykasz się z kimś, kto jest na zawołanie publicznej służby zdrowia?

Amy dostrzegła lęk w jego oczach.

– Absolutnie nie – zapewniła go.

Posłał jej wdzięczny uśmiech, który wyrażał również ulgę, a w jego wzroku pojawił się szacunek.

– Dziękuję – powiedział. – To wiele dla mnie znaczy. I wiesz, że zawsze stawiam cię na pierwszym miejscu. Po prostu czasami moje życie nie należy do mnie.

Już miała zapytać go o to, co nie dawało jej spokoju od samego rana, ale rozproszyły ją spadające z nieba miękkie białe płatki. Spojrzała w górę i zobaczyła, że nadciągające ze wschodu chmury pochłaniają błękitne niebo.

– O rany, pada śnieg! – zawołała Martha.

Nagle basen wydał się mało przyjemnym miejscem. Zerwał się wiatr, ściągając na ich twarze coraz większe płatki. Amy zerknęła na taras, gdzie zostawiła ręcznik. Nie było go tam.

– Czy ktoś widział mój ręcznik? – zapytała zdziwiona.

Inni już wychodzili, owijając się miękką puszystą bawełną.

– Gdzie go zostawiłaś? – spytał Jack.

– Tam. – Wskazała palcem. – Na tym krześle.

Krzesło było puste.

– Jesteś pewna? – odezwała się Lisa.

– Tak. – Nie miała wątpliwości. Pamiętała, że tam go położyła. – Czy ktoś z was nie wziął go przez pomyłkę?

Wyglądało na to, że nikt nie miał jej ręcznika, a przy basenie nie było zapasowych.

– Przyniosę ci – powiedział Jack, wchodząc już do środka. Wrócił minutę później, uśmiechnięty, z dużym białym ręcznikiem w dłoniach. – Zostawiłaś go na kanapie.

Nie zrobiła tego, z całą pewnością. Doskonale pamiętała, jak kładła go na krześle. Zadrżała z zimna; nie pora się o to martwić. Wyszła z basenu i pobiegła do domu, żeby się osuszyć i przebrać. Gdy wszyscy zgromadzili się w kuchni na lunch, sceneria na zewnątrz zmieniła się nie do poznania. Śnieg padał gęsto i intensywnie, niebo było szare jak beton. Ich wzrok sięgał nie dalej niż kilka metrów, zawieja przysłoniła góry.

Jedząc lunch, od czasu do czasu spoglądali w okno, zdumieni taką śnieżycą. W pewnej chwili Lisa odebrała telefon i nikogo nie zaskoczyło, gdy po zakończeniu rozmowy poinformowała:

– Lotnisko zostało zamknięte. Żaden samolot nie może wylądować. Co więcej, nawet nie wylecieli z Gatwick.

– Co za pech! – wykrzyknęła Martha. Zwróciła się do Jenny: – Przypuszczam, że to dotyczy też Lewisa?

– Prawdopodobnie.

– Nie miałaś od niego wiadomości?

Jenna zawahała się.

– Właściwie zadzwonił do mnie dziś rano. Kiedy was nie było. Przyleciał klient ze Stanów. Będzie w Londynie tylko dwa dni i Lewis musi z nim zostać. Więc i tak nie mógłby przyjechać.

– Och. Jaka szkoda – powiedziała Martha.

Amy zmarszczyła brwi. Wyjaśnienie Jenny brzmiało trochę dziwnie, jak wymyślone na poczekaniu.

– To ważny klient – dodała Jenna, wyczuwając ich zdziwienie. – Wielki miłośnik galerii.

– Trzymajmy kciuki, żeby do jutra śnieg ustał – rzuciła Martha.

Po lunchu grali w planszówki, skuleni przy kominku, przed płonącymi polanami. Amy siedziała obok Jacka i czuła ciepło jego ciała. Było to nowe wrażenie, nieznane, ale przyjemne.

Zobaczyła, że w dzbanku nie ma już kawy, i poszła do kuchni zaparzyć kolejną porcję. Gdy nalewała wody do ekspresu, usłyszała, że ktoś wchodzi za nią.

– Pomóc ci? – spytał Jack.

Podawała mu mleko, a on wlał trochę do rondla, do podgrzania.

– Jack...?

– Tak?

Nadarzyła się okazja, by zapytać go o to, co ją dręczyło.

– Kiedy byłam w szpitalu, wysłałam ci SMS-a. Żeby cię powiadomić, co się stało. Nie odpowiedziałeś. Ani nie przyszedłeś mnie odwiedzić. Zastanawiałam się dlaczego.

– Odwiedziłem cię.

To ją zaskoczyło.

– Byłeś u mnie?

– Tak. Późnym popołudniem w sobotę. Po twoim SMS-ie. Popędziłem tam, gdy tylko mogłem wyrwać się z pracy. Spóźniłem się, pora odwiedzin minęła. Jedna z tamtejszych pielęgniarek, siostra... – zastanawiał się przez chwilę – chyba Morgan, rude włosy, piegi... cóż, nie wpuściła mnie. Powiedziała, żebym przyszedł nazajutrz.

– Ale nie przyszedłeś?

Zrobił skruszoną minę.

– Przykro mi. Dostałem wiadomość na pager od lekarza rezydenta w szpitalu. Jeden z moich pacjentów, pięcioletni chłopiec, miał groźną infekcję. Poważnie się rozchorował i potrzebowali pomocy. Przez kilka następných dni byłem bez przerwy zajęty. Przepraszam, że cię zawiodłem.

Amy skinęła głową, ale nadal czuła się lekko rozżalona; pamiętała, jak żyła w przekonaniu, że Jack ją rzucił.

– Nie mogłeś zadzwonić?

Jack zawahał się.

– Mały chłopiec. To była sepsa. Zmarł.

Amy uniosła rękę do twarzy. Dodała dwa do dwóch i wyszło jej pięć, podczas gdy Jack przez cały czas opiekował się jakimś biednym chorym dzieckiem. Nie chciała o tym myśleć. Ogarnął ją głęboki, palący wstyd.

– Hej – rzucił cicho Jack, podchodząc, żeby ją pocieszyć. – Miałaś o tym nie wiedzieć. Powinienem do ciebie zadzwonić, wysłać SMS-a, cokolwiek. Naprawdę żałuję, że tego nie zrobiłem. – Uśmiechnął się do niej. – Jesteś pewna, że warto umawiać się z kimś, kto jest niewolnikiem swojego zawodu?

– Czyżbyś mógł być inny?

Położył dłoń na jej ramieniu.

– Dzięki Bogu za ciebie. Odkąd zaczęliśmy się spotykać, jesteś... sam nie wiem, moją opoką. Dzięki tobie wszystko wokół jest lepsze, a kopniaki od życia są bardziej znośne. Jestem szczęśliwy, że cię poznałem, Amy Kennedy. – Pochylił się, bardzo powoli, ostrożnie, a gdy się nie cofnęła, delikatnie musnął wargami jej usta.

To było miłe. Bardziej niż miłe – znacznie bardziej. Po chwili Amy się odsunęła.

– Chyba już się za nami stęskniły – powiedziała z uśmiechem.

Nie to miała na myśli, niezupełnie, ale Jack w lot pojął, o co jej chodzi.

– Zbyt wcześnie... w porządku. Całkowicie to rozumiem. – Wziął dzbanek z mlekiem.

– Zaraz do was dołączę – rzuciła Amy. – Kawa jeszcze się parzy.

Kiedy wyszedł z kuchni, zdała sobie sprawę, że od lat nie czuła się szczęśliwsza. Wreszcie los się do niej uśmiechnął. Przez tyle czasu żyła w przekonaniu, że już nigdy nikogo nie pozna. Warto było czekać.

DWANAŚCIE

26 lutego

Śnieg padał przez całe popołudnie. Patrzyli przez wielkie okna na cichy atak białych płatków. Milionowa armia przeprowadzała desant spadochronowy, zabójczo piękna w swoim wdzięcznym locie, i lądowała – jeden płatek na drugim – coraz wyżej, aż zostali otoczeni ze wszystkich stron, bez możliwości ucieczki, a biały wróg napierał na szyby niemal tak, jakby chciał wedrzeć się do środka. Zbliżali się do końca gry w monopol; Jenna odpadła pierwsza i siedziała w fotelu przy oknie, wpatrując się w śnieżycę. Martha i Lisa również zbankrutowały i grały w karty po drugiej stronie pokoju.

– Myślę, że dopisało mi szczęście – odezwał się Jack, rzucając kostką.

– Właśnie wylądowałaś na „idziesz do więzienia” – powiedziała Amy.

– Chodzi mi o pogodę. Dzień później, a też nie zdołałbym tu dotrzeć.

Amy nagle o czymś pomyślała.

– Kiedy wracasz? To znaczy... kiedy musisz być w pracy?

– Właściwie mam wolny cały tydzień – odparł Jack.

– Cały tydzień? – Amy szeroko otworzyła oczy, w duchu ciesząc się z wieści.

– Pozwiedzamy okolicę. Groziłaś, że zabierzesz mnie na wspinaczkę lodową.

– Uśmiechnął się na widok jej skonsternowanej miny. – Nie pamiętasz.

Pokręciła głową. Dziwnie się czuła, nie wiedząc, co mówiła, co zaszło między nimi.

Jack postawił pionek na polu więzienia.

– Poszliśmy na drinka. Do pubu blisko twojego mieszkania, nazywa się chyba George and Dragon. Zaprosiłaś mnie do Val d’Isère i od razu się zgodziłem. Powiedziałaś, że moglibyśmy spróbować różnych rozrywek, na przykład wspinaczki lodowej, podczas której z czekanem w rękach usiłujesz wspiąć się na dwustumetrowy zamarznięty wodospad.

– To było miłe z mojej strony.

– Hm. Kwestia dyskusyjna.

Zaśmiała się.

– Co jeszcze?

– To znaczy?

– Opowiedz mi o innych rzeczach. O naszej wycieczce.

– O wycieczce?

– Do Lake District. Pojechaliśmy tam na Boże Narodzenie, prawda?

– Było fantastycznie – powiedział Jack.

– Co robiliśmy?

– Chodziliśmy bez końca. Wieś to zupełnie inny świat.

Amy spojrzała na Marthę.

– Jak udało mi się wykręcić od Bożego Narodzenia z mamą? – zapytała ścisłym głosem.

– Okazała duże zrozumienie.

– Naprawdę?

– Dziwi cię to?

– Zawsze nalegała, żebyśmy spędzały święta razem. Od śmierci taty.

Jack wzruszył ramionami.

– Najwyraźniej zadziałała twoja magia.

Albo twoja, pomyślała Amy. A przynajmniej wyobrażenie o tobie. Może spuściła mnie ze smyczy, bo w końcu znalazłam sobie chłopaka...

– Przy okazji, dzięki za kwiaty.

– Chodzi ci o walentynki? Już mi podziękowałaś.

– Ale nie pamiętam. Więc chciałam to powtórzyć.

Jack błysnął szerokim uśmiechem.

– Super. Dostaję podwójne wyrazy uznania.

– Koniec gry?! – zawołała Martha.

– Amy oskubała mnie z ostatnich funtów – oznajmił Jack. Wyrzucił dwie trójki i wylądował na Bow Street z hotelem. Chwycił jej rękę i podniósł wysoko. – Jest oficjalną zwyciężczynią.

Amy zobaczyła wyraz aprobaty na twarzy matki.

– Miło widzieć, że dla odmiany jesteś szczęśliwa, Amy – powiedziała Martha.

– Pasujecie do siebie.

– Oczywiście, przecież są parą – wtrąciła Lisa.

– Wiem, ale... wydają się stworzeni dla siebie. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Mamo, czy musimy? – odezwała się Amy, rzucając Jackowi przeprasające spojrzenie.

– To cudowne – dodała Martha, jakby nie słyszała jej słów. – Nie sądzisz, Jenno?

Jenna oderwała spojrzenie od okna.

– Rzeczywiście, cudowne – przyznała, ale Amy wyczuła w jej głosie szorstką nutę.

– Moja córka od wieków czekała na kogoś takiego jak ty, Jack – podjęła Martha. – Całe lata. Już zaczęłam tracić nadzieję.

– Mamo! – krzyknęła Amy.

Jack uspokajająco położył dłoń na jej ramieniu.

– Nie tylko ona. Ja też czasami czułem, że nigdy nie poznam idealnej dziewczyny.

– Ojej – mruknęła Lisa, błyskając uśmiechem. – Słyszałyście? Idealna dziewczyna.

– Mówię tak, jak jest.

– Kiedy się przekonałeś? – spytała Lisa.

– O czym?

– Że jest idealną dziewczyną?

Jack odwrócił się i spojrzał na Amy.

– Na drugiej randce.

– Nie na pierwszej? – Lisa wyraźnie się z nim droczyła.

– Najpierw byłem zbyt zajęty myśleniem o tym, jakie mam szczęście, i pilnowaniem się, żeby nie zrobić czegoś głupiego albo żenującego.

– Mów dalej, śmiało – zachęciła go Lisa.

– Wybraliśmy się na łyżwy.

– Wiem.

– Wiesz?

– Amy wrzuciła zdjęcie na Facebooka.

Amy przepaszająco uniosła rękę.

– Wybacz, sama nie wiem dlaczego. To zupełnie do mnie niepodobne.

– Byłaś podekscytowana – powiedziała Lisa.

Amy zobaczyła, że Jack aż promienieje, co przepełniło jej serce nieoczekiwanym szczęściem.

– Hm... – mruknął Jack. – Jest całkiem niezła na łyżwach, jak możecie się domyślać.

– Nie poszły na marne te wszystkie lekcje, za które płaciliśmy z jej ojcem, kiedy była mała – stwierdziła z dumą Martha.

– Podczas gdy ja wywinąłem orła po pięciu minutach od wejścia na lodowisko. A potem nie mogłem wstać. Za każdym razem, kiedy próbowałem, nogi mi uciekały. Amy śmiała się do rozpuku.

– Urocze – powiedziała Martha.

– Jeździła wokół mnie i śmiała się jak szalona. W pewnym momencie zahamowała, zasypując mnie wiórkami lodu. Wyciągnęła rękę i popatrzyła na mnie...

– uśmiechnął się łagodnie – tak psotnie i ciepło. Wtedy wiedziałem już na pewno. Wtedy się w niej zakochałem.

W pokoju zapadła cisza. Martha i Lisa milczały, zadumane nad romantyzmem tej sceny. Amy odwzajemniła czułe spojrzenie Jacka i serce zatrzepotało jej w piersi. Wyglądało to na ważny moment w ich związku, wspomnienie składające się na to, kim byli jako para, a jednak, ku swojemu ogromnemu żalowi, nie mogła sobie tego przypomnieć.

Jenna nagle wstała.

– Mam dość siedzenia w czterech ścianach. Wychodzę.

– W taką pogodę? – Martha wyglądała na przerażoną.

– Nie pójdę daleko. Tylko wokół domu.

– Ale twoja kostka!

– Dam radę włożyć śniegowce. I wezmę kijki narciarskie. Będę szła wolno.

– Naprawdę uważam, że nie jest to dobry pomysł... – zaczęła Martha, spoglądając po kolei na wszystkich w poszukiwaniu wsparcia, ale Jenna już wyszła z pokoju.

Amy patrzyła za nią z niepokojem, wyczuwając, że coś jest nie w porządku. Podniosła się, żeby pójść za przyjaciółką.

Weszła do holu akurat w chwili, gdy Jenna otworzyła drzwi frontowe, wpuszczając lodowaty podmuch. Odwróciła się i spojrzała na nią z czystą wrogością. Amy zatrzymała się w pół kroku. Jenna zamknęła za sobą drzwi, które zatrasnęły się z hukiem na wietrze, i Amy nagle zobaczyła pewną scenę tak wyraźnie, że stała jak rażona gromem.

Drzwi górskiego domu zniknęły. Teraz miała przed oczami drzwi domu w Richmond. Znała ten dom, bywała w nim wiele razy. Za drzwiami, które zatrasnęły się tuż przed nią, mieszkała Jenna.

TRZYNAŚCIE

2 stycznia

Harry wbił ręce głęboko w kieszenie. Mroźne powietrze aż parzyło skórę. Obserwował, jak mija go kolejny ciepły, nagrany autobus z zapalonymi światłami – już zapadał popołudniowy zmierzch – i gniewnym okiem łypał na pasażerów, osłoniętych przed ostrym wiatrem. Jeszcze nie tak dawno wszędzie jeździł czarną taksówką – prawdziwy luksus – ale szczęście odwróciło się od niego i teraz zazdrościł ludziom, którzy korzystali z transportu publicznego.

Naciągnął wełnianą czapkę głębiej na uszy. Długie do ramion włosy związał w kucyk, uznając, że tak będzie stosowniej na tę okazję, i teraz miał wrażenie, że wiatr jak brzytwa odcina mu koniuszki uszu. Marzył w krótkiej cienkiej bomberce włożonej na sam T-shirt. Wiedział, że ma dobrze wyrzeźbione ciało dzięki wioślarszowi do ćwiczeń, bo choć stracił prawie cały dobytek, tego sprzętu sędzia nie zdołał mu odebrać. Uniósł głowę i zobaczył przed sobą światła winiarni Maxa – ani minuty za wcześnie. Marsz z wynajmowanego mieszkania po niewłaściwej stronie stacji Haydon's Road do zamożnego Putney zajął mu prawie godzinę i teraz jego stopy przypominały bryły lodu.

Pchnął drzwi do ekskluzywnego lokalu, pełnego lśniącego drewna. Jego buty stuknęły po podłodze, gdy szedł w stronę baru. Za ladą stał mężczyzna mniej więcej w jego wieku, zajęty czyszczeniem szklanek i ustawianiem ich na subtelnie oświetlonych półkach. Górne światła padały na jego piaskowe włosy i zimową opaleniznę. Miał na sobie białą koszulę z podwiniętymi rękawami i – ku rozbawieniu Harry'ego – żółtą muszkę w kwiatki. Mężczyzna podniósł na niego wzrok.

- Harry Clarke? – zapytał, a Harry uśmiechnął się i wyciągnął rękę.
- Miło cię poznać.
- Spóźniłeś się – zauważył mężczyzna.

Harry w pierwszym odruchu chciał mu powiedzieć, że może go pocałować w cztery litery, po czym odwrócić się i wyjść, ale nie mógł tego zrobić. Potrzebował pracy.

– Przepraszam – mruknął. – Autobus się zepsuł. Część drogi musiałem przejść pieszo.

– No dobrze. Jestem Max. Usiądziesz? – Max wskazał jeden z dużych drewnianych stołów i Harry usiadł przy nim z przykrą myślą, że jego przyszłość spoczywa w rękach tego gogusia.

Max zajął miejsce naprzeciwko, krzyżując nogi – był w chinosach i miał designerskie beżowe skórzane półbuty. Harry potrafił rozpoznać drogie obuwie. Max trzymał jakąś kartkę. Harry zdał sobie sprawę, że to jego CV, które wysłał kilka dni wcześniej.

– Zaczniemy od twojej ostatniej pracy – powiedział Max. – Byłeś kierownikiem sprzedaży w sklepie Dolce and Gabbana?

- Tak, na New Bond Street.
- Jak długo?
- Rok.
- Dlaczego odszedłeś?

– Zostałem zwolniony. Kryzys w handlu detalicznym – wyjaśnił Harry. Oczywiście prawda wyglądała inaczej. Ale gdyby ją zdradził, oczy Maxa stałyby się twarde i bezlitosne, a rozmowa szybko, w sposób uprzejmy, lecz chłodny, by się zakończyła. Ze smutkiem wzruszył ramionami. – To problem globalny.

Max skinął głową i Harry zrozumiał, że z własnego doświadczenia zna trudności ekonomiczne. To ułatwi sprawę. Kiedy wymyślał ten powód zakończenia pracy w sklepie z markową odzieżą, wiedział, że będzie mógł liczyć na pewną dozę empatii.

– I odszedłeś stamtąd na początku października? Dlaczego tak długo zwlekałeś z szukaniem czegoś innego?

– Moja matka się rozchorowała. Zrobiłem sobie kilka miesięcy wolnego, żeby się nią opiekować.

Zgodnie z jego przewidywaniami Max zawahał się, wyraźnie zaskoczony.

– Ma się lepiej? – zapytał w końcu, trochę szorstko.

Od ośmiu lat pod ziemią, pomyślał Harry.

– Znacznie lepiej – odparł z uśmiechem. – Dzięki.

– A co robiłeś przed Dolce and Gabbana?

– Pracowałem w handlu detalicznym i w barze. Lubię kontakt z ludźmi, z klientami. Lubię zapewniać im pozytywne doświadczenia i dobrą zabawę.

Max kiwnął głową i Harry był pewien, że jego odpowiedź została dobrze przyjęta.

– Znasz się na winach?

Spojrzał na półki za barem, gdzie stały szeregi butelek z ciemnym, połyskliwie rubinowym płynem, opatrzone gustownymi i zachęcającymi etykietami. Odszukał wzrokiem tę, którą widział rano na stronie internetowej.

– Masz dobre chilijskie pinot noir. Z doliny Limari. Bardzo eleganckie. Nuty żurawiny i czereśni.

Jego słowa zrobiły na Maxie wrażenie.

– Odrobiłeś pracę domową. – Jeszcze raz spojrzał na CV. – Ile masz lat, dwadzieścia osiem?

– Zgadza się.

– Odpowiada ci praca w nocy?

– Owszem. Zawsze był ze mnie bardziej nocny marek niż ranny ptaszek.

– W porządku. Stawka wynosi dziewięć dwadzieścia za godzinę. Napiwki są dzielone równo między personel pod koniec wieczoru.

Pensja ledwie przekraczała minimalną, ale Harry raczej nie mógł wybrzydzać.

– Kiedy możesz zacząć?

Harry rozłożył ręce.

– W każdej chwili.

– Świetnie. Jeśli otrzymam zadowolające referencje, dam cię na zmianę w przyszły czwartek. Na próbę. Od osiemnastej do północy.

Harry uśmiechnął się.

– Wielkie dzięki. – Uściśnął wyciągniętą dłoń swojego nowego szefa.

Referencje będą w porządku, ponieważ adres mailowy jego ostatniego pracodawcy był fałszywy i Harry sam je napisze.

– Do zobaczenia w przyszłym tygodniu – powiedział Max, otwierając drzwi.

– Świetnie.

– I nie spóźnij się.

– Będę punktualnie – zapewnił Harry, a gdy zamknął za sobą drzwi, pomyślał: palant.

Rozpoczął długi spacer do domu, czując mieszaninę ulgi i rozpacz. W końcu będzie mógł zapłacić czynsz. Ledwie tydzień wcześniej pacholek właściciela, Nick, zapukał do jego drzwi. Harry był wtedy akurat rozkojarzony i zrobił głupstwo. Zamiast udawać, że go nie ma, wpuścił Nicka. Jego tłumaczenia, że nie dostał maili z ostatecznym wezwaniem do zapłaty, nie poskutkowały i Nick zagroził mu eksmisją. Harry wybłagał odroczenie o kolejnych kilka dni; dostał je pod warunkiem, że ureguluje całą należność w ciągu dwóch tygodni. Teraz miał pracę, więc mógł zachować dach nad głową, dopóki nie wykombinuje, co dalej. Bo zdecydowanie nie miał zamiaru przez resztę życia tyrać dla jakiegoś dupka, który nosi żółtą muszkę w kwiatki i patrzy na niego z góry.

Wtedy właśnie rozpacz przeważała nad ulgą. To tylko na jakiś czas, pocieszał się w duchu. Dopóki nie nadarzy się kolejna okazja.

I zawsze są inne możliwości.

CZTERNAŚCIE

26 lutego

Amy prawie nie zauważyła, jak Jack wychodzi z domu; ledwie usłyszała, jak mówi, że będzie miał oko na jej przyjaciółkę. Tym, co do niej dotarło, była tylko jadowita mina Jenny i trzaśnięcie drzwi. Drzwi domu Jenny.

Nie mogła wrócić do salonu. Potrzebowała czasu, by pomyśleć, by nadać sens temu, co właśnie sobie przypomniała. Przypomniała sobie! Wstrząśnięta, jak najciszej udała się na górę, modląc się, żeby nikt za nią nie poszedł.

Przyjaciółka jej nienawidzi. I przez cały ten czas udawała, była uprzejma. Mój Boże, pomyślała Amy, co ja zrobiłam?

Po cichu zamknęła drzwi sypialni, zadowolona, że jest sama. Podeszła do okna i z wahaniem przybliżyła twarz do szyby. Ujrzała Jennę kuśtykającą pośród śnieżyicy, tak szybko, jak pozwalała jej na to zraniona kostka. Jej sylwetka majaczyła w przyćmionym świetle, niewyraźna przez padający śnieg. Amy uchwyciła moment, kiedy Jack położył rękę na ramieniu Jenny, i aż się cofnęła, mając wrażenie, że ich szpieguje. Widziała, jak Jack stara się przekonać Jennę, żeby wróciła do środka, jak kręci głową i z rezygnacją wzrusza ramionami, zdając sobie sprawę, że będzie musiał pójść za nią. Nagle jednak coś sprawiło, że spojrzał w górę, i Amy poczuła się przyłapana na podpatrywaniu. Drgnęła, ale on się uśmiechnął i gestem dał znać, że zostanie z Jenną. Amy lekko skinęła głową i odeszła od okna.

Położyła się na łóżku i potarła skronie. Odtworzyła wspomnienie, które usunęło ziemię spod jej nóg. Wydawało jej się, że stała niżej, u stóp trzech schodków prowadzących do drzwi frontowych. Było zimno, w powietrzu unosiła się lodo-

wata mgła. Jenna stała tuż za progiem, zaciskając rękę na lśniącym czarnym drewnie, jakby było tarczą broniącą wejścia. Amy instynktownie wiedziała, że nie może podejść bliżej. Jeśli spróbuje, Jenna zniknie we wnętrzu domu. Jej pamięć odtworzyła wyraz twarzy przyjaciółki: zimna furia. Nawet nienawiść. A potem drzwi się zatrzasnęły i Amy przypomniała sobie, że poczuła się wówczas bezradna.

Mocno zacisnęła powieki, usiłując przywołać coś więcej. Co powiedziała Jennie, że wywołało to taką reakcję? Dlaczego tam była? Nie mogła przewinąć tej sceny ani do przodu, ani wstecz – fragment powtarzał się zapętłony. Musi być jakaś inna wskazówka, coś, co pojawi się w jej pamięci, jeśli tylko wystarczająco mocno się skupi. Im usilniej próbowała, tym mniej wyraźny stawał się obraz w jej głowie. Z frustracji uderzyła pięścią w łóżko. Nie przywykła do tego, że jej bystry umysł prawniczki przemienia się w grząskie błoto. Nienawidziła tego stanu. To ją osłabiało i przerażało, jakby straciła część siebie, jakby już nie wiedziała, kim jest. Nie będąc w nastroju, by wrócić na dół, włączyła nocną lampkę i wzięła książkę. Czytała, starając się oderwać od straszego wspomnienia gniewu Jenny, ale jej myśli wciąż do tego wracały.

Jakiś czas później usłyszała ciche pukanie i drzwi lekko się uchyliły. Do pokoju zajrzał Jack.

– Hej, co tu robisz?

Amy podniosła się na łokciu.

– Potrzebowałam zmiany otoczenia.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła piąta. Spędziła na górze zaledwie około czterdziestu minut.

– Mogę wejść? – zapytał.

– Jasne. – Amy usiadła na łóżku i skrzyżowała nogi. – Gdzie Jenna?

– Na dole. Ogląda film z Marthą i Lisą.

– Wszystko z nią w porządku?

– Tak. Postanowiła zrobić kilka zdjęć w śnieżycy, nie chciała mnie słuchać.

– Mówiła coś?

– O czym?

– Sama nie wiem... O pobycie tutaj. O mnie.

Jack podszedł do łóżka. Usiadł obok niej.

– Nic o tobie nie mówiła. Czemu pytasz?

Powiedzieć mu? Spojrzała w jego miłe, życzliwe oczy i westchnęła.

– Miałam przebłysk.

Jego oczy się rozświeciły.

– Naprawdę?

– Ale nie był przyjemny.

– I...?

– Byłam w domu Jenny. Przed domem Jenny. – Powiedziała mu, co jej się przypomniało.

Jack słuchał uważnie.

– Coś jeszcze?

– Nie. Co o tym myślisz?

– Konkretnie o czym? – zapytał łagodnie.

– Mam ją o to zapytać?

Namyślał się przez chwilę, na jego czole pojawiła się mała bruzda.

– Uważasz, że nadal jest na ciebie zła?

– Odkąd wyjechałyśmy z Londynu, kilka razy okazała mi niechęć.

– W jaki sposób?

– Naprawdę trudno to opisać. Ale nie sądzę, że sobie to wyobraziłam. Wczoraj próbowałam z nią pogadać o wystawie, którą miała w zeszłym miesiącu. Po prostu ucięła rozmowę. Pewnie byłam na tej wystawie, ale nic nie pamiętam. – Amy spojrzała na niego, rozpaczliwie pragnąc coś sobie przypomnieć. – Byłeś może ze mną?

Jack ze smutkiem pokręcił głową.

– Zaprosiłaś mnie, ale musiałem zostać w pracy.

Amy westchnęła, a on położył rękę na jej kolanie.

– Jeśli myślisz, że to pomoże, pogadaj z nią.

– Czy była zła, gdy za nią poszedłeś?

– Nie, chyba nie.

Amy zmarszczyła brwi. Była pewna, że przyjaciółka miała ponurą minę. Może ukryła to przed Jackiem.

Uśmiechnął się krzepiąco.

– Albo zaczekaj. Miałaś jeden przebłysk pamięci, prawdopodobnie będzie ich więcej. Często wspomnienia wracają w coraz krótszych odstępach czasu. Jeśli uważasz, że poczujesz się pewniej, gdy sobie przypomnisz, co poprzedziło tamtą sytuację, to może odczekaj parę dni i wtedy z nią porozmawiaj.

– Chyba tak zrobię.

– Wiesz, że zawsze możesz ze mną pogadać o tym, co pamiętasz. Jeżeli uznasz to za pomocne – dodał szybko.

– Dzięki. – Nagle coś przyszło jej na myśl. – Czy na razie możemy zatrzymać tę sprawę dla siebie? Jeśli mama dowie się, że wraca mi pamięć, nie da mi chwili spokoju. Sądzę, że pójdzie mi szybciej, gdy nie będę pod presją.

– Oczywiście.

– Zawsze tak jest przy amnezji? – spytała. – To uczucie, jakby w twoim życiu ziała wielka czarna dziura, jakbyś balansował na jej krawędzi, nie mając pojęcia, co powiedziałeś ani co zrobiłeś w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, i musisz zdać się na innych, żeby uzupełnić te luki?

– Jakbyś wypięła za dużo tequili i nie była pewna, czy nie skończyło się na tym, że tańczyłaś nago na stołach?

– Coś w tym rodzaju. – Roześmiała się. – Ale jest jeszcze cała reszta: obawa, niepokój. Zawsze spodziewam się najgorszego.

– Tu właśnie zaczyna się paranoja. To naprawdę powszechne po dużym urazie mózgu.

Nachyliła się, kładąc głowę na jego ramieniu. Jack objął ją i przytulił. Był to ciepły gest, by dodać jej otuchy.

– Wygląda na to, że przez ostatnie kilka miesięcy dobrze się bawiliśmy – powiedziała.

– Zdecydowanie tak.

– Ale nie mogę uwierzyć, że dotarliśmy tylko do Lake District. Nie nalegałam na bardziej słoneczne miejsce?

– Właściwie nie. Byłaś bardzo zadowolona.

– Hm. To nie w moim stylu. Uwielbiam słońce. Wiesz, dokąd naprawdę chciałabym się wybrać?

– Na wyspy Tonga?

Spojrzała na niego w osłupieniu.

– Skąd wiedziałaś?

Z czułością przytulił policzek do jej głowy.

– Sama mi powiedziałaś.

– Tak. Marzy mi się obserwowanie wielorybów. Plaże. I podoba mi się, że świny i kury mają pierwszeństwo na drodze.

– I słusznie. – Zaśmiał się. – Więc dlaczego tam jeszcze nie byłaś?

– Nigdy nie mogłam wziąć wystarczająco dużo wolnego w pracy. Zwykle tkwię w samym środku takiej czy innej sprawy i tylko ja stoję między potężną bezwzględną korporacją a jakimś biedakiem, którego los wisi na włosku.

Przez chwilę milczał.

– To miłe – powiedział wreszcie.

– Co?

– Że bronisz słabszych.

– Potrzebują kogoś, kto będzie ich wspierał... Ale nie tylko praca była przeszkodą. Nigdy nie znalazłam odpowiedniej osoby, z którą mogłabym tam polecieć. Nie jest to miejsce, które chciałabym odwiedzić sama. Dlatego wciąż pozostaje w sferze marzeń. Może pewnego dnia...

– Marzenia są dobre.

Podniosła głowę, żeby spojrzeć na niego, i oboje zdali sobie sprawę, że ich twarze są bardzo blisko siebie. Spotkanie ich ust było najbardziej naturalną rzeczą na świecie.

A potem Amy badawczo popatrzyła mu w oczy. Chciała wiedzieć, czy wkracza na zbadane terytorium. Wtedy będzie lepiej. Nawet jeśli nie przypomni sobie, czy już to robiła, poczuje się bezpieczniej.

– Uprawialiśmy seks? – zapytała.

Zaskoczyła go bezpośredniość jej pytania.

– Tak – potwierdził. – Daruję sobie głupie żarty o tym, jak bardzo czuję się zraniony, że nie pamiętasz, jak było fantastycznie.

– A było?

– Jeśli nie jesteś gotowa...

– Nie w tym rzecz. Po prostu nie pamiętam. I jest to dziwne uczucie.

Spojrzał na nią z powagą.

– Daję ci słowo, że dobrze nam razem.

Uśmiechnęła się, a on znowu ją pocałował. Pomyślała, że czuje się tak, jakby poznała go dopiero wczoraj, choć przecież spotykają się od trzech miesięcy. Zastanawiała się, czy pamięta jego nagie ciało.

*

Potem leżała w jego ramionach. Wciąż nie pamiętała, jak robili to wcześniej, ale to, co właśnie się wydarzyło, było dobre. Wszystko z wyjątkiem jednego momentu. Gdy skończyli się kochać, przytulił ją i wtedy nagle, niespodziewanie, poczuła napięcie. Było natarczywe, nieprzyjemne. Ukryła przed nim tę reakcję, ale wytrąciło ją to z równowagi. Głęboko ukryte lęki wypływały na powierzchnię, budziły się demony, podczas gdy on cicho spał obok niej. A jeśli matka ma rację co do niej? Co, jeśli naprawdę jest oziębła i zamknięta w sobie, i nie umie pozwolić, by ktokolwiek się do niej zbliżył?

Spojrzała na Jacka i pomyślała, jaki jest spokojny. Jaki odprężony. Jest odprężony z tobą, przypomniła samej sobie, czerpiąc nieco otuchy z tych myśli. Jest prawdziwy, leży tutaj, tuż obok ciebie. Przestań histeryzować, nie zniknie. Wtuliła się w jego ramię i poczuła, że on obejmuje ją mocniej.

PIĘTNAŚCIE

7 stycznia

Harry spojrział na swoje odbicie w lustrze. Biała koszula, czarne spodnie, czarna kamizelka. Na szczęście bez muszki w kwiaty. Był oburzony, gdy dowiedział się, że Max wymaga takiego stroju i jednocześnie oczekuje, że pracownicy sami go sobie sprawią. Związał włosy w kucyk i zadowolony ze swojego wyglądu, wrócił z łazienki do baru. Max skinął na niego i podniósł drewnianą klapę.

– Zaznajomię cię z obsługą kasy – powiedział.

Harry słuchał i jednocześnie błędził wzrokiem po wnętrzu. O tej wczesnej porze klienci byli nieliczni, głównie kobiety. Kobiety sukcesu, sądząc po ubraniach, torebkach i pewności siebie. Karierowiczki. Większość z nich dobrze po trzydziestce. Harry wypatrywał obrączek. Serdeczne palce pierwszych trzech dłoni, które skontrolował, były puste.

– Wszystko jasne? – zapytał Max.

– Jak słońce – rzucił Harry.

– I pamiętaj, nie próbuj imponować wiedzą o winach, gdy czegoś nie wiesz. Jeśli ktoś poprosi, żebyś coś polecił, a nie będziesz pewien, zapytaj.

– Rozumiem – mruknął Harry i w końcu Max go zostawił.

Był jeszcze jeden członek personelu – facet o imieniu Alex, któremu Harry został przedstawiony wcześniej. Był przystojny w typie mola książkowego, szczupły okularnik z miękko opadającymi włosami. Kiedy zjawiły się następne dwie kobiety po trzydziestce, Harry zrozumiał, dlaczego personel składa się wyłącznie z mężczyzn.

Kiedy obie podeszły do baru, powitał je swoim najbardziej czarującym uśmiechem.

– Dobry wieczór. Co mogę podać?

Kobiety przestały ze sobą rozmawiać i spojrzały na niego. Dostrzegł ich aprobatę. Przysiadły na stołkach barowych, ściągnęły szale. Kaszmir, zauważył. W spływającym z góry świetle zobaczył, że obie mają mocny makijaż – profesjonalny i gustowny, ale u jednej podkreślał zmarszczki na twarzy. Druga miała eleganckie kolczyki – przejrzyste kamienie płonęły niczym ogień i wiedział, że to prawdziwe diamenty. Żadna nie nosiła ani obrączki, ani pierścionka zaręczynowego, chociaż uznał, że są co najmniej dziesięć lat starsze od niego: trzydzieści siedem, trzydzieści osiem lat?

– Jesteś nowy? – spytała ta w kolczykach z diamentami, mierząc go wzrokiem. Harry wiedział, że dobrze wygląda w swoim uniformie.

– To mój pierwszy wieczór – powiedział skromnie. – Więc proszę o wyrozumiałość.

Zareagowała natychmiast, posyłając mu zalotny uśmiech. Nie flirtował, jeszcze nie. Znał ten typ. Musi rozegrać to na chłodno, pozwolić jej patrzeć. Niech myśli, że ma wszystko pod kontrolą.

Kobieta wskazała przyjaciółkę.

– Rosie i ja świętujemy. Co polecasz?

– Mamy doskonałe różowe prosecco. Od wielokrotnie nagradzanego winiarza z północnych Włoch.

– Brzmi świetnie. – Kobieta skinęła głową i kolczyki strzeliły iskrami. – Co myślisz, Rosie?

– Idealnie.

Kiedy wyjmował z lodówki butelkę prosecco, czuł, że kobieta go obserwuje.

– Jak masz na imię? – zapytała.

Postawił na barze dwa kieliszki i schładzacz do wina.

– Harry.

– Ja jestem Ellen, a to Rosie.

– Miło was poznać. Co świętujecie?

– Awans – odparła Ellen z błyskiem w oku.

– Gratulacje. – Harry zdjął metalowy koszyczek i kobiety krzyknęły na wiwat, gdy korek wyskoczył z cichym pyknięciem.

– Pokonałam trzy inne osoby – podjęła Ellen. – Będzie dużo podróży, zwłaszcza na Daleki Wschód. Zgromadzę sporo mil lotniczych!

Uśmiechnął się.

– Zapowiada się wspaniale. A zatem nadzwyczajna okazja.

Kobiety wzniosły toast. Jakiś klient podszedł do baru i Harry musiał go obsłużyć, ale Ellen i Rosie siedziały w tym samym miejscu przez cały wieczór i rozmawiały z nim, gdy krążył za barem.

Przyniósł im deskę z plasterkami wędlin.

– A co to? – spytała Ellen.

– Poczęstunek od firmy.

Rozpromieniły się, jakby zaproponował im darmową podróż na Karaiby; nie wspomniał, że Max to zasugerował, ponieważ kobiety należały do stałych gości i nie liczyły się z pieniędzmi.

Pod koniec wieczoru przypominały stałe elementy wystroju, nieruchome jak sam bar. Obserwowały go leniwie, gdy chodził od gościa do gościa, wycierał blat, uzupełniał zapasy w lodówce, i cały czas rozmawiały między sobą: o planowanym weekendzie jogi na Sardynii, o tym, czy nadal warto inwestować w nieruchomości na wynajem, jaki będzie procent ich rocznych premii. W pewnym momencie podszedł Max, zamknął kasę i powiedział Harry’emu, co jeszcze należy zrobić przed końcem pracy. Harry słuchał wyniosłego tonu szefa, a świadomość, że Ellen i Rosie wszystko słyszą, potęgowała jego irytację.

– Kiedy masz następną zmianę? – spytała Ellen, dopijając wino.

– Nie jestem pewien – odparł. – Dzisiaj byłem na próbę.

Ellen opuściła kieliszek, zrobiła minkę i przeniosła spojrzenie na Maxa.

– Musisz go zatrzymać – zażądała. – Jest boski.

– Są panie z niego zadowolone? – zapytał Max.

Harry się nastroszył. Nie jest na sprzedaż, a oni rozmawiają o nim tak, jakby go tu nie było, jakby był robotem do obsługiwania i bawienia gości. Oczywiście właśnie tego oczekiwał od niego szef.

Ellen i Rosie wyszły wkrótce potem, najpierw wstąpiwszy do toalety. Gdy zmierzały do wyjścia, Harry był pewien, że spojrzą na niego, ale tego nie zrobiły. Patrzył, jak drzwi zamykają się za nimi, i czuł się, jakby dostał policzek.

– Dobrze się spisałeś – pochwalił go Max.

– Dzięki.

– Praca jest twoja, jeśli chcesz.

Nie miał wyboru. Zdołał z szacunkiem się uśmiechnąć. I zrobić pełną wdzięczności minę.

– Tak, chętnie.

– Świetnie. Zajmę się resztą. Zmiataj stąd i do zobaczenia jutro o tej samej porze.

Harry wziął z zaplecza swoją kurtkę i wyszedł w mroźną noc. Skręcił i stanął jak wryty. Kawalek dalej zobaczył Ellen, która spoglądała w zakratowaną wystawę jubilera. Odwróciła się.

– Rosie złapała taksówkę.

– Nie pojechałyście razem? – zapytał.

– Jedzie w przeciwnym kierunku.

– Aha.

– Chcesz mieć pewność, że bezpiecznie dotrę do domu?

Wahał się tylko przez chwilę.

– Jasne. – Po dżentelmeńsku podał jej ramię, a ona je ujęła.

Ellen mieszkała na piętrze przebudowanej wiktoriańskiej kamienicy kilka ulic od Putney High Street. Doskonała lokalizacja za odpowiednią cenę, jak przypuszczał. Kiedy otworzyła drzwi frontowe, powitał go podmuch ciepła z centralnego

ogrzewania. Zamknęła za sobą drzwi i wykonali niezgrabny taniec w wąskim holu, gdy mijala Harry'ego, by iść pierwsza po schodach.

Jej mieszkanie było gustownie urządzone w stonowanych odcieniach bieli i szarości. Drewniana podłoga lśniła. W oknach były nowoczesne żaluzje, które jego zdaniem wyglądały trochę zbyt surowo. Z powątpiewaniem spojrzął na minimalistyczną kremową sofę, zastanawiając się, czy jest wygodna.

– Masz ochotę na drinka? – spytała Ellen.

Były to jej pierwsze słowa od chwili, gdy razem odeszli spod baru.

– Tak, dzięki.

Wyszła z pokoju i usłyszał dobiegający z kuchni hałas: stukot kieliszków stawianych na niewątpliwie drogim marmurowym blacie. Rozejrzał się po salonie, zwrócił uwagę na książki: wspomnienia napisane przez nadzwyczaj wpływowe kobiety sukcesu, Sheryl Sandberg i Michelle Obamę, i powieść, którą chyba widział na liście prestiżowych nagród. Stało tam kilka zdjęć, głównie Ellen w egzotycznej scenerii: na grzbiecie słonia w dżungli; za sterem jachtu na tle błękitnego nieba i morza, uśmiechnięta do aparatu. Najwyraźniej też była kobietą sukcesu. Podobało mu się to, podobała mu się jej ambicja i oczywiste skupienie na osiągnięciu celu. Uważał te cechy za atrakcyjne. Rozpoznawał w nich coś z siebie. Może teraz pracuje w barze, ale nie są to jego plany na dalszą przyszłość.

Usłyszał jej kroki i odwrócił się. Pod pachą trzymała butelkę, a w dłoniach dwa kieliszki i korkociąg. Pospieszył jej z pomocą, wziął butelkę i korkociąg, a ona postawiła kieliszki na chromowanym stoliku. Zabrał się do otwierania wina.

– Dasz radę? – spytała, patrząc na niego.

– Pewnie.

W srebrnym korkociągu rozpoznał projekt Elsy Peretti od Tiffany'ego. Cena detaliczna: dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć funtów. Widział takie, gdy przechadzał się po salonie podczas przerw na lunch w Dolce and Gabbana, kawałek dalej na Bond Street, fantazjując, że stać go na złote spinki do mankietów 1837 Makers, pasujące do drugiej fantazji: jedwabnej koszuli ze sklepu, w którym pra-

cował. Chciał być kimś, kto wchodzi do butików znanych projektantów i od niechcienia kupuje ładne rzeczy. Czuł, że ma takie samo prawo do piękna i wysokiej jakości jak każdy. Nie podzielał poglądu, że bogaci są w jakiś sposób „lepsi”, obojętnie, jak bardzo sami w to wierzą. Niejeden raz miał z nimi styczność i odczuł na własnej skórze ich poczucie wyższości.

Pomimo wszystkich przeciwności losu, dzięki swojemu urokowi, szczęściu i inteligencji, dostał się na anglistykę na Uniwersytecie Oksfordzkim, w czasie, który teraz wydawał się poprzednim życiem. Pewnie przyjęli go, żeby spełnić jakieś wymogi. Bardzo szybko przekonał się, że tam nie pasuje. Pochodził z niewłaściwej szkoły i nosił niewłaściwe ubrania. Nie miał znajomości, nie miał wujka dyrektora w Goldman Sachs ani liczącej się rodziny. Był też kompletnie spłukany, ponieważ matka nie miała pieniędzy, by mu pomagać, a poza tym odkąd sięgał pamięcią, praktycznie nie zwracała na niego uwagi. Żeby przetrwać, pisał prace innym studentom, podczas gdy oni spędzali weekendy w swoich wielkich domach, rozbijali się autami, uprawiali hazard i imprezowali. Przez pierwsze dwa semestry szło dobrze, jednak później zaczęto coś podejrzewać. Chłopak, któremu napisał pracę, wkopał go bez cienia skrupułów. Harry’ego poproszono, by odszedł z uczelni. Chłopak został. Jego ojciec, jak się okazało, był znanym politykiem.

Harry nalał po lampce wina.

– Ładnie się urządziłaś – powiedział, a ona skinęła głową.

– A ty gdzie mieszkasz?

Nie mógł jej tego powiedzieć.

– W Wimbledonie – odparł, mijając się z prawdą nie więcej niż o trzy kilometry, ale i tak sądził, że mu nie uwierzyła.

Poklepała sofę obok siebie. Usiadł, wdychając zapach jej perfum. Nie czuł ich w barze i pomyślał, że musiała użyć ich dopiero teraz.

– To kiedy zaczynasz? – spytał.

– Co zaczynam?

– Nową pracę.

– Ach. – Uśmiechnęła się z samozadowoleniem. – Za dwa miesiące.

– Nie możesz się doczekać?

Spojrzała na niego, jakby zadał dziwne pytanie.

– Oczywiście.

Harry upił łyk wina. Wciąż wiedział o winach tylko absolutne minimum i znał smak nielicznych, ale nawet jego niewyrafinowane podniebienie wyczuło gładkość trunku. Zapewne był drogi. Gdy tylko odsunął kieliszek od ust, Ellen położyła rękę na jego udzie. Odstawił kieliszek na niski stolik i spojrzał jej w oczy.

– Możemy? – zapytała.

Zaskoczyło go jej tempo, ale w duchu wzruszył ramionami. Pochylił się, żeby ją pocałować.

Cofnęła się.

– Nie tutaj – powiedziała, a on zobaczył, jak jej wzrok opada na nieskazitelne kremowe obicie sofy.

Wstała i poszedł za nią do sypialni. Więcej subtelnych szarości na ścianach, pościeli. Nad wezgłowiec wisiał ogromny abstrakcyjny obraz ze smugami czerwonej i fioletowej farby, kojarzący się ze sceną w rzeźni, ale prawdopodobnie będący kosztowną „inwestycją”. Spodobał mu się. Żałował, że nie zna artysty, i zanotował sobie w pamięci, żeby bliżej przyjrzeć się obrazowi, a potem go wyogłować.

Ellen usiadła na łóżku, Harry również. Gdy się całowali, poczuł, jak szarpie jego ubranie.

*

Budzik zadzwonił o szóstej trzydzięci. Wciąż było ciemno i przez chwilę, nie wiedząc, gdzie jest, Harry otrząsał się z resztek snu. Zobaczył smukłe plecy Ellen, gdy wstała z łóżka.

– Idę pod prysznic – powiedziała, narzucając szlafrok – a później będę chciała się tutaj ubrać.

Nawet zaspany, dobrze zrozumiał jej przekaz: masz opuścić moją sypialnię.

– Hm... Dzień dobry – wymamrotał, zastanawiając się, czy miniona noc tylko mu się przyśniła.

Ellen szczerze otulała piersi szlafrokiem i na ten widok zmarszczył brwi, za-intrygowany. Całowałem je w nocy, pomyślał. Uprawialiśmy seks. A teraz nie mogę zobaczyć cię nagiej? Przetarł oczy. Kiedy je otworzył, zobaczył, że Ellen patrzy na niego wymownie. To spojrzenie podziałało na niego jak zimny prysznic i nagle poczuł się całkiem rozbudzony. Ellen zniknęła w łazience, a on szybko się ubrał. Poszedł do salonu, gdzie na stole wciąż stał jego kieliszek z resztką wina. Zastanawiał się, czy po prostu nie wyjść, ale stwierdził, że byłoby to zbyt nagłe, zbyt niegrzeczne, nawet po chłodnym powitaniu Ellen. Wszedł do kuchni, włączył czajnik, znalazł dwie filiżanki i torebki z herbatą. Może herbata pomoże złagodzić ten poranek.

Z początku, gdy woda się gotowała, nie słyszał jej głosu. Dopiero kiedy czajnik się wyłączył, dotarły do niego jej słowa.

Rozmawiała z kimś przez telefon, pewnie z przyjaciółką.

– Tak, całkiem dobry – mówiła. – Niezły z niego ogier.

Harry pozwolił sobie na półuśmiech, nie mając pewności, czy komentarz rzeczywiście był pochlebny. W tonie Ellen doszukał się drwiącej nuty. Potem usłyszał jej lekceważący śmiech. Domyślił się, że rozbawiło ją to, co usłyszała.

– O Boże, nie – odezwała się. – Nie dorasta mi do pięt. Pracuje w barze.

Znieruchomiał, z czajnikiem w ręce. Odstawił go z powrotem na podstawkę i spojrzał na filiżanki; jedna pełna, druga pusta. Pochylił się i splunął do pełnej. Przeszedł do salonu. Wziął swoją kurtkę i obrzucił wzrokiem pokój. Na stole leżał korkociąg Elsy Peretti. Schował go do kieszeni i ruszył do holu. Nasłuchiwał przez chwilę. Ellen dalej prowadziła rozmowę. Był tak nieistotny, że poświęciła mu nie więcej niż trzy minuty uwagi.

Po cichu wyszedł z mieszkania.

SZESNAŚCIE

26 lutego

Amy obudziła się gwałtownie, serce jej łomotało. Zamachała rękami, czując, że ktoś nią potrząsa, a potem zdała sobie sprawę, że to Jack. Siedział obok niej, z zatroskaną miną.

– Coś ci się śniło – powiedział. – Krzyczałaś przez sen.

Spojrzała na zegarek – minęła siódma i z dołu płynął zapach szykowanej kolacji. Czowała obok siebie ciepłe ciało Jacka, niosące ukojenie.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– To tylko sen – rzuciła, trzepocząc powiekami.

– Zły sen.

Skinęła głową.

– Chcesz mi o nim opowiedzieć?

Amy milczała. Na tym polega bycie w związku. Mieć kogoś, z kim można pogadać, kto jest po twojej stronie.

– Śniła mi się Jenna. Biegła, goniła mnie. Nie wiem gdzie, gdzieś w ciemności. Na zewnątrz. Na ulicy.

– I co dalej?

– Było zimno. Biegłam zbyt wolno, nie mogłam przyspieszyć i czułam, że ona jest coraz bliżej. – Zadrżała. – Spojrzałam za siebie. Jej twarz... była zła. Ale nie to mnie przeraziło. Przeraziła mnie jej determinacja. Miała zamiar dogonić mnie

bez względu na wszystko. Jak w tych programach przyrodniczych, wiesz, kiedy lew poluje na gnu. Gnu ucieka, ale na próżno.

Jack ją przytulił.

– To tylko sen. Ciekawe, skąd się wziął. Co zaszło między wami? – Uniósł rękę w przeproszającym geście. – Wybacz. Głupie pytanie. Już dobrze?

Amy westchnęła.

– Tak. – Pociągnęła nosem. – Czujesz zapach kolacji?

– Pewnie. Ścigamy się do łazienki?

Amy pchnęła go z powrotem na łóżko i pocałowała.

– Panie mają pierwszeństwo.

Po prysznicu niespiesznie zaczęła się ubierać, z miłą świadomością, że w tym samym czasie jej chłopak też się szykuje. Są razem. Zabawne, jakie drobiazgi mogą sprawić, że czujesz się połową pary. Włożyła dżinsy i koszulę, po czym otworzyła szufladę toaletki. Zobaczyła pudełko, które wzięła tu ze sobą, nie mając pojęcia, skąd się wzięło. Uniosła wieczko i popatrzyła na skrzący się w świetle wisiorek z diamentem.

– Piękny – powiedział Jack, wchodząc do pokoju w ręczniku okręconym wokół bioder.

– Dzięki. Tyle że zupełnie nie wiem, skąd go mam.

Przyglądał jej się przez chwilę. Podszedł, położył ręce na jej ramionach i spojrział na nią w lustrze. Uśmiechnął się.

– Ode mnie.

– Co? – Amy odwróciła się, patrząc na niego z ustami otwartymi ze zdumienia. – Ale... to taki... – nie chciała powiedzieć „drogi” – hojny prezent.

Skromnie wzruszył ramionami.

– Zobaczyłem go i od razu wiedziałem, że będzie ci w nim do twarzy.

– Kiedy mi go dałeś?

– Na Gwiazdkę.

– O mój Boże – szepnęła, nadal wpatrując się w diament. Zamknęła pudełeczko i pocałowała Jacka. – Dziękuję – powiedziała wzruszona. – Jest przepiękny.

*

Wszyscy zebrali się w kuchni. Lisa i Jenna siedziały przy stole, oglądając coś w laptopie Jenny, a Martha gotowała. Gdy Amy i Jack zjawili się razem, powitały ich znaczące spojrzenia, ale ku uldze Amy matka nic nie powiedziała.

– Hej, chodźcie i spójrzcie na to – odezwała się Lisa.

Amy najpierw zerknęła na Jennę, ale przyjaciółka była pochłonięta laptopem. Nie doszukała się śladów wcześniejszego napięcia. Ostrożnie podeszła. Na ekranie widniało zdjęcie gór, przepiękne – zrobione wczoraj, gdy zachodzące słońce malowało zbocza na złoto.

– Nadzwyczajne – rzuciła.

Lisa skinęła głową.

– Prawda?

Jenna przewijała dalej i na ekranie pojawiały się kolejne fotografie. Zrobione w śnieżycy, miały nieziemski charakter; były klaustrofobiczne i niesamowite. Patrząc na nie, Amy odnosiła wrażenie, że zablokowane kółko zębate w jej mózgu znowu zaczyna się obracać. Nagle przypomniało jej się, że oglądała inne zdjęcia Jenny, w galerii. Mimowolnie wstrzymała oddech i jej ręka powędrowała do ust.

– Co się stało? – zapytała Lisa.

Amy pokręciła głową, przez chwilę nie mogąc wykrztusić słowa.

– Przypomniało ci się coś? – spytał Jack.

Martha czujnie uniosła wzrok znad kuchenki.

Wszyscy patrzyli na Amy.

– Pamiętam, że byłam na wystawie Jenny – powiedziała.

Czy tylko sobie to wyobraziła, czy Jenna się wzdrygnęła?

– O mój Boże! – wykrzyknęła Lisa. – Super. Amy miała przebłysk pamięci. Martha!

– Okej, okej – mruknęła Amy, próbując to zbagatelizować, chociaż była zadowolona.

Wspomnienie było miłe, dobrze się wtedy bawiła. Pozwoliła sobie do niego wrócić i zobaczyła, że jest w galerii należącej do męża Jenny. Lewis otworzył ją ledwie kilka lat temu, ale już wyrobił sobie markę. Odkrył kilku artystów, którzy trafili na pierwsze strony gazet, i pokazał ich prace ważnym ludziom, zarabiając przy tym zawrotne sumy. Amy widziała go we wspomnieniach, idącego w pewnej odległości za żoną; krótko przystrzyżone rude włosy i jasnoniebieskie oczy wyróżniały go z tłumu. Był człowiekiem szukającym wyzwania. Lubił zdobywać to, co mogło wydawać się nieosiągalne, i stosował tę zasadę zarówno w życiu zawodowym, jak i osobistym. Sześć lat temu wziął na cel Jennę. Po kilku miesiącach jego intensywnych starań skapitulowała i zgodziła się go poślubić.

Amy krążyła dokoła, oglądając kolekcję zdjęć przyjaciółki, serię bardzo dobrze przyjętych przez prasę eterycznych pejzaży Northumberland. Wiele z nich zostało sprzedanych. Spojrzała na Jennę, która stała po drugiej stronie galerii, udzielając wywiadów gromadzie dziennikarzy. Widziała ożywioną twarz przyjaciółki, jej błyszczące oczy, gdy mówiła o swoich pracach. Amy miała nadzieję, że przyciągnie jej uwagę i będzie mogła złożyć gratulacje, ale Jennę otaczał zwarty mur reporterów i sympatyków.

Poczuła, jak obejmują ją ramiona matki.

– Tak się cieszę, skarbie – powiedziała Martha.

Amy uśmiechnęła się i skierowała rozjaśniony wzrok na Jennę.

– Rany, takie tłumy – rzuciła z entuzjazmem. – I ty... byłaś w swoim żywiole.

Przyjaciółka spojrzała na nią bez słowa.

– Świetnie, odzyskujesz pamięć – wtrącił Jack.

Martha przycisnęła rękę do piersi.

– Wreszcie wracamy do normalności.

Wszyscy byli zachwyceni, gratulowali jej – wszyscy z wyjątkiem Jenny. Amy zerknęła na nią. Jenna milczała, przeglądając zdjęcia.

– Co jeszcze pamiętasz, skarbie? – spytała Martha.

Amy odwróciła się do niej, zaniepokojona milczeniem przyjaciółki.

– Hm... nic więcej. Tylko wystawę.

– Daj spokój, skoro wspomnienia zaczęły napływać, musi być ich więcej.

– Nie pojawiają się tak po prostu, bez względu na to, jak bardzo bym chciała.

Matka parsknęła lekceważąco.

– Przecież nawet nie próbujesz.

– Wierz mi, próbowałam.

Po chwili Martha uśmiechnęła się krzywo.

– Nigdy nie lubiłaś słuchać moich rad.

Amy resztką sił ugryzła się w język.

– Słucham cię, mamó – powiedziała, starając się ukryć zniecierpliwienie. – Ale muszę sama podejmować decyzje.

– Zawsze leży mi na sercu tylko twoje dobro – oznajmiła Martha głosem pełnym bólu.

Amy westchnęła w duchu. Słyszała to nie po raz pierwszy. Matka przedwcześnie i nagle została sama, więc skupiła uwagę na życiu jedynaczki. Jej opiekuńczość czasami przekraczała dopuszczalne granice i zmieniała się w sprawowanie kontroli. „Ze swoją jasną karnacją powinnaś używać kremu z filtrem co najmniej pięćdziesiąt. Jeśli jesteś na randce, nie zostawiaj drinka na barze. Po ciemku nie wracaj sama do domu”. Przez lata Amy była bombardowana „radami”.

Napięcie unosiło się w pokoju i groziło zepsuciem tego popołudnia.

– Do licha, a co to? – zapytała nagle z podziwem Lisa, zauważywszy, że Jack bawi się papierową serwetką. Wzięła ją od niego. Jack zrobił z serwetki delikatną różę. – Twoje talenty nie mają końca?

– To nic wielkiego – odparł skromnie, zabierając swoje dzieło. – Dla ciebie. – Podał różę Marcie.

Jej twarz się rozpromieniła.

– Naprawdę?

Amy odetchnęła. Okazało się, że jej nadzwyczajny chłopak wie, jak podejść jej matkę i rozładować napiętą atmosferę.

– Ktoś chce coś do picia? – zapytała.

Kiedy weszła do kuchni, zaskoczył ją nowy obraz w pamięci. Leżała na ziemi, z ostrym bólem w kolanie. Już miała zawrócić i opowiedzieć o nowym wspomnieniu, gdy nagle przytłoczyło ją poczucie samotności. Zaintrygowana, znieruchomiała z ręką na drzwiach lodówki. Pozwoliła, by wspomnienie przejęło nad nią kontrolę. Zażenowana, leżała na zimnym chodniku, zła na siebie i bezradna. Było tłoczno, godzina szczytu, dziesiątki par nóg maszerowały w kierunku stacji Waterloo; większość twarzy była przyklejona do telefonów, a ci nieliczni, którzy spojrzeli w dół, szli dalej, spiesząc się, i nikt się nie zatrzymał.

To był obraz chwili, kiedy upadła, tuż zanim poznała Jacka. Czekwała, aż wróci do niej ciąg dalszy. Ta część, kiedy Jack podchodzi do niej, pomaga jej wstać. Rozmawia z nią o urazie. Ale nie stało jej się nic poważnego. W myślach podniosła się, wyjęła z torebki chusteczkę, by zetrzeć krew, która przesiąkła przez rajstopy. Weszła po schodach na stację i wtedy wspomnienie się urwało.

Odetchnęła głęboko. Przecież było inaczej. Jack podszedł do niej. Powiedział, że jest lekarzem. Był opiekuńczy, zalecił szycie i poprosił ją o numer telefonu. Chryste, co jest nie tak z jej głową? Ten upadek mocno w niej namieszał. Amy wyjęła z lodówki sok, naląła go do szklanek i podjęła kolejną próbę. Zmusiła się do intensywnego myślenia. To gdzieś tam jest, musi być. Niestety, nic się nie pojawiło.

SIEDEMNAŚCIE

26 lutego

Śnieg padał przez cały wieczór. Zaciągnęli zasłony, odgradzając się od śnieżycy, i rozpalili ogień. Otworzyli kolejne butelki wina. Amy ruszyła do kuchni i zaraz za progiem przystanęła. Tylko nie to! Nie pamiętała, po co tu przyszła. Rozejrzała się, szukając wskazówek. Coś szamotało się w zakamarkach jej umysłu, tańczyło w cieniu, chowając się tuż poza zasięgiem wzroku. Zastanawiała się, czy nie wrócić, ale nie chciała mierzyć się ze współczuciem i gradem pytań, które w założeniu miały jej pomóc w odzyskaniu wspomnień.

Usiadła przy wyspie kuchennej i oparła głowę na dłoniach. Była zmęczona, a jak zauważyła, w takich chwilach jej umysł był w najgorszym stanie. Jakby wyłączał się częściej, niczym migocząca żarówka, która zaraz się przepali.

Oddychaj, powiedziała do siebie. Wycisz się. Miło było odpuścić na chwilę, nie naciskać w nieskończoność. Przy kolacji próbowała się odprężyć, ale okazało się to trudne. Dręczyło ją wspomnienie, jak upada na chodnik przed stacją Waterloo, i martwiła się, że uraz mózgu jest poważniejszy, niż mówili lekarze. A jeśli inne wspomnienia zostały zniekształcone? Jeśli to, co uważała za fakty, stanowi wypaczoną wersję prawdy? Jesteś zbiorem wspomnień, które składają się na twoje życie, czynią cię tym, kim jesteś. Jeśli pamięta coś innego niż to, co się rzeczywiście wydarzyło, jak może sobie zaufać? Czy w ogóle zna samą siebie?

Mocno zacisnęła oczy i znów je otworzyła.

– No dobrze. Po co tu przyszłam? – zapytała na głos. – Napić się? Po coś do jedzenia? Czy ktoś coś rozlał? – Prychnęła z irytacji. – Co ja tutaj robię?

– Mówienie do siebie to pierwsza oznaka szaleństwa – odezwał się ktoś za nią.
Amy aż podskoczyła.

– Przepraszam – powiedziała Jenna, wchodząc do kuchni. – Nie chciałam cię przestraszyć.

– W porządku. Właśnie... staram się przywołać wspomnienia.

Jenna cicho zamknęła za sobą drzwi. Stała przez chwilę, nie wchodząc w głąb kuchni. Skrzyżowała ręce na piersi.

– Dobrze, że pamięć ci wraca.

Amy skinęła głową, czekając, aż Jenna powie coś więcej.

– Czyli przypominasz sobie, jak byłaś na wystawie?

Amy uśmiechnęła się.

– Tak. Była ogromnym sukcesem – powiedziała, ale ku jej zaskoczeniu Jenna nie przytaknęła.

– Co dokładnie pamiętasz?

– Byłam tam, sama. Było tłoczno i gwarnie, przyszło mnóstwo ludzi. Pano-
wała naprawdę radosna atmosfera.

– Co jeszcze?

Amy zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem. Wypiłam lampkę wina... Uznałam, że twoje zdjęcia są ge-
nialne... Zjadłam za dużo puddingów z wołowiną...

Jenna usiadła przy wyspie kuchennej.

– Czy mówisz mi wszystko? – zapytała.

Amy nie kryła zaskoczenia.

– Co masz na myśli?

Jenna milczała, patrząc na nią uważnie.

– Mówię ci, co pamiętam – zapewniła ją Amy.

– Tak twierdzisz.

– Chwileczkę... sugerujesz, że zmyślam?

Zalała ją fala strachu. Czy jej wspomnienia z wystawy są inne niż wspomnienia Jenny? Czy jej umysł przekręca wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich sześciu miesięcy?

– Jeśli wyjaśnisz mi, co właściwie cię gryzie, Jenna, postaram się pomóc. Powiem ci wszystko, co wiem, naprawdę.

Jenna uśmiechnęła się, ale z goryczą, z bólem.

– Naprawdę?

– Oczywiście.

– Co jeszcze robiłaś na mojej wystawie?

Amy była skonsternowana.

– Co robiłam?

– Tak.

O co jej chodzi? – pomyślała Amy. Pokręciła głową.

– Ty będziesz musiała mi to powiedzieć.

W tym momencie otworzyły się drzwi do kuchni. Obie odwróciły głowy i zobaczyły Jacka.

– Przepraszam... nie przeszkadzam? – zapytał.

Jenna zsunęła się ze stołka.

– Absolutnie nie.

– Zacząłem się obawiać, że Amy zaginęła w trakcie poszukiwań długopisu i kartki – wyjaśnił.

No właśnie! Amy poczuła ulgę. Przyszła do kuchni po coś, co pozwoli podliczyć punkty w grze karcianej. Wzięła z blatu długopis, nie odrywając spojrzenia od wychodzącej z kuchni Jenny.

– O co chodzi? – spytał Jack, gdy zostali sami.

Amy wzruszyła ramionami.

– Naprawdę nie wiem.

– Wracają jakieś inne wspomnienia?

Amy pomyślała o stacji, o sobie leżącej bezradnie na ziemi. Nie chciała w to wnikać. Nie dziś wieczorem. Była tym wszystkim zmęczona.

– Nie.

W salonie, w trakcie gry, co jakiś czas spoglądała na Jennę. Czuła dziwny ciężar w sercu. Musiało stać się coś, co zdenerwowało przyjaciółkę. Coś złego. Coś, za co ona, Amy, wydawała się odpowiedzialna. Co zrobiła? Złość, że tego nie pamięta, zżerała ją od środka – wraz z okropnym strachem.

OSIEMNAŚCIE

27 lutego

W nocy przestał padać śnieg. Amy obudziła się w pustym łóżku. Przesunęła rękę w miejsce, gdzie wcześniej spał Jack. Pościel była zimna. Musiał wstać jakiś czas temu. Pomyślała, że to miłe, że jej nie obudził, ale jednocześnie poczuła ostre ukłucie rozczarowania. Nadal jesteś w pierwszej fazie romansu, przypomniała sobie. Przeżywasz te upajające początkowe dni, kiedy wszystko jest nowe i odkrywczyste. Jack zna cię już dość dobrze – po prostu szanuje twoje potrzeby.

Wczoraj wieczorem znowu się kochali i Amy wciąż starała się przywołać wspomnienia poprzednich nocy z Jackiem. Był taki moment, kiedy poczuła, że jest w nim coś znajomego, i to nieuchwytnie wrażenie rozpoznania dodało jej otuchy. Niestety, przepadło bez śladu, gdy tylko spróbowała przypomnieć sobie czas, który wspólnie spędzali. Było to niczym próba pochwycenia mgły. I wytrąciło ją z równowagi. Jack zasnął pierwszy, a ona słuchała jego cichego pochrapywania, zastanawiając się, kiedy przypomni sobie coś o nim, o ich związku.

Wstała i podeszła do okna. Wszystko wokół wyglądało jak przykryte śnieżnymi chmurami. Widziała to już wcześniej, ale tym razem zasy miały pewnie kilka metrów wysokości.

Wzięła prysznic i ruszyła na dół, słysząc głosy dochodzące z kuchni. Jej matka i Jack unieśli wzrok, kiedy pojawiła się w drzwiach. Od razu poznała, że Martha jest w swoim żywiole, znajdując się w centrum uwagi Jacka.

- Jesteś, śpiochu – powitała córkę.
- Dzień dobry, mamó.

Jack zbliżył się i pocałował ją w usta. Zauważyła, że twarz matki wyraża rado-
sną aprobatę.

– Widziałaś śnieg? – spytała Martha. – Jak Boże Narodzenie. A skoro o tym
mowa – zwróciła się do Jacka – musisz mi opowiedzieć więcej o waszej wyprawie
do Lake District. Pytałam Amy w grudniu, ale nie była zbyt rozmowna.

Amy zignorowała docinek i zajęła się krojeniem wczorajszej bagietki.

– Jedliście już?

– Tak, dzięki – odparła niecierpliwie matka. – No więc gdzie się zatrzymali-
ście? – zapytała Jacka. – Amy mówiła, że gdzieś w Bowness?

– Tak, w małym hotelu nad jeziorem Windermere – powiedział Jack.

– Jak się nazywał? Byliśmy tam z tatą Amy, zanim się urodziła.

– Cedar Hall.

– Och, czyli nie ten sam. Padało?

– Od czasu do czasu. Na szczęście mieliśmy też trochę słońca.

– Dużo wychodziliście?

– Przeważnie na spacer.

Jedząc śniadanie po drugiej stronie kuchni, Amy słuchała uważnie – pragnęła
poznać jak więcej szczegółów o nietypowych świętach z dala od matki.

– Czy tam nie jest cudownie? – znów odezwała się Martha. – Jezioro jest prze-
piękne.

– Wzięliśmy łódź i wypłynęliśmy w samo Boże Narodzenie.

Amy uniosła głowę.

– Naprawdę? – mruknęła ze zdziwieniem Martha.

– Tak – potwierdził Jack, zerkając na Amy.

– Jaką łódź?

Jack milczał przez chwilę.

– Taką zwyczajną, wiosłową. Jedną z tych, które można wypożyczyć.

– A niech mnie! – wykrzyknęła Martha. – Nic mi o tym nie wspominałaś, Amy.

– Powiedziałem coś złego? – spytał Jack.

– Ależ nie. Po prostu Amy zawsze bała się głębokiej wody. To chyba jedyne, czego się boi. Omal nie utonęła, kiedy miała siedem lat. To było straszne. Spędzaliśmy wakacje na wybrzeżu Walii i porwał ją prąd. – Zadrżała. – Dzięki Bogu za ratowników.

Jack milczał przez chwilę. Potem spojrzał na Amy i uśmiechnął się.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

– To nie była najwspanialsza chwila w moim życiu.

– Ale że zgodziła się popłynąć łódką... Nie do wiary – rzuciła Martha. – I to wiosłową! Jak ją przekonałeś?

Jack odwrócił się, żeby włożyć kubek po kawie do zmywarki.

– Trafił się piękny dzień. I wycieczka była krótka. Trwała może pół godziny.

– Pół godziny! – wykrzyknęła Martha.

– Może mniej... Mam nadzieję, że nie zrobiłaś tego, żeby sprawić mi przyjemność – powiedział do Amy.

Martha parsknęła.

– To zupełnie do niej niepodobne.

– Mamo!

– Pójdę na górę wziąć prysznic – oznajmił Jack, dając Amy buziaka.

– Super. Gdzie są inni?

– Jenna wyszła robić zdjęcia, ale obiecała, że będzie trzymać się blisko domu.

Lisy jeszcze nie widzieliśmy.

Amy skinęła głową. A więc Jenna jest sama. Wiedziała, co chce zrobić.

– Pójdę zaczerpnąć świeżego powietrza – powiedziała, gdy Jack wyszedł z kuchni.

– Och, on jest cudowny. – Martha nie posiadała się z zachwytu. – Namówił cię na łódkę!

– Zaraz wrócę – dodała Amy i poszła do holu.

Wkładając skafander, rozmyślała nad opowieścią Jacka o ich wyprawie. Wyobraziła sobie siebie w małej łodzi wiosłowej pośrodku rozległego jeziora. Na samą myśl o bliskości ciemnej wody spociły jej się dłonie. Pokręciła głową, szybko odpędzając ten obraz. Nie miała pojęcia, jak dała się namówić na pływanie łódką po jeziorze; może próbowała udowodnić sobie, że da radę. Otworzyła drzwi frontowe. Ogromna zaspą, wyższą od niej, opierała się o dom. Amy weszła na ścieżkę. Miejscami śnieg sięgał jej do kolan.

Posuwała się wolno śladami Jenny – na tyły domu, a stamtąd przez dolinę, w kierunku sosnowego lasu. Zaspy skrzyły się w słońcu, a zimne powietrze wypełniało jej płuca. Gdy zbliżała się do drzew, przyszedł jej na myśl krajobraz Narnii: ośnieżone niebosiężne sosny, wabiące ją coraz dalej od domu. Przez chwilę podziwiała piękno, które ją otaczało. Światło słoneczne sączyło się przez gałęzie, rozświetlając nieskazitelnie białą powierzchnię śniegu. To jak wejście do innego świata, pomyślała. Takiego, w którym łatwo byłoby się zgubić.

Z zadumy wyrwał ją jakiś głos. To była Jenna. Zdawało się, że mówi coś ze złością, chociaż Amy nie mogła rozróżnić słów. Ruszyła w tamtą stronę, mijając drzewa z gałęziami uginającymi się pod ciężarem śniegu.

Zobaczyła przed sobą Jennę; przyjaciółka gwałtownie się odwróciła, a jej twarz pociemniała. Rozmawiała przez telefon, ale natychmiast przerwała połączenie.

Amy podeszła bliżej.

– Nie podsłuchiwałam – powiedziała.

– Co usłyszałaś?

– Nic.

– Bardzo wygodne. Pamiętasz już coś?

– Mówisz o wystawie? Musisz mi powiedzieć, co wiesz. Co zrobiłam?

Jenna spojrzała na nią z bólem w oczach, ale pokręciła głową.

– Zimno mi.

– Nie odchódź – poprosiła ją Amy.

Jenna zatrzymała się, patrząc na nią uważnie.

– Nie mogę ci powiedzieć. Bo sama tego do końca nie rozumiem. Musisz przypomnieć sobie prawdę.

– Proszę... – zaczęła Amy, ale Jenna już odeszła.

DZIEWIĘTNAŚCIE

27 lutego

Amy wróciła do domu. Huczało jej w głowie od gorączkowego szperania w mózgu, dociekania, błagania. Od szukania odpowiedzi. Próbowwała dojść do tego, co wydarzyło się w galerii. Wciąż nie mogła pogodzić się z myślą, że nie ma dostępu do czegoś tak normalnego i naturalnego jak wspomnienia. Uniosła wzrok, gdy Jack zszedł po schodach.

– Gdzie byłaś? – zapytał, kiedy odwieszala skafander.

Westchnęła.

– Na zewnątrz. Poszłam za Jenną.

– Rozmawiałaś z nią?

– Nie chce mi powiedzieć, co ją dręczy. Czuję się tak, jakbym zrobiła coś strasznego.

– Przypomniałaś sobie coś więcej?

– Nie. Ale ciągle myślę o tym śnie, w którym mnie ściagała. Sądzisz, że to wspomnienie czegoś, co się naprawdę zdarzyło?

Objął ją i oparł policzek na jej głowie.

– Nie wiem.

Amy wdychała zapach jego świeżo umytej skóry. Był krzepiący.

– Dlaczego miałyby mnie ściagać? – rzuciła z zadumą.

– Wszystko wróci – zapewnił ją. – Zdecydowałaś już, kiedy odwiedzisz Esme?

– Nie, przepraszam. Inne sprawy zaprzętały mi myśli. – Odsunęła się od niego.
– Co ci o niej powiedziałam?

– Nie wiem, mówiłaś wiele rzeczy.

– Nie chodzi mi o test. Pytam, bo nie chcę cię zanudzać powtarzaniem czegoś, o czym wspomniałam wcześniej.

Uśmiechnął się.

– Nie miałbym nic przeciwko temu.

Amy potarła skronie.

– Głowa mi pęka.

– Znowu? Idź się położyć. Odpocznij, jak należy.

– Przecież niedawno wstałam.

– Musisz o siebie zadbać. Mam rację? – spytał, szukając w jej oczach potwierdzenia.

– Tak, tak.

– Powiem dziewczynom, żeby ci nie przeszkadzały. I powinnaś dać mi swój telefon, niech nic cię nie rozprasza. Po prostu zapomnij o wszystkim i spróbuj się przespać.

Amy się uśmiechnęła. Miło dla odmiany być pod czyjąś opieką. Oddała mu telefon i pozwoliła się zamknąć w ciepłym uścisku.

– Dziękuję.

Poszła na górę, by wziąć środki przeciwbólowe. W łazience wysypała je na rękę i spojrzała w lustro. Jej oczy wydawały się puste, zagubione. Zamrugła, wzięła się w garść. Połknęła tabletki. Wszystko wróci, powiedziała sobie. Drobiazgi już wracają. To tylko kwestia czasu. Odsunęła od siebie nieprzyjemną myśl, że pamięć nie wraca dostatecznie szybko.

Poszła do pokoju i uśmiechnęła się, widząc, że Jack go posprzątał. Jest się z czego cieszyć. Położyła się z myślą, że tabletki już zaczynają działać. To ją rozluźniło i uspokoiło jej oddech. Może jeśli poleży trochę w spokoju, nie zmuszając

się do myślenia, coś pojawi się na obrzeżach jej pamięci. Coś, co jej powie, co zaszło między nią a Jenną.

Pozwoliła błędzić myślom i patrzyła na góry za oknem. Potężne skały, istniejące od milionów lat, wydawały się takie solidne: nieruchome, niezmiennie, ale nawet one ulegały przeobrażeniom, na które nie miały wpływu. Zmieniały się nieznacznie z roku na rok, posłuszne siłom natury. Nie odrywała od nich wzroku, od ich ogromu, i czuła się bardzo mała.

W jej głowie zaczął się wyłaniać obraz. Ujrzała siebie, jak otrzepuje brudne ręce i ubranie, gdy już wstała z mokrego chodnika. Początkowo była sfrustrowana, bo wspomnienie nie dotyczyło Jenny ani wystawy. Próbowwała je od siebie odepchnąć, ale utkwilo jej w głowie i w końcu pozwoliła mu się ponieść.

Poczuła ból, spojrzała na kolano, zobaczyła dziurę w cienkich rajstopach i sączącą się krew. Przyłożyła chusteczkę do rany; pragnęła znaleźć się gdzieś daleko, z dala od deszczu, z dala od upokorzenia, jakie czuła, leżąc na brudnym chodniku, pośród rzeki obojętnych przechodniów.

Zachowaj spokój, nie ponagłaj. Nie szukaj, niech się dzieje, powtarzał jej wewnętrzny głos. Instynktownie rozumiała, że jeśli go posłucha, może nastąpić coś więcej.

Zobaczyła przed sobą szerokie schody. Wchodziła po nich powoli, obolałe kolano uniemożliwiało jej poruszanie się tak szybko jak zwykle. Spojrzała na nie – nadal dość mocno krwawiło. Zauważyła, że jest ubrudzona z przodu. Pokuśtykała w suchy kąt stacji. Przycisnęła zakrwawioną chusteczkę do rany, ale nie mogła iść normalnie i jednocześnie opatrywać kolana. Nie chciała spóźnić się na pociąg, więc otarła je, wyprostowała się i jak najszybciej poszła przez stację, czując przenikliwy ból i sączącą się krew. Znała swój peron, widziała nazwę linii na podwieszanej tablicy. Przyłożyła kartę komunikacji miejskiej do żółtego kółka na bramce. Bramka się otworzyła. Kuśtykając, skierowała się do tego samego co zwykle wagonu. Wsiadła i skręciła w stronę „swojego” miejsca, żeby usiąść i poczuć choć namiastkę zwyczajności, przywróconego porządku rzeczy.

Ktoś już tam siedział. Nie uniósł głowy, wpatrzony w ekran telefonu. Wiedziała, że miejsce nie jest jej prywatną własnością, ale mimo to rozgniewało ją, że ktoś je zajął.

Znalazła inne miejsce i gdy usiadła, poczuła wilgoć spływającą po nodze. Wyjęła z torebki czystą chusteczkę i przyłożyła ją do rany. Kiedy pociąg wyjeżdżał ze stacji, oparła głowę o szybę i odetchnęła głęboko. Cholerni dranie, przechodzili obok niej obojętnie, nikt nie zaoferował pomocy. Ani jedna osoba się nie zatrzymała! Była zła – ale też zasmucona. Zachowanie przechodniów wydawało się nie-ludzkie, bezduszne. Sprawilo, że czuła się nieważna, zdana wyłącznie na siebie. Samotna. Poczula, że drzy. Pomyślała, że zaraz wybuchnie płaczem, i z trudem przełknęła ślinę.

Gdy pociąg zatrzymał się w Earlsfield, niepewnie wyszła na peron. Ze stacji miała niedaleko do swojego mieszkania i nagle zapragnęła znaleźć się już w domu. Deszcz przestał padać, ale ulice były mokre. Powinna wstąpić do sklepu i kupić coś na kolację. Ale to ją przerosło. Chciała wrócić do domu, nic więcej. Będzie musiała zadowolić się fasolką po bretońsku na toście.

Weszła do mieszkania i uznała, że jest zimno. Podkręciła termostat, zapaliła światła. Odruchowo włączyła telewizor, potrzebując dźwięku ludzkich głosów. Usiadła, żeby obejrzeć kolano. Zsunęła rajstopy i zobaczyła paskudną ranę, która znowu zaczęła krwawić. Wzięła szybki prysznic, patrząc, jak czerwona woda znika w odpływie, po czym osuszyła kolano papierem toaletowym i nakleiła duży plaster z opatrunkiem. Stwierdziła, że jeśli przez większą część wieczoru będzie siedziała z podniesioną nogą, nie wykrwawi się na śmierć.

Jedząc w salonie skromny posiłek, usłyszała sygnał telefonu. Przyszła wiadomość z grupy na WhatsAppie: Lisa i Jenna informowały ją o piątkowej kolacji u Lisy. Miały tam być obie przyjaciółki i ich mężowie – i ona.

Od razu wiedziała, że tego nie zniesie. Uczestniczyła w wielu wydarzeniach: przyjęcia, kolacje, urodziny, zawsze bez osoby towarzyszącej. Kochała swoje przyjaciółki i dogadywała się z Davidem – a nawet z Lewisem, chociaż czasami, gdy wino płynęło strumieniem, dawał o sobie znać jego roszczeniowy charakter.

Nigdy nie powie o tym Jennie, ale Lewis naprawdę potrafił być chamski. Westchnęła. Byłoby łatwiej, gdyby miała chłopaka. Życie jest o wiele prostsze, gdy stworzysz z kimś parę. Gdy masz drugą osobę, by razem z nią żartować, śmiać się, gawędzić przy kolacji po powrocie do domu. Kogoś, kto pospieszy na odsiecz, kiedy rozmowa staje się zbyt osobista albo męcząca. Kogoś, kto jest częścią twojego życia, zna cię, z kim spędzasz czas, więc nie musisz po raz kolejny zmyślać, że w weekend wcale nie byłaś sama. Kogoś, kto poda ci kolację, gdy późno wrócisz z pracy, zostawi włączone światło, żebyś weszła do jasnego, przytulnego mieszkania. Kogoś, z kim możesz porozmawiać, kiedy upadniesz na chodnik i rozbijesz sobie kolano.

Kim jesteś? – pomyślała. I gdzie jesteś, do cholery? Bo mogłabym robić to wszystko z tobą, jestem tego pewna; czekam od lat.

Spojrzała na zaproszenie w telefonie, wiedząc, że powinna je przyjąć, i wiedząc, że tego nie chce. Nie tym razem. Jej palec zawisł w powietrzu. Będąc singlem, jesteś jedynym prawdziwym świadkiem swojego życia. Nie masz nikogo, żeby dodać go do swoich opowieści.

Pieprzyć to, pomyślała. Ja też na kogoś zasługuję. I jestem po prostu zbyt zmęczona, żeby iść na następną kolację, gdzie będę jedyną przy stole osobą bez pary. Piątym kołem u wozu.

Ułożyła wiadomość.

Hej, dzięki za zaproszenie, ale nie dam rady.

Mam randkę.

Gdy tylko nacisnęła „wyślij”, poczuła ulgę. Długotrwałe napięcie ramion zeszło, podobnie jak okropne uczucie pustki w piersi.

Obie przyjaciółki natychmiast się odezwały, żądając więcej informacji. Amy uśmiechnęła się. To tylko nieszkodliwe kłamstwo. Coś, co ją uwolni od piątkowego spotkania. Pomyślała, że przyzna im się w przyszłym tygodniu. Chociaż

może nie. Jeszcze nie. Może zatrzyma na jakiś czas swoją nową sympatię – dzięki temu matka odczepi się od niej na kilka tygodni. To da Amy trochę wytchnienia.

Oczywiście niedługo będzie musiała rozstać się z chłopakiem, bo przecież nikomu go nie przedstawi, ale może matka przestanie patrzeć na nią jak na osobę gorszego gatunku. Przyszła jej do głowy psotna myśl. Jej chłopak, jako jej własny twór, może być, kimkolwiek ona zechce. Będzie traktować ją jak księżniczkę. Obsypywać ekstrawaganckimi prezentami. Pomyślała, że może nawet pochwali się tą znajomością na Facebooku, jak wielu innych, którzy czują przymus publicznego relacjonowania najważniejszych wydarzeń ze swojego życia osobistego. Zobaczy. Ale gdy tak leżała na kanapie, ogarnęła ją nieoczekiwana i wyjątkowo przyjemna chęć pokazania światu środkowego palca.

Ponownie spojrzała na wiadomości od Jenny i Lisy, które dopytywały, kim jest jej nowy facet.

Zaczęła pisać: **Nazywa się...** Rozejrzała się po pokoju, przebiegła wzrokiem kilka imion i nazwisk na grzbietach książek na półce. **...Jack Stewart.**

Jest lekarzem i poznałam go przed stacją Waterloo.

Podniósł mnie, kiedy się przewróciłam – prawdziwy rycerz!

Leżąc na łóżku w zasypanym śniegiem domu, Amy zamarła, zszokowana.

Wymyśliła sobie chłopaka?

Bo nie chciała odgrywać przyzwoitki podczas kolacji?

Czy to prawda? Przełknęła ślinę, wróciła do wspomnienia. Było tak klarowne i prawdziwe jak wszystko, o czym wiedziała, że naprawdę wydarzyło się w jej życiu.

Poczuła gęsią skórę na ramionach, gdy uderzyła ją kolejna myśl, niczym cios w żołądek.

Jeśli wymyśliła doktora Jacka Stewarta, to kim jest ten mężczyzna na dole?

DWADZIEŚCIA

27 lutego

Amy próbowała uspokoić oddech. Na pewno się pomyliła. To nie miało sensu. Zapewne ten przeklęty uraz głowy znów daje o sobie znać, wszystko jej się miesza. Była taka dezorientowana. Potarła twarz dłońmi. Umysł płata jej figle, nie może być innego wytłumaczenia.

Nagle odetchnęła z ulgą, bo coś sobie uświadomiła. Wszystkie te randki z Jackiem, wszystkie zdjęcia na Facebooku... Ma dowód! I Boże Narodzenie! Byli w Lake District. Kupił jej piękny prezent. Szybko podeszła do toaletki, otworzyła szufladę. Dotknęła pudełeczka z naszyjnikiem i poczuła ogromną ulgę, że oto ma namacalne potwierdzenie. Nie wymyśliła tego. Wisiorek jest prawdziwy, Jack jest prawdziwy.

Cholera, doznaje halucynacji.

Zsunęła się ze stołka i podeszła do okna. Wpatrywała się w ogromne góry, próbując wchłonąć ich siłę. Wciąż czuła się trochę wstrząśnięta fałszywym wspomnieniem – może jej umysł mieszał to, co zdarzyło się, zanim spotkała Jacka, z tym, co nastąpiło później. Przecież wiele razy wracała do domu, do ciemnego, pustego mieszkania. I lekarz uprzedzał ją, że pamięć może tak działać.

Drzwi za nią otworzyły się cicho. Odwróciła się.

– Przepraszam, nie chciałem cię wystraszyć – powiedział Jack. – Przyszedłem zobaczyć, jak się masz. Nie powinnaś odpoczywać? Jak głowa?

– Troszkę lepiej. – Uśmiechnęła się.

Podszedł i objął ją, patrząc w okno ponad jej ramieniem.

– Zapiera dech w piersi, prawda? – rzucił, zafascynowany widokiem.

Amy cicho potwierdziła.

– Pomyślałem, że moglibyśmy wszyscy pójść na spacer. Krótki, żeby nie nadwyrężyć kostki Jenny. Co o tym sądzisz?

– Dobry pomysł. Wiesz, próbowałam coś sobie przypomnieć.

– Tak?

– O Bożym Narodzeniu.

– Mów dalej.

– Dałeś mi ten piękny naszyjnik...

– Tak.

– A co dostałeś ode mnie?

Wyobrazila to sobie czy naprawdę przez ułamek sekundy się zawahał?

– Zegarek.

Amy podciągnęła rękaw jego swetra. Nadgarstek był pusty.

– No to mam kłopot... – zaczął, skonsternowany. – Ale byłeś bardzo wyrozumiały, gdy ci to wyjaśniałem – dokończył z nadzieją.

– Gdzie on jest?

– Pękło szkiełko, pamiętasz?

Pokręciła głową.

– Podczas gry w rugby. Twarde szarżowanie. – Po chwili dodał: – Oddałem go do naprawy.

– No tak. – Po namyśle spytała: – Jaki?

– Sportowy g-shock. Naprawdę powinien przetrwać szarżę.

– I co jeszcze się działo?

– Co masz na myśli?

– W święta.

– Chodziliśmy na spacer...

– Wycieczki łodzią?

Uśmiechnął się.

– Tylko jedna. Nie mogłem cię namówić na powtórkę.

– Co jedliśmy na świąteczny obiad?

– Tradycyjnie. Był indyk i wszystkie dodatki.

To ją zaskoczyło.

– No tak. A zawsze przysięgałam sobie, że jeśli kiedyś będę spędzać Boże Narodzenie bez mamy, zrobię na kolację coś zupełnie innego.

– Doskonale cię rozumiem, tradycyjne potrawy mogą być trochę nudne. Ale nic innego nie mieli w menu. Chyba że byłabyś wegetarianką. Posłuchaj, zobaczę, czy dziewczyny są wolne. Warto wyjść, póki jest pogoda.

– Spotkamy się na dole.

Jack pocałował ją i wyszedł. Amy ponownie spojrzała na toaletkę, ogarnięta nagłym strachem, że tylko wyobraziła sobie ten naszyjnik. Podeszła i usiadła na stołku. Wsunęła szufladę. Pudełeczko nie zniknęło. Wyjęła je i otworzyła. Diament błysnął. Wzięła go i zapięła łańcuszek na karku. Ta czynność wydawała się znajoma.

Nagle zamarła. Usłyszała głos w swojej głowie.

„Wygląda nadzwyczajnie”.

Ale nie był to głos Jacka ani żadnej z przyjaciółek, ani nikogo znajomego. Usłyszała te słowa od starszej pani w eleganckiej granatowej garsonce z pomarańczową jedwabną apaszką. Była właścicielką ekskluzywnego sklepu z biżuterią w pobliżu jej biura. Poza nimi dwiema w sklepie nie było nikogo.

Amy próbowała spowolnić oddech, zdusić zimny przypływ paniki. Na pewno się myli. Pokręciła głową, żeby wyciszyć umysł, ale wspomnienie nadal było wyraziste. Widziała gabloty z drewnianymi półkami. Jasne światła padające na kremowe atlasowe podstawki. Uśmiechniętą kobietę z kasztanowym kokiem. Przypomniała sobie jej imię i nazwisko: Ruth Wood. Kobieta przedstawiła się, gdy Amy weszła do sklepu. Ruth nacisnęła brzęczyk, by otworzyć drzwi, i zadzwieczał dzwonek.

Amy zobaczyła swoje odbicie w lustrze; w zagłębieniu pod szyją leżał jedno-karatowy diament.

– Jaka to okazja? – spytała Ruth.

Amy nie odpowiedziała od razu. Przełknęła poczucie winy.

– Pomyślałam, że sama sprawię sobie prezent, to wszystko.

Gładka maska Ruth trochę się ukruszyła, a szczery podziw ocieplił oczy kobiety.

– Na Gwiazdkę?

– Tak. – Amy dotknęła diamentu. – Po co czekać, aż mężczyzna ofiaruje coś takiego? To podarek. Ode mnie dla mnie.

Ruth uśmiechnęła się.

– Myślę, że będzie miał takie samo znaczenie jak wszystko, co można dostać od mężczyzny.

Amy patrzyła, jak Ruth starannie pakuje naszyjnik. Wychodząc ze sklepu, czuła się, jakby zrobiła coś niesłychanie ekstrawaganckiego i nieprzyzwoitego – nigdy dotąd nie wydała na siebie tak dużo pieniędzy za jednym zamachem – ale miała też wrażenie, że ktoś się o nią troszczy. To ja! – pomyślała, chichocząc w duchu, wciąż podniecona zakupem.

Ochłonęła, zbliżając się do restauracyjki, gdzie umówiła się z matką na lunch. Czas spędzany z Martha często bywał pełen napięcia, a ona cała w nerwach czekała na pytania dotyczące życia prywatnego, pytania, które budziły jej lęk. Martha zawsze chciała wiedzieć, czy Amy już kogoś poznała. Za każdym razem, gdy się spotykały, w powietrzu unosiło się oczekiwanie, aż w końcu matka pytała o to, a ona była zmuszona po raz kolejny przyznać, że zawiodła jako córka, jako prawidłowo funkcjonujący członek społeczeństwa. Nie była odpowiednią partią, nie była wystarczająco atrakcyjna ani ponętna – od pięciu długich lat. Mierzenie się z tymi brakami głęboko ją raniło i czasami miała ochotę krzyknąć: „Czy nie zdajesz sobie sprawy, że chcę kogoś poznać?! Że jestem równie samotna jak ty?!”.

Amy wiedziała, że matka pragnie radości i spełnienia, jakie zapewniają większa rodzina, wnuki. Właśnie to uważała za sukces, a nie karierę córki czy jej finansową niezależność. A im bardziej domagała się tego szczytu osiągnięć, tym większym Amy czuła się nieudacznikiem.

To spotkanie zapowiadało się jeszcze bardziej przygnębiająco, ponieważ Amy miała zamiar omówić ich świąteczne plany. Od śmierci ojca zawsze jeździła do domu matki, ostoji przebrzmiałych tradycji, które były tak znajome, że nawet o nich nie myślały, tradycji pozbawionych ożywienia i radości. Amy spała w swoim starym łóżku z dzieciństwa i czuła się tak, jakby od dnia, kiedy z niego wyrosła, nigdy nie doświadczyła niczego innego. Matka piła za dużo i wspominała czasy, gdy żył mąż, i odchodziła wtedy do swojego małego świata gdzieś w przeszłości, pozostawiając Amy coraz bardziej samotną. Drugiego dnia świąt Amy wstawiała wcześnie, by wrócić pociągiem do Londynu, i żegnała się z leżącą w łóżku skacowaną matką. Z każdym przejechanym kilometrem przytłaczały ją coraz większy smutek i wrażenie, że marnuje życie.

Gdy dotarła do restauracji, matka już czekała. Ledwie Amy usiadła, Martha wyciągnęła telefon.

– Muszę ci to pokazać. – Entuzjastycznie postukała w ekran. – Sally... pamiętasz, moja stara przyjaciółka z Weybridge... znowu została babcią. Doczekała się wnuczki. Piękna dziewczynka, spójrz.

Amy była zmuszona zerknąć na ekran telefonu: śpiące niemowlę, owinięte bawełnianym kocykiem w kolorze szafranu.

– Jest słodka – rzuciła.

Martha wpatrywała się w zdjęcie z wyrazem zachwytu i tęsknoty.

– Z pewnością. I to też musisz zobaczyć. – Przesunęła palcem po ekranie. – Harriet, córka Caroline... wiesz, mojej przyjaciółki z pilatesu... właśnie urodziła swoje pierwsze.

Amy cała się spięła. Matka jeszcze nie wspomniała, że Harriet poślubiła byłego chłopaka córki, Richarda. Chodzili ze sobą dawno temu, w czasach studenc-

kich, ale Martha często robiła aluzje, że Amy zmarnowała taką okazję – zwłaszcza że wciąż nie potrafiła znaleźć sobie partnera na dłużej.

– To ona, spójrz. – Martha podsunęła jej swój telefon. – W leżaczkę.

Amy nie chciała oglądać zdjęć, ale nie mogła tego uniknąć. Drgnęła, zdając sobie sprawę, że na buzi niemowlęcia dostrzega cechy Richarda. To mogłaś być ty, powiedział jej wewnętrzny głos, to mogło być twoje dziecko. Odwróciła wzrok. Chcę mieć dzieci, tak, ale nie z Richardem, upomniała samą siebie surowo.

– Bardzo ładna. Gratulacje dla wszystkich zaangażowanych – powiedziała z werwą.

Martha skrzywiła się.

– Mogłabyś się postarać, żeby zabrzmiało to szczerze.

– Mamo, mówię serio. Ale musisz zrozumieć, nie znam tej Harriet ani jej dziecka. W zasadzie nie znam już nawet Richarda.

Martha pociągnęła nosem. Taki odgłos maskował to, co naprawdę chciała powiedzieć: Mogłaś go poznać. Mogłaś go poślubić i dać mi cudowną wnuczkę.

– Cóż, lepiej zbytnio nie zwlekaj. – Matka umilkła na chwilę, po czym dodała: – Czytałam o tym w gazecie. O płodności starszych kobiet. Nie starszych – poprawiła się szybko, widząc minę Amy – ale wiesz, przed trzydziestką. Stwierdzono, że po trzydziestce większość kobiet traci dziewięćdziesiąt procent jajeczek. – Z troskana spojrzała na córkę.

Amy z irytacją zdusiła rodzącą się panikę. Widziała ten artykuł. Ale przecież żyła w cnocie nie dlatego, żeby zrobić matce na złość i przetestować swoje jajeczka do granic możliwości. Nie przeprowadzała eksperymentu naukowego, by sprawdzić, czy jej układ rozrodczy jest w stanie pokonać naturę.

Próbowała wymyślić jakąś odpowiedź, która odciągnie matkę od tematu – wiedząc z doświadczenia, że ta będzie nieustannie do niego wracać – gdy nagle zaświtało jej w głowie, że jedna „nowina” zapewni jej wolność, której pragnęła niczym ptak w klatce.

– Właściwie, mamo, poznałam kogoś.

Martha nie od razu przyswoiła sobie jej słowa. Pewnie dlatego, że czekała na nie tak długo, pomyślała Amy. Potem twarz matki rozświetlił uśmiech zachwytu, słońce przebijające się przez chmury.

– Kogo?! – wykrzyknęła. – Kiedy? O mój Boże, chcę wiedzieć wszystko!

– Jacka Stewarta. Lekarza. Zaledwie w ubiegłym tygodniu – odparła Amy, pilnując, żeby wszystko zgadzało się z tym, co mówiła Lisie i Jennie. – Na stacji Waterloo.

Gdy przekazywała matce szczegóły, w miarę możliwości starając się bagatelizować dręczące ją wyrzuty sumienia, wiedziała, że zamierza zrobić coś, o czym nigdy wcześniej nie śmiała choćby marzyć. Przypisała swój pomysł stanowi upojenia, w jaki wprowadził ją zakup naszyjnika, połączonemu z rozpaczliwym pragnieniem, by zapewnić sobie trochę swobody. Niezależnie od przyczyny, nie mogła powstrzymać słów płynących z jej ust.

– Poprosił mnie, żebym pojechała z nim do Lake District na Boże Narodzenie.

Kiedy rzuciła tę bombę, oszołomił ją wachlarz możliwości. Ucieknie. Wyrwie się gdzieś, gdzie święta Bożego Narodzenia – których serdecznie nienawidziła z powodu szczególnej uwagi, jaką poświęcało się parom, rodzinom i dzieciom – prawie nie istnieją. Stambuł! Pojedzie do Stambułu.

– Naprawdę? – Twarz Marthy wyrażała sprzeczne emocje: radość, że córka spędzi ten wyjątkowy czas w roku z chłopakiem, i żal, że nie będą razem robić tego co zawsze. – Skarbie, musisz jechać. Nie martw się o mnie. Traf chciał, że niedawno piłam kawę z Beth i okazało, że jej syn jest w Australii, a ona w święta będzie zupełnie sama. Rozmawialiśmy, że może zabawnie będzie zrobić coś razem.

– Jesteś absolutnie pewna?

Amy, przygnieciona poczuciem winy, zastanawiała się, czy nie cofnąć wszystkiego i nie powiedzieć mamie, że jednak spędzi z nią Gwiazdkę.

– Całkowicie. Wyjdzie na dobre nam obu, jeśli zrobimy coś trochę innego.

I klamka zapadła.

– To kiedy go poznam? – spytała Martha.

– Wszystko w swoim czasie, mamó – odparła z uśmiechem Amy. – Nie jesteśmy razem zbyt długo.

Obliczała w myślach, kiedy może rozstać się z Jackiem, bo nie chciała łamać matce serca bardziej, niż było to konieczne. Zerwą ze sobą po Bożym Narodzeniu. Na pewno nie przed walentynkami – współczucie byłoby nie do zniesienia. Z tego samego względu również nie przed urodzinami Amy, które wypadają dwa tygodnie później. Marzec. Rozstaną się w marcu. Wymyśli jakąś „wspólnie uzgodnioną” przyczynę polubownego rozstania.

Matka będzie zdruzgotana, pomyślała nerwowo. Z drugiej strony może wyświadczam jej przysługę. Jack może dać Marcie nadzieję, że mimo wszystko jej córka jest w stanie spotykać się z mężczyzną.

*

Amy siedziała jak wrośnięta w stołek. Nie było Bożego Narodzenia w Lake District. Naszyjnik nie pochodził od Jacka; sama go kupiła.

A może umysł płata jej kolejne figle? Pomysł ucieczki do Stambułu, żeby uniknąć świąt z matką, wydawał się wprost niepojęty.

Jej myśli powędrowały do telefonu, który Jack zostawił na łóżku. Chwyciła go, przejrzała posty na Facebooku. Każde zdjęcie odnoszące się do ich związku przedstawiało coś niewinnego: talerz z jedzeniem, malownicze miejsce na spacerze. Ani jednego zdjęcia jego twarzy – i teraz zrozumiała dlaczego. A jeśli wymyśliła chłopaka, to jak, u diabła, znalazł ją ten oszust? Kim on jest? Wpasował się w jej fikcję – skąd wiedział o tym wszystkim? Czego chce?

Chyba że... chyba że zwariowała. Jaka jest prawda?

DWADZIEŚCIA JEDEN

27 lutego

Amy krążyła po pokoju, świadoma, że Jack czeka na nią na dole. Słyszała, jak wszyscy się zbierają, żeby iść na spacer.

– Amy? – Z holu dobiegł ją głos Marthy. – Jesteś gotowa?

Otworzyła drzwi i ostrożnie zeszła po schodach. Zatrzymała się w połowie, widząc wpatrzone w nią cztery pary oczu. Jenna zaraz odwróciła wzrok, pochylając się, żeby poprawić buty.

– Ruchy, ruchy! – ponagliła Amy matka.

Strach skręcał jej wnętrzości. Widziała, że Jack na nią patrzy, i czuła, że na razie musi zachować nowo odkryte lęki dla siebie.

– Jednak odpuszczę sobie spacer – oznajmiła.

– Co się stało? – spytał Jack, z niepokojem marszcząc brwi. – Czy nie mówiłaś, że ból głowy już minął?

– Tak, mówiłam – potwierdziła szybko. Zaczepnęła tchu. – Jestem trochę zmęczona, to wszystko. Będzie lepiej, jak zostanę i spokojnie poczytam książkę.

– Świeże powietrze dobrze ci zrobi – upierał się Jack.

– On ma rację – poparła go Lisa.

– Taka jest również matczyzna rada – wtrąciła Martha.

Jenna tylko patrzyła na nią w milczeniu.

Dlaczego wszyscy zmówili się przeciwko mnie? – pomyślała Amy. Stłumiła irytację i uśmiechnęła się, najłagodniej, jak mogła.

– Wyjdę później. Bawcie się dobrze. Zresztą nie idziecie na długo, prawda? – Musiała wiedzieć, ile czasu będzie miała dla siebie.

– Pół godziny? – rzuciła Lisa. – Nie pójdziemy daleko, żeby Jenna nie nadwyreżyła kostki.

– No właśnie. Niewiele stracę – powiedziała Amy. – Do zobaczenia. – Odwróciła się i ruszyła na górę, by uniknąć dalszych protestów.

Weszła do swojego pokoju, ale przystanęła tuż za lekko uchylonymi drzwiami. Słyszała, jak wszyscy biorą czapki i rękawiczki, a potem otworzyły się drzwi frontowe. Głosy cichły jeden po drugim, drzwi się zatrzasnęły. Gdy tylko zapadła cisza, wymknęła się z pokoju. Przeszła przez korytarz w stronę pokoju, w którym Jack spędził pierwszą noc. Nacisnęła klamkę i wślizgnęła się do środka.

Łóżko było starannie zasłane. Na podłodze obok szafy stała jego torba, rozpięta, i Amy zobaczyła w niej ubrania. Podeszła i ostrożnie ją rozchyliła. Podniosła ubrania, pilnując, żeby nie zaburzyć ich schludnego ułożenia. Pod koszulkami, swetrami i džinsami była książka i zapasowa ładowarka. Nic, co pomogłoby zidentyfikować Jacka Stewarta. Rozejrzała się dokoła. Na szafce nocnej obok łóżka leżała ładowarka do telefonu. Otworzyła szafkę – pusta, podobnie jak szuflady i szafa, z wyjątkiem jednej wiszącej koszuli.

Może w łazience? Otworzyła drzwi. Znalazła tam szczoteczkę do zębów, maszynkę do golenia i dezodorant. Przy umywalce leżała kosmetyczka – nie spodziewała się czegokolwiek w niej znaleźć, ale przetrząsnęła ją na wszelki wypadek. Nie zawierała niczego poza kosmetykami.

Amy westchnęła z frustracji. Musi coś być. Sprawdzi ponownie. Tym razem zajrzała pod łóżko, przeszukała kieszenie wszystkich ubrań i kosz, a nawet podniosła materac. Niczego nie znalazła. Możliwe, że miał przy sobie portfel i oczywiście telefon. Ale co z paszportem?

Znowu ogarnęła wzrokiem pokój. Musi gdzieś tutaj być. Kto zabiera paszport na spacer po śniegu? Już miała wznowić poszukiwania, gdy usłyszała jakiś hałas. Ktoś szedł po schodach.

Zamarła. Spanikowana, rzuciła okiem na zegarek. Minęło dopiero piętnaście minut – dlaczego ktoś wrócił tak szybko? Może Jenna, żeby dać odpocząć kostce. Ale kroki minęły drzwi Jenny; ich odgłos zbliżał się do pokoju Jacka. Amy rozejrzała się gorączkowo, po czym wskoczyła do łazienki. Usłyszała otwierające się drzwi i zerknęła przez szczelinę przy zawiasach. W pokoju stał Jack. Położył portfel na szafce nocnej i powiódł dokoła wzrokiem.

Amy wyszła z łazienki, szeroko się uśmiechając.

– Och, cześć – powiedziała. – Szybko wróciłeś.

– Twojej mamie zmarzły ręce. Pomyślałem, że mam ogrzewacze, wiesz, te, które wkłada się do rękawiczek. – Spojrzał na nią pytająco. – Wszystko w porządku?

Pokazała mu papier toaletowy, który wzięła z jego łazienki.

– U mnie się skończył. Wiedziałam, że tu jest kilka zapasowych rolek. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe... że tu weszłam.

– Pewnie, że nie! – Jack rozproszył jej obawy.

Popatrzyli na siebie. Kim jesteś? – pomyślała. Skąd się tu wzięłeś?

– Chodź – powiedział, odwracając się do drzwi. – Może pójdziesz ze mną? Bez ciebie to nie to samo.

Przeniosła wzrok na jego torbę.

– A ogrzewacze?

– Słucham?

– Dla mamy.

Plasnął się dłonią w czoło.

– Oczywiście. – Podszedł do torby i zaczął ją przetrząsać. Amy wiedziała, że nie ma tam żadnych ogrzewaczy, i zastanawiała się, czy Jack też o tym wie. – Mógłbym przysiąc... – Wzruszył ramionami. – Chyba jednak ich nie zabrałem.

Na dole trzasnęły drzwi.

– Jack?! – zawołała Martha. – Wróciłyśmy. Nie fatyguj się. Lisa rzuciła we mnie śnieżką i mam pełno śniegu za kołnierzem!

– To była zemsta za wepchnięcie mnie w zaspę – dobiegł ich głos Lisy.

– Zgłodniałem – powiedział Jack. – Może zjemy lunch?

Przepuścił ją, żeby pierwsza wyszła z pokoju. Czuła się spięta, gdy szedł tuż za nią. Nagle zapragnęła znaleźć się w towarzystwie pozostałych.

DWADZIEŚCIA DWA

27 lutego

Amy sztywniała za każdym razem, gdy podczas lunchu ramię Jacka muskało jej ramię. Zamierzała usiąść z dala od niego. Dałoby jej to czas na pomyślenie, na złapanie oddechu. Chciała go obserwować i zobaczyć, czy z czymś się zdradzi. Usiadł pierwszy, a potem widząc, że ona podchodzi do stołu z miską makaronu, wysunął krzesło obok siebie. Zawahała się, ale nie potrafiła znaleźć żadnego rozsądnego pretekstu, żeby wybrać inne miejsce.

Znowu otworzyli wino i pili – wszyscy oprócz niej. Chciała zachować trzeźwość umysłu, spróbować zrozumieć, co się stało. Jakim sposobem ten mężczyzna wkradł się w jej życie? Martha po dwóch lampkach czerwonego wina znów zaczęła rozwodzić się nad tym, jak Jack zabrał Amy na łódkę podczas ich świątecznej wyprawy. Raczyła Jennę i Lisę tą opowieścią, przedstawiając Jacka jako jeszcze większego bohatera, niż wydawał się rano.

– A potem sprawił, że wsiadła do łódki – mówiła. – Wyobrażacie sobie? Kiedy Amy raz podejmie decyzję, nakłonienie jej do zmiany zdania jest szalenie trudne, wręcz niemożliwe. – Uśmiechnęła się do Jacka.

– Miała na sobie kamizelkę ratunkową – powiedział skromnie Jack – może to dodało jej odwagi.

Nie, wcale nie, pomyślała Amy, mając przed oczami samą siebie. Byłam ubrana w sweter i dzinsy i spacerowałam po Krytym Bazarze w Stambule, szukając ceramicznej lampy.

Na pewno? Czy dobrze to zapamiętała? Nagle ogarnęły ją wątpliwości.

– Może wyświadczyłeś sobie niedźwiedzią przysługę – odezwała się Jenna, a Amy jakby wyczuła nutkę sarkazmu w jej głosie. – A może jesteś tym, kogo naprawdę potrzebuje Amy.

– Cóż, z pewnością jest szczęśliwsza, odkąd się pojawiłeś – oznajmiła Martha. Amy miała wrażenie, że makaron rośnie jej w żołądku.

– Co jeszcze przeskrobałeś? – zapytała Lisa. – Amy tak niewiele nam mówiła o waszej podróży.

– Wspięliśmy się na Scafell Pike – odparł Jack. – W drugi dzień świąt.

– Poważnie? Szlak nie był oblodzony?

– Mieliśmy raki na buty.

– Aha, super. I jak tam jest?

– Stromo! Amy jest sprawniejsza ode mnie. Przez większość czasu prowadziła.

– Cała moja córka. – Martha trąciła Amy w łokieć.

Amy zmusiła się do uśmiechu. Akurat to do niej pasowało, mogłaby tak się zachować.

– Jaki był widok ze szczytu? – spytała Jenna.

– Masz góry u stóp, wszędzie, jak okiem sięgnąć – odparł Jack. – Chociaż było wietrznie. Miałem ze sobą termos i napiliśmy się gorącej czekolady.

Nie, nie, pomyślała rozpaczliwie Amy. Nie przypominała sobie niczego takiego.

– Zawsze uważałam, że schodzić jest gorzej, niż się wspinać – wtrąciła Martha. – Wszystkie te luźne kamienie pod nogami...

– Amy jest zwinna jak kozica – zapewnił z uśmiechem Jack.

– Skąd wiesz? – wypaliła Amy, wrzucając widelec do miski, aż zabrzączał.

Wszyscy spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

– Przepraszam... powiedziałem coś nie tak? – Jack był wyraźnie zaskoczony.

– Amy to, Amy tamto... Nic o mnie nie wiesz.

Uśmiechnął się niepewnie.

- No tak, spotykamy się dopiero od kilku miesięcy, ale...
- Przestań – powiedziała Amy. – Proszę, przestań.
- Przepraszam – mruknął, zbity z tropu. – Nie chciałem cię zdenerwować ani nic takiego. – Objął ją, a ona nagle wstała.
- Straciłam apetyt – oznajmiła i wyszła z kuchni.

DWADZIEŚCIA TRZY

27 lutego

– Co się stało? – spytała Lisa, wsuwając głowę przez drzwi.

Amy, wzburzona, odwróciła się i zobaczyła podchodzącą do niej przyjaciółkę. Dorzuciła polano do kominka – ogień zaczął trzaskać i strzelały iskry. Z nerwów bolał ją brzuch. We fragmentach wspomnień z pobytu w Stambule było coś jeszcze. Znajdowała się w pięknym miejscu, ale jakiś ciężar przygniatał jej serce. Nie-wytłumaczalne poczucie wielkiej straty. Nie wiedziała, o co chodziło, ale napa-
wało ją to przerażeniem. Właściwie nawet nie miała pojęcia, czy cokolwiek z tego było prawdziwe. Patrzyła w roztańczone płomienie, czując, że musi się komuś zwierzyć.

– Napłynęło kolejne wspomnienie – odezwała się. – Właściwie kilka.

Lisa rozpromieniła się.

– To wspaniale. Prawda? – zapytała, gdy Amy nie odwzajemniła uśmiechu.

– Chodzi o Jacka – szepnęła Amy. Wzięła głęboki oddech. – Jestem prawie pewna, że go wymyśliłam.

Lisa zmarszczyła brwi.

– Słucham?

– Wymyśliłam go. A on siedzi tam, w kuchni, i jakby nigdy nic je z nami lunch.

Przyjaciółka była kompletnie skołowana.

– Co zrobiłaś?

Amy nie powtórzyła tego po raz trzeci.

– Przecież tam jest – wyjąkała Lisa, wskazując w kierunku kuchni.

– Tak, ale to nie Jack Stewart. Ponieważ Jack Stewart nie istnieje. Prawdziwy Jack Stewart, który wcale nie jest prawdziwy, to wytwór mojej wyobraźni. Wymyśliłam go i powiedziałam wam wszystkim, że jest moim chłopakiem.

Lisa parsknęła krótkim śmiechem.

– Więc... nie jest prawdziwy.

– Przecież to mówię.

– Wymyśliłaś faceta i powiedziałaś nam, że jest twoim chłopakiem?

– Lisa, naprawdę musisz zacząć nadązać.

– Ale... czemu?

– Dla żartu.

– Dla żartu?! – wybuchła Lisa.

Amy wypuściła powietrze.

– Częściowo. Miałam dość tych wszystkich postów na Facebooku. Ludzie wrzucają zdjęcia swoich idealnych weekendów: trzymanie się za ręce w parku, jesienne liście, wspólne granie w planszówki w pubie...

Przyjaciółka chwilę się zastanawiała.

– Ja i David grywamy w pubie. Nabijałaś się z naszych niedziel?

– Wolę myśleć o tym jako o satyrze.

Lisa pokręciła głową.

– Nadal nie do końca rozumiem. Jak Jack może być wymyślony? Pokazałaś nam wszystko. Kolacje... kwiaty na walentynki!

– Zdjęcia kolacji były zbliżeniami tego, co jadłam w domu. Kwiaty najpewniej sama kupiłam. Tak miało być tylko przez jakiś czas. Zaraz po urodzinach zamierzałam z nim „zerwać”. Miało go tutaj nie być... mówiłam, że musi pracować, pamiętasz?

– Tak, właśnie tak mi powiedziałaś. – Lisa potarła twarz dłońmi i uważnie spojrzała na Amy.

– Nie wierzysz mi.

– Nie w tym rzecz... Słuchaj, uraz głowy może wywoływać różnego rodzaju skutki uboczne.

– Nie mam urojeń – oświadczyła stanowczo Amy.

– Nie twierdzą, że masz urojenia. Ale jeśli Jack Stewart nie istnieje, to kto jest w kuchni?

– No właśnie. Nie mam pojęcia.

– Wydaje się taki miły...

– Udaje – przerwała jej Amy. – To oszust... Przynajmniej tak sądzę.

Lisa namyślała się przez chwilę.

– Jak bardzo jesteś pewna? Jak wyraźne są twoje wspomnienia... że sama stworzyłaś sobie chłopaka?

– Dość jasne.

– Wiesz, że to wszystko brzmi...

– Jak kompletne wariactwo. Wiem. – Amy położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki. – Posłuchaj, boję się. Jestem zupełnie pewna, że mam rację. Więc kimkolwiek on jest, to kłamca. To mnie przeraża. Jest obcym człowiekiem i znalazł sposób, żeby się tu wkręcić, do tego domu, z nami wszystkimi.

– Może po prostu potrzebował miejscówki na urlop.

– To nie żart – mruknęła ponuro Amy.

– Wiem, wybacz. Trudno mi to wszystko ogarnąć. – Lisa umilkła, a po chwili dodała: – Jest tylko jedna rzecz, jaką możesz zrobić. Wiesz o tym, prawda?

Amy skinęła głową.

– Muszę się z nim rozmówić.

DWADZIEŚCIA CZTERY

15 stycznia

Harry był już potwornie znudzony. Pracował tu nieco ponad tydzień, w kółko polerując kieliszki, napełniając je winem, zbierając i ponownie myjąc, i czuł się jak w kieracie. Miał wrażenie, że nigdy się od tego nie uwolni. Najgorsza była świadomość, że jest tutaj, by służyć, posłusznie obsługiwać innych. Praca nie różniła się od tej w Dolce and Gabbana, gdzie musiał kłaniać się i nadszkakiwać najbogatszym ludziom w mieście, z większą ilością pieniędzy, niż on kiedykolwiek widział na oczy, klientom, którzy bez mrugnięcia okiem podawali mu marynarki po tysiąc funtów, rzucali jedne rzeczy, by przymierzyć inne, traktując go jak żywy wieszak. Nienawidził tego i zdawał sobie sprawę, że nie powinien podejmować pracy, w której będzie na każde zawołanie tych bogatszych od niego, ale czy miał jakiś wybór? Nie miał żadnego, uświadomił sobie, patrząc na tłum klientów we wczesny piątkowy wieczór.

Widział, jak Max lawiruje między stolikami, proponując zastąpienie pustych butelek pełnymi, gawędząc z gośćmi, zagadując nowszych klientów, w nadziei że zostaną stałymi bywalcami. Nie dostrzegł nigdzie Ellen i Rosie; nie widział żadnej z nich od tygodnia.

Max przeszedł do innego stolika. Harry obserwował go. Czekał na odpowiedni moment, by odciągnąć szefa na stronę. Miał do niego prośbę i trochę się denerwował. I Max akurat się zjawił, oparł się o bar i z aprobatą powiódł wzrokiem po wnętrzu. Harry poznał, że szef jest w dobrym humorze; wszystko wskazywało na to, że zapowiada się kolejny udany wieczór.

Nadarzyła się właściwa okazja. Alex, drugi członek personelu pracujący na tej zmianie, zszedł do piwnicy po kolejne butelki. Harry dopilnował, by mieć coś w rękach i wyglądać na zajętego.

Przemówił do pleców szefa.

– Max, możemy zamienić kilka słów?

Ten odwrócił się energicznie.

– Co tam?

Harry spostrzegł lekki grymas niezadowolenia, ale było już za późno, żeby się wycofać.

– Zastanawiałem się... Jestem trochę pod kreską. Mógłbym dostać zaliczkę?

– Niestety, nie jest to zgodne z polityką firmy.

Harry najeżył się. Co on sobie wyobraża, że winiarnia to koncern o zerowej elastyczności? Na litość boską, zatrudniali trzy osoby. Gdzie jego ludzkie odruchy?

– Rozumiem, ale do wypłaty jest jeszcze sporo czasu i mam mały problem z płynnością finansową. Na podstawowe potrzeby – dodał, mając nadzieję, że Max zrozumie, że nie wyda zaliczki na piwo, że to pieniądze na czynsz, by odczepił się od niego właściciel mieszkania, a raczej działający w jego imieniu windykator.

W środę Harry odsypiał zmianę, gdy wczesnym rankiem zbudziło go uporczywe i coraz głośniejsze pukanie do drzwi. Starał się zignorować hałas, ale przez szczelinę na listy zagrzemiał znajomy głos, który wsączył się w jego trzewia i przepełnił go strachem.

– Otwieraj, leniwy skurwielu! Masz dziesięć sekund.

To wystarczyło, by Harry wygramolił się z łóżka. Wiedział, że Nick ma klucz i go użyje. Nie chciał, żeby ten wielki jak niedźwiedź facet wpadł do jego kawalerki i zastał go leżącego w samych majtkach. Wciągnął bluzę i joggery i podbiegł do drzwi.

– Nie spieszyłeś się – warknął Nick.

– Ciebie też miło widzieć – powiedział Harry, nie otwierając drzwi do końca.

Nick zwrócił na to uwagę i mocno pchnął je nogą. Drzwi wyrwały się z ręki Harry'ego i trzasnęły w ścianę.

Harry wsunął ręce do kieszeni, w duchu pragnąc jak najszybciej mieć to za sobą. Zdawał sobie sprawę, po co przyszedł Nick; nie wiedział tylko, co tamten zrobi.

– Wisisz kasę za czynsz – rzucił Nick.

Harry skinął głową.

– Szef zgodził się na dwa tygodnie.

Harry nie miał okazji poznać właściciela, ale czytał o nim w internecie. Przesłuchiwano go w sprawie wynajmowania lokali, które nie spełniają norm przeciwpożarowych; pomimo dowodów wyszedł z tego obronną ręką. W odpowiedzi podwyższył czynsze skarżącym się najemcom.

– Mam robotę – dodał. – Dostanie swoją forszę.

– Chcę teraz.

– Zacząłem kilka dni temu. Zapłacą mi dopiero w przyszłym miesiącu.

– Coś ci powiem. Dasz cztery stówy do soboty, a dopilnuję, że będzie szczęśliwy do przyszłego miesiąca.

– Do soboty tylko trzy dni!

– Pięć stów.

– Nie mogę...

– Sześć – zażądał Nick z kamiennym wyrazem twarzy.

Harry ugryzł się w język. Był wściekły, ale wiedział, że lepiej nie mówić nic więcej. Trzy dni, by znaleźć sześćset funtów! Niemożliwe.

– Postaraj się, bo inaczej przyjdę tu w sobotę rano o tej samej porze. I w przeciwieństwie do dzisiejszej wizyty daruję sobie pukanie. Jak nie otworzysz i nie powitasz mnie z wielkimi honorami, z gotówką w tych pięknych niepołamanych palcach, to wparuję tu jako twój osobisty budzik. Słyszysz, co mówię?

Harry wpatrywał się w niego bez słowa. Kiwnął głową.

– Dobra. No to umowa stoi.

Patrzył, jak Nick odwraca się, idzie ścieżką i znika za zakrętem.

Cholera.

*

– Nie mogę zmienić zasad dla jednej osoby – oświadczył Max – bo wtedy sytuacja szybko wymknie się spod kontroli.

Harry poczuł dławiącą go panikę. Nick zjawi się u niego za niespełna dwanaście godzin. Jeśli nie dostanie pieniędzy, zrobi się naprawdę nieciekawie. Harry znał to z doświadczenia. Miał problemy z zapłaceniem czynszu po stracie pracy w Dolce and Gabbana i gdy próbował z wdziękiem załagodzić sytuację, dostał pięścią w twarz. Nick nie lubi „pyskowania” i jeśli Harry „chce dojść do porozumienia”, to musi się jasno określić, i lepiej niech nie traktuje właściciela, a co za tym idzie Nicka, jak „fiuta”.

– Proszę, Max – powiedział, nienawidząc w tej chwili swojego szefa, nienawidząc siebie za to, że go błaga. Zobaczył, że drugi barman, Alex, wraca z zaplecza ze skrzynką wina. Czas uciekał. – To wyjątkowa sytuacja.

Max zmierzył go wzrokiem i Harry zmusił się, żeby nie odpowiedzieć gniewnym spojrzeniem.

– Ile?

– Osiemset.

– To ponad dwutygodniowy zarobek. Pracowałeś tu tylko tydzień.

Harry zdusił desperację. Uśmiechnął się.

– Nigdzie się nie wybieram. Podoba mi się tutaj.

Po chwili, która dłużyła się jak wieczność, Max niechętnie skinął głową.

– Niech będzie. Ale tylko ten jeden raz. Pamiętaj.

– Dzięki, Max. Jestem ci wdzięczny.

Uśmiech Harry’ego zgasł w chwili, gdy Max się oddalił. Jezu, co za sknera. Z tymi, którzy mają pieniądze, zawsze jest tak samo. Harry widział paragony z kasy pod koniec wieczoru. Lokal przynosił ponad dziesięć patoli zysku tygo-

dniowo. Wiedział, że szef jest nadziany, że mieszka z żoną i dwójką dzieci w wartym trzy miliony edwardiańskim domu w Fulham. Pewnego popołudnia żona przyprowadziła dzieciaki w mundurkach prywatnej szkoły. Harry miał podać im sok pomarańczowy. Żona chciała zapłacić, pewnie dlatego, by nie wyglądać na zbyt uprzywilejowaną, chociaż siedziała tam w swoim stroju do jogi, najwyraźniej nie odczuwając potrzeby pracowania na życie. Gdy wyjmowała kartę kredytową, jej prawo jazdy upadło na podłogę. Harry podniósł je i zapamiętał adres. Później go wygooglował i skreśliło go z zazdrości, kiedy zobaczył elitarną ulicę i dom o zawrotnej wartości.

Starł urazę z twarzy, gdy do baru podeszła kobieta. Usiadła, zrzuciła płaszcz i z westchnieniem położyła drogą skórzaną torebkę na mosiężnym blacie.

– Ciężki dzień? – zagadnął ją.

– Chryste, skąd wiesz? Poproszę lampkę malbec. Dużą.

Poszedł po butelkę i czysty kieliszek, ostrożnie nalał wina i podał jej, zerkając na nią spod oka.

Patrzyła na niego.

– Tak, w istocie.

– Co?

– Piję w samotności.

Harry rozłożył ręce.

– Nie powiedziałem ani słowa.

– Widziałam to w twoich oczach. To zasłużony kieliszek po stresującym tygodniu. – Wskazała większą torbę przy stopach, z wystającymi z niej dokumentami.

– Który jeszcze się nie skończył. Więc nie osądzaj.

– Nie śmiałybym.

Wycierając bar, Harry ukradkiem ocenił ją wzrokiem. Pod czterdziestkę, dobrze skrojona garsonka, drogi zegarek. Brak obrączki.

Upiła porządny łyk wina, odstawiła kieliszek i uśmiechnęła się.

– Już mi lepiej.

– Co jest takie ważne, że trzeba to skończyć w piątek wieczorem? – zapytał.

– Podatki. Tylko dwa tygodnie do terminu. Klienci coraz później przysyłają mi informacje. Chciałabym im powiedzieć, żeby spadali na drzewo, ale jako dyrektorka muszę zaciskać zęby. Przynajmniej dopóki nie sprzedam firmy i nie odejdę na wcześniejszą emeryturę.

– Tak? To możliwe?

– Boże, tak. Inaczej bym tego nie robiła.

– Nieźle. Mnie zajmie to trochę więcej czasu, ale doskonale cię rozumiem.

Kobieta uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Też chcesz przejść na emeryturę?

Harry nie miał pojęcia, dlaczego to powiedział. Może z zazdrości, a może marzenie znalazło odbicie w słowach. Nie chciał czuć się gorszy od tej kobiety, która wyraźnie była skupiona na osiągnięciu wytyczonego celu. Jakie to miało znaczenie? To po prostu fajny pomysł, który go rozbawił. Postanowił kontynuować wątek.

– Jestem w trakcie kupowania baru. Dostałem odprawę z korporacji i potrzebuję całkowitej zmiany scenerii. Mam ofertę na lokal przy Putney Bridge. Powinienem zamknąć sprawę do wiosny.

– Aha. Myślałam, że tylko tu pracujesz.

– Bo stoję za barem, ubrany w ten strój?

Wzruszyła ramionami.

Pochylił się w jej stronę.

– Nie powinnaś osądzać – rzucił cicho.

Uśmiechnęła się.

– Punkt dla ciebie.

– Nie jestem z tych, którzy tylko mówią, że coś zrobią. Muszę zdobyć doświadczenie. A Max jest kumplem. On dostaje pomoc, a ja uczę się podstaw... I popełniam błędy na koszt innych – dodał łobuzersko.

Z rozbawieniem uniosła brwi, teraz wyraźnie bardziej nim zainteresowana. Harry rozmyślnie odsunął się, by obsłużyć kogoś innego. Niech sobie to rozważy, pomyślał, zanim wrócę i pogadam z nią jeszcze trochę. Podbuduje swój wizerunek; podobnie myślą przedsiębiorcy toczący negocjacje. Po raz pierwszy od miesięcy nie konał z nudów. Wykorzystywał swój polot. Był zbyt inteligentny do tej pracy, ale nie miał możliwości, jakie mieli inni, i po podjęciu kilku złych decyzji znalazł się na ścieżce, która ani trochę nie zbliżała go do zrealizowania własnego potencjału. Czasami tracił nadzieję na odmianę losu, ale takie chwile jak ta przypominały mu, że jest bystry. Wierzył wtedy, że może jednak ma przed sobą jakąś alternatywną ścieżkę. Poczuł, że odzyskuje energię, która całkiem go opuściła, gdy kilka miesięcy temu wszystko się posypało. Wyrzucono go z Dolce and Gabbana, a na domiar złego stanął przed sądem. Odsunął od siebie te wspomnienia – to, co teraz robił, było nieszkodliwe. Pozwalało mu zachować zdrowe zmysły podczas tej ogłupiającej pracy za barem.

Dowiedział się, że kobieta ma na imię Nina i jest szefową oraz właścicielką biura rachunkowego. W czasie przerwy zajrzał do rejestru przedsiębiorców – jej firma miała siedmiocyfrowe obroty. Nina wypila jeszcze drugą lampkę wina, aż w końcu niechętnie wstała.

– Miło się gawędziło.

– Mnie również – powiedział Harry.

Zatrzymała się, otworzyła torebkę i położyła na barze wizytówkę.

– Jeśli kiedyś będziesz potrzebować księgowego, zadzwoń do mnie.

– Już mam kogoś na oku.

– Och. – Chciała zabrać wizytówkę, ale położył rękę na jej dłoni.

– Warto mieć możliwość wyboru – rzucił z uśmiechem.

Odwzajemniła uśmiech.

– Muszę iść do domu, uporać się z robotą.

Pokiwał głową.

– Ile ci to zajmie?

– Ze dwie godziny.

Spojrzał na zegarek.

– W takim razie skończymy o tej samej porze.

Widział, jak się waha.

– Kieliszek przed snem? – zasugerowała.

– Dziś nie mogę. Wybacz.

Ukryła rozczarowanie i włożyła płaszcz.

– W takim razie kiedy indziej.

– Mam nadzieję.

Odprowadzał ją wzrokiem, czując moc płynącą ze sprawowania kontroli. Nie miał zamiaru pozwolić, żeby znów potraktowano go jak śmiecia.

Po pracy schował do kieszeni kopertę wypchaną dwudziestofuntowymi banknotami, wcześniej wyciągnął dwie setki. Wyszedł z baru i ruszył w stronę Wimbledonu, do zamożnych ulic na skraju Village i błoni z widokiem na staw Rushmere. Skręcił na jeden z szerokich podjazdów i minął centralnie ulokowaną fontannę: kupidyn na szczycie kamiennych tarasów. Podszedł do drzwi frontowych i od razu uruchomiła się lampa z czujnikiem ruchu. Minęła północ i wszystkie światła w domu były wyłączone. Wyjął z kieszeni kopertę i wsunął ją przez otwór na listy; usłyszał ciche stuknięcie, gdy spadła na podłogę. Właścicielowi może nie spodoba się ta bezpośrednia forma opłacenia czynszu, ale najważniejsze, że Harry uniknie upokorzenia związanego z poranną wizytą Nicka. I będzie miał spokój przynajmniej na kilka tygodni. Idąc z powrotem przez podjazd, znów znalazł się przy fontannie. Rozpiął rozporek, opróżnił pęcherz. Obrzucił dom ostatnim spojrzeniem i skierował się do swojej kawalerki.

Po drodze wyjął wizytówkę, którą dała mu Nina, i sprawdził numer telefonu komórkowego. Ułożył i wysłał wiadomość. Kilka minut później dostał odpowiedź. Uśmiechnął się. Tym razem rozegra to znacznie ostrożniej.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

27 lutego

Amy wzięła głęboki oddech, gdy wyszła na korytarz, a Lisa za nią.

– Wszyscy tam są. – Lisa położyła dłoń na jej ramieniu.

– I co z tego? – prychnęła Amy. – Tak będzie lepiej. Niech patrzą, jak będzie się wił, gdy go przycisnę. – Zobaczyła powątpiewającą minę przyjaciółki. – Zaufaj mi, Liso. Jestem prawniczką. Poradzę sobie z konfrontacją. Umiem wywęszyć, jak ktoś kręci.

Lisa zawahała się.

– A jeśli się mylisz?

– A jeśli mam rację? Muszę stawić mu czoło. Mam pozwolić, żeby ta farsa się ciągnęła?

Amy pierwsza ruszyła przez hol. Słyszała, jak inni cicho rozmawiają. Bez wątplenia o niej. O tym, że sprawiała wrażenie trochę niezrównoważonej, zanim w nerwach wybiegła z pokoju. Cóż, też będą zdenerwowani, gdy usłyszą, co ma do powiedzenia. Będą oburzeni, a matka zblednie ze strachu. Nie pozwoli, by ten facet dalej je okłamywał. Odważnie weszła do kuchni i wszyscy natychmiast umilkli. Twardo spojrzała na Jacka, na jego twarz z wyrazem fałszywej troski. Przystanąła, całkiem opanowana. Wszyscy na nią patrzyli, zastanawiając się, co powie.

– Ten człowiek – zaczęła – nie jest tym, za kogo go uważacie. – Zobaczyła, że Jack patrzy na nią pytająco, zaskoczony jej słowami. Niech patrzy, pomyślała. Może udawać do woli. – To nie jest doktor Jack Stewart. To oszust.

Jack otworzył usta, po części z rozbawioną, po części z zakłopotaną miną.

– Przepraszam, czy to jakiś żart? Moim kosztem?

– Kim jesteś? – spytała Amy, obserwując go uważnie.

– Słucham?

– Bo wiem, że nie jesteś Jackiem Stewartem. Nie jesteś lekarzem ani moim chłopakiem.

– Amy, dobrze się czujesz? – Martha zrobiła krok do przodu.

Amy wyciągnęła rękę, żeby ją powstrzymać.

– Nie podchodź do niego zbyt blisko, mamó. Nie wiemy, kim on jest.

Jack milczał przez chwilę, marszcząc brwi, myśląc.

– Nie rozumiem. Skąd to wszystko się wzięło, Amy?

Postukała się w bok głowy. Posłała mu nieznacznym triumfalnym uśmiechem.

– Wspomnienia wracają. Coraz częściej. I teraz dobrze wiem, co wydarzyło się w Boże Narodzenie. Nie byłam nawet w pobliżu Lake District. Byłam w Stambule.

– Pojechałaś z Jackiem do Stambułu? – spytała zdezorientowana Martha.

– Nie, mamó. Nigdzie z nim nie pojechałam. Ten człowiek nie jest Jackiem. – Wskazała go palcem. – Nawet go nie znam. Wymyśliłam sobie chłopaka. – Spojrzała na niego twardo. – Jak dobrze wiesz. Jakoś się o tym dowiedziałaś. Postanowiłaś zostać Jackiem Stewartem i kłamać. I chcę wiedzieć dlaczego.

– Amy...? – wyjąkała Martha z zatroskaniem w oczach, kładąc dłoń na jej ramieniu.

– Mamó, proszę. – Amy nie odrywała wzroku od mężczyzny. – Ma powiedzieć mi, kim jest.

– O Boże – jęknęła cicho Martha.

Jack przeczesał palcami włosy.

– Nie wiem, co powiedzieć...

– Po prostu powiedz prawdę – zażądała Amy. – To może nie zadzwonię na policję.

– Jestem Jack. Jack Stewart. Twój chłopak – zapewnił błagalnym głosem.

– Przestań kłamać. Kiepsko ci to wychodzi.

Bezradnie rozłożył ręce.

– Nie kłamię. Przysięgam. – Spojrzał w bok, apelując do Marthy i pozostałych.

– Może zaszło jakieś nieporozumienie – odezwała się Jenna.

Amy obróciła się w jej stronę.

– Nieporozumienie? W tym domu przebywa mężczyzna, którego żadna z nas nie zna. Sądzę, że jest to powód do zaniepokojenia, prawda?

– No dobrze, dobrze – mruknęła Martha uspokajająco. – Powiedz nam coś więcej, Amy. Niełatwo to wszystko pojąć. Dlaczego uważasz, że Jack – wskazała go ręką i ku irytacji córki posłała mu przepaszający uśmiech – nie jest twoim chłopakiem?

– Dlatego, mamó, że pamiętam.

Twarz Jacka nagle się rozjaśniła.

– W porządku, chyba mogę to wyjaśnić.

Amy powstrzymała się, by nie przewrócić oczami.

Jack wskazał drzwi.

– Jeśli mógłbym wyjść...

Zastanawiała się chwilę. Jeżeli ucieknie, może tylko wyświadczy im przysługę. Odsunęła się od drzwi.

– Proszę.

Jack minął ją i wyszedł.

– Amy, o co tu chodzi?! – wykrzyknęła Martha.

– Przepraszam, mamó, że cię okłamałam. Udawałam, że mam chłopaka. To miało być tylko na krótki czas, całkiem nieszkodliwie. Możesz być pewna, że nie planowałam czegoś takiego. – Przygryzła wargę.

Słyszała, jak Jack idzie na górę, a potem zrobiło się cicho. Zwątpienie zakradło się do jej serca i zrozumiała, że mimo wszystko nie należało pozwolić mu się

oddalać. A jeśli zamierza je skrzywdzić? Jeśli poszedł po broń? Rozejrzała się po kuchni; dostrzegła blok z nożami. Zbliżyła się do niego.

– Nie powinnyśmy tu przyjeżdżać – stwierdziła Martha ze smutkiem.

– Co? – spytała z roztargnieniem Amy.

Matka patrzyła na nią przygnębiona.

– To miejsce przynosi tylko pecha.

– Nieprawda, mam. To nie to miejsce.

– Nie?

Amy starała się być taktowna.

– Nawet tata miał stąd wiele szczęśliwych wspomnień.

– Zginął tutaj! Te góry odbierają życie.

Usłyszeli tupot szybkich kroków na schodach. Amy czekała w napięciu. Podczas gdy wszystkie z niecierpliwością wpatrywały się w drzwi, ona po cichu wyjęła nóż z bloku i położyła go na blacie obok siebie.

– Mam – powiedział Jack, wchodząc do kuchni z małą różową plastikową kartą w dłoni.

– No proszę. – Martha odetchnęła z ulgą. – To prawo jazdy.

Jenna zrobiła krok do przodu i wyciągnęła rękę. Jack podał jej dokument, a ona obejrzała go z obu stron. Wzruszyła ramionami.

– Wygląda dość autentycznie.

– Jesteś ekspertką? – warknęła Amy.

– No nie, ale... sama zobacz.

Wzięła od niej prawo jazdy. Wyglądało na prawdziwe. Było na nim zdjęcie Jacka, nazwisko i adres: Foxmore Crescent 2A, Battersea, Londyn. Położyła je na blacie.

– Gdzie jest twój paszport? – zapytała.

– Amy, serio? – rzuciła Jenna.

– Czemu nie? Prawo jazdy łatwo podrobić, w przeciwieństwie do paszportu.

Przekonajmy się.

– Amy... – zaczęła Lisa. – Jak rozumiem, dobrze pamiętasz, kim według ciebie jest Jack...

– Nie tyle pamiętam, ile wiem – oznajmiła Amy, ale teraz trochę mniej pewnym głosem.

– Proszę, skarbie, nie rób sobie tego – odezwała się Martha, cała w nerwach.

Amy powiodła wzrokiem po ich pełnych wątpliwości i troski twarzach. Nagle zapragnęła wydostać się stąd. Przeszła obok nich, złapała skafander i buty z korytarza i wkładając je niemal w biegu, uciekła na zewnątrz.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

27 lutego

Amy brnęła przez gęsty śnieg, oddychając głęboko, pozwalając, by lodowate powietrze pobudziło jej zmysły. Szła na tyły domu, noga za nogą, w śniegu sięgającym do kolan, miejscami wyżej. Minęła basen i skierowała się dalej w dolinę. Góry otaczały ją ze wszystkich stron, bezkresne dzikie pustkowia, gdzie była ledwie plamką na morzu strzelistej bieli.

Próbowała oczyścić umysł. Jack ma prawo jazdy. I co z tego? Powiedziała prawdę – z łatwością można je zdobyć w internecie. To żaden dowód, że jest Jackiem Stewartem. Nie ma Jacka Stewarta, przypomniała sobie.

Ale jak ten facet zorientował się, że wymyśliła sobie chłopaka?

Nie wiedziała. Poszła kawałek dalej. Spojrzała na góry i poczuła na sobie ich ciężar.

I skąd znał wszystkie szczegóły jej fikcyjnego związku z Jackiem Stewartem?

Nie miała pojęcia.

Skąd wiedział, że ona i jej przyjaciółki będą w tym tygodniu w Val d'Isère?

To też pozostawało zagadką.

Czego on chce?

Zmęczyła się, kolana się pod nią ugięły i ciężko usiadła na śniegu. Dlaczego nie możesz sobie przypomnieć? To było nie do zniesienia. Nabrała śniegu w rękawiczki i rzuciła go sobie w twarz. Dlaczego twój umysł cię zawodzi? Zgarnęła więcej śniegu, natarła nim policzki, powieki. Dlaczego sprawiasz sobie zawód? Skóra piekła ją z zimna. Spróbowała strzepnąć śnieg z twarzy, ale rękawice też

miała nim pokryte, więc tylko pogorszyła sprawę. Przeciągnęła rękawami po policzkach i poczuła przenikliwe zimno w miejscach, gdzie śnieg stopił się na skórze.

Słońce chowało się za górą, zalewając przeciwległy szczyt różowozłotym blaskiem. Widok był przepiękny, ale jego ulotna natura sprawiła, że Amy poczuła się rozpaczliwie samotna. Za kilka minut światło znów się zmieni. Kolory już traciły intensywność, stawały się bardziej stonowane.

Jeśli ma rację co do tego oszusta, musi też zaakceptować coś innego. Nie ma chłopaka. Jest równie samotna i niechciana jak przez ostatnie pięć lat. Ogarnęło ją z brutalną mocą poczucie porażki. Nie jest atrakcyjna, nie potrafi wzbudzić zainteresowania. Żal dławił ją w gardle, ale powstrzymała łzy. Nie, przykazała sobie surowo, tylko bez użalania się nad sobą. Znasz tego faceta zaledwie od dwóch dni i spójrz, jak namieszał ci w głowie. Niemal się w nim zakochałaś. Najgorsze było to, że ona, Amy Kennedy, zawsze szczyciła się swoją umiejętnością rozpoznawania kłamców. Jeśli ten facet jest oszustem, to dała się wykiwać jak małe dziecko. Niczego nie zauważyła. Nawet z nim spała. Mimowolnie uniosła rękę do twarzy. Dała się nabrać na jego słowa o ich udanym życiu seksualnym i wpuściła go do łóżka. Zrobiło jej się niedobrze.

Wysoki przeszywający krzyk sprawił, że spojrzała w górę. Zadrżała; zobaczyła ptaka zataczającego kręgi w kominie termicznym i rozpoznała orła. Zmrużyła oczy w gasnącym świetle, rozpaczliwie pragnąc zobaczyć, czy to orzeł przedni. Dostrzegła szeroko rozpostarte skrzydła i błysk złotego upierzenia w ostatnich promieniach słońca. Przepęlniona energią, wstała, patrząc w niebo. Może nawet to jej orzeł, ten, którego widziała z bliska, gdy sama szybowała nad górami. Czowała, że tak. I czuła się mniej samotna. Obserwowała go, czerpiąc pociechę z jego obecności, aż stał się tylko mrocznym cieniem na niebie. A potem światło zupełnie zgasło i straciła go z oczu.

Pora wracać.

Nigdy więcej, pomyślała. Teraz, gdy odzyskiwała pamięć, Jack już jej nie nabierze.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

27 lutego

Podczas kolacji panowała krępująca atmosfera. Jack milczał, popatrując na nią od czasu do czasu, jakby chciał ocenić jej uczucia do niego. To ją złościło. Miała dość tej farsy i jej oczywistego wpływu na nie wszystkie. Przyjaciółki prowadziły luźną pogawędkę, ale było jasne, że nie są pewne, jak się zachować. Matka rzucała w jej stronę zbolące spojrzenia, po czym ze współczuciem patrzyła na Jacka.

Amy miała wrażenie, że wszystkie mu współczują, i irytowało ją to. Żadna nie chciała jej uwierzyć. Sprawa była zbyt dziwna i zbyt skomplikowana. Łatwiej iść po linii najmniejszego oporu. I szły na ślepo, Bóg jeden wie dokąd. Przerazało ją, że wszystkie są chętne udzielać mu kredytu zaufania, przynajmniej do czasu, aż podejmą ostateczną decyzję. Zanim do tego dojdzie, wszystko może się zdarzyć. Był wśród nich intruzem, niepożądanym gościem. Spojrzała na niego. Siedział przy drugim końcu stołu i znów stwierdziła, że jest nadzwyczaj przystojny. Patrzyła, jak z wdziękiem nawija spaghetti na widelec i wsuwa do ust. Do ust, które ją całowały. Ręką, która dotykała jej ciała.

Uniósł wzrok i napotkał jej gniewne spojrzenie. Strapiony, opuścił powieki.

– Przepraszam na chwilę – powiedział, wstając.

Wyraźnie zdenerwowany, odszedł od stołu i opuścił kuchnię.

Amy widziała, że wszystkie go obserwują; poczuła, jak na zawołanie wypuściły powietrze z płuc, gdy zamknął drzwi. Pozory uprzejmości zniknęły, napięcie w końcu opadło.

– Martwił się o ciebie – odezwała się Martha.

Amy spojrzała na matkę.

– Co?

– Wcześniej, kiedy wyszłaś na dwór i robiło się ciemno. Chciał pójść za tobą.

– Cóż, cieszę się, że tego nie zrobił.

– Co jest z tobą nie tak? Nie jest miło mieć kogoś, kto się o ciebie troszczy?

– Mamo, on udaje.

– Dlaczego ktoś miałby zadawać sobie trud i udawać twojego chłopaka... –

Amy nie spodobał się nacisk, jaki matka położyła na pierwszą część zdania, jakby bycie jej chłopakiem było wyzwaniem – a potem przez kilka dni zachowywać się tak, jakby mu bardzo na tobie zależało?

– Posłuchaj, rozumiem twoją irytację. Wiem, że trudno to pojąć. Ale to oszust.

Martha odłożyła widelec, smutek przesłonił jej twarz.

– Odrącasz go. Jak Richarda.

Amy gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Czy ty w ogóle mnie słuchasz? – Zwróciła się do przyjaciółek: – Lisa, Jenna, wierzycie mi, prawda?

Obie milczały.

– Super – burknęła. – Cudownie.

– Swoim zachowaniem sprawiasz, że nie zawsze wiadomo, w co wierzyć – powiedziała cicho Jenna.

– Co to niby ma znaczyć?

Lisa uspokajająco położyła dłoń na jej ramieniu.

– Amy, nie jest tak, że ci nie wierzymy. Po prostu... należy wziąć pod uwagę wiele czynników. I wiem, że przykro tego słuchać, ale istnieje możliwość, że w następstwie upadku twój mózg przeinaczył wspomnienia.

Amy uwolniła się od jej ręki. Zdruzgotana powiodła po nich wzrokiem.

– Miło wiedzieć, że jesteście po mojej stronie.

– Nie chodzi o to, żeby opowiadać się po którejś ze stron...

Wszystkie spojrzały na drzwi. Jack wrócił do kuchni.

– Słuchajcie, sędzę, że powinienem odejść.

– Co?! – zawołała Martha.

– Nie chcę wprowadzać zamieszania ani nikogo denerwować, szczególnie Amy, więc będzie lepiej, jeśli wrócę do kraju. Dam Amy trochę czasu. Wszystko można omówić na spokojnie w domu. Nie ma pośpiechu, poczekam na nią, jak długo będzie trzeba.

Zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na Amy.

– To bardzo miło z twojej strony – powiedziała. – Zwłaszcza gdy wiesz, że lotnisko jest zamknięte.

– Amy! – wykrzyknęła Martha. – On przynajmniej stara się zachować właściwie.

– Właściwe, mamo, byłoby wyznanie prawdy. Albo jeszcze lepiej, niewymyślanie fikcyjnej postaci.

– Sądziłam, że to ty wymyśliłaś fikcyjną postać... – mruknęła Martha.

Amy z szurnięciem odsunęła krzesło.

– Idę na górę.

Wypadła z kuchni, ignorując ich spojrzenia. Weszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi, na wpół spodziewając się, że usłyszy kroki idącego za nią Jacka.

Serce jej łomotało.

Położyła rękę na kluczu i przekręciła go z głośnym chrobotem.

DWADZIEŚCIA OSIEM

28 lutego

Amy poruszyła się, jakiś stukot wyrwał ją ze snu. Otworzyła oczy. Znowu to usłyszała, ciche pukanie w drzwi pokoju. Leżała w napięciu, czuła, jak bardzo jest zmęczona. Prawie nie spała, wciąż zastanawiając się nad tym, co wie, a czego nie wie. Pukanie się powtórzyło. Usiadła i wzięła telefon, by sprawdzić godzinę, i ze zdumieniem zobaczyła, że jest po dziewiątej.

Pukanie się powtórzyło i Amy usłyszała swoje imię. To była Lisa.

Wstała z łóżka i otworzyła drzwi.

Ujrzała zaskoczoną minę przyjaciółki i spróbowała przygłodzić rozczochrane włosy.

– Dopiero co się obudziłam – wyjaśniła.

– Kiepska noc?

– Nie mogłam zasnąć. – Nerwowo zerknęła ponad ramieniem Lisy. – Gdzie jest Jack?

Lisa wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

– Został?

– Cóż, w sumie nie mogliśmy go wyrzucić. W nocy znowu zaczął padać śnieg. Było ciemno. Ani taksówek, ani lotów.

Amy zeszytniała. Boże, czuła się taka zmęczona. Zdusiła ziewnięcie.

– Przyszłaś mi powiedzieć, jak bardzo mi odbiło? – spytała obronnym tonem.

– Wcale nie. Pomyślałam, że możemy trochę poszperać, zadzwonić tu i ówdzie. Jeśli mówisz, że wymyśliłaś Jacka, to gdzieś musi być jakiś dowód. – Lisa popchnęła ją w stronę łazienki. – Weź prysznic i zaczynamy.

*

– Patrz. – Lisa wskazała fotografię na telefonie Amy.

Było to wrzucone na Facebooka zdjęcie kwiatów, które, o czym Amy powiadomiła z dumą, dostała od Jacka.

Lisa powiększyła obraz.

– Ledwie widać, ale jest.

Amy wzięła telefon. W środku bukietu tkwił patyczek z niewyraźną maleńką kopertą. Wiadomość dodana przez kwiaciarnię. Na kopercie widniała jej nazwa.

– No i co?

– Mogą mieć zapisane, kto je kupił.

Amy z nadzieją spojrzała na przyjaciółkę. Drżącymi rękami wygooglowała firmę, ale nagle smartfon się zawiesił. Jęknęła ze zniecierpliwienia.

– Co się stało?

– Komórka znowu mi nawala.

Lisa podsunęła jej swój telefon, a Amy z wdzięcznością go wzięła i znalazła numer kwiaciarni. Trzymała telefon przy uchu, czekając. Jej serce przyspieszyło, gdy ktoś odebrał.

– Dzień dobry... nazywam się Amy Kennedy. Czy może mi pani w czymś pomóc... Wysłała mi pani kwiaty czternastego lutego. Cedar Street w Earlsfield. – Słuchała przez chwilę. – Czy może mi pani powiedzieć, kto za nie zapłacił? – Nervowo spojrzała na Lisę. – Gotówką? – Sposepniała. – Pamięta pani, kto je zamówił? Mężczyzna czy kobieta? – Zakryła mikrofon i rzuciła do Lisy: – Nie pracowała tego dnia. Sprawdza u koleżanki. – Po chwili przerwy odezwała się do telefonu: – Tak, jestem. Och. Jest pani pewna? Cóż, i tak dziękuję. – Rozłączyła się.

– I co? – zapytała Lisa.

– Koleżanka nie pamięta. Mają mnóstwo zamówień na walentynki.

– Spróbujmy czegoś innego – zaproponowała Lisa. – Może hotel w Krainie Jezior? Z pewnością mieliby cię w rejestrze gości. Jak się nazywał?

Amy powiedziała jej i znalazły numer. Zadzwoiła i spytała recepcjonistkę, czy mieli w Boże Narodzenie rezerwację na jej nazwisko.

– Mówi, że nie – poinformowała Lisę.

– A na nazwisko Jacka?

Amy zapytała. Wysłuchiwała odpowiedzi, podziękowała recepcjonistce i zakończyła rozmowę.

– No mów – ponagliła ją Lisa.

– Była rezerwacja na nazwisko Stewart, ale... – widząc uniesione brwi Lisy, szybko dodała: – pisane inaczej. S-T-U-A-R-T. Więc to nie on. Co oznacza, że nas tam nie było.

– Ale to nie jest niezbity dowód, prawda? A jeśli źle przeliterowali nazwisko?

– Nie było nas tam – powtórzyła Amy.

– Podali ci adres?

– Nie wolno im tego robić. Ochrona danych.

Zirytowana, rzuciła telefon na łóżko i podeszła do okna, unikając spojrzenia Lisy, bo wiedziała, że będzie pocieszające. Fizycznie odczuwała płynące przez pokój fale współczucia; przyjaciółka litowała się nad nią z powodu desperacji, z jaką Amy pragnęła zweryfikować coś, co wydawało się niemożliwe do udowodnienia.

Była jednak przekonana, że ma rację. Poczuli się uwięziona w pułapce, którą sama stworzyła. Wystarczyło jedno małe kłamstwo, jeden mały wymysł, który miał ułatwić jej życie, i sytuacja wymknęła się spod kontroli. Nagle zdała sobie sprawę, że zaciska pięści. Zmusiła się, by rozluźnić dłonie. Musi być coś innego, co dowiedzie, że ten facet podszywa się pod kogoś, kogo wymyśliła. Spojrzała w okno, przerażona własną bezsilnością. Jej nastrój gwałtownie się pogorszył; znowu odezwał się głęboko pogrzebany strach, który prześladował ją wcześniej.

– Jest coś jeszcze – powiedziała do Lisy.

– Dawaj.

– Moje wspomnienia... te, które wróciły. Czasami mam straszne uczucie...

– W związku z czym?

– Problem w tym, że nie wiem. Jestem pewna tylko tego, że stało się coś, co było naprawdę złe.

– Cóż... – Lisa wzruszyła ramionami. – Myślę, że z czasem ci się przypomni.

Amy skinęła głową. Nie podobało jej się, że wspomnienie wisi nad nią niczym zły omen. Bała się, czego mogło dotyczyć.

– O mój Boże! – wykrzyknęła Lisa. – Twój telefon. Oczywiście! Jak mogliśmy zapomnieć? Wiadomości od Jacka!

Amy spojrzała na swoją komórkę. Wiadomości. Do licha, kto je wysyłał, jeśli to nie był Jack? Nagle poczuła się niepewnie.

– Musisz zadzwonić pod jego numer – powiedziała Lisa.

Musi? Amy miała mętlik w głowie, próbując znaleźć jakieś wyjaśnienie. Jak mogła wymieniać wiadomości z kimś, kto nie istniał? Nagle coś zamigotało w jej pamięci, coś znajomego, co zgasło równie szybko, jak się pojawiło. Co takiego? Próbowała to przywołać, ale nie chciało powrócić. Lisa patrzyła na nią wyczekująco i Amy wiedziała, że musi to zrobić.

Nacisnęła przycisk połączenia przy numerze Jacka. Usłyszała sygnał. Potem dotarło do niej, że dzwoni telefon. Tu, w domu. Lisa otworzyła drzwi. Dźwięk dzwonka natychmiast stał się głośniejszy. Dochodził z pokoju Jacka po drugiej stronie korytarza.

Amy szybko się rozłączyła.

– To telefon Jacka – powiedziała Lisa. – W jego pokoju.

– Niemożliwe. Jack nie istnieje.

Kolejne wspomnienie stukało w okno jej umysłu, ale ku jej frustracji nie chciało się w pełni ukazać.

– Amy... – zaczęła Lisa, podchodząc do niej.

– Mówię ci, Lisa, to prawda. Wymyśliłam go. Pamiętam.

Twarz przyjaciółki wyrażała troskę.

Amy zgromiła ją wzrokiem.

– Nie mów tego.

– Czego?

– Słowa na p – warknęła.

– Wybacz, Amy – odezwała się łagodnie Lisa. – Słuchaj, to powszechne, wiele ofiar urazów głowy ma problemy z zaufaniem.

– Nie jestem paranoiczką – oświadczyła stanowczo Amy. – I nie jestem ofiarą.

Lisa oznajmiła, że pójdzie na dół zrobić dla wszystkich śniadanie, i wyszła.

Amy padła na łóżko, czując się bardziej samotna niż kiedykolwiek. Było oczywiste, że żadna z nich jej nie uwierzyła. Musiała przyznać, że trudno potraktować poważnie jej historię, ale gdzieś tam na pewno był jakiś dowód. Odetchnęła głęboko, zamknęła oczy. Myśl, powiedziała sobie. I nagle ją olśniło.

Pielęgniarka ze szpitala. Jack mówił, że był w szpitalu, że rozmawiał z siostrą Morgan. Amy doskonale ją pamiętała, jej rude włosy, jej pedantyzm. Jeśli ten facet naprawdę tam przyszedł, może ona coś o nim powie, rzuci nieco światła na całą tę sprawę.

Amy zadzwoniła do centrali St. George, przykazując sobie, że ma nie czuć się rozczarowana, jeśli nie zastanie siostry Morgan. Na szczęście pielęgniarka miała dyżur. Amy usiadła prosto, wyjaśniła, kim jest.

– Tak, pamiętam – potwierdziła kobieta. – Jak się pani miewa?

– Zaczęłam odzyskiwać pamięć, kawałek po kawałku. Ale chciałam zapytać o coś, co wydarzyło się w czasie, gdy byłam w szpitalu.

– Postaram się pomóc.

– Przyszedł do mnie mój chłopak. Jack Stewart. Nazajutrz po tym, jak mnie przyjęto, w sobotę. Powiedział mi, że nie mógł się ze mną zobaczyć, bo właśnie minęła pora odwiedzin.

– Niech pomyślę. Tak, pamiętam. Spóźnił się tylko kilka minut, ale musimy trzymać się zasad. Był ranek, więc uznałam, że może wrócić później.

Amy zmarszczyła brwi.

– Ranek? Myślałam, że przyszedł po południu.

– Nie, zdecydowanie rano.

– Jest pani pewna?

– Absolutnie. Skończyłam dyżur po lunchu, więc mogłam go widzieć tylko przed południem.

Amy mruknęła, że najwidoczniej się pomyliła, i podziękowała pielęgniarce.

Położyła się na łóżku i zaczęła się zastanawiać, próbując nadać sens temu, co usłyszała. Jack mówił, że pojawił się z wizytą w sobotnie popołudnie. Jak to ujął? Wróciła myślami do ich rozmowy sprzed dwóch dni, kiedy wyszli z basenu. To było w kuchni. Powiedział jej, że przyszedł do szpitala, żeby się z nią zobaczyć. „Późnym popołudniem w sobotę. Po twoim SMS-ie. Popędziłem tam, gdy tylko mogłem wyrwać się z pracy...”

Ale pielęgniarka stanowczo obstawała przy tym, że Jack zjawił się w szpitalu rano. Była stuprocentowo pewna.

Przecież o tej porze nie mógł jeszcze wiedzieć o jej wypadku.

Amy wysłała mu SMS-a dopiero w sobotę po południu.

A on przyszedł rano. W tamtej chwili tylko trzy osoby wiedziały o jej pobycie w szpitalu. Jej matka, Lisa i Jenna.

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

1 lutego

Harry poczuł, że ktoś całuje go w usta. Drgnął, dochodząc do siebie. Sprawiał mu przyjemność dotyk gładkiej pościeli na skórze. Otworzył oczy i zobaczył, że Nina patrzy na niego. Ubrana w jedną ze swoich biznesowych garsonek, miała ułożone włosy i zrobiony makijaż.

– Dzień dobry, śpiochu – powiedziała.

Chciał ją pociągnąć na łóżko, ale wyślizgnęła się z jego ramion.

– Wykluczone. Muszę iść. Mam spotkanie z klientem.

Przetarł oczy.

– Dlaczego mnie nie obudziłaś?

– Przez cały tydzień pracowałeś do późna. Pomyślałam, że przyda ci się trochę snu.

Harry zrozumiał. To oznaczało, że chętnie zostawi go samego w swoim mieszkaniu. To byłby pierwszy raz. Stopniowo zaliczali kolejne „pierwsze razy” w ich związku. Pierwsza randka, pierwszy pocałunek, pierwszy seks. Spotkali się pięciokrotnie od tamtego wieczoru w barze – za każdym razem Harry uważał, żeby nie wykazywać nadmiernej gorliwości. Wiedział, że wiele osób podchodzi z dystansem do zbyt łatwej zdobyczy, a kobiety sukcesu, które większą część życia zawodowego poświęcały na pogoń za dużymi pieniędzmi i statusem, od razu odwracały się plecami, jeśli czuły, że zdobycie tego, czego pragną, nie będzie wymagać walki.

Przeciągnął się.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście.

Tyle że wykrył w jej głosie nutę niepewności. Dobrze wiedział, jak powinien zareagować.

– Dziękuję. – Spojrzał na zegarek. – Ale o dziesiątej mam spotkanie z potencjalnym dostawcą. – Odrzucił kołdrę. – Wskoczę pod prysznic.

Tak jak przewidywał, uśmiechnęła się, uspokojona. Klepnęła go w pośladek, gdy szedł do łazienki.

– Zatrzaśnij drzwi, jak będziesz wychodzić – powiedziała, biorąc płaszcz i torebkę.

Pocałował ją.

– Miłego dnia.

– Wzajemnie. – I wyszła.

Harry czekał, dopóki nie usłyszał, że zamykają się drzwi frontowe. Leciutko odsunął zasłonę i patrzył, jak Nina oddala się w porannym mrozie.

Spojrzał na łóżko. Kuszące... ale miał coś ważniejszego do zrobienia.

Wziął prysznic i poszedł do kuchni, gdzie na blacie stał wysokiej klasy ekspres do kawy. Pomyślał, że dobrze byłoby zaparzyć sobie filiżankę. W chlebaku znalazł bochenek z rzemieślniczej piekarni. Odkroił dwie kromki i podpiekł je, a następnie posmarował masłem i marmoladą z lodówki.

Zabrał śniadanie i udał się do salonu. Uznał, że Nina mu ufa, skoro zostawiła go samego. Przesuwał palcami po półkach, oglądając zdjęcia, książki i bibeloty. Przewertował kalendarz biurkowy z odnotowanymi urodzinami różnych osób: *Kirsty, Amelia, Mama i JA!* Za nieco ponad dwa miesiące będzie starsza o kolejny rok. Rozejrzał się po pokoju. We wnęce obok kominka zobaczył drewnianą szafkę. Schylił się i otworzył drzwiczki. Stały tam ciasno obok siebie teczki harmonijkowe. Wyciągnął jedną i znalazł w niej dokumenty, szczegóły inwestycji. Przejrzał je i szeroko otworzył oczy, zdumiony wysokością kwot. I było ich tak wiele. Dodał je z grubsza w pamięci i wyszła mu sześciocyfrowa liczba. Potem znalazł

wyciągi bankowe i certyfikaty obligacji premiovych – Nina inwestowała dopuszczalne maksimum, pięćdziesiąt tysięcy funtów. W sumie jej kapitał wynosił około pół miliona. Do tego dochodziła firma i mieszkanie, w którym teraz przebywał. Ciekaw, ile jej zostało do spłaty kredytu hipotecznego, postanowił zajrzeć do innej teczki, licząc, że natrafi na zestawienie. Uśmiechnął się, gdy je zobaczył. Wyglądało na to, że spłaciła prawie wszystko – zostało tylko trzydzieści tysięcy, a mieszkanie było warte dwadzieścia razy więcej.

Starannie odłożył dokumenty na miejsce, podniósł się i przeciągnął. Może jednak się zdrzemnie.

*

Obudził go szmer klucza w zamku. Natychmiast oprzytomniał i zerwał się z łóżka jak oparzony. Kurwa mać! Do cholery, co ona tu robi tak wcześnie? Myślał, że nie będzie jej cały dzień. Przygładził włosy, wyprostował kołdrę. Chwytny telefon i wskoczył do łazienki. Dwie minuty później splukał toaletę. Gdy wyszedł, Nina stała w sypialni, wyraźnie zaniepokojona.

– Cześć – powitał ją ciepło. – Jak tam spotkanie z klientem?

– Dobrze... Nie mówiłeś, że o dziesiątej musisz spotkać się z dostawcą?

– Zadzwoń, żeby to odwołać. Pokręcił coś w terminarzu i nałożyły mu się spotkania. Jego strata, bo pójdę do konkurencji, skoro nie potrafi wywiązać się z umowy. – Zdawał sobie sprawę, że niepotrzebnie się rozwodzi, dodając kolejne szczegóły.

Patrzyła na niego podejrzliwie. Rzuciła żakiet na łóżko, a Harry spojrział w dół, w nadziei że gdy go podniesie, nie poczuje ciepła w miejscu, gdzie on leżał zaledwie pięć minut wcześniej.

– Już prawie pierwsza – powiedziała.

– Wiem. Chyba nie jesteś zła, że zostałem? Mam kolejne spotkanie o drugiej, ale na drugim końcu miasta. Siedziałem w kuchni, nadrabiałem mailowe zaległości. Wiesz, jak to jest po weekendzie.

Milczała.

Błagalnie złożył dłonie.

– Przekroczyłem granice gościnności, wybacz. Powinienem przynajmniej zapytać, czy nie masz nic przeciwko temu. Wysłać ci SMS-a czy coś. Przepraszam.

Widział, że trochę mięknie.

– Nie w tym rzecz... Nie spodziewałam się, że cię tu zobaczę, to wszystko.

Ja też nie, pomyślał.

– Jak mówiłem, gdybym był przezorny i wysłał ci wiadomość, nie byłoby niespodzianki. – Zaryzykował i podszedł do niej. Dotknął jej policzka i pocałował ją. Nie cofnęła się. – Skoro mowa o niespodziankach, udało mi się zdobyć bilety do Globe na weekend dziesiątego kwietnia. Będę zachwycony, jeśli wybierzesz się ze mną.

– Dziesiątego? – Uśmiechnęła się. – To moje urodziny.

Udał zaskoczenie.

– Serio? O rany. – Znowu ją pocałował. – Więc co, pójdziemy?

– Zgoda. Dzięki. – Cmoknęła go w policzek. – Zostaniesz na lunch?

– Chciałbym, ale spotkanie wzywa.

Gdy usłyszał zatrzasujące się za nim drzwi Niny, poczuł przypływ triumfu. Wciągnął potężny haust zimnego powietrza i wypuścił je powoli. Radośnie wyszczerzył zęby. Nieco dalej na ławce siedział mężczyzna w eleganckim garniturze, ze starannie ułożonymi brązowymi kręconymi włosami. Ich spojrzenia się skrzyżowały. Harry skinął do niego głową, chcąc podzielić się dobrym samopoczuciem z całym światem. Mężczyzna odwrócił wzrok. Harry szedł sprężystym krokiem, energia pulsowała w jego ciele. Mało brakowało, a zostałyby nakryty! Poczul się jak nadcłowiek, wręcz niezniszczalny. Tego właśnie pragnął: podniecenia, które czyni prozaiczną egzystencję znośną. Spojrzał w zimne jasnoblękitne niebo i po raz pierwszy od miesiący poczul, że naprawdę żyje.

TRZYDZIEŚCI

28 lutego

Amy schodziła na dół, nasłuchując. Głosy dobiegały z kuchni, a zapach bekonu łaskotał jej nozdrza, uświadamiając jej, jak bardzo zgłodniała.

Gdy otworzyła drzwi, Lisa i Jenna natychmiast umilkły. Spojrzała na nie, zdając sobie sprawę, że rozmawiały o niej. Zastanawiała się, czy mają jakieś sekrety, co wiedzą. Czy któraś z nich w jakiś sposób skontaktowała się z Jackiem po jej wypadku? Jak? Dlaczego? Czy Lisa od początku wiedziała, że nie wyciągną żadnych wniosków z porannego śledztwa w sprawie Jacka?

– Zostało trochę bekonu? – zapytała Amy.

Jenna, która stała przy kuchence, spojrzała na patelnię.

– Pewnie. Chcesz keczup?

– Tak, proszę. Gdzie mama i Jack?

– Nie wiem – odparła Lisa.

– Nie widziałam ich dzisiaj – dodała Jenna.

– Są w swoich pokojach?

– Nie sądzę. Drzwi twojej mamy były otwarte, gdy wcześniej tu schodziłam.

– Czyli... poszli gdzieś razem? – Na tę myśl Amy nie umiała powstrzymać niepokoju.

Lisa patrzyła na nią.

– A jeśli tak, czy to problem? – spytała ostrożnie.

– Tak! – wykrzyknęła Amy. – Nic o nim nie wiemy. – Zauważyła, jak Jenna i Lisa wymieniają krótkie spojrzenia.

– Jestem pewna, że wszystko w porządku – powiedziała Lisa.

– Kanapka gotowa – rzuciła Jenna, podsuwając jej talerz z bagietką z bekonem.

Traktowały ją tak, jakby była nieobliczalna, niezrównoważona. Chodziły wokół niej na palcach. Wzięła talerz, usiadła przy wyspie kuchennej i w milczeniu zaczęła jeść. Matka wyszła. Jack również. Lisa i Jenna nie przejęły się tym, co oznaczało, że nie wierzyły w historię Amy. Znowu pomyślała, że jakimś sposobem Jack dowiedział się o jej wypadku, zanim ona wysłała mu SMS-a. Czy powiadomiła go któraś z kobiet przebywających teraz w tym domu? Dlaczego miałyby to zrobić? Skąd wzięłyby jego numer?

Amy postanowiła, że zaraz po śniadaniu zatelefonuje do matki. Pójdzie do swojego pokoju i stamtąd do niej zadzwoni. Kątem oka zobaczyła, jak Jenna wymienia kolejne spojrzenie z Lisą. Ich niepokój był oczywisty, ale skupiały się na niewłaściwej osobie. Powinny myśleć o Jacku, powinny uważać na niego. To Jack! – chciała wrzasnąć. Ja jestem zdrowa na umyśle!

Ugryzła kolejny kęs kanapki, a jej myślami zawładnął słony smak bekonu. Nie dawał jej spokoju. Ciągnął ją wstecz, ale dokąd? Nagle w jej głowie pojawił się obraz. Była w swoim mieszkaniu. Towarzyszyło jej poczucie braku pośpiechu i wyciszenia. Weekend. Robiła sobie śniadanie, usmażyła plaster bekonu i włożyła go między dwie kromki chleba z masłem. Wzięła kanapkę do salonu i usiadła na kanapie, wciąż w piżamie. Było późno, bo postanowiła dłużej poleniuchować w łóżku, mając za sobą potwornie pracowity tydzień, kiedy wracała do domu po dziesiątej, jedenastej wieczorem.

Jedząc kanapkę w ten jasny, zimny styczniowy dzień, zastanawiała się, jak spędzić weekend. Nie miała żadnych planów, ponieważ przez cały tydzień niemal brakowało jej czasu na myślenie. W Tate Modern była wystawa sztuki współczesnej; pomyślała, że zadzwoni do Lisy i Jenny i spyta, czy któraś chce z nią pójść.

Zawahała się. Czasami miała poczucie, jakby wdzierąca się do ich domów, singielka wciąż polegająca wyłącznie na towarzystwie przyjaciółek, podczas gdy one wiodły pełniejsze życie, spędzając czas z mężami. Jako jedyna z całej trójki wciąż nie wiedziała, co ze sobą począć, i pilnowała się, by nie wyjść na zbyt roszczeniową. Tak czy inaczej, stwierdziła, powinnam spotykać się z Jackiem, wciąż na pierwszym etapie romansu. Jeśli zadzwonię do Lisy i Jenny, żeby spytać, czy są wolne, będę musiała jakoś to wyjaśnić.

Westchnęła. Posiadanie fikcyjnego chłopaka miało swoje plusy i minusy. Prawdopodobnie tak jak prawdziwego, pomyślała, świadoma ironii. Może pójdzie na wystawę sama. Będzie to oznaczało wyprawę do centrum Londynu, czego nie lubiła, bo cały tydzień spędzała na dojazdach. Najpierw pociąg, potem metro. A zwiedzając wystawę, nie będzie miała do kogo się odezwać. Nikogo, żeby porozmawiać o obrazach. Ale co innego ma do wyboru? Samotny wypad do kina? Pozostanie w domu i oglądanie telewizji, gdy zajdzie krótkie zimowe słońce, z którego nie skorzysta, tkwiąc w czterech ścianach? Zdała sobie sprawę, że wciąż jest zmęczona po całym tygodniu pracy i nie ma ochoty na nic, ale czasami takie bezczynne siedzenie w ciszy pustego mieszkania było strasznie izolujące. Wyjść czy nie wyjść? Zrozumiała, że utknęła w pętli niezdecydowania, co zdarzało się niepokojąco często, gdy była jedyną osobą odpowiedzialną za motywowanie siebie, żeby wyjść i coś zrobić.

Zadzwonił telefon. Sięgnęła po niego, zaintrygowana. Może to zapowiedź wyjścia z impasu. Ale gdy spojrzała na ekran, zobaczyła, że to matka. Poczula zawód, nie mogła nic na to poradzić.

– Cześć, mamó – rzuciła radośnie.

– Dzień dobry... – powiedziała Martha – czy może dobry wieczór?

Jej ton brzmi niemal oskarżycielsko, pomyślała Amy z zakłopotaniem. Przez chwilę miała wrażenie, że matka widzi, jak długo się wylegiwała. Oczywiście to niemożliwe – a gdyby nawet, to co z tego? Postanowiła puścić jej słowa mimo uszu.

– Jak ci mija weekend? – spytała i niemal poczuła, jak matka się waha.

– Dobrze – odparła w końcu. – Przypuszczam, że jesteś z Jackiem?

Amy szybko rozważyła, co odpowiedzieć. Jeśli przytaknie, będzie miała pretekst, żeby w miarę szybko zakończyć rozmowę. Ale tak naprawdę źle się czuła, okłamując matkę.

– Nie w tej chwili – odparła.

– Och. – Ciszę, która nastąpiła, przepełniało oczekiwanie. – No to kiedy go poznam?

– Niebawem.

– To znaczy?

– Nie wiem, mamo.

– Zaczęliście się spotykać ponad miesiąc temu.

Czy sobie to wyobraziła, czy mama lekko bełkocze? Serce jej zamarło.

– To wcale nie tak długo, mamo.

– Rozumiem, że on jest nowością i to wszystko jest bardzo ekscytujące, ale pamiętaj, że poza tym życie toczy się dalej.

O czym ona mówi?

– Tak... oczywiście. O co ci chodzi?

Martha milczała przez chwilę.

– Jest dziewiąty.

– No tak – rzuciła Amy od niechcenia i poniewczasie spostrzegła się, że dała plamę.

Lodowate ciarki przeszły jej po plecach. Cholera. Zapomniała. Nie, to nie do końca prawda. Nigdy nie zapomni, nie tam, gdzie to ważne, w sercu, w psychice, ale faktycznie w nawale obowiązków ta data wyleciała jej z głowy.

– Dziś mija dziesięć lat, Amy.

Aż złapała się za głowę. Dziesięć lat. W oczach matki to pogarszało sprawę. Okrągła rocznica nasiliła jej ból.

– Twój tata zmarł dziesięć lat temu.

– Wiem, mamó – szepnęła.
– Tylko ty nie zadzwoniłaś.
– Przepraszam, naprawdę. – Amy wiedziała, że cokolwiek powie, nie naprawi sytuacji, nie nadrobi tego. Jest Złą Córką. – Dobrze się czujesz? Co robisz?
– Jestem w domu. Sama.
– Dotrzymać ci towarzystwa?
– Nie, nie zmieniaj swoich planów. Nic mi nie jest. Ale chciałabym niedługo cię zobaczyć.
– Oczywiście. W następny weekend?
– Byłoby wspaniale.
– Świetnie. Jesteśmy umówione. W piątek wieczorem. Zabieram cię na kolację. Do Bentley's, ja stawiam.
– Przyrowadź Jacka.
– Słucham?
– Chciałabym go poznać.
Och, na litość boską, pomyślała Amy. Jak ma się teraz z tego wyplątać?
– Tata też by tego chciał.
– Wiem, mamó, ale...
– Nie odmawiaj. Proszę, Amy – powiedziała Martha.
Amy słyszała smutek w jej głosie i czuła się okropnie. Wiedziała, że musi jakoś to wszystko odkręcić. Teraz nie miała innego wyjścia.
Martha zapisała datę w terminarzu, rozpromieniła się i ze szczerą radością podziękowała córce.

*

Cholera, myślała Amy, idąc ulicami Mayfair, cholera, cholera, CHOLERA! Jak to się stało, że zapomniała powiedzieć matce, przeprosić, że niestety, Jack nie może się z nimi spotkać, więc czy mogłyby przełożyć kolację? Do licha, jak dopu-

ściła do tego, by wypadło jej z głowy coś tak ważnego, co zagrażało monstrualną katastrofą? Przypomniała sobie dopiero rano, kiedy matka napisała w SMS-ie, że nie może doczekać się spotkania, a jej zamarło serce. Martha zaplanowała cały weekend w Londynie z myślą o tym, że pozna Jacka. Amy nie była w stanie nic zrobić, ponieważ spóźniła się na spotkanie z klientem, co zapoczątkowało trwającą do wieczora lawinę opóźnień, i teraz była w drodze na kolację z podekscytowaną matką i nieistniejącym chłopakiem.

Zabrzączał jej telefon. Martha napisała, że pociąg jest opóźniony, stoi przed semaforem. Przez chwilę Amy rozkoszowała się cudowną myślą, że matka nie dotrze do stacji w centrum Londynu, że będzie godzinami tkwić w koszmarze podmiejskiego pociągu, aż zrobi się późno i będzie musiała zawrócić. Telefon znów zabrzączał: **Jedziemy!**

Amy westchnęła. Miała pół godziny, zanim Martha stawi się w restauracji. Zobaczyła przed sobą neon sklepu z telefonami; równie dobrze może rozwiązać przynajmniej jeden problem, ten z felerną komórką. Może w tym czasie wpadnie na pomysł, jak zwieść matkę.

Przeglądając smartfony, rozważała, jaką znaleźć wymówkę – poza wypadkiem, bo wiązało się z tym zbyt wiele pułapek – żeby usprawiedliwić nieobecność Jacka. Najlepiej powołać się na pracę. Powie, że musiał zostać w szpitalu z powodu takiej czy innej sytuacji kryzysowej. Z tym nie można polemizować, chociaż matka i tak będzie srodze zawiedziona. I będzie obwiniać Amy, co zepsuje im wieczór. Byłoby o wiele lepiej, gdyby Jack bezpośrednio przeprosił Marthę. Wtedy okazałaby znacznie większą wyrozumiałość.

Amy poszła z wybranym telefonem do kasy, gorączkowo zastanawiając się, jak złagodzić ten cios. Nagle, gdy jej zakup został nabity na kasę, wpadła na pewien pomysł. Szalony, desperacki, ale mógł jej pomóc. Co prawda tylko na dzisiaj. Później, przez następne kilka miesięcy, będzie improwizować, aż do rozstania z Jackiem.

Spojrzała na sprzedawcę.

– Potrzebny mi do niego nowy numer – powiedziała. – Na kartę.

*

Stół w restauracji nakryto na trzy osoby. Martha, w nowej jedwabnej bluzce, już tam była. Amy ucałowała ją w policzki, czując się winna z powodu bijącego od niej podniecenia.

– Pięknie wyglądasz, mamó.

– Dziękuję, skarbie. – Martha skubnęła bluzkę. – Włożyłam specjalnie na tę okazję. – Spojrzała na córkę. – To nowy kostium? Niezwykły zielony kolor.

Ostatnio Amy zdobyła się na odwagę, dokonując w sklepie tego wyboru i próbując podnieść swoje niskie morale, ale teraz nie mogła przestać się zastanawiać, czy nie popełniła błędu.

– Podoba ci się?

Martha uśmiechnęła się skromnie.

– Tak, chociaż to kolor nie dla mnie. Lepiej pasuje młodszemu osobie.

Czy rozumiała przez to, że taką młodszą osobą jest Amy, czy też że jej córka ma już swoje lata i kostium byłby stosowniejszy dla kogoś młodszego? Amy nie wiedziała. Nie miała siły dociekać, więc przeprosiła i poszła do toalety.

Wróciła z zawieszoną miną.

– Co się stało? – zapytała Martha.

Amy ze smutkiem pokazała jej telefon. Ten stary, psujący się.

– Właśnie dostałam SMS-a. Od Jacka. Zatrzymali go w szpitalu.

Matka spochmurniała.

– Co? Akurat teraz?

– Niestety.

– Ale przyjdzie?

Amy w milczeniu pokręciła głową.

– Tak czekałam, żeby go poznać. Nie można tak po prostu odwołać spotkania!

– To jego praca, mamó. Jest lekarzem, ratuje życie.

– Wszystko dobrze, ale zrobiłyśmy tu rezerwację. Przyjechałam aż z Dorset!

Umówiłam się na pobyt u Beth i tak dalej!

Amy po raz kolejny skłęła się w duchu za to, że nie załatwiła wcześniej tej sprawy.

– Co teraz zrobimy? – spytała Martha urażonym tonem.

– Może zjemy kolację?

– Mam ochotę do niego zadzwonić.

– Nie odbierze. Ale wysłał wiadomość do ciebie.

Wyprostowała się.

– Co napisał?

Amy otworzyła wiadomość, którą sama wysłała z nowego telefonu, tymczasowo nazwanego „Jack”, i przeczytała na głos:

– Proszę, przekaz swojej mamie, że bardzo mi przykro, że nie spotkam się z Wami dziś wieczorem. Czuję się przez to naprawdę okropnie, bo bardzo zależało mi na tym spotkaniu, ale wiem, że będziecie miały cudowny wieczór. W Bentley's robią najlepsze ciastka krabowe. Martho, jeśli ma to jakieś znaczenie, Amy powiedziała o Pani mnóstwo wspaniałych rzeczy i ogromnie pragnę poznać kobietę, która urodziła tak fantastyczną córkę.

Martha poróżnowiała.

– On to wszystko napisał?

Amy podsunęła jej telefon.

– Tak.

– To miłe.

– Oklepane, moim zdaniem – powiedziała Amy.

– Bardzo szlachetne. No dobrze, wybaczam mu.

Dzięki Bogu, pomyślała.

Później, po powrocie do domu, wyczerpana padła na kanapę. Przez większą część posiłku matka chciała rozmawiać o Jacku i chociaż Amy niejedną raz pró-

bowiała zmienić temat, wciąż musiała przytakiwać, jaka bezinteresowna i honorowa jest jego praca, a po swojej uwadze o jego wyśmienitej zapiekance z kurczakiem kilkakrotnie potwierdzać, że Jack naprawdę umie gotować. Kiwała głową, gdy Martha z entuzjazmem dowodziła, że tata Amy, Peter, na pewno znalazłby z nim wspólny język. Przyznała, że tak, Jack lubi sport i grali w tenisa (ona wygrała). Martha nie posiadała się z zachwytem, że w końcu spełnia się jej marzenie o mężczyźnie, który zaopiekuje się jej córką. Amy słuchała i odpowiadała na pytania, i czuła się coraz bardziej samotna.

Rozejrzała się po swoim pustym mieszkaniu i zrozumiała ludzi, którzy trzymają zwierzęta dla towarzystwa. Zadzwoiła do Lisy, ale przyjaciółka była zajęta: „Wybacz, właśnie wszedł David. Mogę oddzwonić?”.

Odparła, że nie ma sprawy, i rozłączyła się, odkładając telefon na stolik.

Wyjęła z torebki ten nowy, należący do „Jacka”, i położyła go obok swojego, uświadamiając sobie, co sama zapoczątkowała. Miała wrażenie, że pakuje się w coraz większą kabałę. Jeszcze tylko kilka tygodni, a potem wszystko odwoła. Stwierdziła, że w tym czasie lepiej nie korzystać z nowego telefonu, zarezerwować go dla Jacka, na wypadek gdyby doszło do kolejnej sytuacji kryzysowej, z której będzie musiała wybrnąć.

Włączyła „jego” komórkę. Napisała wiadomość. Nacisnęła „wyślij” i odłożyła telefon do szuflady biurka.

Jej stara komórka powiadomiła o nadejściu SMS-a. Spojrzała na nią ze smutnym uśmiechem. Tak, wiedziała, co jest w wiadomości, oczywiście, ale mimo to ją przeczytała.

Amy, jesteś najbardziej fantastyczną, inteligentną, cudowną dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem. I myślę, że dobrze Ci w zielonym.

Gdyby tylko ten SMS był prawdziwy.

Siedząc przy wyspie kuchennej, Amy odłożyła kanapkę z bekonem i spojrzała szeroko otwartymi oczami na przyjaciółki.

– To mój telefon! – wybuchła.

– Co? – zapytała Lisa.

– Rano kazałaś mi zadzwonić pod numer Jacka. Słyszałyśmy dzwonek telefonu. Ale to nie jego komórka, tylko moja. Kupiłam ją dla siebie. Bo stara ciągle się psuła. – Wyjaśniła, że kupiła nowy telefon wraz z tymczasowym numerem, bo chciała wysłać SMS-a od „Jacka”, żeby jej matka poczuła się lepiej. – Zrobiłam to pod wpływem impulsu – dodała. – Prawdopodobnie nie był to mój najlepszy pomysł, szczerze mówiąc, ale spieszyłam się. Nie myślałam trzeźwo i desperacko szukałam szybkiego rozwiązania.

– Wydaje się trochę ekstremalne – skomentowała Lisa.

– Mam ekstremalną matkę. To moja komórka – powtórzyła Amy. – Leżała w szufladzie biurka w moim mieszkaniu.

– No dobrze, ale jak, u licha, Jack zdobył telefon z twojego mieszkania? – zapytała Jenna.

– Jezu... musiał się jakoś tam dostać – mruknęła Amy. Nagle coś jej wpadło do głowy. – Może wtedy, gdy leżałam w szpitalu...

– Czy były jakieś ślady włamania? – spytała Lisa.

– Nie. – Amy usiadła prosto. – Czekajcie! Było coś dziwnego.

– Co?

– Kiedy wróciłam ze szpitala, na kuchennym blacie stał kubek. Ze spleśniałymi resztkami kawy.

– Czyli... zapomniałaś go umyć?

Amy spojrzała na nią z ukosa.

– Wiesz, że to nie w moim stylu.

– Fakt – przyznała Lisa. – Ale to nadal nie wyjaśnia, w jaki sposób ktoś dostał się do środka. I czemu miałby pić kawę, a niczego nie ukraść? Szukałaś tego telefonu przed wyjazdem do Francji? Był w szufladzie?

– Nie sprawdziłam – odparła Amy.

Jenna patrzyła na nią, czekając, aż powie coś innego na poparcie swojej historii, ale nic nie przychodziło jej na myśl.

Drzwi frontowe otworzyły się i usłyszeli radosne głosy Marthy i Jacka. Amy zerwała się z miejsca. Wyszła do holu, a Jenna i Lisa podążyły za nią. Martha miała zaróżowione z zimna policzki i roziskrzone, ale też zaczerwienione oczy.

– Gdzie byłaś? – spytała Amy.

Martha spojrzała na nią z zaskoczeniem.

– Na dworze. Z Jackiem.

– Nie pomyślałaś, żeby kogoś o tym powiadomić? – Amy czuła narastającą złość.

Matka zachowała się nieodpowiedzialnie, wychodząc z mężczyzną, który, jak Amy wyraźnie jej powiedziała, jest oszustem.

– Zostawiłam wiadomość – oznajmiła Martha.

– Jaką wiadomość?

– Na kartce. Tu, na stole w holu.

Nie było żadnej kartki. Zaczęła przekładać rzeczy i rozglądać się po podłodze.

– Jest! – wykrzyknęła, triumfalnie unosząc kartkę. – Musiało ją zwiać, gdy zamykaliśmy drzwi.

To wciąż nierozważne, pomyślała Amy. Wychodzić z obcym facetem. Splotła ręce na piersi.

– Nie mam pojęcia, dlaczego jesteś taka zirytowana – zachnęła się jej matka. – Jack zrobił coś wspaniałego.

Amy spojrzała na niego po raz pierwszy, odkąd wszedł do domu.

– To nic takiego – rzucił skromnie.

– Wcale nie – zaprzeczyła Martha. Odwróciła się w stronę Amy i powiedziała cicho: – Zabrał mnie na Południowy Stok.

Amy zeszywniała. To było jej miejsce, miejsce jej rodziny, niezwykle dla nich ważne.

– Poszliśmy razem. Położyłam róże – kontynuowała Martha. – Różowe. Wiesz, jak twój tata je uwielbiał. Przypominały mu o naszym ślubie. Rzecz jasna nie prawdziwe... papierowe. Jack je zrobił – dodała.

No oczywiście. Amy kipiała z gniewu.

– To było urocze. Wiele dla mnie znaczyło.

Była wściekła. Kim jest ten facet, który okłamuje nie tylko ją, ale także jej matkę? Za kogo się uważa, wdzierając się w ich życie, grając na ich emocjach?

– Nie powinien tego robić – oświadczyła.

– Och, daj spokój, Amy – burknęła Martha, zirytowana jej brakiem entuzjazmu. – Nie bądź taką ponuraczką. To miły gest i dobrze o tym wiesz.

Nie, wcale nie! Amy miała ochotę krzyczeć. To przebiegły manipulant! Robi wszystko, żebyś go lubiła. Zakłada ci klapki na oczy.

– Nie chciałem nikogo zdenerwować – bąknął niepewnie Jack.

Martha poklepała go po ramieniu.

– Nikogo nie zdenerwowałeś. Chodź, zasłużyliśmy na kawę po całej tej wyprawie w śniegu – dodała, ciągnąc go do kuchni.

Lisa podeszła do Amy.

– Ma skarpetki – szepnęła.

– Co?

Wskazała stopy idącego do kuchni Jacka.

– Żółte skarpetki. Te, które cię rozbawiły, pamiętasz?

Amy spojrzała w dół. Jack miał jasnożółte skarpetki. *Nowe słońce w moim życiu i jego trafnie dobrane skarpetki*. Tak napisała na Facebooku. Zmrużyła oczy, nienawidząc tych skarpetek, nienawidząc tej zagadki, tego ciągłego wysiłku, by przekonać je wszystkie o prawdzie.

– On jest zmyślony – powiedziała. – Ciągłe wam powtarzam, że Jack nie istnieje.

Poszła do swojego pokoju. Gdy leżała na łóżku, słuchając dobiegającego z kuchni śmiechu i gwaru rozmów, nagle zrozumiała, co musi zrobić. Że też wcze-

śniej na to nie wpadła.

Pójdzie zobaczyć się z ciotką. Esme jej uwierzy.

TRZYDZIEŚCI JEDEN

28 lutego

Amy włożyła śniegowce, starając się zrobić to jak najciszej. Będzie musiała iść pieszo do domu Gabriela. Szybciej byłoby pojechać na nartach, ale były w schowku za kuchnią, a nie chciała, by ktokolwiek wiedział, że dokądś się wybiera. Zapięła skafander z wrażeniem, że ma najgłośniejszy suwak na świecie. Wszyscy nadal siedzieli w kuchni. Rozejrzała się, szukając telefonu – nie było go w jej pokoju i pomyślała, że może leży na stole w holu. Nie znalazła go, ale nie mogła sobie pozwolić na dalszą zwłokę; będzie musiała obejść się bez niego. Ostrożnie otworzyła drzwi, wyszła na zewnątrz i zamknęła je po cichu za sobą.

Od razu ogarnęło ją poczucie wolności. Słońce i kilometry śniegu dodały jej otuchy. Ruszyła wzdłuż bocznej ściany, skradając się pod kuchennym oknem. Kiedy znalazła się na tyłach domu, wiedziała, że już jej nie widzą. Ruszyła doliną, w stronę dalekiej chaty Gabriela. Szła najszybciej, jak mogła, byle dostać się do Esme, i nagle pomyślała, że przecież może ich nie być w domu. Zawahała się, ale ciężar spadł jej z serca, gdy zobaczyła ulatującą z komina smużkę dymu.

Poczuła, że wstępują w nią nowe siły. Przedzierała się przez kopny śnieg, nie bacząc na palący ból mięśni nóg. Śnieg sięgał do kolan, a miejscami zapadała się po uda, tracąc równowagę. Co jakiś czas potrzebowała chwili, żeby się wyprostować i ocenić, gdzie przejście będzie łatwiejsze. Pragnęła zobaczyć Esme i skarciła się za to, że tak długo zwlekała z wizytą. Potrzebowała krzepiącego głosu rozsądku ciotki – musi jej opowiedzieć, co się stało. Instynktownie czuła, że Esme jej uwierzy.

Pomimo całej swojej determinacji posuwała się wolno. Minęły wieki, zanim dotarła do pierwszych sosen. Postanowiła pójść przez las, a nie dokoła, bo pod osłoną drzew zalegało mniej śniegu i będzie mogła przyspieszyć. Weszła między drzewa i od razu poczuła ulgę w nogach. Tu nie musiała wkładać tyle wysiłku w wędrówkę i mogła iść szybciej. Omijała sosny, pilnując, żeby nie zboczyć z obranego kierunku i wyjść z lasu w pobliżu domu Gabriela.

Jakiś dźwięk za jej plecami sprawił, że się zatrzymała. Odwróciła się z bijącym sercem. Niczego tam nie było. Może to śnieg spadający z gałęzi, pomyślała, ale brzmiało to tak, jakby przez las szedł ktoś inny. Spojrzała ponownie, wyężając wzrok, ale była tylko ona i drzewa. Gigantyczne sosny górowały nad nią, gałęzie przysłaniały błękitne niebo. Nagle zapragnęła wydostać się stąd, znaleźć się z powrotem w słońcu. Ruszyła w dalszą drogę, zwiększając tempo i cały czas czując, że ktoś idzie za nią. Na wpół biegła, na wpół brnęła przez śnieg, raz upadła jak długa. Podniosła się i pospieszyła dalej, nie oglądając się przez ramię, aż wreszcie wypadła spomiędzy drzew, na światło, i zobaczyła przed sobą chatę Gabriela. Odetchnęła głęboko i zaśmiała się z siebie, ze swojego strachu. Weź się w garść, głupia, upomniała się surowo.

W drodze do chaty mimo woli zerknęła w prawo – tam, jak wiedziała, kilkaset metrów za domem Gabriela, zaczynał się Południowy Stok. Esmé od dziesięciu lat, od czasu wypadku, już tamtędy nie jeździła. Woląla inną trasę, z którą wiązało się mniej przykrych wspomnień.

Podeszła do drzwi domu i tupiąc, żeby otrząsnąć buty ze śniegu, zapukała. Serce zabiło jej szybciej, gdy usłyszała zbliżające się kroki. Drzwi się otworzyły i brązowe oczy Gabriela rozbłysły na jej widok.

– Amy! – wykrzyknął i pocałował ją w oba policzki. – Cudownie cię widzieć.
Entrez.

Z wdzięcznością skorzystała z zaproszenia. Gabriel zamknął drzwi, odsunął się i obrzucił ją wzrokiem.

– Dobrze wyglądasz.

– Ty też – powiedziała, chociaż nie była to do końca prawda.

Gabriel wyglądał na zmęczonego, a jego zwykle ożywiona, porwana zmarszczkami twarz, zawsze opalona, bo spędzał dużo czasu na świeżym powietrzu, była bledsza, niż Amy zapamiętała. W zielonym wełnianym pulowerze i granatowych chinosach wydawał się jakby mniejszy, nie tak postawny jak dawniej.

– Miałem nadzieję, że mnie odwiedzisz. Napijesz się kawy?

– Tak, chętnie... – Coś, co powiedział, dopominało się o jej uwagę, ale nie umiała określić co. Rozejrzała się. – Gdzie jest Esme?

Twarz Gabriela zmarszczyła się jeszcze bardziej, a w jego oczach pojawiło się zakłopotanie.

– Esme?

– Tak...

Nagle Amy zrozumiała, co ją zastanowiło. Gabriel powiedział: „Miałem nadzieję, że mnie odwiedzisz”. Nie nas.

– Esme tu nie ma – powiedział powoli.

Uśmiechnęła się.

– Czyżbym zapomniała, że miała wyjechać czy coś? No tak, oczywiście... nie wiesz. Kilka dni temu miałam wypadek. Uderzyłam się w głowę. Obawiam się, że doznałam amnezji. Nie pamiętam niczego z ostatnich sześciu miesięcy. Wyskoczyła na zakupy do Mediolanu?

Gabriel nie odwzajemnił uśmiechu. Jego twarz była pełna bólu, przygnębiona.

– Nie, nie wyjechała. – Po chwili dodał: – Tak mi przykro, Amy. Esme nie żyje.

TRZYDZIEŚCI DWA

28 lutego

Miała wrażenie, że wpadła do lodowatej wody. Całe ciepło uciekło z jej ciała i nie potrafiła opanować dygotu. Czuła, że się śłania, że Gabriel bierze ją za rękę i prowadzi do kuchni.

– Usiądź. – Pomógł jej opaść na drewniane krzesło.

Czuła ciepło płynące od żelaznego piecyka na drewno. Spuściła wzrok i zobaczyła kapcie Gabriela: brązowa skóra z białą stębnówką; pamiętała, że ciotka kupiła mu je dwa lata temu na Gwiazdkę. Esme śmiała się, kiedy poprosił o kapcie, ale potem wyszukała najbardziej stylowe, jakie mogła znaleźć. Gabriel otworzył drzwiczki i dorzucił polano. Amy patrzyła bez słowa, jak odwraca się do stojącego na blacie ekspresu. Wyjął z kredensu dwie filiżanki i spodeczki, turkusowe i czerwone, i nalał kawę. Patrzyła, jak dodaje dwie łyżeczki cukru do jednej filiżanki, wiedząc, że to dla niej, i nie miała siły zaprotestować. Nie lubiła cukru, nie sładziła kawy ani herbaty.

Postawił filiżanki na stole i usiadł naprzeciwko niej.

– Musisz się wzmocnić – powiedział.

Spojrzała na jasnoczerwoną filiżankę, zmusiła się, by ją podnieść, i zakrztusiła się słodką kawą. Odstawiła ją na blat.

Gabriel położył rękę na jej dłoni.

– Wiem – rzekł cicho. – Rozumiem twój szok.

Nadal nie mogła tego pojąć. Esme... piękna, energiczna, buntownicza ciotka Esme nie żyje.

– Musisz wypić jeszcze – powiedział łagodnie Gabriel, przysuwając jej filiżankę.

Wyjął z kredensu butelkę brandy i dolał trochę do kawy. Nie spuszczał Amy z oka, dopóki nie przyłożyła filiżanki do ust. Alkohol palił jej gardło i żołądek, wrywając ją z odrętwienia.

– Kiedy? – spytała.

– Cztery miesiące temu.

Była wstrząśnięta.

– Cztery miesiące?

– Niestety.

– Jak to się stało?

– Wypadek samochodowy. Pojechaliśmy na kilka dni do Genewy. Esme weszła na jezdnię, kierowca jej nie widział... – Gabriel wzruszył ramionami. – Nikt nie mógł nic zrobić. Pamiętasz... – zaczął ostrożnie.

– Co?

– Pogrzeb?

– Byłam?

– Oczywiście. Bardzo kochałaś ciotkę.

Łzy spływały jej po twarzy. Gabriel podszedł i ją objął.

– Tak mi przykro... Gdybym wiedział o twoim wypadku, skontaktowałbym się z tobą.

Wydmuchała nos, usiłując się opanować, gdy nagle coś sobie uświadomiła. Zrozumiała, że przyczyną jej dojmującego smutku, tego strasznego uczucia, które spowijało ją niczym chmura, było głęboko pogrzebane wspomnienie o śmierci ciotki.

– Ale wróci ci pamięć, prawda? – zapytał Gabriel.

– Mam nadzieję. Już mam dziwne przebłyski.

Uśmiechnął się.

– To dobrze. Musisz zostać na lunch. Nie przyjmę odmowy – dodał szybko, widząc, że Amy chce zaprotestować. Podszedł do lodówki, wyjął kilka pudełek i paczuszek zapakowanych w papier woskowany. – Mam najlepszy ser – oznajmił. – Abbaye de Tamié. Wyrabiają go mnisi. Myślę, że ci zasmakuje. I ementaler. I chleb. I jest *le jambon*.

Zajął się przygotowaniami, a Amy patrzyła, jak nakrywa do stołu. Wciąż temu nie dowierzała, miała wrażenie, jakby zbudziła się z koszmarne snu, tylko że ciemność podążyła za nią do prawdziwego świata. Niemal spodziewała się, że ciotka zaraz wejdzie przez tylne drzwi, z twarzą zaróżowioną od zimna i roziskrzonymi oczami, jak wiele razy wcześniej. Będzie docinać Gabrielowi, że taką ilością sera można by nakarmić całą armię. On będzie pomrukiwać dobrodusznie i popisywać się swoim francuskim rozeznaniem we wszystkim, co dotyczy *fromage*. Usiądą razem; Esmé wypyta ją o życie w Londynie, ze szczerym zainteresowaniem wysłucha jej opowieści o pracy, okaże zdziwienie i oburzenie jej ciągłym statusem singielki. Żartobliwie będzie ją namawiać, żeby została we Francji i znalazła sobie Francuza takiego jak Gabriel. Przynajmniej sprawi, że Amy poczuje się tak, jakby życie w samotności nie miało znaczenia, jakby było czymś nieistotnym, ponieważ ma jeszcze wszystko przed sobą. Później przejdzie do miejscowych plotek i rozbawi ją opowiastkami o swojej towarzyskiej niezręczności: ekscentryczna Angielka, kiedyś tylko tolerowana, a teraz kochana.

– Spróbuj – zachęcił Amy Gabriel, podsuwając jej szynkę.

Spojrzała na talerz. Musi skosztować; zadał sobie tyle trudu. Wzięła kromkę chleba i położyła ją na talerzu.

– Mam nadzieję, że poza tym wypadkiem życie było dla ciebie łaskawe – powiedział.

Spojrzała na niego, zastanawiając się, czy powinna mu się zwierzyć. Wyglądał na starszego, bardziej posiwiałego i smutniejszego. Nie chciała go obarczać swoimi sprawami.

– Tak, dziękuję – odparła.

Przyjrzał się jej twarzy.

– Coś przede mną ukrywasz.

Spuściła oczy.

– Nic, z czym nie mogłabym sobie poradzić.

– Na pewno?

– Tak. Wiesz, problemy z facetem. Niezupełnie jest tym, za kogo go miałam. –

Urwała, nagle coś sobie uświadamiając. – Dymek... Cholera, to zasłona dymna.

– O czym ty mówisz?

Pokręciła głową i zaśmiała się gorzko.

– To nic takiego. Opowiedział mi historyjkę o swoim palcu. Brakujący koniuszek... stary uraz. Myślę, że to odwróciło moją uwagę.

Gabriel zmarszczył brwi.

– Czy powinienem się martwić z powodu tego faceta?

– Nie... naprawdę.

Nie chciał odpuścić. Twardo spojrzał jej w oczy.

– Boisz się go?

Oddech uwiązał jej w gardle. Czy się bała? Świadoma, że Gabriel przygląda jej się uważnie, uśmiechnęła się.

– Nie, absolutnie. Tylko... sama nie wiem. Miałam nadzieję, że pogadam od serca z Esme.

Gabriel najpewniej odgadł, że Amy stara się zbagatelizować problem, ale nie naciskał.

– Cóż, jeśli zmienisz zdanie...

– Wiem, gdzie cię znaleźć.

Pokiwał głową. Spojrzał na jej talerz z niedojedzonym chlebem i szynką. Z nietkniętym serem.

– Nie jesteś głodna?

– Wybacz... – mruknęła z poczuciem winy.

Uśmiechnął się.

– Nie szkodzi. – Wstał, sprzątnął talerze i dolał kawy. – Jak dom?

– Piękny. Cudowny jak zawsze. – Żal ścisnął jej gardło, gdy zdała sobie sprawę, że Esme już nigdy do niego nie wróci.

– A twoja matka?

– Ma się dobrze. Zważywszy na okoliczności.

– Nie wie o wypadku Esme – powiedział Gabriel.

Amy gwałtownie podniosła na niego wzrok.

– Co? Ale... nie była na pogrzebie?

Nie musiała czekać na odpowiedź. Przecież gdyby Martha wiedziała o śmierci szwagierki, nie mówiłaby o niej jak o żywej osobie.

Gabriel z lekkim zakłopotaniem pokręcił głową.

– Nie. Widzisz... Nie jest tajemnicą, że twoja matka i Esme nie przepadały za sobą. Esme zdecydowała, że nie chce, by Martha była na jej pogrzebie. Taki był jej warunek, gdy zmieniała testament niedługo po śmierci twojego ojca.

– Och. – Amy nie kryła zaskoczenia.

– Myślę, że jest coś jeszcze, czego nie pamiętasz – dodał powoli Gabriel.

Zimne ciarki strachu przebiegły jej po plecach.

– Co?

Ale Gabriel się uśmiechał.

– Twoja ciotka... jak mówiłem, zawarła w testamencie pewne klauzule, które teraz, po latach, mogą wydawać się... błahe. Ale kiedy porządkowała swoje sprawy, miała powód, by nie chcieć, żeby twoja matka dowiedziała się o jej śmierci. Przynajmniej dopóki wszystko nie zostanie załatwione.

– Załatwione?

– Esme była bardzo zamożna. Chciała, by jej wola została wypełniona co do joty, bez jakichkolwiek komplikacji.

– Nadal nie rozumiem.

– Jesteś spadkobierczynią. Dom zostawiła mnie, ale całą resztę majątku zapisała tobie, i tylko tobie, pod warunkiem że zachowasz wiadomość o jej śmierci dla siebie, dopóki pieniądze nie zostaną przelane na twoje konto. Wiem, to może wydawać się głupie, ale takie są warunki testamentu i należy je spełnić. Myślę, że chodzi o ponad trzy miliony euro.

Amy osłupiała.

– Trzy miliony? Zostawiła je mnie? – wyjąkała.

– Dlaczego nie? Jesteś jej jedyną żyjącą krewną. – Poklepał ją po ręce. – Wiesz, że testament został urzędowo zatwierdzony?

– Tak? – mruknęła Amy, nie będąc w stanie ogarnąć tego wszystkiego.

– Tak. Na pewno masz maile.

– Nie... tak, muszę mieć. Gdzieś. Trudno było za wszystkim nadażyć. Nie wiedziałam, że powinnam coś zrobić. Wiesz, po tej utracie pamięci...

– Pieniądze zostaną przelane lada dzień. Powinnaś zadzwonić do prawników. Mają kancelarię w Genewie. Muszę mieć gdzieś ich dane. – Gabriel wstał, żeby ich poszukać, ale Amy pociągnęła go z powrotem na krzesło.

– Zaczekaj – poprosiła, trzymając go za rękę.

Wtedy zobaczył, jak bardzo jest wstrząśnięta i emocjonalnie rozbita. Ujął jej dłoń i uśmiechnął się.

– Żyła pełnią życia – powiedział. – I bardzo cię kochała. Człowiek nigdy nie był sam, jeśli znał Esme.

Tylko że teraz, po śmierci Esme, zostałam zupełnie sama, pomyślała Amy.

TRZYDZIEŚCI TRZY

5 lutego

To był udany tydzień. Harry dwukrotnie spotkał się z Niną. Za każdym razem zostawał u niej w mieszkaniu i dowiadywał się o niej coraz więcej. Była jedy-naczką, ojciec zmarł, a matka przebywała w domu opieki (którego Nina nie mu-siała opłacać, bo matka dostawała przyzwoitą emeryturę). Nie miała nikogo od trzech lat i była gotowa na nowy związek. Nie przeszkadzało jej, że jest od niej dziewięć lat młodszy. Pewnego wieczoru usiadła z nim po kolacji i oznajmiła, że pragnie założyć rodzinę, a ponieważ ma już trzydzieści siedem lat, musi uwinąć się z tym w miarę szybko. Nie zamierza wywierać żadnej presji, ale nie ma sensu, żeby wzajemnie marnowali swój czas, jeśli on nie jest zainteresowany. Harry za-pewnił ją, że uwielbia dzieci i zawsze chciał mieć własne. Powiedział, że bardzo podziwia ją za szczerość. Naprawdę nie miał nic przeciwko dziecku – a ona z pewnością mogła sobie na nie pozwolić.

Ogólnie rzecz biorąc, wszystko dobrze się układało. Dogadywali się, lubił ją. Uznał, że może snuć bajkę o zakładaniu baru przez co najmniej kolejne trzy mie-siące; a do tego czasu staną się sobie tak bliscy – liczył na to – że zdobędzie się na wyznanie jej prawdy. Wyjaśni, że zawsze lekceważono go jako biedaka, podczas gdy w rzeczywistości stawał na głowie, by związać koniec z końcem. W głębi du-szy żywił nadzieję, że Nina zrozumie. Może będzie do niego przywiązana tak bar-dzo, że zdecydują się zamieszkać razem. Cokolwiek się stanie, on znajdzie spo-sób, by kontynuować ich związek. Będzie jakieś wyjście. Zawsze jest.

Spojrzał na zegarek. Już prawie koniec pracy – jeszcze tylko załaduje kieliszki do zmywarki i będzie mógł wyjść. Alex wrócił po wyrzuceniu ostatnich butelek do kosza na szkło. Harry zobaczył, że Max ze zmarszczonym czołem unosi wzrok znad kasy. Nie chciał wiedzieć, co się stało. Wsunął druciany koszyk z kieliszkami do zmywarki, włączył ją i wyszedł zza baru, by pójść po kurtkę.

– Chwileczkę! – zawołał Max.

Harry zatrzymał się i odwrócił do niego.

– Chcę zamienić słówko z tobą i Alexem – wyjaśnił Max.

Harry znacząco spojrzał na zegarek.

– To nie potrwa długo – dodał szef.

Wyglądało na to, że nie ma wyboru. Max spodziewa się, że zaszaluję i wrócę za bar, pomyślał Harry, ale nie ruszył się z miejsca, rozbawiony zirytowaną miną szefa. Ten oznajmił:

– Manko w kasie. Rozbieżność między rachunkami a gotówką. Brakuje około sześćdziesięciu funtów.

Harry nic nie powiedział. Patrzył z obojętnym wyrazem twarzy.

– Macie pilnować, co wbijacie – ciągnął Max – żeby uniknąć pomyłek.

Spojrzał na nich obu, ale Harry czuł, że oczy szefa zatrzymały się na nim dłużej. To go wkurzyło. Podejrzewa mnie tylko dlatego, że jestem nowy. Do diabła, pewnie sam się pomylił w rachunkach. Albo zawiniła kasa. Może jakaś usterka w oprogramowaniu.

Ktoś zapukał w szybę i wszyscy trzej się odwrócili.

Harry'emu rozbłysły oczy. Nina! Wskazywała na zegarek, pytając gestem, czy skończył pracę.

Jasne, że tak. Chwycił kurtkę i wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Gdy stanął w mroźnym powietrzu, pomyślał, jak bardzo się cieszy, że ją widzi. Jej usta smakowały alkoholem.

– To miła niespodzianka – powiedział.

– Nie byłam pewna, czy cię tu jeszcze zastanę. Miałam zadzwonić, ale akurat tędy przechodziłam i pomyślałam, że sprawdzę, czy jesteś wolny.

– Dla ciebie zawsze – zapewnił i trzymał ją za rękę przez całą drogę do jej mieszkania.

Rano wstał, gdy Nina jeszcze spała, żeby zrobić jej śniadanie. Wieczorem wypiła z przyjaciółką o jedną lampkę wina za dużo. Niedługo przyjaciółka wpadnie po nią i razem pójdą na siłownię, a potem na lunch. Nina usiadła w łóżku, spojrzała na sałatkę owocową, tosty z serem i mocną kawę, które przyniósł na tacy, i westchnęła.

– Właśnie tego mi trzeba. Skąd wiedziałeś?

– Moim obowiązkiem jest wiedzieć. Lubię się tobą opiekować.

– Nikt wcześniej tego nie robił.

– Kolejny powód, żebym ja się tym zajął.

Wyciągnęła rękę, pogładziła go po policzku. Wiedział, że trafił we właściwą strunę i sprawił, że zakochała się w nim trochę bardziej. I wcale nie skłamał. Lubił się nią opiekować. Była dobrym człowiekiem, kimś, kto zasługuje na pomocną dłoń, podobnie jak on. Pomyślał, że się uzupełniają.

– Dziękuję – wymamrotała Nina, gryząc tost. Jęknęła z zachwytu, rozrywając nitki sera. – Włożyłeś mozzarellę. Nikt nie umie tego robić.

– Oczywiście. Tosty bez mozzarelli to nie tosty.

Uśmiechnęła się, a on ją pocałował.

– Co dziś porabiasz? – zapytała.

– Umówiłem się z kumplem na przejażdżkę rowerową w Richmond Park.

Wcale nie, pójdzie do domu oglądać telewizję i prać ciuchy do pracy, ale prawda byłaby zbyt prozaiczna.

Rozległ się brzęczyk przy drzwiach. Nina z niepokojem spojrzała na zegarek.

– Czy to Kirsty? – Z jękiem opadła na poduszki. – Boże, już dziewiąta!

– Nie idziesz na siłownię?

– Wolałabym spędzić dzień z tobą. Czy to źle, że tak mówię?

– Nie. Jestem bardzo dobrym towarzyszem.

Żartobliwie trąciła go w ramię.

– Wiesz, że nie o to mi chodzi. Kirsty jest fantastyczna, ale... cóż, bardzo opiekuńcza, co bywa trochę męczące.

– Opiekuńcza? – spytał.

Nina milczała.

– No dalej, możesz mi powiedzieć.

Westchnęła.

– Mój eks... cóż, nie zawsze był dla mnie miły.

Harry spojrzał na nią z przerażeniem.

– Był agresywny?

– Tylko raz – odparła. – Potem go zostawiłam.

– Drań – mruknął i naprawdę tak uważał.

Wezbrała w nim fala rozpalonego do białości gniewu i przez chwilę żałował, że nie ma tutaj tego faceta, kimkolwiek jest, żeby on mógł skuć mu gębę. Nienawidził zastraszania, nienawidził, gdy więksi i silniejsi atakowali słabych i bezbronnych, wiedząc, że ci nie stawiają oporu. To było tchórzliwe i bandyckie. Kiedy miał dziewięć lat, mieszkał z nimi pewien mężczyzna. Facet jego matki. Przez kilka tygodni była szczęśliwa, więcej się śmiała, częściej zauważała syna i pytała go o szkołę. A potem pewnej nocy zbudziły go stłumione krzyki i odgłosy uderzeń. Zszedł do salonu i zobaczył matkę kulącą się na podłodze, z rękami przyciśniętymi do twarzy. Facet stał z uniesioną pięścią i trząśił się z furii. Harry otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale mężczyzna kazał mu obrócić się twarzą do ściany. Niczego nie widział, ale dźwięki, które słyszał tamtej nocy, wciąż miały moc wywoływania koszmarów. Uderzenia i łupnięcia, krzyki bólu. Raz odwrócił się, przerażony, ale zanim zdążył cokolwiek zauważyć, dostał cios w głowę. Nie odważył się spojrzeć ponownie ani tej nocy, ani później. Wciąż pamiętał tapetę, w którą się wpatrywał, sparaliżowany ze strachu i nienawiści. Te ciemnoczerwone i szare maki, tłoczące się na każdym skrawku przestrzeni. Mężczyzna odszedł na

krótko przed jego dziesiątymi urodzinami, a matka nigdy więcej nie pozwoliła, by ktokolwiek zamieszkał w ich domu.

– Posłuchaj – odezwał się Harry. – Później będę wolny, jeśli chcesz się spotkać. Moglibyśmy pójść do kina albo jak jesteś zbyt zmęczona, po prostu posiedzieć i pooglądać telewizję.

– Z przyjemnością. Mam przyjść do ciebie?

– U mnie jest trochę zimno – odparł ze smutkiem. – Wczoraj zepsuł się kocioł. Hydraulik zjawi się dopiero w poniedziałek.

– Co takiego?

– Żaden problem. Wodę do kąpieli gotuję w czajniku. Potrwa to tylko parę dni. Chcesz wziąć prysznic? A ja wpuszczę twoją przyjaciółkę.

– Zrobisz to? – Nina pocałowała go, wepchnęła resztę tostów do ust i poszła do łazienki.

Rozbawiła go mina Kirsty, gdy otworzył drzwi. Była zdziwiona i urażona, że to nie Nina ją wita.

– Ty musisz być Harry – powiedziała.

– Wejdiesz? – Otworzył szerzej drzwi, ciesząc się byciem samozwańcym strażnikiem domu Niny.

Kirsty weszła do mieszkania, położyła torebkę i płaszcz na kanapie.

– Gdzie jest Nina?

– Pod prysznicem – poinformował, a ona skinęła głową. – Napijesz się kawy?

Zawahała się chwilę. Spojrzała na niego, jakby chciała powiedzieć: „Za kogo ty się masz, u diabła, że proponujesz mi kawę w domu mojej najlepszej przyjaciółki?”, i wyczuł nutkę irytacji w jej głosie, gdy odparła:

– Nie, dziękuję. – Usiadła, przeciągnęła dłońmi po obiciu sofy. – Po siłowni idziemy z Niną na lunch – dodała.

– Mówiła mi, wiem. – Zaczynała go drażnić jej zaborczość.

– Nina wspomniała, że pracujesz w barze.

Wiedział, że Nina ujęła to inaczej.

- Tak. Otwieram własny.
- No tak, słyszałam. Gdzie?
- Przy Putney Bridge.
- Gdzie dokładnie?

Nie chciał odpowiadać. Ale patrzyła na niego wyczekująco. Do diabła z nią.

- Chelverton Road. – Pora zmienić temat. – A ty?
- Nie otwieram żadnych barów.
- Jasne – mruknął, tłumiąc irytację. – Chodziło mi o to, czym się zajmujesz.
- Jestem agentką nieruchomości.

Oczywiście, psia mać. Pewnie zna wszystkie dostępne lokale. Cholera, dlaczego podał jej nazwę ulicy? Chociaż, pomyślał z nadzieją, jest szansa, że nie zajmuje się najmem komercyjnym.

- Zwaliłeś ją z nóg – powiedziała.
- Tak?
- I sądzę, że o tym wiesz.

Uśmiechnął się skromnie.

– To raczej ona zwała mnie z nóg. – Skrzyżował ręce na piersi i z powrotem je opuścił. – Dużo mi o tobie opowiadała. Cieszę się, że cię poznałem.

Kirsty nie zareagowała na jego słowa, jakby nic nie powiedział.

- Lubię się o nią troszczyć – oświadczyła.
- Ja też.

To również zignorowała.

- Nie znoszę mężczyzn, którzy udają kogoś innego, niż naprawdę są.

Mówiła o byłym Niny, tym damskim bokserze, ale mimo to poczuł ucisk w dołku, jakby Kirsty mogła przejrzeć go na wylot, czytać w jego myślach, znać prawdę. Wytrzymał jej spojrzenie.

– Cześć! A więc się poznaliście! – zawołała Nina, wchodząc do salonu w sportowym stroju.

– Właśnie się poznajemy – powiedziała Kirsty z ciepłym uśmiechem.

Harry też się uśmiechnął.

– Zostawię was. – Wziął kurtkę i poczuł na sobie wzrok Kirsty, gdy całował Ninę. Dopilnował, żeby był to długi, niespieszny pocałunek. – Do zobaczenia później – szepnął.

Pożegnał się z Kirsty i wyszedł z mieszkania.

*

Była czwarta po południu i Harry właśnie się zastanawiał, czy wysłać Ninie SMS-a z pytaniem, kiedy może do niej zajrzeć, gdy usłyszał sygnał, że przyszła wiadomość. Wstał ze sfatygowanej kanapy i wziął komórkę.

Jestem trochę zmęczona po wczorajszym wieczorze i sesji na siłowni. Możemy przelożyć spotkanie? Wkrótce porobimy coś innego X

Wpatrywał się w ekran, przepełniony niepokojem. Niedobrze. Bardzo niedobrze. Zaklął – to sprawka tej suki Kirsty, która wsączyła Ninie jad do ucha. Bóg jeden wie, jakie trujące myśli zasiała w niej przy lunchu, jakie wątpliwości wzbudziła. Niech ją szlag! Musi odzyskać kontrolę. Ponownie spojrzął na wiadomość. Ani słowa o wspólnym spędzaniu czasu i oglądaniu telewizji. Brak konkretnej propozycji, kiedy znów się spotkają. Tylko niejasne: „Wkrótce porobimy coś innego”. Przez dłuższą chwilę rozważał, co napisać jej w odpowiedzi. Graj twardo, żeby zwyciężyć. Żadnego przekonywania, żadnych próśb, by zmieniła zdanie.

Doskonale rozumiem. Spróbuj się zdrzemnąć! Harry X

Odłożył telefon i opracował plan.

*

Zastanawiał się, ile czasu zajmie jej podejście do drzwi – o ile w ogóle podej-
dzie. Wreszcie usłyszała zbliżające się kroki.

– Harry! – wykrzyknęła Nina, otwierając drzwi.

– Niespodzianka! – Pokazał jej dwie ekologiczne torby jutowe z supermarketu.

– Och... nie spodziewałam się ciebie.

– Odpoczęłaś?

– Niezupełnie. Nadrabiam zaległości. – Spojrzała przez ramię, jakby chciała
wrócić do przerwanej pracy.

– W takim razie potrzebujesz torby A – powiedział szybko, unosząc torbę,
którą trzymał w lewej ręce.

Uśmiechnęła się mimo woli.

– Co to jest torba A?

– Wpuść mnie, to ci pokażę.

Zawahała się, ale po chwili – pomyślał, że z grzeczności – przesunęła się
w bok.

– Nie wchodź do kuchni! – przykazał jej.

Położył torbę na blacie i wyciągnął z niej jabłka, jarmuż, imbir. Pokroił
wszystko, wrzucił do blendera i zmiksował. Przelał koktajl do szklanki i zaniósł
do salonu, gdzie Nina siedziała przy biurku.

Spojrzała na niego.

– Co to jest?

– Napój energetyzujący. – Podał jej szklankę. – Pij – polecił, stając nad nią dla
pewności, że to zrobi.

Upiła łyk i jej oczy rozbłyły.

– Naprawdę dobre.

– To mój sekretny składnik.

– Czyli?

– Tajemnica.

Prychnęła. Po chwili wskazała szklanę.

– Powinieneś to sprzedawać w swoim barze... kiedy go otworzysz.

Zesztywniał, ale nadal się uśmiechał.

– Mógłbym. Chcę mieć duży wybór napojów bezalkoholowych.

Skinęła głową.

– Chętnie obejrzałabym twoje plany.

Z entuzjazmem usiadł obok niej.

– Świetnie. Będę ci wdzięczny za wszelkie uwagi.

Dostrzegł cień wątpliwości w jej oczach.

– Naprawdę? – zapytała.

– Tak. Chcesz wiedzieć, co jest w torbie B?

– Pewnie.

Wyjął szarą teczkę i otworzył ją. Zawierała wydruki stron internetowych i wygenerowane komputerowo projekty frontów baru, wszystkie z wariacjami nazwy „Harry’s”.

– O rany – mruknęła, oglądając projekty.

Popatrzyła na niego z nowym szacunkiem. Odczuł ulgę. Kirsty go wkurzyła i w głębi duszy żałował, że nie był mądrzejszy od samego początku. Gdy po raz pierwszy powiedział Ninie, że otwiera bar, rozumiał to jako żart, coś, co zostanie zakwestionowane. Ale przyklasnęła temu pomysłowi i teraz uświadomił sobie, że powinien wymyślić przedsięwzięcie, które byłoby trudniejsze do sprawdzenia.

Widział, jak przygląda się projektom, które ściągnął z internetu. Przeróbka poszła łatwo i nie zajęła mu wiele czasu.

– Podoba ci się? – zapytał.

– Tak.

– Świetnie. Projektant i ja zawęziliśmy pomysły do trzech stylów i jestem ciekaw, który według ciebie wygląda najlepiej. Tymczasem zajmę się zawartością torby A.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Myślałem, że torbę A mamy już z głowy.

– Tylko część. Reszta to kolacja. Może być domowe lasagne?

Uśmiechnęła się.

– Jesteś pełen niespodzianek.

Siekając cebulę w kuchni Niny, myślał o Kirsty. Była utrapieniem, prawdziwym wrzodem na tyłku. Bez wątpienia znowu spróbuje wszystko zepsuć. Zastanawiał się, jak sobie poradzi z nią w przyszłości. Nina była wszystkim, czego pragnął, i nie chciał, żeby ktokolwiek wchodził mu w drogę.

TRZYDZIEŚCI CZTERY

28 lutego

Powrót okazał się niemal ponad jej siły. Gabriel zaproponował, że ją odprowadzi, lecz Amy wiedziała, że to tylko wywoła pytania – dlaczego sam Gabriel, bez Esme? Grzecznie odmówiła, obiecując, że odwiedzi go nazajutrz. Gdy opuściła jego dom i zamknęły się za nią drzwi, otoczyła ją cisza gór. Spojrzała na las, ale szybko zrezygnowała z pomysłu, żeby tamtędy wracać. Wolała trzymać się otwartej przestrzeni, nawet jeśli droga będzie trudniejsza.

Brnęła przez śnieg, a każdy krok oddalał ją od chaty Gabriela. Może popełniła błąd, decydując się na samotną wędrówkę; w końcu dopiero dziś dowiedziała się o śmierci ciotki. A przecież zmarła już dawno. Od kilku miesięcy spoczywała w grobie. Amy nie pamiętała pożegnań, żałoby. Czy widziała Esme po śmierci? Czy trzymała ją za rękę, mówiła jej, jak bardzo ją kocha? Ogarnęło ją tak dotkliwe poczucie straty, że aż przystanęła, nie mogąc znaleźć w sobie siły, by iść dalej. Patrzyła na góry, zahipnotyzowana ich ogromem i dostojeństwem. Stała, nie myśląc o tym, co ją spotkało ani co może czekać na nią w domu. Nie chciała tam wracać. Nie była pewna, czy zdoła udawać, że wszystko jest w porządku. Czy przetrwa resztę dnia, nie wspominając o ciotce. Chciała zostać tutaj, w tym zimnym i surowym otoczeniu, dopóki ból nie złagodnieje. Uklękła, przysiadła na piętach. Rozważała, czy się nie położyć. Skrzący się śnieg wyglądał kusząco. Będzie zimno, ale wiedziała, że tego nie poczuje. Położy się tylko na chwilę, żeby odpocząć.

Niedaleko przed sobą dostrzegła cień na śniegu, szary kształt sunący po białym tle. Spojrzała w górę i ze świstem wciągnęła powietrze, gdy zobaczyła orła.

Szybował i zataczał kręgi nad jej głową. Patrzyła, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. Wreszcie powoli wstała, zachwycona, nie odrywając wzroku od ptaka. Symbol inteligencji, odwagi, siły i nieśmiertelności, przypomniała sobie. Zapiekły ją policzki i zaskoczona uświadomiła sobie, że płakała nawet wtedy, gdy czuła, że jej duch wzlatuje ku niebu. Otarła łzy, z jej ust wyrwał się zduszony śmiech. Esme. To było tak, jakby ciotka patrzyła na nią, każąc jej wstać i przestać roztkliwiać się nad sobą. Amy obserwowała orła, aż zabolą ją szyja, i wtedy opuściła głowę, wiedząc, że musi iść dalej.

Ruszyła w drogę z nową energią. Po chwili odchyliła rękawiczkę i spojrzała na zegarek. Ze zdziwieniem stwierdziła, że w domu nie było jej przez kilka godzin. Widziała go już przed sobą, popołudniowe słońce jasno odbijało się w oknach. Widziała balkony i wiedziała, który z nich należy do pokoju Esme. Pamiętała, jak pewnego razu wróciła z popołudniowej jazdy na nartach, a grubo ubrana Esme siedziała na zewnątrz, z twarzą uniesioną ku słońcu. Zawołała do niej, a ciotka uśmiechnęła się, mówiąc, że ma się pospieszyć, by mogły razem wypić po lampce wina i popatrzeć na zachód słońca.

Obraz nagle zniknął. Balkon był pusty.

Amy weszła do domu, zdjęła skafander i schowała go do szafy. Kawałki śniegu spadły z jej butów, szybko rozpuszczając się na marmurowej podłodze. Obuwie wszystkich innych stało w szeregu – ostatnia para również w kałuży wody.

Buty należały do Jacka. Wpatrywała się w nie, a jej mózg pracował na zwolnionych obrotach.

Drzwi do kuchni otworzyły się i do holu wszedł Jack.

– Gdzie byłeś? – zapytała Amy.

Zaskoczyła go gwałtowność jej pytania.

– Mieliśmy spytać cię o to samo – powiedziała Lisa, która zjawiała się za nim.

– Śledziłeś mnie? – rzuciła ostro Amy.

Wyraz zdumienia na jego twarzy wyglądał niemal komicznie.

– Co? Nie – odparł.

Spiorunowała go wzrokiem.

– Twoje buty są mokre. Ktoś mnie śledził. To ty, prawda?

Spojrzał na nią i rozłożył ręce.

– Zszedłem do miasta, do sklepu. Po sprawunki.

– To prawda, Amy – potwierdziła Lisa. – Kończyło się jedzenie. Nadal nie można tu ściągnąć taksówki, więc Jack zaproponował, że pójdzie pieszo.

– Zaspa omal mnie nie połknęła – powiedział Jack z uśmiechem – ale w końcu udało mi się wrócić.

Amy zmrużyła oczy.

– Kłamiesz – wycedziła.

Przeszła obok niego do kuchni. Otworzyła lodówkę i nagle znieruchomiała.

Półki uginały się pod ciężarem jedzenia. Warzywa, sery, jogurty. Na blacie leżał chleb. Czowała się tak, jakby widziała to wszystko już wcześniej, ale przecież to niemożliwe. Rano lodówka była pusta. Tyle pamiętała.

Coś jednak wydawało się nie w porządku. To twoja paranoja, odezwał się głos w jej głowie.

– Posłuchaj, Amy... – zaczęła łagodnie Lisa. – Jack poszedł po zakupy i to wszystko. A ty gdzie byłaś? Nie wiedzieliśmy, gdzie jesteś. Nie zostawiłaś wiadomości – dodała z naciskiem.

Amy przeniosła wzrok na przyjaciółkę.

– Byłam na spacerze – rzuciła i poszła na górę.

W korytarzu wzięła głęboki oddech, próbując odzyskać spokój. Miała przed sobą zamknięte drzwi pokoju Esme.

Otworzyła je po cichu i weszła do środka. Żal dusił ją w gardle, gdy rozglądała się dokoła, teraz rozumiejąc, dlaczego w domu zalegał taki kurz.

Kotary wciąż były zaciągnięte i nagle zapragnęła je rozsunąć, przełamać dławiące poczucie straty i smutku, które unosiło się w tym pomieszczeniu. Z determinacją chwyciła bogatą tkaninę i szarpnęła w bok. Jej ręce jakby same przekre-

ciły zamek w drzwiach balkonowych. Otworzyła je i wyszła na zewnątrz. Pochłonięta zimnym powietrzem natychmiast owionął jej ciało, ale dzielnie wyprostowała ramiona, patrząc na śnieżny krajobraz w gasnącym świetle dnia. Położyła ręce na balustradzie – lodowaty metal parzył jej dłonie, ból pulsował w rękach, ale się nie cofnęła. Przez napływające do oczu łzy spojrzała w dół, tam gdzie stała kilka minut temu, wspominając ciotkę siedzącą właśnie na tym balkonie. Nagle dostrzegła coś, co sprawiło, że czas stanął w miejscu.

Zobaczyła odcisnięte w śniegu swoje ślady, oddalające się od domu w kierunku lasu i chaty Gabriela.

A tuż za nimi ślady innych butów.

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

28 lutego

Amy patrzyła, nie czując już bólu w zmarzniętych dłoniach. Pokręciła głową, przez chwilę próbując przeszyć wzrokiem gęstniejące cienie, po czym szybko wróciła do pokoju i zamknęła drzwi. Pospieszyła na dół i upewniwszy się, że nikogo nie ma w pobliżu, włożyła buty i skafander i wyszła na zewnątrz.

Zobaczyła, gdzie zaczęła swój spacer do Gabriela. Druga para śladów podążała tą samą ścieżką. Ruszyła dalej przez dolinę, aż drugi trop nagle się urwał. Zmarszczyła brwi, zaintrygowana, ale chwilę później dostrzegła ślady nart. Popatrzyła przed siebie. I ślady jej butów, i nart prowadziły do lasu. Spojrzała na śnieg. Postawiła stopę dokładnie tam, gdzie stąpnęła kilka godzin temu. But idealnie pasował do odcisku. Przełożyła stopę do drugiego śladu. Odcisk na śniegu był większy niż jej but. Zostawiła go większa stopa. Stopa mężczyzny.

Okłamywali ją. Jack może i poszedł po zakupy, ale przecież nie było jej w domu przez wiele godzin. Mógł znaleźć czas, by za nią podążyć.

Musi być ostrożna. Musi dowiedzieć się więcej. Stała przez chwilę, aż chłód zaczął przenikać przez jej ubranie. Panowała idealna cisza. Podniosła wzrok na ciemniejące niebo i czarne góry. Pora wracać.

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

28 lutego

Amy brała gorący prysznic, czekając, aż woda ją rozgrzeje. Miała mętlik w głowie: Jack, ślady stóp, śledził ją... dlaczego ją śledził? W tym domu brakowało jej poczucia bezpieczeństwa; Jack wkradł się tutaj, uwił sobie wygodne gniazdko. Zawojował jej matkę, zdobył zaufanie przyjaciółek. Był wszędzie.

Zakręciła kurek; stojąc nago pod prysznicem, poczuła się jeszcze bardziej bezbronna, więc wyszła i wytarła się. Wróciła do pokoju i rozejrzała się, z apatią i zniechęceniem, i nagle jej wzrok padł na coś, co leżało na łóżku.

Jej telefon.

Podniosła go. Dziwne, że go nie zauważyła, kiedy szukała go wcześniej, zanim poszła do Gabriela. Ubierając się, zdała sobie sprawę, że zapomniała wziąć od niego namiary na prawnika. Zanotowała sobie w pamięci, żeby o nie poprosić, gdy znowu pójdzie tam jutro rano.

Myśl o Gabrielu doprowadziła ją prosto do Esme i ból przeszył jej serce. Usiadła przy toalecie i spojrzała w lustro. Nadszedł czas na poważną rozmowę. Esme nie rozsypałaby się na kawałki. Esme byłaby silna, przepędziłaby strach i wątpliwości. Walczyłaby tak długo, aż przekonałaby niedowiarków, że Jack nie jest tym, za kogo się podaje. Amy zmusiła się, żeby usiąść prosto. Nałożyła lekki makijaż i to dodało jej odwagi. Nie będzie kulić się ze strachu. Spoglądając ponownie w lustro, stwierdziła, że potrzebuje więcej zbroi. Naszyjnik, pomyślała, diament, który sobie kupiłam. Wyjmowała go z pudełka, gdy rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Tak? – odezwała się z napięciem.

– Mogę wejść? – spytał Jack, uchylając drzwi.

Już tu jesteś, pomyślała, odwracając się, by stawić mu czoło.

– Wybacz, nie chciałem ci przeszkadzać – powiedział, przestępując próg. Został przy drzwiach. – Ładnie wyglądasz.

Amy milczała.

– Hm... słuchaj, wszystko w porządku? Na dole przyszło mi do głowy... jeśli myślałaś, że ktoś cię śledzi, to musiało być dość przerażające.

Czekał na jej reakcję, ale milczała.

– Byłaś gdzieś konkretnie?

– Nie – odparła. – Wyszłam zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Przewietrzyć głowę?

Zmarszczyła brwi.

– Co masz na myśli?

– Bóle głowy. Nadal ci dokuczają?

– Tak. Co z tego?

– Miałem nadzieję, że minęły. Nie podobają mi się. – Wyglądał na przejętego, co sprawiło, że jej serce zabiło trochę szybciej. Czy dzieje się z nią coś złego, coś poważniejszego, niż sądziła? Potem uśmiechnął się, wyraźnie chcąc ukryć niepokój. – Chcę mieć na ciebie oko, to wszystko. Jestem lekarzem dwadzieścia cztery godziny na dobę, szczególnie gdy chodzi o moją dziewczynę. A jak sypiasz?

Na chwilę spuściła oczy. Nie sypiała dobrze, ale nie chciała mu tego mówić. Nie chciała dawać mu więcej argumentów, które mógłby wykorzystać przeciwko niej. Chociaż i tak zna prawdę, pomyślała. Odgadła to po wyrazie jego twarzy.

Jack spostrzegł naszyjnik i twarz mu pojaśniała.

– Pomóc ci go założyć? – zapytał, podchodząc do niej.

Amy nie zdążyła zareagować, gdy wyciągnął po niego rękę.

– Nie trzeba – powiedziała szybko. – Sama to zrobię.

Stał tak blisko, że czuła ciepło jego skóry, zapach wody po goleniu. Zdenerwowało ją to na tyle, że nie mogła zapiąć łańcuszka.

– Pozwól... – Wziął od niej naszyjnik i zapiął na jej szyi. Przeszły ją ciarki, gdy musnął palcami jej skórę. – Wygląda pięknie – szepnął. – Tak dobrze jak za pierwszym razem, gdy ci go nałożyłem.

Ścisnęło ją w żołądku. Jesteś kłamcą, pomyślała. Sama go sobie kupiłam.

– Wiem, że masz... zastrzeżenia co do nas – ciągnął – i inną wersję wydarzeń niż to, co naprawdę się wydarzyło, ale chcę, byś wiedziała, jak wiele dla mnie znaczy, że nosisz ten naszyjnik. Szczególnie w obecnych okolicznościach. – Jego głos drżał z emocji.

Obserwowała go kamiennym wzrokiem.

– I daję ci słowo, nie śledziłem cię, kiedy byłaś na spacerze. – Westchnął. – Wiem, jak ciężko ci po wypadku i w ogóle, ale też wiem, że możemy przez to przejść. – Po chwili dodał: – Zrobiłem dziś kolację. Kupiłem kurczaka i upiekłem go z czosnkiem. Zobaczymy się na dole? – zapytał z nadzieją.

Amy skinęła głową, a potem patrzyła, jak Jack wychodzi z pokoju.

Był przekonujący, tyle musiała mu oddać. Przejrzała się w lustrze i dotknęła diamentu leżącego w zagłębieniu pod jej szyją. Bądź silna, przypomniała sobie. Pamiętaj, co wiesz.

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

10 lutego

Harry zaniósł filiżankę herbaty do salonu. Ostrożnie postawił ją na biurku i zabrał tę pustą, uważając, żeby nie przeszkadzać Ninie, bo wiedział, że zmaga się ze szczególnie skomplikowanym zestawem liczb. Już miał wycofać się na palcach, gdy oderwała wzrok od ekranu i złapała go za rękę. Wstała z krzesła i przeciągnęła się.

– Jesteś niesamowity – powiedziała.

– Miałem do wyboru herbatę i czerwone wino. Herbata wygrała.

Nina jęknęła.

– Zabiłabym za lampkę wina. Może w takim razie przy kolacji?

– Oczywiście. Będzie gotowa za piętnaście minut. Odpowiada ci?

Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go.

– Naprawdę umiesz troszczyć się o dziewczynę, wiesz? – Spojrzała na laptopa.

– Prawie skończyłam, dzięki Bogu, więc zaraz będę cała twoja.

– Czy to obietnica?

Znowu go pocałowała.

– Spróbuj mnie powstrzymać. – Skubnęła fartuch w różowo-niebieskie paski, który znalazł w kuchennej szufladzie, i przesunęła dłońmi po jego klatce piersiowej. – Bardzo twarzowy – rzuciła zalotnie. – Co przyrządziłeś?

– Zapiekankę z kiełbasą i purée. – Popchnął ją lekko z powrotem na krzesło. – Wracaj do pracy – przykazał jej z udawaną surowością – a potem usiądziemy do

kolacji.

Wrócił do kuchni. Zdał sobie sprawę, że lubi gotować, lubi szykować posiłki dla Niny, kiedy ona ma jakieś napięte terminy. Gdy odcedzał ziemniaki, usłyszał dzwonek do drzwi i kroki Niny. W radiu leciała jedna z jego ulubionych piosenek, więc nastawił głośniej i zaczął rozgniatać kartofle.

Widział przyszłość, w której gotuje i zajmuje się domem. Nina wyraźnie była zachwycona, że się o nią troszczy. Może być taki, jakiego ona zechce, może ułatwiać jej życie. Szanował jej pracę, nie miał pretensji, gdy w ostatniej chwili odwoływała spotkanie, bo musiała poświęcić czas ważnemu klientowi. Pamiętał o jej potrzebie przestrzeni i o tym, że chce żyć swoim życiem. Mogliby stworzyć dobraną parę – co z tego, że to on ma mniej pieniędzy? Nikt się nie dziwił odwrotnej sytuacji, kiedy kobieta miała pustki na koncie, ale zajmowała się domem i chciała uatrakcyjnić życie dobrze zarabiającemu mężczyźnie. Harry wiedział, że sprawdziliby się w takiej roli.

Wyjął talerze, położył sztucce na stole. Wpadł na pewien pomysł. Zdjął ubranie, pozostawiając tylko fartuch w różowo-niebieskie paski. Piosenka się skończyła i ściszył radio. Wtedy usłyszał hałas. Zmarszczył brwi. Brzmiało to jak stłumiony krzyk. Zdziwiony wszedł do holu. Drzwi frontowe były szeroko otwarte. Nina stała przyparta do ściany, z męską dłonią na ustach; jakiś mężczyzna przysunął twarz do jej twarzy. Próbowwała pokręcić głową, zaprzeczyć czemuś, a jej oczy wyrażały absolutne przerażenie.

– Puść ją – rzucił lodowato Harry.

Mężczyzna obrócił się do niego i Harry zmarszczył brwi. Widział go już wcześniej. To ten z ławki, pomyślał, kręcący się pod domem Niny. I od razu zrozumiał, kto to jest.

– Powiedziałem: puść ją – powtórzył, żałując, że nie wziął noża z kuchni.

Mężczyzna zmierzył go wzrokiem, nagiego pod fartuchem, i parsknął śmiechem. Puścił Ninę i odwrócił się chwiejnie.

– Kłamliwa dziwko – odezwał się bełkotliwie. – Pieprzysz się z tym kutasem? Kutasem w fartuszku? – Znowu się roześmiał, rozbawiony swoimi słowami. Popatrzył na Harry’ego, który stał z opuszczonymi rękami. – Głupi pieprzony kutas...

Zanim Harry zorientował się, co robi, przyskoczył i mocnym prawym sierpowym trafił byłego partnera Niny w nos. Trysnęła krew. Zaboląła go pięść, ale zamachnął się i poprawił w szczękę.

– Ty pieprzona cipo! – wrzasnął mężczyzna, trzymając się za twarz i bezskutecznie próbując odpowiedzieć na cios.

– Wynoś się stąd – warknął Harry – i nigdy, przenigdy tu nie wracaj.

Mężczyzna zawahał się, ale najwyraźniej uznał, że lepiej zrezygnować z walki.

– Dopadnę cię, kutasie. Wrócę, kurwa, i cię zabiję. – Zatoczył się ku drzwiom i wyszedł.

Harry zatrzasnął drzwi i starannie zablokował zamek. Podeszedł do Niny, która siedziała na podłodze, oparta plecami o ścianę, z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Nic ci nie jest? – zapytał, kucając przed nią i kładąc ręce na jej ramionach.

Spojrzała na niego.

– Dziękuję – szepnęła.

Przez chwilę obejmowali się, zetknięci głowami. Nagle Harry usłyszał płacz Niny, jej stłumiony głos. Odsunął się, żeby ją uspokoić, i zobaczył, że wcale nie płacze.

– Jesteś goły – powiedziała ze śmiechem. – Skopałeś mu tyłek, nie mając na sobie niczego oprócz fartucha.

Uśmiechnął się, a ona wytarła twarz.

– Zostaniesz na noc?

Obiecał, że tak.

Później, przy kolacji, opowiedziała mu całą historię. Jak poznała Roba, swojego eks, na kolacji charytatywnej zorganizowanej przez jego pracodawcę. Był czarujący, odnosił sukcesy i z początku układało się dobrze. Potem zaczęły poja-

wiać się drobiazgi. Komentarze na temat jej ubrań, dobitna sugestia, że ma zostać i spędzić z nim romantyczny wieczór, zamiast wychodzić z przyjaciółkami. Była na to wyczulona i zakończyła związek stanowczym cięciem, ale on się z tym nie pogodził. Pewnego wieczoru przyszedł do jej mieszkania, chyba pijany, najwyraźniej pełen wyrzutów sumienia. Wpuściła go, acz niechętnie. Myślała, że rozmowa pomoże mu zrozumieć, że to koniec, ale zrobił się agresywny. Na szczęście udało jej się wezwać policję. Od tamtej pory miał zakaz zbliżania się do niej.

Harry zaczął zmywać naczynia, a Nina zadzwoniła na posterunek. Słyszał, jak zgłasza zajście, jak dowiaduje się, że jutro policjanci złożą Robowi wizytę i do niej też zajrzą. Zapewniła, że nic jej nie jest, że ma kogoś, kto się nią opiekuje. Poczł zadowolenie. Wyobraził sobie, jak Nina relacjonuje to Kirsty, i wiedział, że wcale nie musi sobie tego wyobrażać, bo tak będzie. Nina opowie przyjaciółce, jak stanął w jej obronie i przepędził drania. Uśmiechnął się.

TRZYDZIEŚCI OSIEM

28 lutego

Wszyscy byli już w kuchni. Spojrzeli na nią, gdy weszła, i niepewnie ją przywitani. Nie szczędzili starań, żeby wciąż udawać, że wszystko jest normalnie, i skupiali się na przygotowaniach do kolacji. Jenna i Martha pomagały Jackowi, a Lisa przyniosła dwie lampki wina. Jedną dla niej.

Amy zobaczyła, że kieliszek nie jest napełniony nawet do połowy. Traktowali ją jak nierozsądne dziecko, któremu nie wolno ufać. Bez słowa wzięła kieliszek, upiła łyk.

– Ładnie pachnie, prawda? – powiedziała Lisa o kurczaku piekącym się w piekarniku.

Miała rację i Amy uświadomiła sobie, że jest głodna. Od śniadania nie jadła nic porządnego. Talerz z kurczakiem i warzywami był dokładnie tym, czego potrzebowała. Ślinka napłynęła jej do ust, a zaraz potem uderzyła ją niepokojąca myśl – jedzenie szykuje Jack. A jeśli czegoś dodał? Jej serce waliło jak młotem, ale myśl zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Jesteś śmieszna, powiedziała sobie. Dlaczego miałby wszystkich otruć? Naprawdę przemawia przez ciebie paranoja.

– Jak się czujesz? – zapytała Lisa.

Amy zeszywniała. Ta ich obsesja na punkcie jej dobrego samopoczucia zaczynała jej działać na nerwy.

– Świetnie!

– Dobrze to słyszeć – powiedziała ostrożnie przyjaciółka. – Jak bóle głowy?

– Bóle głowy nadal przyprawiają mnie o ból głowy – wycedziła Amy. Zobaczyła, że twarz przyjaciółki pociemniała z troski. – Ale nic mi nie jest – dodała przez zaciśnięte zęby.

Lisa nie wyglądała na przekonaną.

– Są gorsze? Częstsze?

– Och, na litość boską – warknęła Amy. – O co chodzi? Rozmawiałaś o mnie z Jackiem?

– Nie...

– To brzmi tak, jakbyście spiskowali przeciwko mnie.

Lisa spojrzała na nią, zbita z tropu.

– Spiskowali...? O czym ty mówisz...

– Oboje gadacie o moim zdrowiu, o moich bólach głowy, zmawiacie się przeciwko mnie. Przez was czuję, jakby coś było nie w porządku. Jeśli wpadłam w paranoję, co zresztą chętnie sugerujecie, to dlatego, że bierzecie udział w jakimś spisku, który ma zrobić ze mnie paranoiczkę.

Amy odetchnęła głęboko. Nie planowała tego wybuchu. Lisa patrzyła na nią z wyrzutem. Nie przejmuj się, przykazała sobie Amy. Musisz pozostać silna, skupiona. Pamiętaj, tylko ty wiesz, że Jack nie jest tym, za kogo się podaje.

Lisa odsunęła się i cicho zaczęła nakrywać do stołu. Amy rozejrzała się – wydawało się, że nikt inny nie zauważył ich wymiany zdań. Jack kroił kurczaka; Martha i Jenna podawały talerze.

Gdy usiedli do jedzenia, starała się nie zauważać, że Lisa jest trochę przygaszona. Kurczak był pyszny i jadła łapczywie. Rozmowa zeszła na nią.

– A więc, Amy, jak chciałabyś uczcić urodziny? – zapytał z uśmiechem Jack.

Zastygła z uniesionym widelcem, zszokowana. Zupełnie zapomniała, że jutro jest ten wielki dzień – powód ich przyjazdu tutaj. Spojrzała na niego, starającego się udawać, że wszystko jest normalne. Jak oni wszyscy. Oszaleli. Chcą urządzać przyjęcie w płonącym domu. Co według nich ma zrobić? Odłożyć na bok to, co

wie i czego się obawia, i paradować w imprezowej czapeczce oraz objadać się tortem?

– Nijak – odparła krótko.

– Och, daj spokój, na pewno możemy się trochę zabawić – powiedziała Martha.

– Mamo, wiem, że chcesz dobrze, ale to szaleństwo. Czyżbyś zapomniała, że siedzisz obok człowieka, który udaje kogoś, kim nie jest?

Zapanowała konsternacja. Noże i widelce zagrzechotały, niezręcznie odłożone na stół.

– Powiem wam, co chciałabym na urodziny – oznajmiła Amy. – Chciałabym, żeby Jack powiedział nam całą prawdę.

– Amy, przestań... – Matka wyraźnie się zdenerwowała.

– W porządku – odezwał się Jack, uspokajająco kładąc dłoń na jej ramieniu.

Podszedł do Amy. Wszystkie ich obserwowały, wstrzymując oddech.

Zesztywniała, gdy Jack przy jej krześle opadł na kolana. Ujął jej ręce, błagalnie spojrzał w twarz.

– Amy, proszę, uwierz mi. Błagam. Jestem Jack. Twój chłopak. Idiota, który zawsze gubi kluczyki do samochodu, kiedy właśnie trzeba wyjść. Nie mam w planach niczego innego, jak tylko cię kochać.

Były to żarliwe słowa, z czego niejasno zdawała sobie sprawę, ale najbardziej uderzyła ją uwaga o gubieniu kluczyków. Naprawdę je gubił? Nie miała pojęcia. Nie pamiętała, do cholery! Gubienie kluczyków budziło w niej pusty śmiech. Zrobiła, co w jej mocy, by pohamować niestosowny chichot, i uwolniła ręce.

Wstała od stołu. Czując na plecach spojrzenia czterech par oczu, wyszła z kuchni i zamknęła za sobą drzwi.

Już miała odejść, gdy usłyszała swoje imię. Jack mówił o niej. Przystanęła, nasłuchując.

– ...czuję, jakbym zepsuł jej urodziny. Bardzo przepraszam za to wszystko. – Milczał przez chwilę. – Chcę, byście wiedziały, że mówię prawdę... – podjął to-

nem żarliwym od emocji i tak cicho, że musiała wyteńczyć słuch. – I naprawdę się o nią martwię.

Usłyszała pełne współczucia pomruki.

Nie mogła dłużej tego znieść.

TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

28 lutego

Amy krążyła po salonie, wściekła na nich wszystkich. Dlaczego nie chcą zobaczyć tego, co widzi ona? Dlaczego z radością godzą się na kłamstwa Jacka? Jak, do cholery, ma im dowieść, że on jest oszustem?

Ciężko usiadła na kanapie i powietrze uciekło z poduszek, gdy głęboko westchnęła. Przytłaczało ją poczucie porażki. Jest prawniczką – powinna umieć zbadać wszystkie aspekty sprawy i wymyślić strategię, by wydobyć prawdę, ale jej mózg przypominał watę. Pamiętała za mało z ostatnich kilku miesięcy, by wiedzieć, co jest prawdziwe i niepodważalne. Gdyby tylko Esme tu była. Łzy napłynęły jej do oczu. Ciotka zadawałaby Jackowi pytania. Sprytne pytania, które by go pogrążyły. Sama była zbyt wyczerpana, żeby myśleć.

Położyła głowę na oparciu kanapy, czując się całkowicie opuszczona.

Esme już nie ma. Dom należy teraz do Gabriela, a przynajmniej tak będzie, gdy tytuły własności zostaną przeniesione na jego nazwisko. A ona otrzyma pieniądze. Pewnie w ciągu ostatnich kilku miesięcy musiała dostać co najmniej jednego maila od prawników, ale gdy przeglądała telefon, nie zauważyła żadnego. Zanotowała w pamięci, żeby sprawdzić jeszcze raz.

A co z Jackiem? Czy powinna się go obawiać? Dlaczego ją śledził? Jego krótkie przemówienie przy stole sprawiło, że się wzdrygnęła: „Nie mam w planach niczego innego, jak tylko cię kochać”. Czy tak mówią zakochani faceci? Szkoda, że tego nie wiem, pomyślała z żalem. Jednak nawet przy jej prawie zerowym do-

świadczeniu te słowa brzmiały dziwnie. Plany, by kogoś kochać? Mało romantyczne. Owca

Wyprostowała się, zimne ciarki przeszły jej po plecach. Jego plany. Próbowала je rozpracować już od dwóch dni, odkąd przypomniała sobie, że wymyśliła Jacka.

Chce jej pieniędzy.

Wie o spadku. Wie, że odziedziczyła majątek, i zamierza go zdobyć.

Pokręciła głową, zmagając się z natłokiem myśli.

Ale jak? – zastanawiała się. Jak, u licha, Jack dowiedział się o spadku? Ogarneły ją wątpliwości, gdy zrozumiała, że to dziwaczny pomysł... a jednak nie do końca nieprawdopodobny. To by wyjaśniało, dlaczego z takim uporem zapewnia je wszystkie, że jest jej chłopakiem. Dlaczego udaje, że ją kocha. Dlaczego uważnie ją obserwuje.

Podskoczyła, gdy otworzyły się drzwi.

To była Martha. Zawahała się chwilę, zanim weszła.

– Wszystko w porządku? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Gdybyś tylko wiedziała, mamó, pomyślała, ale nie mogła niczego powiedzieć. Ani o Esme, ani o swoich domysłach co do Jacka. Starala się wyglądać na spokojną, opanowaną.

– Nie ma tu żadnego ducha – odparła. – W tym domu są tylko demony.

– Skoro o tym mowa – zaczęła Martha, siadając na kanapie obok niej – mam poczucie, jakbym cię zawiodła.

Amy załomotało serce. Czy to oznacza, że mama bierze ją na poważnie?

– Nie wspierałam cię tak bardzo, jak powinnam, a przecież jestem twoją matką. Zdaję sobie sprawę, że cię nie słuchałam. Nie potraktowałam twoich zarzutów wobec Jacka z taką powagą, na jaką zasługują.

W piersi Amy wezbrała fala niepewnej ulgi.

– Dziękuję, mamó. Widzisz, starałam się wszystko wyjaśnić i wiem, że trudno w to uwierzyć, i moja historia brzmi nieprawdopodobnie, ale nie masz pojęcia, jak

bardzo się cieszę, że zaczynasz brać pod uwagę to, co przez cały czas próbuję powiedzieć.

Martha zrobiła zaskoczoną minę.

– Nie... och... Przykro mi. Może źle to ujęłam. Chodziło mi o to... twój uraz... Nie rozumiałam, jak poważne są jego konsekwencje, do jakiego stanu cię doprowadziły... jak na ciebie wpłynęły.

Amy poczuła narastającą panikę.

– W ogóle na mnie nie wpłynęły, mamo – oświadczyła z przekonaniem – nie licząc kilku ataków bólu głowy.

Martha, zakłopotana, położyła dłoń na jej rękę.

– Nieprawda, skarbie. Słuchaj, to dla mnie bardzo trudne, jesteś moją jedyną córką, moim całym światem. Nie mogę dłużej beczynn timer patrzeć, jak się dręczysz.

Amy cofnęła rękę.

– No to uwierz mi, kiedy mówię, że Jack jest oszustem.

– Ale czy naprawdę? Mogę opierać się tylko na tym, co widzę. Jest dla ciebie taki dobry. Wszystkie te wiadomości od niego, kwiaty. Byliście razem, Amy. Jest w twoim życiu od miesięcy.

– Akurat – burknęła.

W oczach matki pojawiły się łzy.

– Proszę. Doznałaś poważnego urazu głowy, a ja nie zdawałam sobie sprawy z powagi sytuacji. Z twojego stanu. – Odetchnęła głęboko. – Jak my wszyscy.

W uszach Amy zabrzęczały dzwonki alarmowe.

– Jak wy wszyscy?

Martha powoli wstała i podeszła do drzwi. Amy patrzyła, jak kiwa głową do kogoś na zewnątrz. Szeroko otworzyła oczy, gdy do pokoju weszli Lisa, Jenna i Jack. Skuliła się na kanapie.

– Rozmawialiśmy... – zaczęła łagodnym tonem Martha. – Wszyscy bardzo się o ciebie martwimy. Wiem, że pogoda nie ułatwia sprawy, ale jestem pewna, że uda

nam się znaleźć lekarza. Specjalistę. Żeby cię zbadał, może zlecił kolejną tomografię. W końcu minęło kilka dni, odkąd wyszłaś ze szpitala, więc dobrze byłoby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Zdumienie zaparło jej dech. Minęła chwila, zanim odzyskała mowę. Przenosiła spojrzenie z jednej poważnej twarzy na drugą.

– To żart?

– Pomyśl o tym jako o badaniu kontrolnym – powiedziała szybko Lisa. – Jeśli wszystko jest w porządku, nie ma powodów do zmartwień.

Amy wstała zbyt szybko i była świadoma, że lekko się zatoczyła.

– Jak śmiesz? – spytała łamiącym się głosem. – Zmówiliście się. – Wycelowała palcem w Jacka. – Wierzycie jemu, a nie mnie. Wszyscy spiskujecie przeciwko mnie. Myślicie, że zwariowałam. Jak śmiecie traktować mnie jak histeryczkę? Nie jestem szalona! – krzyczała, zbyt późno zdając sobie sprawę, że swoim zachowaniem nie polepsza sytuacji.

– Amy, proszę, przynajmniej to rozważ – odezwał się Jack.

– Nie – warknęła.

– Jesteś zmęczona – wtrąciła Lisa. – Nie śpisz.

– Och, powiedziałaś jej o tym, prawda? – warknęła Amy, patrząc gniewnie na Jacka.

Łza spływała po policzku Marthy.

– Nie wiem, co jeszcze zrobić – szepnęła. – Czuję, że cię już nie znam. Nie znam własnej córki.

– Przejrzyj na oczy, mamó. Przestań patrzeć na Jacka przez różowe okulary i, do cholery, przejrzyj wreszcie na oczy.

CZTERDZIEŚCI

28 lutego

Było późno, ale Martha nie chciała iść do swojego pokoju. Jej córka wyraźnie cierpiała, a ona źle by się czuła, kładąc się w tej chwili spać. Stała w drzwiach pustej kuchni, gdzie jedynym źródłem światła była podświetlona lodówka na wino, i zastanawiała się, czy może sobie pozwolić na jeszcze jedną lampkę. Z pewnością już przekroczyła dzienny limit, ale kogo to obchodzi, pomyślała ze złością. Żałowała, że zgodziła się przyjechać do tego domu, z którym wiązało się tyle złych wspomnień i który jakby dążył do tego, by zniszczyć jej rodzinę. Moja szwagierka ma wiele na sumieniu, pomyślała z goryczą, i gdzie ona w ogóle jest? Wygodnie się ukryła, a ja muszę się mierzyć z koszmarem paranoi Amy.

Wyjęła kieliszek z szafki, otworzyła lodówkę i wzięła pierwszą z brzegu butelkę. Nalała porządną porcję i już sam szmer lejącego się trunku przyniósł jej jakąś ulgę. Niejasno zdawała sobie sprawę, że lekko drżą jej ręce, i trochę wina wylało się na blat. Wytarła go, a potem, z kieliszkiem przyciśniętym do piersi, wyszła z kuchni, zastanawiając się, gdzie się ulokować. Skręciła do salonu, ale nie chciała siedzieć przed kominkiem, nie sama. Z tym miejscem wiązało się zbyt wiele wspomnień o Peterze, jak siedzieli przytuleni na tej samej miękkiej skórzanym kanapie, a mała Amy spała na górze. Uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak przygotowali świąteczną skarpetę i powiesili ją nad kominkiem, przed którym teraz stała – i jak Amy rozpromieniła się, gdy rano zbiegła na dół. Gdyby Martha zamknęła oczy, mogłaby sobie wyobrazić spojrzenie, które wymienili z Peterem, kiedy ich sześciolatka córka westchnęła z zachwytem – tajemnica radości rodzi-

ców. Szczęśliwe czasy. Nadal każdego dnia tęskniła za mężem, a przebywanie w tym domu zdawało się pogłębiać jej samotność.

Wypiła kolejny łyk wina. Przeszła w głąb salonu, gdzie rozsuwane drzwi otwierały się na taras i basen. Wyrzała i zobaczyła, że światła na zewnątrz są włączone i ktoś siedzi na mrozie.

Okryła się narzutą z kanapy. Otworzyła drzwi i ostrożnie zamknęła je za sobą, drżąc w zimnym wietrze. W dali majaczyły cienie gór. Czowała ich władcą obecność, gdy pędzące chmury gęstniały i przysłaniały księżyc, pogrążając wszystko dokoła w mroku. Na krześle siedział Jack, ubrany w skafander z postawionym kołnierzem. Spojrzał na nią i Martha odniosła wrażenie, że szybko otarł łzę.

– Co ty tu robisz? – skarcił ją łagodnie. – Nie masz płaszcza, przeziębisz się.

Miał rację, było zimno i wiatr przenikał przez narzutę. Ale nie mogła zostawić go tutaj samego, szczególnie teraz, gdy zobaczyła, że jest przybity.

– Wiem, jak to jest – powiedziała. – Stracić kogoś, kogo kochasz.

Widziała ból w jego oczach.

– Długo szukałem kogoś takiego jak Amy – odezwał się po dłuższej chwili. – To był najszczęśliwszy dzień w moim życiu, kiedy spotkałem ją na stacji Waterloo. Cały mój świat się zmienił. Rozjaśniała każdy dzień. Nawet gdy jej nie widziałem, samo myślenie o niej mnie rozpromieniało. – Zaśmiał się cicho. – W pracy drażnili się ze mną bez litości i dopytywali, kiedy poznają kobietę, dzięki której nawet o czwartej nad ranem, na nocnym dyżurze, chodzę sprężystym krokiem.

– Wiem, że to trudne...

Spojrzał na nią.

– Również dla ciebie. Przepraszam, myślałem tylko o sobie, a przecież ty także się o nią martwisz.

– Nie mogę jej stracić – powiedziała łamiącym się głosem. – Jest dla mnie wszystkim. Wszystkim, co mi zostało na świecie.

– Będzie dobrze, Martho.

Uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Przypominasz mi mojego męża. Był bardzo opiekuńczy. Zawsze się o mnie troszczył. I wiem, że mówisz miłe rzeczy, by mnie pocieszyć. – Westchnęła ciężko. – Chciałabym, żeby zgodziła się na wizytę u lekarza.

Zagryzł wargę.

– Ja też.

– Czy sądzisz... – zaczęła z lękiem. – Czy urazy mózgu mogą mieć trwały wpływ na osobowość?

Z niechęcią skinął głową.

– Zmiany są nieodwracalne?

– Nie myślmymy w ten sposób – odparł szybko. – Za dwa dni, odpukać, będziemy w kraju. Wtedy łatwiej uda się ją namówić na wizytę u neurologa.

Martha wpatrywała się w nocne niebo, mrugając, żeby księżyc odzyskał ostrość.

– Tyle że w ciągu dwóch dni wiele może się zdarzyć. A ona nie sypia, jak należy.

– Nie. I to może pogorszyć problem. Nie podoba mi się, że nie śpi przez pół nocy. To nie wpływa dobrze na stan jej umysłu ani nie pomaga w powrocie do zdrowia.

Zamyśliła się. Doskonale zdawała sobie sprawę, jaki wpływ ma brak snu na umysł. Po śmierci Petera na wpół oszalała, nie była w stanie zamknąć oczu, żeby nie wyobrażać sobie, jak mąż uderza w skałę. Dręczyło ją to całymi nocami. W końcu przepisano jej tabletki. Z czasem uwolniła się od koszmarów i odstawiła leki, ale kiedy znalazła się w Val d'Isère, znowu po nie sięgnęła. Nic szczególnego, pół tabletki przed snem, dopóki stąd nie wyjedzie. Bez nich wspomnienia pokonałyby ją, gdy leżała sama w nocy.

– Mam kilka pigułek – powiedziała.

– Tak? – spytał Jack z błyskiem nadziei na twarzy. Potem ramiona mu opadły.
– Ale pewnie nie zgodzi się ich wziąć.

– Nie. Nie zgodzi się. – Zadrżała, przytłoczona poczuciem bezradności i rozpacz. – Jest jedyną osobą, która mi została na świecie. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby coś jej się stało. – Czując wzbierające łzy, wzięła duży łyk wina. Zaśmiała się smutno. – Ma upór po mnie. Gdyby odziedziczyła więcej po ojcu, wzięłaby tabletkę nasenną, cokolwiek, byle dobrze przespać noc. Z nas dwojga on był tym praktycznym. – Westchnęła, wspomnienia cofnęły ją w czasie. – Zawsze była przekorna. Kiedy była mała, tłumaczyłam jej, co jest dla niej dobre, a ona robiła na odwrót, po prostu po to, żeby mi się przeciwstawić. Ile razy musiałam ją okłamywać, mówić jej, że nie, w twoim sosie do makaronu nie ma absolutnie żadnych warzyw, mimo że dołożyłam pół startej marchewki...

Urwała w połowie zdania i spojrzała na Jacka, gdy dotarł do niej sens jej słów.

CZTERDZIEŚCI JEDEN

13 lutego

Słońce już odrobinę przygrzewało. Harry czuł, jak ciepło muska mu twarz, kiedy szedł z Niną przez Green Park. Drzewa nadal były bezlistne, lecz pojawiły się na nich małe pąki, widoczne, jeśli ktoś zadał sobie trud, by spojrzeć w górę. Temperatura wynosiła dwanaście stopni, ale po alejkach jeździł wózek lodziarza i upojeni zapowiedzią wiosny ludzie kupowali lody. Harry wybrał dwa śmietankowe świderki z kawałkami czekolady i czuł się radośnie spontaniczny, gdy tak spacerowali, oboje w grubych kurtkach i dżinsach.

Wybrali się do miasta, bo był to pierwszy od tygodnia dzień bez deszczu. Zielone faliste trawniki ożywiały park i słońce połyskiwało na jeziorze. Harry był zadowolony, bo Nina entuzjastycznie przywitała się z nim na stacji metra. Nie wspomniała o Kirsty, kiedy wczoraj wychodziła gdzieś z przyjaciółmi, i miał nadzieję, że trzyma się od niej z daleka. Wszystko układało się dobrze. Pisała do niego codziennie i spotykali się co najmniej trzy razy w tygodniu, a często spędzał u niej noc. Powiedziała mu, że jeśli chce, może zostawić szczoteczkę do zębów w jej łazience. Przydzieliła mu ręczniki. Zapytała, czy może go odwiedzić w jego mieszkaniu, a on odparł, że byłby zachwycony, tyle że jego nowi sąsiedzi z góry mają zwyczaj do późna puszczać głośną muzykę, a ona przecież musi wstawać wcześnie na spotkania z klientami. Przyznała mu rację i więcej nie wróciła do tematu; oboje pogodzili się z tym, że lepiej im będzie u niej. Rozmawiali o krótkim wypadzie wiosną, może do Rzymu albo Barcelony. Harry zamierzał poprosić Maxa o kilka dodatkowych zmian, żeby mógł zapłacić za siebie.

Gdy zjedli lody, opuścili park i ruszyli Piccadilly, przechodząc przez ulicę przy Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych, żeby zobaczyć instalację w szerokim wejściu. Okazały domek na drzewie, wysoki na co najmniej cztery metry i dwa razy szerszy, w całości z drewna, miał kilka pokoi, tajemne wejścia, tarasy i schody, które niknęły za ogromnymi pniami. Tajemnicza kryjówka nęciła, jakby żywcem wyjęta z *Władcy Pierścieni*.

– W dzieciństwie nie posiadałabym się z radości, gdybym miała coś takiego – powiedziała Nina.

– Ja również – przytaknął jej Harry.

Dorastał w domu bez ogrodu i przebywał w nim sam przez wiele godzin, gdy matka pracowała w biurze w mieście. Wracał ze szkoły i spędzał dużo czasu przed telewizorem, oglądając filmy. Zatracał się w różnych światach i wyobrażał sobie, że jego dom jest zamieszkały przez inne postacie, które często wydawały mu się bardziej realne niż wiecznie nieobecna matka.

Okrażali instalację, patrząc na konary, które zapraszały ich do ukrytych drzwi, i oboje czuli pragnienie ucieczki do świata marzeń. Wreszcie z westchnieniem poszli dalej Piccadilly. Harry ujął Ninę za rękę.

– Dziś ja stawiam lunch – powiedział.

Uśmiechnęła się.

– Rany, dzięki. Dokąd idziemy?

– Znajdziemy coś bardziej na uboczu?

– Doskonały pomysł. – Nina skrzyła w następną przecznicę i Harry poniewczasie zorientował się, że to Old Bond Street.

– Chodź... – Wskazał ręką. – Przejdźmy kawałek dalej, w głąb jednej z tych węższych uliczek.

– Możemy pójść tędy. Popatrz. – Nina pociągnęła go dalej.

Harry już widział białą ozdobną fasadę Dolce and Gabbana. Zesztywniał, ale nakazał sobie spokój. Minął sklep w kilka sekund. Zapewne nikt w środku go nie zauważy.

Nina zatrzymała się wprost przed sklepem. Spojrzała w witrynę.

– O Boże, to ta sukienka.

– Co?

– Wiesz, ta, o której ci mówiłam, widziałam ją w telewizji. Miała ją na sobie ta feministyczna dziennikarka. Boże, cudowna.

– Fakt. – Stała plecami do witryny.

– Nawet nie patrzysz. No odwróć się!

Jezu! Rzucił okiem na suknię. Spojrzał w głąb sklepu. Był tam Elliot. Jego były szef. Obsługiwał bogatego klienta. Harry'emu zamarło serce. Odwrócił się, zanim tamten zdążył unieść wzrok. Złapał Ninę za rękę.

– Chodź, umieram z głodu.

Wyrwała się.

– Niedawno zjadłeś lody. Daj spokój, chcę ją przymierzyć.

Nie może tam wejść. Wezwą policję. Prawda wyjdzie na jaw. Wszystko się zawali. Znow zerknął do środka. Klient był podobny do Freddiego Canninga. Wysoki, kościsty. Przekonany, że zasługuje na szczególne traktowanie. Po raz pierwszy Harry spotkał Freddiego w drugim tygodniu swojej pracy w sklepie. Początkowo był podekscytowany, gdy Freddie wszedł z dziewczyną, bardzo szczupłą, modnie ubraną, piękną. Usiadła, zajęta telefonem. Stało się jasne, że jest poważnym klientem, z czym wiązała się szansa na uzyskanie prowizji. Harry podszedł i zaoferował pomoc, po czym pokazał Freddiemu kilka par dżinsów, przez cały czas myśląc, że skądś w pobliżu sączy się obrzydliwy zapach. Freddie też to poczuł.

– Co to za smród? – spytał, patrząc najpierw na niego, potem na sklep. Nagle coś mu zaświtało i spuścił wzrok na swoje buty. Podniósł nogę. – Cholera – burknął. Spojrzał znow na Harry'ego. – Możesz dać szmatkę czy coś?

Harry czuł się dotknięty, że pierwsze podejrzenie padło na niego.

– Słucham?

– Coś, czego używasz do ścierania gówna. – Popatrzył na czarną wężową skórę. – Kurwa mać – jęknął – są od Prady.

Nie używam niczego do ścierania gówna, pomyślał Harry z urazą. Ten fiut chyba myśli, że on, Harry, jest ekspertem od gówna, a sam uważa się za lepszego. Ciekawe, kto podciera mu tyłek.

W tym czasie Elliot zauważył, że coś się dzieje. Przyskoczył w okamgnieniu, cały w służalczych uśmiechach.

– Harry, możesz przynieść trochę ręczników kuchennych z pokoju dla personelu?

Harry niechętnie wykonał polecenie. Kiedy wrócił, Freddie był w przymierzalni. Wszedł w nowych dżinsach, żeby się pokazać.

– Co sądzisz, kochanie? – zapytał swoją dziewczynę, która raczyła oderwać wzrok od telefonu.

– Dobrze wyglądasz – mruknęła.

Wtedy zauważył Harry'ego z rolką ręczników.

– Jest tam – powiedział, wskazując but leżący na podłodze.

Harry zamarł; ten facet chyba nie myśli na poważnie, że on wyczyści jego but?

Zauważył, że Elliot jest w kropce i zastanawia się, jak najlepiej poradzić sobie z tą sytuacją.

– Chcę przymierzyć tamtą kurtkę – rzucił Freddie, patrząc na czarną skórzaną kurtkę z futrzanym kołnierzem, wiszącą w drugim końcu sklepu.

Elliot z wahaniem spoglądał to na niego, to na Harry'ego.

– Zaraz przyniosę – powiedział.

Nieznacznym ruchem głowy wskazał but – takie bezgłośnie polecenie. Jakby nie mówiąc tego na głos, właściwie o nic go nie prosił.

Harry nie krył zaskoczenia. Czy on jaja sobie robi? Sądząc po jego wyrazie twarzy, najwyraźniej nie. Harry w oszołomieniu stwierdził, że robi, co mu kazano. Ostrożnie podniósł but i jeszcze raz spojrzął na Freddiego i swojego szefa, ale żaden nie zwracał na niego uwagi. Udał się do pokoju dla personelu. Dopiero gdy

czyścił but, coś do niego dotarło. Wyciera gównem z buta bogacza, ponieważ z nich dwóch to on jest biedny. To było upokarzające. Gotował się ze złości, ale czuł się bezsilny, nie mógł nic zrobić. Wyrzucił zużyte ręczniki do kosza, wiedząc, że będą śmierdzieć przez resztę dnia, o czym Freddie w życiu by nie pomyślał. Zaniósł but z powrotem na salę.

Freddie był już w swoim ubraniu, a Elliot trzymał kilka par dżinsów i kurtkę. Podał te rzeczy Harry'emu. Harry wiedział, że to oznacza, że może wbić je na kasę i otrzymać prowizję, mimo że to szef obsługiwał klienta. Przypuszczał, że w ten sposób Elliot mu się odwdzięcza.

Podszedł do kasy i wbił dżinsy. Tysiąc osiemset siedemdziesiąt pięć funtów za trzy pary i pięć tysięcy za kurtkę. Poszedł zapakować je do markowych toreb.

– Hej, umyłeś ręce, prawda?

Zobaczył, że Freddie szczyrzy zęby w uśmiechu. Ściągnął brwi.

– Co?

– Ręce. Dotykasz moich dżinsów. Och, nieważne – rzucił niecierpliwie Freddie. – To miał być żart.

Harry spojrzał na kontuar, gdzie leżał otwarty portfel Freddiego. Zobaczył nazwisko wytłoczone na czarnej skórze i wiedział, że nigdy go nie zapomni. Przesunął torbę z dżinsami i rozmyślnie strącił portfel na podłogę za ladą.

– Przepraszam – bąknął.

Dziewczyna wisiała na ramieniu Freddiego, jęcząc, jak bardzo jest spragniona. Harry ukląkł za ladą i podniósł portfel ze zgrabnym rzędkiem kart kredytowych, w osobnych kieszonkach, jedna nad drugą. Musiało ich być kilkanaście. Szybko wyjął jedną i schował do kieszeni. Wstał, oddał portfel i czekał z niepokojem, podczas gdy Freddie płacił za ubrania, nie zauważając, że jedna z kieszonek jest pusta. Kiedy wprowadzał PIN, Harry zerknął na czytnik, po czym szybko odwrócił wzrok. Podał klientowi paragon i patrząc, jak ten wychodzi ze sklepu, po raz pierwszy od trzydziestu minut poczuł się tak, jakby odzyskał część siebie.

Zaczął skromnie. Kilka piw i paczka chipsów w narożnym sklepie, w sporej odległości od domu. Dotknął czytnika kartą Freddiego, a gdy wszystko się powiodło, uradowany wyszedł ze sklepu. Później kolejny wielki sprawdzian. Udał się do supermarketu i wziął trochę artykułów spożywczych, pilnując, żeby suma nie przekroczyła limitu płatności zbliżeniowej, w razie gdyby PIN nie zadziałał.

Przy kasie włożył kartę do terminala i wprowadził kod PIN, którego Freddie użył w sklepie. Przypuszczał, że ktoś, kto ma kilkanaście kart kredytowych, nie chce obciążać sobie pamięci kilkunastoma różnymi PIN-ami. Uznał, że najpewniej wszystkie mają ten sam kod. Wstrzymał oddech, kiedy na ekranie pojawił się napis: *Transakcja w toku*, i odetchnął z ulgą, gdy płatność została zaakceptowana. Z terminala wyskoczył paragon i wszystkie zakupy należały już do Harry'ego. Nikt nawet nie mrugnął. Opuścił sklep, czując radosną ekscytację. Teraz przyszła kolej na ubrania – potrzebował nowych T-shirtów i kurtki. Po tych zakupach zgłódniał i postanowił zjeść lunch. Ośmielony, wybrał ekskluzywną restaurację. Poprosił o stół przy wejściu, na wypadek gdyby musiał uciekać. Ale karta zadziałała, rachunek został uregulowany; dał sowity napiwek i kelner gorąco mu podziękował. W drodze do metra mijał sklep z eleganckimi okularami przeciwsłonecznymi. Kupił designerską parę i od razu je założył, idąc dalej nasłonecznioną ulicą. Zrzucił nową kurtkę na ramię i zdał sobie sprawę, że czuje się kimś innym. Jakby stał się Freddie Canningiem. Nabral pewności siebie, dzięki czemu ludzie traktowali go teraz inaczej. Szybciej obsługiwano go w barach, nadszkwano mu w ekskluzywnych sklepach odzieżowych. Pewnego wieczoru zatrzymał się w hotelu z basenem na dachu, w centrum Londynu, żeby zobaczyć, jak to jest. Zameldował się jako Freddie Canning. Miał frajdę, gdy personel zwracał się do niego „panie Canning”. Czuł się tak, jakby zostawił tego starego Harry'ego, spłukanego, wyzyskiwanego, za sobą. Był jednak ostrożny – starał się nie wydawać za dużo w jeden dzień i nigdy nie zamawiał niczego na adres domowy.

Minęło kilka miesięcy, a karta wciąż działała. Harry doszedł do wniosku, że najpewniej Freddie nawet nie sprawdza wyciągów. Miał tyle kart, że prawdopodobnie ustawił opcję comiesięcznej spłaty i nie zwracał sobie głowy przegląda-

niem transakcji. Zaciekawiony, pewnego dnia wygooglował Canninga na swoim nowym telefonie, który ten nieświadomie mu zafundował. Znalazł notatkę w londyńskiej gazecie z ubiegłego roku. Zdjęcie z premiery jakiegoś głośnego serialu telewizyjnego. Freddie stał w kolejce przed kinem z kilkoma dziewczynami i aktorem, wszyscy uśmiechali się do obiektywu. W tekście podano ich nazwiska i Freddie figurował jako dziedzic fortuny producenta koktajli mlecznych.

Po prostu rozpuszczony bogaty dzieciak, pomyślał Harry. Wydaje pieniądze ojca, a sam nie kiwnie palcem. Ogarnęła go zazdrość, a potem przypomniał sobie, że przecież dorównuje prawdziwemu Freddiemu. Przejrzał aktualne informacje w gazecie i zobaczył, że tego wieczoru w Mayfair zostanie otwarty nowy bar. Nie tylko Freddie może uczestniczyć w ekskluzywnych imprezach, pomyślał. Wybierze się na jedną z nich.

Później krążył w tłumie skąpo odzianych dziewczyn, wdychając niezliczone zapachy perfum. Po raz pierwszy w życiu czuł się wśród eleganckich młodych ludzi jak w domu, trzymał głowę wysoko, patrzył dziewczynom w oczy. Podszedł do baru, zamówił mojito i wyjął kartę, by zapłacić. Przyłożył ją do terminala, ale zamiast zwykłego przyjaznego sygnału usłyszał inny dźwięk. Barman, marszcząc brwi, spojrział na urządzenie, jakby obarczał je winą. Wyciągnął rękę po kartę i zaskoczony Harry podał mu ją bez słowa. Barman przetarł ją i oddał mu.

– Terminal ma kaprysy! – zawołał głośno, przekrzykując muzykę. – Proszę spróbować jeszcze raz, panie Canning.

Harry wyczuł, że jakiś mężczyzna przy barze rozgląda się, nadstawiając uszu. Już chciał ponownie przyłożyć kartę, gdy uniósł wzrok i napotkał jego spojrzenie.

Był to Freddie Canning. Z walącym sercem Harry odwrócił się do wyjścia i zaczął przebijać się przez tłum, który stał się teraz gęstszy; kobiety protestowały, gdy je popychał. Usłyszał krzyk mężczyzny – prawdopodobnie Freddiego – i przyspieszył kroku. Już miał przestąpić próg, gdy bramkarz zagroził mu drogę. Harry spojrział mu w oczy i wiedział, że zaraz wszystko się zawali.

Został aresztowany, oskarżony i zwolniony za kaucją. Okazało się, że księgowy Freddiego całkiem przypadkowo zauważył, że Freddie tego samego dnia użył dwóch różnych kart w dwóch różnych krajach (przebywał na wakacjach we Włoszech) – i karta została zablokowana.

Harry stawiał się w sądzie i został skazany na rok pozbawienia wolności w zawieszeniu na dwa lata. Wiedział, że musi przez ten czas trzymać się z dala od kłopotów, bo inaczej trafi za kratki. Oczywiście stracił pracę, a Elliot narobił takiego szumu – wiarygodność marki, zaufanie klientów, bla, bla – że sędzia wydał Harry’emu zakaz wchodzenia do sklepu Dolce and Gabbana. Był to jeden z warunków uniknięcia więzienia.

Harry ponownie spojrzął w okno sklepu i zobaczył, że Elliot stoi przy kasie. Gdy tylko przestanie zajmować się klientem, zwiększy się ryzyko, że zauważy go stojącego na zewnątrz. Musi stąd uciec. Ale Nina ciągnęła go za rękę, nakłaniając do wejścia.

– Chodź... Pozwól mi ją przymierzyć. Chcę wiedzieć, co myślisz.

Harry się opierał.

– Jest trochę... – Zawahał się, spojrzął na sukienkę.

– Jaka? – spytała Nina.

– Dziwkarska? – Jezu, stąpał po niebezpiecznym gruncie, ale nie miał wyboru.

Znieruchomiała, wyraźnie przygaszona.

– Dziwkarska? – powtórzyła.

– Chodzi mi o to, że jesteś naprawdę elegancką damą. To twój naturalny wygląd, natomiast w tej sukience jest coś... tandetnego. – Wcale nie, sukienka była naprawdę oszałamiająca, ale nie miał zamiaru tego mówić.

Nina puściła jego dłoń. Skrzyżowała ręce na piersi. Widział, że czuje się zraniona.

– Pięknie – burknęła.

– Przepraszam.

– Wszystko zepsułeś. Nawet gdybym ją przymierzyła i gdyby mi się spodobała, jak mogłabym ją potem nosić, skoro twoje słowa wciąż dźwięczałyby mi w uszach? Dziwkarska? Czy w ten sposób mówisz mi, że jestem na nią za stara?

– Nie! Boże, nie – zapewnił ją szybko. Objął ją, zachęcony, gdy się nie uchyliła. – Wyglądasz najwyżej na dwadzieścia pięć lat, na litość boską. Będziesz mogła paradować w bikini po siedemdziesiątce. Nie chodzi o ciebie, tylko o tę kieckę.

Przymrużyła oczy, sprawdzając, czy jest z nią szczery, po czym nagle się podała.

– Już odpuściłam. Chodź, jesteś mi winien lunch. I to cholernie dobry.

Ruszyła dalej, a on odetchnął z ulgą.

CZTERDZIEŚCI DWA

28 lutego

Amy siedziała na fotelu w swoim pokoju, z telefonem w dłoni, i metodycznie przeglądała maile, które dostała od dwudziestego ósmego października – dnia wypadku Esme – szukając jakiejś informacji z kancelarii adwokackiej. Nic nie znalazła. Zajrzała do folderu wysłanych wiadomości, ale tam też niczego nie było. Czyżby Gabriel się pomylił? Nie, pomyślała, był pewien tego, co mówił. Esme zostawiła jej pieniądze. Przypuszczała, że mogła otrzymać tradycyjny list z warunkami zapisu, może nawet zawierający kopię testamentu, ale przecież dalsza korespondencja byłaby prowadzona przez pocztę elektroniczną. Wtedy przypomniała sobie, że wcześniej nie mogła znaleźć swojego telefonu. Czy ktoś go zabrał? Użył dostęp do jej maili, przeczytał je i następnie usunął? Jack, pomyślała ponuro. Tamtej nocy spał w jej pokoju. Może wziął telefon przy innej okazji, a miał ich wiele. Nagle uświadomiła sobie, że wtedy właściwie ją zmusił, by oddała mu komórkę. Powiedział, że powinna spokojnie odpocząć! Nie zastanawiała się zbytnio nad tym, jak odblokował ekran. Zbagatelizowała tę przeszkodę, przekonując samą siebie, że jest dostatecznie przebiegły, by znaleźć sposób.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła dziewiąta; Gabriel jeszcze nie śpi. Zresztą widziała światła na zewnątrz jego domu, po drugiej stronie doliny. Chciała uzyskać dane kancelarii, żeby zadzwonić do nich z samego rana. Nie miała czasu do stracenia, nie teraz, gdy zrozumiała, co się naprawdę dzieje: Jack próbuje ukraść jej spadek. Zadzwoniła na komórkę Gabriela, ale zgłosiła się poczta głosowa. Spróbowała ponownie – to samo. Sfrustrowana, rozłączyła się. Dlaczego nie od-

bierasz? – zastanawiała się, patrząc na światła w jego chacie, jarzące się na tle czarnego jak smoła krajobrazu.

Nie było innego wyjścia. Musi się tam udać jeszcze dzisiaj. Osobiście uzyskać namiary na prawnika.

*

To nie jest najmądrzejszy pomysł, na jaki kiedykolwiek wpadłam, pomyślała, gdy oddaliła się od domu i pochłonął ją mrok. Wiatr kąsał każdy odsłonięty skrawek skóry i parzył policzki. Ledwo widziała swoją rękę przed twarzą. Spojrzała w niebo, wiedząc, że zasnuwają je chmury, nie widać gwiazd ani księżyca. Nie odważyła się włączyć latarki w telefonie, jeszcze nie. Wciąż była zbyt blisko domu. Ktoś mógłby zobaczyć światło, a nie miała ochoty odpowiadać na pytania albo porzucać swojego szalonego pomysłu.

Szła dalej, nieświadoma, że ktoś już ją widział.

Ktoś patrzył, jak znika w ciemności.

CZTERDZIEŚCI TRZY

28 lutego

Amy próbowała trzymać się śladów, które zostawiła wcześniej tego dnia, ale nawet przy świetle z telefonu okazało się to trudne, a wiatr podrywał śnieg z wierzchołków zasp i rzucał jej w twarz. Po chwili zdała sobie sprawę, że brnie w świeżym śniegu. Nie mogła ocenić jego głębokości i zapadła się przy kolejnym kroku, tracąc równowagę. Spojrzała przed siebie, żeby sprawdzić, jak daleko jest do chaty Gabriela. Nie dostrzegła jej. Skrzywiła się – tak długo patrzyła pod nogi, starając się nie upaść, że oderwała wzrok od celu. Odwróciła się, rozejrzała i z niepokojem stwierdziła, że nie widzi też domu Esme. Przez chwilę stała nieruchomo, skulona z zimna, zachodząc w głowę, gdzie popełniła błąd. Słyszała tylko wiatr świszczący w dolinie.

Cholera. Uniosła telefon, zaświeciła dokoła. Widziała tylko skrzący się śnieg. Światło latarki sięgało zaledwie na kilka metrów, dalej rozciągała się bezkresna ciemność. Z narastającym strachem zrozumiała, że nie ma pojęcia, gdzie jest.

Zwróciła uwagę na godzinę na telefonie – minęła dziesiąta. Jest tu już od godziny? Pewna myśl przysła jej do głowy: może Gabriel poszedł spać? Zgasił światła w domu i dlatego już ich nie widziała?

Panika zaczęła ścisnąć jej żołądek. Próbowwała się uspokoić, ale nie miała pojęcia, w którą stronę powinna się skierować, i strach brał nad nią górę. Nie możesz tu zostać, powiedziała sobie surowo. Zamarzniesz na śmierć. Zamarzniesz, jeśli będziesz się błąkać po tej górze, odezwał się jej wewnętrzny głos.

Wzięła głęboki oddech. Wpatrywała się w ciemność. Czy tam dalej mający plama jakby głębszej czerni? Czy to może być las? Postanowiła udać się w tym kierunku; plan długofalowy był lepszy niż brak planu. Chciała zostawić włączoną latarkę, ale zauważyła, że bateria w telefonie jest prawie wyczerpana – zostało mniej niż piętnaście procent. Zimny strach rozlał się po jej ciele. Zachowała się jak totalna amatorka. Wyszła w góry, przy temperaturze poniżej zera, bez niezawodnej formy łączności. Wyłączyła latarkę, mówiąc sobie, że wzrok szybko przywyknie do ciemności. Jeśli będzie szła dalej i jeśli rzeczywiście zmierza w kierunku lasu, to zaraz za nim znajdzie dom Gabriela.

Trzymała się tej nadziei, gdy brnęła naprzód, wysoko unosząc nogi. Pomimo świstu wiatru wyraźnie słyszała przy każdym kroku chrzęst i poskrzypywanie śniegu. Dostroiła się do tych rytmicznych odgłosów, starając się utrzymać równe tempo i wykorzystując je do uspokojenia bicia serca. Skrzyp, skrzyp, lewa, prawa, lewa, prawa. Na pewno idzie w dobrą stronę. Tak bardzo chciała dostać się do domu Gabriela. Tam będzie ciepło, jasno. Będzie bezpieczna. Gabriel pewnie pozwoli jej zostać na noc, jeśli go o to poprosi. Weźmie od niego numer i zadzwoni do prawnika. Powstrzyma Jacka. Jest kłamcą, jest niebezpieczny; może być zdolny do wszystkiego.

*

Nie słyszała ich, dopóki nie zabrzmiały prawie przy niej. Czyjeś kroki, szybsze, cięższe. Odwróciła się i zobaczyła podskakujące światło latarki, zbliżające się coraz bardziej. Skamieniała w snopie blasku. Chciała krzyknąć, ale zaschło jej w gardle. A potem dostrzegła majaczącą w cieniu postać. Instynktownie uniosła ręce, by ochronić się przed tym, kto nadciągał. Usłyszała swój jęk przerażenia, gdy męskie ręce mocno chwyciły ją za ramiona. Szamotała się, krzycząc, próbując uciec.

– Przestań, uspokój się! Proszę! Nie zrobię ci krzywdy.

Amy rozpoznała głos. To Jack. Zamarła, zdezorientowana, nieufna pomimo jego uspokajających słów.

Puścił ją, a ona cofnęła się, niepewna, co teraz nastąpi.

– Wybacz, nie chciałem cię przestraszyć. – Jack rozłożył ręce w przeproszającym geście. – Na litość boską, co tu robisz?

Nie mogła mówić. Strach odebrał jej głos.

– Chodź, wracajmy do domu.

Poczuła delikatne szarpnięcie za ramię. Przez chwilę dała się prowadzić, potem stawiała opór. Dokąd on mnie zabiera?

– Co ty wyprawiasz? – odezwał się z konsternacją Jack. – Musisz wrócić do domu. Masz pojęcie, jak wszyscy się martwiliśmy? Twoja mama zaraz wezwie pogotowie górskie.

– Zgubiłam się – rzuciła.

Tylko tyle. Nie musiał wiedzieć, dokąd szła i dlaczego.

– Co ty nie powiesz. – Jack nie potrafił ukryć irytacji. – Następnym razem weź latarkę... albo bernardyna. Albo, jeszcze lepiej, poczekaj do rana. Dokąd ty w ogóle się wybierałaś?

Amy nie odpowiedziała. Westchnął.

– Spójrz, dom jest tam. – Wskazał drogę, którą przyszedł. – Dwadzieścia minut pieszo stąd.

Tylko? Kręciła się w kółko.

– Myślisz, że dasz radę?

Oczywiście, że da radę. Żeby to udowodnić, ruszyła przed nim.

CZTERDZIEŚCI CZTERY

28 lutego

– Ale co ty tam robiłaś, sama i po ciemku? – dopytywała Martha. – Mój Boże, jest minus piętnaście stopni, coś ty sobie myślała?

– Proszę, mamó, jestem zmęczona. Czy to nie może poczekać do rana?

Amy była nie tylko zmęczona, lecz także przemarznięta. Przemarznięta do szpiku kości. Zdawała sobie sprawę, że mówi trochę niewyraźnie, i nie mogła przestać się trząść. Miała nadzieję, że w domu od razu położy się do łóżka, ale chociaż Jack zostawił ją samą, a Jenna i Lisa taktownie nie wyszły ze swoich pokoi, matka domagała się wyjaśnień. Amy zrobiła sobie herbatę i siedziała przy wyspie kuchennej, obejmując dłońmi kubek. Upiła kolejny łyk, świadoma, że matka ją obserwuje.

– Usta ci zsiniały – zauważyła Martha.

Amy zamknęła oczy.

– Coś jeszcze?

– Wiesz, to nie żarty. Mogłaś tam zginąć.

– Na litość boską, mamó – burknęła Amy i umilkła zaskoczona, widząc, że matka płacze.

– Czy kiedykolwiek zastanawiasz się, jak to wszystko na mnie działa? – zapytała Martha. – Byłam przerażona, myśląc, że doszło do najgorszego. Tydzień temu dostałam telefon z wiadomością, że uderzyłaś się w głowę i leżysz w szpitalu, a teraz tkwimy w tym zapomnianym przez Boga miejscu, które już zabrało jed-

nego członka naszej rodziny. Mimo to najwyraźniej bawi cię narażanie się na jak największe niebezpieczeństwo!

Amy, zawstydzona, milczała. Nie chciała wystraszyć matki. Ale stawką było coś, czego nie mogła zignorować.

– Przepraszam, mamó. Nie chciałam cię zmartwić.

– Jak mogę się nie martwić? – rzuciła z irytacją Martha. – Wychodzenie na mróz w środku nocy nie jest normalne. I nawet nie chcesz mi wyjaśnić, co tam robiłaś! – Westchnęła. – Zdajesz sobie sprawę, że postępujesz... irracjonalnie, prawda?

Amy obruszyła się. Przecież to ona jest tą rozsądną, która potrafi przejrzeć wszystkie sztuczki.

– Mam całkowicie jasny umysł – oświadczyła.

Dostrzegła, że matka sztywnieje.

– Masz mi coś obiecać – zażądała Martha. – Koniec z nocnymi wypadami na śnieg.

– Jestem dorosła, mamó. Będę robić, co mi się podoba.

– Chyba nie zamierzasz znowu wyjść? – spytała Martha z przerażeniem w głosie.

– Mamó, przestań.

– Narażasz się. Masz obiecać!

Amy potarła skronie. Marzyła o papierosie. Jeśli odmówi, nie będzie mieć spokoju. Łatwiej powiedzieć to, co matka chce usłyszeć.

– Dobrze. Obiecuję. – Uniosła wzrok i zobaczyła, że Martha przygląda się jej uważnie spod zmarszczonych brwi. Matka jej nie wierzyła, a ona nie miała już siły. Wstała. – Pójdę do łóżka. Dobranoc, mamó.

W swoim pokoju spojrzała przez okno na drugą stronę doliny, w kierunku domu Gabriela. Światła wciąż się paliły, więc nie poszedł spać. Sprawdziła, która godzina – była prawie północ. Dziwne, że jeszcze nie spał. Postanowiła, że wstanie wcześniej i zadzwoni do niego, by podał jej namiary na prawnika.

Gdy przebrała się w szlafrok, rozległo się pukanie. Otworzyła drzwi i zobaczyła matkę z parującym kubkiem gorącej czekolady.

– Przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłam – odezwała się Martha. – Pewnego dnia zrozumiesz, wiesz, jeśli... – Urwała niezręcznie.

Jeśli kiedykolwiek będziesz mieć dzieci, dokończyła w duchu Amy. Matka podała jej kubek.

– Pomyślałam, że gorąca czekolada dobrze ci zrobi – dodała. – Wypij, proszę.

Wyglądała tak żałośnie, że Amy wzięła kubek. To drobna prośba, którą może spełnić. Wypiła łyk. Napój był pyszny. Ostentacyjnie czekała, aż matka sobie pójdzie.

– No tak. Musisz być zmęczona – powiedziała Martha, reflektując się nagle.

– Trochę tak – przyznała Amy.

– Dopijesz?

– Tak, mam. A teraz przestań się martwić i idź już spać. Sama wyglądasz na zmęczoną.

*

Leżąc w łóżku, z kołdrą naciągniętą pod brodę, Martha czuła narastające poczucie winy. Nie myślała poważnie o wrzuceniu tabletki nasennej do gorącej czekolady, dopóki Jack nie znalazł Amy zagubionej na śniegu w środku nocy. To śmiertelnie ją przestraszyło. Nie mogła pozwolić, by córka zmarła w tych samych górach co mąż. A gdyby skręciła nogę? Gdyby wpadła w hipotermię? Martha nie mogła znieść samej myśli o czymś takim. Działała w dobrej wierze.

CZTERDZIEŚCI PIĘĆ

19 lutego

Harry był zirytowany. Panował okropny ziąb, a on spóźnił się na autobus. Elektroniczny wyświetlacz informował, że następny będzie za dwadzieścia osiem minut. Wiedział, że musi stawić się w pracy. Uznał, że szybciej będzie piechotą, chociaż i tak nie zdąży na czas. Idąc Garrett Lane, wyobrażał sobie święte oburzenie, z jakim powita go Max, i z każdym krokiem stawał się coraz bardziej rozdrażniony. Miał dość tej nudnej, niewdzięcznej roboty, kłaniania się i nadskakiwania za nędzne grosze. Chciał innego życia, takiego, w którym zamieszka z Niną w jej nowoczesnym mieszkaniu bliżej centrum. Zajmuje się domem, troszczy się o nią. Gotuje dla niej, podaje kolację, gdy ona wraca wieczorem do domu. Uwalnia ją od stresu i napięcia związanego z jej wymagającą pracą. Może nawet, gdy pojawi się dziecko, nim też będzie się opiekował i zabierał je na spacer do parku.

Skręcił w ulicę, gdzie mieścił się bar Maxa. Przed wejściem jak zwykle było tłoczno, pomimo mroźnej pogody. Zobaczył, że grupa ludzi cofa się i czeka, żeby przepuścić wychodzącą kobietę. Podeszedł do drzwi i przygotował się w myślach na konfrontację z szefem.

Max rzucił się na niego w kilka sekund.

– Przepraszam – powiedział Harry – autobusy mają opóźnienie. Musiałem iść z buta.

– No tak – mruknął Max, a jego ton wskazywał, że nie wierzy w to usprawiedliwienie.

Harry poczuł się urażony, bo przecież tylko trochę rozminął się z prawdą. Ale nie przejmował się zbytnio fochami szefa i poszedł odwieść kurtkę.

Stanął za barem i niemal natychmiast zauważył dziwne zachowanie przełożonego. Max obserwował z drugiego końca sali, jak obaj z Alexem obsługują gości, i ze sztuczną swobodą przechodził obok, gdy nabijali rachunki na kasę. Był subtelny jak cegła. Najwyraźniej problemy z utargiem się nie skończyły i Max liczył, że przyłapie któregoś z nich na gorącym uczynku. Harry zaśmiał się w duchu – szef nigdy nie znajdzie przy nim lewej forsy. Zastanawiał się od niechcienia, czy to Alex go okrada, a jeśli tak, to po cichu mu kibicował. Ich zarobki wystarczały ledwie na samo utrzymanie i nie winiłby Alexa za to, że dokłada sobie do pensji.

Bar pękał w szwach. Piątek zawsze przyciągał amatorów zabawy, którzy świętowali początek weekendu. Wszystkie stoliki były zajęte, a ludzie nakręcali atmosferę wieczoru. Harry skończył obsługiwać dwóch facetów i ich dziewczyny, gdy poczuł podmuch zimnego powietrza, co oznaczało, że frontowe drzwi się otworzyły. Weszła Nina, a zaraz za nią Kirsty.

Serce mu zamarło, ale szybko przywołał na twarz zachwycony uśmiech. Prawda była taka, że nie lubił, gdy Nina tu przychodziła, bo musiał uważać na każde słowo, zwłaszcza gdy Max był w zasięgu słuchu. A widok Kirsty wyjątkowo go wkurzył.

Kobiety usiadły przy barze i Harry nachylił się, żeby pocałować Ninę w usta. Skinął głową Kirsty, po czym przyniósł im wino i dwa kieliszki. Postawił przed nimi półmisek z małutkimi chorizo i chlebem czosnkowym.

– Na koszt firmy – powiedział, mając nadzieję, że to złagodzi nastrój Kirsty. – Dobry dzień?

– Całkiem niezły – odparła Kirsty.

W jej tonie brzmiało coś, co go zaalarmowało: był chłodny, znaczący.

– Jestem wykończona – oznajmiła Nina. – Cieszę się, że już piątek.

– Nie spodziewałem się, że cię dziś zobaczę.

– To był pomysł Niny – wycedziła lodowato Kirsty. – Później weźmiemy coś na wynos i pójdziemy do niej, ale najpierw chciała wpaść na lampkę wina.

– I zobaczyć się ze mną? – zapytał żartobliwie.

– Oczywiście. – Nina uśmiechnęła się.

Kirsty milczała i tylko patrzyła na niego twardo.

Jaki masz problem, kobieto? Wciąż świdrowała go wzrokiem, jakby wiedziała coś, o czym on nie miał pojęcia. Goń się, pomyślał. Uważał ją za jedną z najbardziej czepialskich, ograniczonych osób, jakie kiedykolwiek miał nieszczęście spotkać.

Ktoś klepnął go w ramię. Odwrócił się, wciąż zirytowany.

– Czego? – burknął.

Nie zdążył się zmytygować. Nienawidził płaszczenia się, ale wiedział, że nie powinien zrażać do siebie szefa. Nie ma sensu utrudniać sobie życia.

Max ruchem dłoni przywołał go na drugi koniec baru.

– Czy tamci – zaczął, dyskretnie wskazując klientów, których Harry obsłużył przed Niną – kupili butelki nowozelandzkiego sauvignon i chilijskiego pinot noir?

– Zgadza się.

– Tak myślałem. Spytałeś ich, jak będą płacić?

– E... tak. Gotówką. Trzydzieści funtów za butelkę.

Max skinął głową.

– Kasa się zapełniła. Właśnie ją opróżniłem i przeliczyłem pieniądze, sprawdzając z paragonami.

Harry zmarszczył brwi.

– I?

– Nie zgadza się.

Harry wlepił w niego oczy. Po chwili spojrział przez ramię i z ulgą zobaczył, że Nina i Kirsty są pogrążone w rozmowie.

– Co sugerujesz?

– Brakuje dokładnie trzydziestu funtów – poinformował Max.

Harry poczuł krople potu na czole. Nie zabrał tych pieniędzy, ale nie była to rozmowa, którą chciał prowadzić tutaj, teraz, z Niną siedzącą zaledwie kilka metrów dalej.

– I co z tego? – zapytał ściszym głosem, starając się zachować spokój. – Nie moja wina. Może się pomyliłeś. Jeśli chcesz, policzę. Dla pewności.

Chciał odejść od baru, ale Max wyciągnął rękę, żeby go zatrzymać.

– Nie.

Nina i Kirsty umilkły. Harry wiedział, że przerwały rozmowę i nasłuchują.

– Obawiam się, że nie stać nas na... takie pomyłki – rzucił Max.

Harry nagle spostrzegł, że Alex stoi w pobliżu, zajęty wycieraniem stolika. Patrzył, słuchał, a potem szybko odszedł, z głową spuszczoną w poczuciu winy. Gnojek... Ale Harry nie lubił kapować, nie chciał nikogo wskazywać palcem. Spojrzał na Maxa i zacisnął zęby.

– To niesprawiedliwe. Nie zrobiłem nic złego.

– Kasa się nie zgadza – powtórzył dobitnie Max. – I nie po raz pierwszy. Nie mogę mieć personelu, któremu nie ufam.

Co? Harry'ego ogarnęła panika – potrzebuje tej pracy. Co gorsza, jego dziewczyna jest w zasięgu słuchu. Zrobił głęboki wdech.

– Może pogadamy o tym później? Po pracy – poprosił cicho.

Zauważył, że Max się waha.

– Czy możemy zamienić słowo?

Harry odwrócił się i zobaczył podchodzącą do nich Kirsty. Obleciał go strach. Nina patrzyła ze zdziwieniem, wyraźnie zaniepokojona.

– Jesteśmy trochę zajęci – odparł Harry, próbując zniechęcić Kirsty.

– Sądzę, że to ważne. Widzisz, słyszałam co nieco z waszej rozmowy. I myślę, że mam co do ciebie rację. Jesteś zwyczajnym oszustem. – Kirsty wskazała palcem Maxa. – To twój najlepszy kumpel? Bo wcale na to nie wygląda. Ale tak właśnie powiedziałeś Ninie, prawda? To zresztą nie jedyne, co jej mówiłeś.

– Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy – syknął Harry.

– Chciałbyś – parsknęła, nie odpuszczając. – Ale nie zamierzam patrzeć, jak moja przyjaciółka znowu wplątuje się w związek z łajdakiem. A z tym barem, który podobno otwierasz, to jedna wielka ściema, prawda?

Max wyprostował się i skrzyżował ramiona, zainteresowany tym, co słyszy.

– Zadzwoiłam do każdego agenta nieruchomości w Putney. Nie ma lokalu do wynajęcia na Chelverton Road. Czego chcesz od mojej przyjaciółki? Pieniądzy? Bo sam na pewno ich nie masz. – Odwróciła się i przepaszająco spojrzała na Ninę. – Wybacz, nie chciałam, żeby to wyszło na jaw tutaj. Zamierzałam porozmawiać z tobą w domu.

– Zabieraj swoje rzeczy – warknął Max. – Już tu nie pracujesz.

– To jakiś obłąd – wyjąkał Harry. Spojrzał na swoją dziewczynę. – Nina?

Jej skonsternowana twarz była pełna wątpliwości.

– Nie rozumiem – odezwała się. – Widziałam projekty...

– Najpewniej podrobione – rzuciła Kristy.

– Nina, proszę – zaczął Harry z desperacją w głosie. – No dobra, a jeśli to nawet prawda...

– Zależy ci na jej pieniądzach. – Kirsty nie pozwoliła mu dokończyć.

– Miałem zamiar ci powiedzieć...

– Tak, akurat – znów mu przerwała.

Harry próbował ją zignorować, skupiając uwagę na Ninie.

– Daję słowo. Dobrze nam razem, prawda? A gdybym na samym początku powiedział ci, że jestem barmanem i zarabiam grosze, czy byłabyś zainteresowana? – Dostrzegł zmieszanie i poczucie winy w jej oczach. – Zacząłem tę małą głupią grę i wymknęła się spod kontroli. Jedno małe kłamstwo, jeszcze zanim zostaliśmy parą, pamiętasz? Wtedy starałem się tylko dorównać pięknej kobiecie sukcesu. – Uśmiechnął się lekko. – Onieśmielałaś mnie. – Zobaczył, że Nina się waha. – A romans to nie zawsze róże i zachody słońca. Każde z nas wnosi do związku coś innego.

– Nie słuchaj go – wtrąciła Kirsty. – To mały intrygancki drań. Cokolwiek powie, na pewno skłamię.

Nie zdołał się pohamować. Sięgnął nad barem i z ogniem w oczach chwycił ją za przód bluzki.

– Jesteś jak trucizna, wiesz o tym?

– Zostaw mnie – powiedziała spokojnie.

– Puść ją natychmiast! – krzyknął Max. – I wynoś się stąd. Masz pięć sekund albo wzywam policję.

Harry cofnął dłoń i Kirsty upadła na bar. Wziął kurtkę i wybiegł, ignorując spojrzenia, ignorując wszystkich. Ogarnęła go wściekłość. Zaślepiła go, trawiła. Był wystrzeloną kulą, mknącą jak błyskawica.

Jak ta suka śmiała go tak wystawić, jak, kurwa mać, śmiała to zrobić. Od samego początku go nie lubiła. I zrobiłaby wszystko, żeby go zniszczyć. Szedł dalej Garrett Lane w kierunku Earlsfield, a niesprawiedliwość tego wszystkiego podsycała jego gniew.

CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ

1 marca

Amy obudziła się całkowicie zdezorientowana. Z niepokojem przesunęła ręką po szafce nocnej, szukając telefonu, żeby sprawdzić godzinę, i zrzuciła na podłogę książkę, a potem lampę. Zirytowana, spróbowała usiąść, by lepiej widzieć. Czuła się otumaniona. Było jasno, jaśniej, niż się spodziewała. Nastawiła budzik na siódmą, wiedząc, że Gabriel wcześniej wstaje. Spojrzała znad krawędzi łóżka i podniosła telefon z dywanu. Nacisnęła boczny przycisk i zobaczyła, która godzina.

Ósma czterdzieści pięć.

Zaskoczona, usiadła. Nie słyszała budzika. Odrzuciła kołdrę i spuściła nogi, zahaczając jedną o drugą. Jej ciało jakby za nią nie nadążało. Poklepała się po głowie. Obudź się, obudź! Wybrała numer Gabriela i podeszła do okna.

Stała, patrząc na jego dom, słuchając sygnału. Odezwała się poczta głosowa. Zadzwoiła ponownie, ale znów nie odebrał. Z frustracją rzuciła telefon na fotel. Nie ma innego wyjścia – musi pójść do jego domu. Już miała odwrócić się od okna, gdy zauważyła coś dziwnego. Zewnętrzne światła u Gabriela wciąż się paliły. Widziała je całkiem wyraźnie. Uznała to za dziwne, zbyt ciche. Wprawdzie pogoda nie dopisywała, ale to nie usprawiedliwiałoby sztucznego oświetlenia. Może on też zasnął.

Zła na siebie, poszła pod prysznic. Dlaczego musiała zasnąć akurat dzisiaj? Gorąca woda nie rozjaśniła jej myśli i Amy zastanawiała się, czy nie łapie jej grypa po wczorajszym długim przebywaniu na mrozie. Jak przez mgłę przypomi-

nała sobie, że po odejściu matki ogarnęło ją niewiarygodne zmęczenie i padła na łóżko. Nie pamiętała momentu zasypiania. Może rzeczywiście jest chora.

Ubrała się, poszła na dół i szybko zrobiła sobie prowizoryczne śniadanie, paliwo na drogę. Wszystko trwało dłużej niż zwykle, była niezdarna, upuściła nóż i spadł z brzękiem na podłogę. Zakłęła pod nosem, spodziewając się, że zaraz ktoś wejdzie, zwabiony hałasem. Zamierzała wyjść niepostrzeżenie, a tu jak na złość sygnalizowała każdy swój ruch. Potrzebowała filiżanki mocnej kawy, żeby oprzytomnieć, ale lepiej było nie ryzykować. Straci zbyt wiele czasu, a zapach z pewnością przyciągnie głodnych ludzi, więc poprzestała na szklance wody.

Przeżuwając kęs bagietki, pospiesznie weszła do holu i właśnie wyciągała z szafy skafander, gdy...

– Amy?

Zamarła. Obróciła się. W połowie schodów stała Lisa i patrzyła na nią z konsternacją.

– Wychodzisz?

– Tylko na chwilę. – Amy zdobyła się na dziarski ton.

– Ale zaraz spadnie śnieg.

Zirytowana obecnością przyjaciółki, spojrzała w okno. Drobne płatki spływały na ziemię. Osobliwie żółtoszare niebo zapowiadało początek znacznych opadów śniegu.

– Zaraz wrócę!

Rozpaczliwie pragnąc wyjść, wsunęła stopy w buty, ale w tym czasie Lisa zeszła na sam dół i zagroziła jej drogę do drzwi.

– Naprawdę uważam, że nie jest to dobry pomysł – powiedziała. – Chyba nadciąga śnieżycyca.

Amy, chociaż wciąż lekko otumaniona, czuła narastającą wściekłość. Musi zachować spokój, postępować jakby nigdy nic i nie robić afery. Nagle przyszyła jej do głowy niepokojąca myśl. Rozpięła i sprawdziła kieszenie skafandra. Były puste.

– O co chodzi? – spytała Lisa.

– Zapomniałam o czymś. – Amy wzniosła oczy do sufitu, jednocześnie nad czymś się głowiąc. Musiała zostawić komórkę na fotelu w pokoju. Uśmiechnęła się nonszalancko. – O telefonie.

– Zamierzałaś wyjść w taką pogodę bez komórki?

– Nie – wycedziła Amy przez zaciśnięte zęby.

Co się dzieje z jej mózgiem? Dlaczego nie pamięta o najprostszych rzeczach?

Lisa nie wydawała się przekonana.

– Naprawdę, Amy, myślę, że będzie lepiej, jeśli trochę zaczekasz. Spójrz, jak sypie.

Amy zerknęła w okno. W ciągu tych kilku minut ich rozmowy drobne śnieżynki ustąpiły gęstym grubym płatkom. Niebo stało się ołowiane, a widoczność spadła do zaledwie kilku metrów.

– Napijemy się kawy? – zaproponowała Lisa. – Może w tym czasie śnieżycy minie.

Amy słyszała kroki na górze, głos matki rozmawiającej z Jenną. Zaraz się tu pojawią i wtedy będzie musiała stawić czoło wszystkim trzem. Lepiej rozładować sytuację i udawać, że nie ma znaczenia, kiedy wyjdzie z domu. Zresztą kawa to dobry pomysł. Może w końcu postawi ją na nogi.

Przylepiła uśmiech do twarzy.

– Doskonale – rzuciła, po czym zdjęła buty i skafander, odłożyła jedno i drugie na miejsce.

Jenna i Martha zeszły na dół i nagle umilkły, widząc Lisę i Amy w holu.

– Robię kawę – oznajmiła Lisa. – Martho, pomóż mi, a wy obie możecie rozpaść w kominku.

Amy zmarszczyła brwi. Czy tylko to sobie wyobraziła, czy rzeczywiście wymieniły ukradkowe, konspiracyjne spojrzenia?

Poszła z Jenną do salonu.

– Ja uprzątnę, a ty rozpalisz, zgoda? – zapytała przyjaciółka, już wygarniając z kominka wczorajszy popiół.

Amy skinęła głową. Gdy Jenna przygotowała palenisko, ona zmięła starą gazetę i ułożyła na niej podpałkę. Wzięła pudełko zapalek i zapaliła jedną, patrząc, jak płomyk wybucha, a następnie przygasa. Przytknęła ją do papieru. W ciągu kilku sekund pojawił się ogień. Wrzuciła polano i obserwowała, jak liżą je rosnące płomienie.

Weszła Martha i Lisa z tacą. Gdy Lisa nalewała kawę z dzbanka, zaczęły gawędzić o śniegu.

– Mam nadzieję, że to nie potrwa zbyt długo.

– Za dwa dni mamy wracać.

– Nawet jeśli nas zasypie, w tym domu nie będzie nam źle.

Amy wzięła filiżankę, którą podała jej Lisa, i wypila łyk kawy. Gorycz wykrzywiła jej usta. Wstała. Wszystkie na nią spojrzały.

– Idę tylko po cukier – powiedziała, zastanawiając się, dlaczego czuje się tak, jakby musiała tłumaczyć się z każdego kroku.

Skinęły głowami, a ona wyszła z salonu. Przechodząc przez hol, z ciężkim sercem spojrzała w okno. To nie jest pogoda odpowiednia na wyprawę przez dolinę, jakkolwiek bardzo chciała porozmawiać z Gabrielem. Weszła do kuchni. Zatrzymała się. Do licha, po co tu przyszłam? Rozejrzała się, czekając, aż jej się przypomni, ale wciąż miała zaćmiony umysł. Czego stąd potrzebuję? Dlaczego tu jestem?

Ktoś wszedł za nią.

– Wszystko w porządku? – spytała Lisa.

Amy wzruszyła ramionami.

– Zapomniałam, po co tu przyszłam.

Lisa uśmiechnęła się.

– Po cukier. – Wyjęła z kredensu torebkę i podała jej. – Cieszę się, że zostałaś. Musisz być ostrożna.

Amy milczała. Było zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy gubiła wątek. Czuła się kompletnie dezorientowana. Czuła się jak... nie wiedziała, jak to opisać. Jakby

była śmiertelnie zmęczona i brodziła w melasie.

– Musisz tam wrócić – dodała przyjaciółka, z tajemniczym wyrazem radości na twarzy wskazując w stronę salonu.

– Czemu?

Popchnęła ją ku drzwiom.

– Po prostu idź.

Amy wróciła do salonu. Dwie minuty później weszła tam Lisa, niosąc duży tort ze świeczkami. Wszyscy zaczęli śpiewać.

Amy była zaskoczona. Całkowicie zapomniała o swoich urodzinach. To ją zszokowało, ale zaraz potem stwierdziła, że ma zbyt wiele innych spraw do przemyślenia, zbyt wiele powodów do niepokoju.

Zmusiła się do uśmiechu. To był miły gest z ich strony, ale tak naprawdę nie chciało jej się świętować swoich urodzin.

– Pomyśl życzenie – powiedziała Martha, gdy córka już miała zdmuchnąć świeczki.

Amy zamknęła oczy i pomyślała, o czym marzy. Żeby śnieg przestał już padać i mogła pójść zobaczyć się z Gabrielem.

Otworzyła oczy.

– Co to za życzenie? – zapytała Lisa.

– Nie mogę powiedzieć, bo się nie spełni.

Tort był czekoladowy. Lisai Jenna zrobiły go tamtego dnia, kiedy ona zniknęła z domu na kilka godzin. Teraz Amy go pokroiła i każda zjadła po kawałku do kawy. Na stole leżał stosik prezentów.

– Najpierw otwórz mój – poprosiła Martha, podsuwając jej duże, ozdobnie zapakowane pudełko.

Amy pociągnęła wiśniową wstążkę. Zastygła, gdy zobaczyła, co jest w środku. Ręcznie robiony zegar z kukułką. Maleńkie, misternie wyrzeźbione ludziki rąbały kłody i grały na instrumentach wśród miniaturowych sosen. Patrzyła z zachwytem. Kiedy była mała, zawsze marzyła o takim zegarze.

– Cudowny. Dziękuję, mamo.

Przyjaciółki podsunęły jej swoje podarki. Jenna dała jej oprawioną fotografię panoramy Londynu, a Lisa designerski jedwabny szal.

Został jeden prezent. Samotne pudełeczko na stole.

– Powinnaś otworzyć – powiedziała matka.

Amy nie chciała.

– No dalej – ponagliła ją Lisa.

W końcu uległa. Gdy rozerwała papier, ukazało się pudełeczko, wielkości i kształtu takich z biżuterią. Zobaczyła znaczek marki. Ten sam sklep jubilerski, gdzie kupiła naszyjnik. Zmarszczyła brwi i otworzyła wieczko. Wewnątrz była para kolczyków. Diamenciki osadzone w złocie.

Jakiś dźwięk sprawił, że uniosła wzrok. Jack wszedł do pokoju, zatrzymał się przy drzwiach.

– Chciałem podarować ci również kolczyki – powiedział. – Pasują do twojego naszyjnika.

Amy poczuła irytację. Przecież naszyjnik kupiła sobie sama.

– Podobają ci się?

Spojrzała na niego, próbując wyczytać coś z jego twarzy, znaleźć oznaki tego, że kłamie. Może jakiś błysk w oczach albo drgnięcie ust.

– Kto cię obsługiwał? – zapytała.

– W sklepie? – Jack nie krył zaskoczenia.

– Kobieta? Po pięćdziesiątce? Elegancka? Włosy w kok?

– Nie... młodsza. Około trzydziestki.

To się nie zgadza. On kłamie. Zastanawiała się gorączkowo i nagle coś znalazła. Uśmiechnęła się triumfalnie.

– Ale właścicielką sklepu jest Ruth, prawda? Ruth Wood.

– Nie wiem, o kim mówisz – powiedział łagodnie.

– O tej kobiecie z kokiem! – krzyknęła ze złością.

Jack zrobił zakłopotaną minę.

– Sklep należy do mężczyzny. Pamiętam, że akurat tam był.

Nie... Kobieta, która ją obsługiwała, przedstawiła się jako właścicielka sklepu. Przecież Amy nie wymyśliła jej sobie. Pamiętała ją, niemal miała ją przed oczami; pamiętała ich rozmowę. Odłożyła pudełeczko z powrotem na stół, ignorując zranione spojrzenie Jacka. Gdy nic nie powiedziała, żadnego „dziękuję”, ani słowa o kolczykach, wymknął się z pokoju. Zesztywniała, przygotowana na krytykę przyjaciółek albo matki, ale na szczęście milczały.

Położyła się na kanapie. Boże, czuła się taka zmęczona. Próbowwała odtworzyć w pamięci wizerunek Ruth. Widziała ją. Widziała jej kok, elegancki granatowy kostium, mandarynkową apaszkę. Ale czy to na pewno wspomnienie? A może wymysł? Amy usiłowała nie zasnąć. Ale kanapa była taka wygodna, ogień płonął w kominku, miała brzuch pełen ciasta... poddała się senności, która nie chciała jej opuścić przez cały ranek, i zapadła w sen.

CZTERDZIEŚCI SIEDEM

1 marca

Amy wiedziała, że śni, ale nie mogła się obudzić. Był to ten sam sen co wcześniej. Biegła ciemną ulicą, uciekała. Strach dławił ją w piersi, gdy nagle zdała sobie sprawę, że w pobliżu nie ma nikogo. Było zimno; jej stopy ślizgały się po lodzie. Co rusz niemal traciła równowagę. Biegła przez kilka minut, świadoma, że Jenna jest coraz bliżej. Zaraz ją złapie...

Nagle otworzyła oczy. Z bijącym sercem odetchnęła kilka razy głęboko. To tylko sen, powiedziała sobie. Ten sam sen.

Powoli dotarło do niej stukanie klawiatury. Zobaczyła Jennę siedzącą na krześle po drugiej stronie pokoju, pracującą na laptopie.

Usiadła.

– Długo spałam?

– Tylko dwie godziny.

– Dwie godziny?!

Ogarnęła ją panika. Zbliżała się pora lunchu. Musi wstać, musi pójść do Gabriela.

Jenna patrzyła na nią.

– Chcesz coś?

Amy pokręciła głową. Zastanawiała się, dlaczego Jenna jest z nią w pokoju, zamiast jak zwykle siedzieć z laptopem przy wyspie kuchennej. Wstała. Wrażenie oszołomienia zmalowało, ale nie minęło.

– Wszystko w porządku? – spytała ją przyjaciółka.

– Chyba coś mnie rozłożyło. Czuję się trochę przymulona.

Jenna odwróciła wzrok.

– Wróciło więcej wspomnień? – spytała po chwili.

– Nie.

Nie skomentowała tego.

– Chcesz coś do picia?

– Nie, dzięki. – Właściwie Amy napiłaby się wody, ale miała dość traktowania jej jak inwalidki. Jeśli czegoś będzie chciała, sama może to sobie wziąć. Zresztą to może poczekać. Musi dostać się do Gabriela. – Gdzie są wszyscy? – zapytała.

Jenna wzruszyła ramionami.

– W domu.

Amy podeszła do drzwi, świadoma, że jest obserwowana.

– O co chodzi?

Przyjaciółka szybko odwróciła wzrok.

– O nic.

Amy spojrzała na nią i zobaczyła, że Jenna wpatruje się w ekran. Udawała, że pochłaniają ją zdjęcia w laptopie, ale cicho strzelała kostkami palców. Kłamczucha, pomyślała Amy. Co cię gryzie?

W jej głowie pojawił się obraz, wspomnienie. Była na wystawie Jenny. Wiem o tym, pomyślała. Wiem, że tam byłam. Ale ten przebłysk wydawał się teraz większy, złowieszczy.

Przebiegł ją dreszcz. Pokręciła głową. Obraz, który pojawił się w jej umyśle, nie zniknął. W głębi duszy się wzbraniała, nie chciała wiedzieć wszystkiego, co lada moment miało się ujawnić. Wspomnienia potoczyły się niczym lawina. Amy od ponad godziny chodziła po galerii, nie mając okazji pogratulować przyjaciółce, która ciągle była zajęta rozmową z reporterami i potencjalnymi nabywcami. Robiło się późno i była zmęczona po długim dniu w pracy. Znowu spojrzała na Jennę, ale wciąż otaczali ją wielbiciele, więc postanowiła wyjść na zewnątrz, na

frontowe schody. Złapać chwilę oddechu. Ukradkiem zapalić papierosa przed ostatnią próbą rozmowy z Jenna. Jeśli nie zdoła się do niej przebić, wróci do domu i wyśle jej SMS-a.

Otuliła się płaszczem, sięgnęła do torebki po paczkę papierosów i wyjęła jednego. Zapaliła go i zaciągnęła się mocno. Wypuściła dym w zimne powietrze i usłyszała za sobą dźwięk. Odwróciła się i zobaczyła Lewisa.

– Przyłapałem cię.

– Nikt nie wie – powiedziała. – Nawet moja mama. Zwłaszcza moja mama.

– Nie wydam cię – zapewnił ją konspiracyjnym tonem. – Mała przerwa od pełnego uwielbienia tłumu?

Amy zauważyła, że Lewis lekko mamrocze. Zesztywniała, gdy zdała sobie sprawę, że jest pijany.

– Jenna przyciąga uwagę, na jaką zasługuje – powiedziała.

– Z pewnością. I najwyższa pora.

Chyba wyczuła w jego głosie nutę zniecierpliwienia. Jenna miała za sobą lata starań i momentami była gotowa się poddać. Ale przecież taka jest natura sztuki, prawda? Piekielnie dużo ciężkiej pracy i łut szczęścia, potrzebny, żeby się udało. Amy wiedziała, że Jenna próbowała przebić się bez pomocy Lewisa, który w końcu zmusił ją, by wystawiła prace u niego w galerii. Niechętnie skorzystała z jego pomocy; mówiła, że jeśli odniesie sukces, to nigdy nie będzie pewna, czy zawdzięcza to mężowi, czy swojej pracy.

– Jesteś sama? – spytał Lewis.

Przez lata słyszała to pytanie tyle razy, zadawane w tylu różnych formach, że zyskało moc zwalania jej z nóg. Ale teraz była z Jackiem – przynajmniej tak wszystkim powiedziała. W jakiś sposób to, że on nie istniał, stało się gorsze niż życie singielki. Wydawało się, że cementuje jej porażkę. Za każdym razem, gdy ktoś o nim wspominał, od razu nasuwała jej się myśl, że nigdy nie wzbudziła zainteresowania takiego mężczyzny. Rozbawienie, które początkowo czerpała z kłam-

stwa, przerodziło się w smutek. Wzięła się w garść. Jeszcze tylko kilka tygodni; miną walentynki i jej urodziny – i wtedy z nim zerwie.

– Jack nie dał rady przyjść – odparła.

– Nigdy jeszcze go nie widzieliśmy. Wciąż jesteście na pierwszym etapie, prawda? Jak miesiąc miodowy? Dziwię się, że nie chce spędzać z tobą każdej wolnej godziny.

– Ma pracę, bardzo wymagającą – rzuciła Amy.

Zignorowała uśmiech Lewisa, wkurzona na niego.

– Podzielisz się? – spytał, wskazując papierosa.

Tak naprawdę nie lubiła tego robić, wolałaby, żeby zapalił nowego, ale Lewis miał w sobie coś władczego. Wzruszyła ramionami. Już przyjęła swoją dawkę nikotyny – niech sobie weźmie resztę.

Wziął od niej papierosa, muskając palcami jej palce.

– Powinnam wracać. Spróbuję porozmawiać z Jenną, zanim wyjdę. Do tej pory nie miałam okazji.

Chciała odejść, ale odezwał się stanowczym głosem:

– Nadal jest obłąkana. Nie odstępują jej na krok.

Zawahała się.

– Cóż... może w takim razie czas wrócić do domu. Złapię ją jutro.

Uśmiechnęła się i odwróciła, ale Lewis położył rękę na jej ramieniu. Pociągnął ją ku sobie i mocno przycisnął usta do jej ust.

Minęło kilka sekund, zanim się zorientowała, co się dzieje. Spojrzała na niego w szoku, szukając wyjaśnienia.

– Co ty, do cholery...? – zaczęła, ale jej spojrzenie przesunęło się na drzwi. Stała w nich Jenna z otwartymi ustami, przygarbiona, rytmicznie poruszając palcami. Nastąpiła cicha chwila grozy. – Jenna...

Przyjaciółka odwróciła się na pięcie i zniknęła w galerii. Amy popatrzyła na Lewisa, spodziewając się jakiejś skruchy, zażenowania, ale on tylko omiół ją

dziwnie pustym spojrzeniem, rzucił niedopałek na ziemię i wszedł za Jenną do środka.

*

Jenna patrzyła na Amy z drugiego końca salonu.

– Wszystko w porządku? – zapytała, marszcząc brwi.

Amy uniosła wzrok, zaskoczona.

– Nie. Już wiem, dlaczego byłaś na mnie taka zła.

Jenna zeszywniała.

– To Lewis. Lewis mnie pocałował.

CZTERDZIEŚCI OSIEM

1 marca

Amy wróciła do rzeczywistości.

– Wiesz, że nie ja to zainicjowałam, prawda?

Nie powinna tego mówić. Rysy Jenny stwardniały.

W sercu Amy wezbrała nowa fala grozy.

– Czy Lewis powiedział ci coś innego?

– Podobno to nie był pierwszy raz. Flirtowałaś z nim już wcześniej.

– Nieprawda. – Amy gwałtownie pokręciła głową. – Przysięgam. I tamtego wieczoru na twojej wystawie... Wyszłam na chwilę. Byłaś zajęta i wciąż nie mogłam z tobą pogadać. On też wyszedł na zewnątrz i rozmawialiśmy przez kilka minut, a potem nagle przyciągnął mnie do siebie. I pocałował.

Jenna parsknęła sceptycznie.

– I w tym czasie spotykałaś się z Jackiem – rzuciła oskarżycielsko.

– Przecież Jack jest wymyślony... Udawałam tylko, że się z nim umawiam.

– A więc miałaś dość samotności do tego stopnia, że postanowiłaś ukraść mi męża?

Mówienie czegoś takiego było okrucieństwem.

– Nie! – wykrzyknęła Amy. – Przysięgam, Jenna, absolutnie nie. Przykro mi, że Lewis... sprawił ci zawód, ale jestem twoją przyjaciółką. Mówię prawdę. – Dostrzegła na twarzy Jenny cień niepewności. – Rozmawialiśmy o tym? Później? Bo tego nie pamiętam.

– Próbowałaś. Przyszłaś do mnie do domu. Nie wiedziałam, w co wierzyć, i cię nie wpuściłam.

Zatrzaśnięte drzwi, pomyślała Amy.

– Ale potem zgodziłam się na spotkanie. Miałyśmy pójść gdzieś na drinka – dodała Jenna. – W noc twojego wypadku.

Amy była zaskoczona.

– Umówiłyśmy się?

– Ale się nie spotkałyśmy. Musiałaś dłużej zostać w pracy.

– Tak mi przykro – powiedziała cicho Amy. Potem już wszystko układało się w logiczną całość. – Zadzwoniłam do ciebie. Widziałam to w moim rejestrze połączeń. Dzwoniłam do ciebie tuż przed tym, jak upadłam na lód i uderzyłam się w głowę.

– Nie rozmawiałyśmy. – Jenna wzruszyła ramionami. – Przegapiłam telefon od ciebie.

– Przysięgam, Jenna – powtórzyła Amy. – Nie chciałam uwieść Lewisa. Nigdy go nie prowokowałam. Nie wiem, dlaczego mnie pocałował, ale z pewnością go nie zachęcałam.

Jenna patrzyła na nią. Z jej oczu wciąż wycierała wrogość, ale widniały tam także wątpliwości i zmęczenie. Amy ruszyła do drzwi.

– Naprawdę przepraszam, Jenna, ale muszę coś zrobić.

Ignorując niedowierzające spojrzenie przyjaciółki, wyszła z salonu i skierowała się na górę. Musi wziąć telefon i jeszcze raz spróbować dodzwonić się do Gabriela, uprzedzić go o swojej wizycie. Nie mogła uwierzyć, że spała tak długo. W tym czasie wszystko mogło się wydarzyć. Straciła całe przedpołudnie. Miała okropne uczucie, że czas wymyka jej się spod kontroli. Idąc przez korytarz, popatrzyła w okno. Nadal padał gęsty śnieg.

Otworzyła drzwi swojego pokoju i podeszła prosto do fotela przy oknie, gdzie tego ranka rzuciła telefon. Nie było go tam.

Rozejrzała się. Może spadł na podłogę? Tam też go nie znalazła. Zmarszczyła brwi – czyżby gdzieś go przełożyła? I zapomniała o tym? Ale przeszukanie pokoju nie dało rezultatów. Telefonu nie było ani na łóżku, ani na szafce nocnej, ani na komodzie. Jezu! Muszę zadzwonić. Oblał ją zimny pot. Chcę tylko zadzwonić. Wszystko sprzysięgło się przeciwko niej. Ujęła głowę w dłonie, starając się skupić. Łazienka! Pospieszyła do łazienki i sprawdziła półkę na ręczniki, parapet, szafkę. Też nic. Nie... nie, proszę. Potrzebuję mojego telefonu... Gdzie on jest, do cholery?!

Znieruchomiała, ogarnięta coraz większymi podejrzeniami. Wyszła na korytarz, jej umysł pracował na najwyższych obrotach.

– Wszystko w porządku? – spytała Martha, wychodząc ze swojego pokoju.

– Widziałaś moją komórkę?

Wyglądała na zaskoczoną.

– Nie. Gdzie ostatnio ją miałaś?

Amy wskazała swój pokój.

– Na fotelu. Ale tam jej nie ma.

Jenna weszła na górę; Lisa i Jack również wyłonili się ze swoich pokoi, zwa-
bieni głosami.

– Amy zgubiła telefon – oznajmiła Martha.

Amy najeżyła się. Wcale go nie zgubiła. Ktoś go zabrał. I chyba wiedziała kto.

– Zostawiłam go na fotelu w moim pokoju – powiedziała. Z irytacji aż trzęsły jej się ręce. – Czy ktoś go wziął?

– Nikogo tam nie było – odparła matka.

– Skąd wiesz?

Spojrzała na nią ze zdumieniem.

– To twój pokój. Nikt tam nie wchodzi.

Amy popatrzyła na osobę stojącą w głębi korytarza.

– A ty, Jack? Wiesz, gdzie jest moja komórka?

Współczująco wzruszył ramionami.

– Przykro mi, nie widziałem jej.

– Na pewno? Bo myślę, że mogłeś ją zabrać.

– Amy! – rzuciła Martha karcącym tonem. – Pewnie nadal gdzieś tam jest. –

Minęła córkę, weszła do jej sypialni i spojrzała na fotel.

– Widzisz? Nie ma – powiedziała Amy. – I myślę, że Jack wie dlaczego.

– Słowo, że jej nie wziąłem. Nawet nie zbliżałem się do twojego pokoju.

– A ja wiem, że jesteś kłamcą.

– Amy... – z zakłopotaniem odezwała się Lisa.

– To nie pierwszy raz – ciągnęła Amy. – Zabrał mój telefon już wcześniej.

Wczoraj. Nie mogłam go znaleźć i...

– Jest tutaj! – zawołała Martha z pokoju. Trzymała rękę wysoko, ściskając telefon w palcach. – Spadł za poduszkę – wyjaśniła.

Amy zrobiła wielkie oczy.

– Może przeprosisz Jacka? – zasugerowała łagodnie Lisa.

– Na pewno nie było go wcześniej! – krzyknęła wyzywająco Amy. Spojrzała na Jacka. – Zakradłeś się i odłożyłeś go na miejsce? Tak zrobiłeś. Gdy ja szukałam w łazience!

– Amy, telefon był tam przez cały czas – powiedziała Jenna. – Po prostu go nie zauważyłaś.

Amy rozejrzała się. Twarze matki, Jenny i Lisy wyrażały zakłopotanie i zniecierpliwienie, zmieszane w różnych proporcjach.

Mylicie się! – chciała krzyknąć. On okłamuje nas wszystkie!

Ale to nie miało sensu. Nie wtedy, kiedy nie miała żadnego dowodu.

CZTERDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

1 marca

Lisa poprosiła ją o pomoc w przygotowaniu lunchu, co Amy uznała za gest li- tości, próbę rozładowania napięcia. Wiedziała, że Jack wziął jej telefon, była o tym święcie przekonana. Zaraz po odzyskaniu komórki zadzwoniła do Gabriela i znowu nie odebrał. Wciąż padał śnieg, chociaż mniej intensywnie. Zamierzała wymknąć się z domu po lunchu. Desperacko pragnęła dostać się do Gabriela, ale uznała, że lepiej poczekać, bo po wspólnym posiłku jej nieobecność będzie się mniej rzucać w oczy. To tylko godzina. Mnóstwo czasu, uspokajała samą siebie, cała w nerwach.

Posępnie siekała cebulę na zupę, pogrążona w myślach. Jak przyłapać Jacka? Potrzebowała czegoś, co roztrzaska jego starannie skonstruowaną fasadę niewin- ności. Może będzie musiała zastawić pułapkę, coś, co da do myślenia matce i przyjaciółkom. Ale co? Przebiegała myślą możliwości, jednak nie nasuwał jej się żaden sensowny pomysł, nic się nie wyklarowało.

– Co robimy dziś po południu? – spytała Lisa.

Amy uniosła wzrok. Przyjaciółka stała przy drugim końcu blatu, robiąc masło czosnkowe do chleba.

– W salonie są gry planszowe. Masz ochotę zagrać w monopol?

– Właściwie to może pójde się przewietrzyć – odparła Amy lekkim tonem. – Już prawie nie pada.

Lisa spojrzała w okno.

– Racja. Wszyscy powinniśmy wyjść. Urządzimy bitwę na śnieżki.

– Mmm – mruknęła Amy niezobowiązująco.

I tak zamierzała zrobić swoje.

Cebula już zmiękła, więc dodała dwie puszki pomidorów. Zmusiła się, by zachować spokój, chociaż miała ochotę rzucić patelnię i wybiec z domu. Spojrzała na zegar kuchenny. Sekundy mijały, każda z nich zmarnowana, gdy ona grała komedię, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Potrzeba pójścia do Gabriela była tak silna, że czuła się, jakby coś ją szarpało.

Jakiś obraz kiełkował na obrzeżach jej umysłu. Znieruchomiła, pozwalając mu rozkwitnąć. Była w pociągu, w metrze, ale nad ziemią. Wiedziała, że jest spóźniona, i dzwoniła do kogoś, żeby go o tym powiadomić. Dzwoniła do Jenny. Zdała sobie sprawę, że wspomina dzień, o którym przyjaciółka mówiła jej dzisiaj – miały się spotkać, ale Amy musiała dłużej zostać w pracy. Pamiętała swoją frustrację, gdy Jenna nie odebrała telefonu, rozpaczliwe pragnienie, by jak najszybciej dotrzeć do baru. Martwiło ją, że nie może powiadomić przyjaciółki o spóźnieniu. Było to ważne, bo Jenna wreszcie zgodziła się spotkać, żeby mogły porozmawiać o pamiętnym wieczorze w galerii.

Pierwsza wysiadła z wagonu i pobiegła do barierki biletowych na Putney Bridge, a stamtąd na ulicę. Trzymała telefon w dłoni, z otwartą mapką na ekranie, żeby widzieć trasę. Widziała też, która godzina, i przeklinała pod nosem. Miała tam być trzydzieści minut temu. Wymijała ludzi, którzy wracali do domów po zmroku, kryjąc twarze w wysoko nasuniętych szalach dla ochrony przed zimnem. Gdy skręciła za róg, zobaczyła światła i wiszący wysoko nad chodnikiem szyld baru: *Max's*. Podbiegła do drzwi i otworzyła je, czując na twarzy przyjemny podmuch ciepłego powietrza.

Rozejrzała się, szukając wzrokiem Jenny, ale nigdzie jej nie widziała. Ruszyła przez salę do baru, gdzie spostrzegła zapłakaną kobietę. Ta starała się udawać, że wcale nie płacze, wstrzymując oddech i wściekle wydmuchując nos. Druga kobieta pocieszała ją i Amy wychwyciła kilka słów.

– Ma jakiś problem, jakąś psychotyczną potrzebę, by sprawiać wrażenie ważniejszego, niż jest...

Za barem stał mężczyzna w żółtej muszce w kwiaty. Podał obu kobietom po lampce wina.

– Na koszt firmy – powiedział przepraszającym tonem, po czym zwrócił się do Amy: – Czym mogę służyć?

– Szukam przyjaciółki – odparła. – Miałam się z nią tu spotkać pół godziny temu.

– Brązowe kręcone włosy? Ładna?

– Tak, zgadza się.

– Niestety, wyszła.

– Cholera. Przepraszam – rzuciła do mężczyzny w muszce.

Uśmiechnął się współczująco.

– Nie ma sprawy.

Odwróciła się i wyszła. Stała przez chwilę na zewnątrz, zastanawiając się, co pomyślała sobie Jenna. Zadrzała; nie była to noc na stanie w zimnie. Wróci autobusem do domu, a potem spróbuje zadzwonić do Jenny i wszystko jej wyjaśnić. Szła w kierunku przystanku autobusowego i...

– Zamierzasz zmiksować tę zupę czy tylko na nią patrzeć? – zapytała Lisa.

Amy podskoczyła, przywołana do terażniejszości. Rozejrzała się po kuchni w poszukiwaniu ręcznego blendera, chwyciła go i zmiksowała pomidory.

– Mmm, pachnie cudownie – rzuciła Martha, wchodząc do kuchni. – Ja będę podawać.

Amy odsunęła się, zadowolona, że matka ją wyręczy. Położyła łyżki na stole i podeszła do blatu, żeby wziąć miskę zupy.

– Ta jest twoja. – Martha podała jej drugą miskę.

– Czy to ma znaczenie? – spytała Amy.

Zdążyła zauważyć, że Lisa odwraca się z grymasem napięcia na twarzy.

– Właściwie nie – odparła matka. – Ale ja mam mniejszą porcję. Nie jestem zbyt głodna.

Za oknem Amy zobaczyła coś, co podniosło ją na duchu. Śnieg w końcu przestał padać. Dzięki Bogu! Wystarczy przetrwać lunch, a później się wymknie.

Wzięła miskę, którą podsunęła jej Martha, i usiadła przy stole. Jadła szybko, wciąż myśląc o wyprawie do Gabriela.

Po lunchu źle się poczuła. Ten wirus, pomyślała, znowu daje o sobie znać. Wzięła pudełeczko paracetamolu i poszła do salonu. Zażyje tabletki i najgorsze minie. Dobrze, że przynajmniej nie ma gorączki.

Wyłuskała z blistra dwie tabletki i popiła je wodą. Kręciło jej się w głowie. Usiadła na kanapie, czekając, aż zawroty miną. Uparcie nie chciały ustąpić. Poirytowana, wstała. Naprawdę nie może dłużej czekać. Wyszła do holu i już miała włożyć skafander, gdy usłyszała głosy z kuchni. Ciche wzburzone głosy. Drzwi były niedomknięte, więc zatrzymała się i nadstawiła ucha. Lisa rozmawiała z jej matką.

– Rozumiem twoją troskę, ale musi być jakiś inny sposób – powiedziała Lisa.

– Na przykład? – spytała Martha.

– Jest dorosła. Nie można robić czegoś takiego bez jej zgody.

– Zachowuje się irracjonalnie. Od kilku dni. Ma paranoję. Martwi mnie, do czego może się posunąć. Nie zgadza się pójść do neurologa. Chcę jedynie, żeby była bezpieczna. To tylko dwa dni i niezbyt wiele. W każdym razie w ciągu dnia.

– Nadal mi się to nie podoba.

Amy pchnęła drzwi i kobiety podskoczyły, przestraszone.

– Boże jedyny, Amy, przyprawisz mnie o atak serca – wyjąkała Martha.

– O czym wy mówicie? – spytała Amy.

Matka próbowała się uśmiechnąć.

– O co ci chodzi?

– Rozmawiacie o mnie? Co oznacza to „tylko dwa dni”?

– Dopóki nie wrócimy do domu – odparła po krótkim wahaniu.

– To nie wszystko.

Martha ustąpiła.

– Dopóki nie pójdziesz do lekarza. – Uniosła uspokajająco rękę. – Wiem, że nie wierzysz, że jest jakiś problem, ale kiedy wrócimy do domu i spotkasz się ze specjalistą, będziesz mogła to wykluczyć i powiedzieć nam wszystkim, jak bardzo się myliliśmy, prawda?

Amy zmarszczyła brwi. Wyjaśnienia matki brzmiały nieskładnie, ale nie miała siły z nią dyskutować. Była zbyt zmęczona, by się spierać. Nagle spacer przez dolinę przestał wydawać się czymś, z czym mogłaby sobie poradzić. Może poczeka jeszcze kilka minut, aż paracetamol zadziała. Wyszła z kuchni i ruszyła na górę. Dotarła do swojego pokoju i położyła się na łóżku.

PIĘĆDZIESIĄT

1 marca

Biegła, biegła tak szybko, jak tylko mogła. Jej stopy ślizgały się po lodzie. Z trudem łapała powietrze, świadoma zmniejszającego się dystansu, zaraz ją dopadnie...

Szczęk.

Amy gwałtownie otworzyła oczy, jej oddech przyspieszył. Co to za hałas? Dziko rozejrzała się po pokoju, wciąż w połowie drogi między snem a jawą. Czy ktoś tutaj wszedł?

Nikogo nie było. Usiadła sztywno: czy ktoś właśnie wszedł? Spojrzała na drzwi, ale milczące drewno nie udzieliło odpowiedzi. Ale chyba zamknęła się od środka, prawda?

Odrzuciła kołdrę, pragnąc jak najprędzej to sprawdzić. Szarpnęła za klamkę. Drzwi były zamknięte. Miała zawroty głowy. Chwyciła mocniej klamkę, żeby nie stracić równowagi. Cholera, pomyślała, zaciskając powieki, muszę zrobić coś ważnego. Gabriel. Muszę zobaczyć się z Gabrielem.

Klamka poruszyła się w jej dłoniach. Ktoś próbował dostać się do środka.

– Kto tam? – zapytała ostro.

– To ja – usłyszała głos Marthy.

Amy otworzyła drzwi.

– Obudziłaś się – powiedziała matka, zapalając światło. – Przyniosłam ci kanapkę z serem.

Amy zasłoniła oczy przed blaskiem. Na samą myśl o jedzeniu dostała mdłości.

– Nie jestem głodna, mamó.

– Ale powinnaś jeść.

Boże, to wszystko było takie męczące. Nie chciała się sprzeczać, to wymagałoby zbyt wiele wysiłku.

– Po prostu zostaw ją na szafce. Dziękuję.

Patrzyła na Marthę stawiającą talerz.

– Byłaś tu wcześniej? – zapytała.

Matka odwróciła się.

– Nie, a co?

– Myślałam, że słyszę trzaśnięcie drzwi. To mnie obudziło.

– Dlaczego je zamykasz? – spytała Martha, spoglądając na nią.

– Wiesz dlaczego.

– Nikt z nas tego nie robi.

Zdenerwowała się. Matka nie musi znowu jej wmawiać, że ma paranoję.

– Więc chciałaś tu wejść?

– Nie ja – odparła Martha. – Może ci się przyśniło.

Amy nic nie powiedziała. Ktoś próbował wejść do jej pokoju. Była o tym święcie przekonana. Jack, pomyślała. Nagle zapragnęła znów się położyć.

– Boże, czuję się taka zmęczona. Coś mnie bierze.

Nie usłyszawszy odpowiedzi, Amy uniosła wzrok, żeby sprawdzić, czy matka słyszała jej słowa.

– Tak – mruknęła Martha – możliwe. – Unikała spojrzenia córki. – Może odpocznij jeszcze trochę – dodała i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Amy wstała, by przekręcić zamek, i padła z powrotem na łóżko. Leżała, zastanawiając się, czy zdoła zebrać siły, żeby pójść do Gabriela. Niebo ciemniało. Sprawdziła, która godzina – minęła piąta. Kancelaria będzie już zamknięta, zanim zdąży dotrzeć do Gabriela i wziąć od niego numer telefonu. Ogarnęła ją panika, że straciła okazję, ale nie mogła przemóc senności.

Położyła głowę na poduszce i zamknęła oczy.

PIĘĆDZIESIĄT JEDEN

2 marca

Amy widziała między zasłonami cienką linię światła. Nie szarego światła. Za oknem było inaczej – świeciło słońce, śnieżycy minęła. Dzisiejszy dzień wydawał się różnić także pod innym względem. Usiadła i próbowała ocenić swój stan, mrużąc, przechylając głowę z boku na bok. Czekwała na powrót zmęczenia i senności, ogólną ociężałość, ale nic takiego nie nastąpiło. Czowała przypływ energii. Polepszyło jej się. Wirus, który dokuczał jej przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, przepadł bez śladu. I zgłodniała. Zobaczyła na szafce przy łóżku talerz z kanapką z serem. Wyciągnęła rękę, na tyle głodna, by się skusić, jednak zmieniła zdanie, postanawiając zjeść coś świeżego.

Podeksytowana wstała z łóżka. Siedząc na sedesie, próbowała sobie przypomnieć ubiegły wieczór. Po lunchu poszła się zdrzemnąć, a później, co pamiętała niezbyt jasno, matka przysłała na górę z kanapką. Potem Amy znowu zasnęła. Teraz umyła ręce, przyglądając się swojej twarzy w lustrze. Oczy miała czyste, błyszczące, bez śladu zmętnienia. Nigdy wcześniej nie czuła się równie dobrze. Tak właśnie dzieje się po chorobie – nie zdajesz sobie sprawy, jak cudownie jest być zdrowym, dopóki nie poznasz odwrotnej strony.

Co dziwne, przez cały ten czas nie miała innych objawów. Ani gorączki, ani kataru. Tylko to okropne, pozbawiające sił zmęczenie.

Wróciła do pokoju i odsunęła ciężkie zasłony, czując, jak przenikają ją promienie słońca. Nadzwyczajny dzień. Spojrzała na rozległy biały krajobraz, na ki-

lometry śniegu. Jak pięknie. Cała ta gładka, nieskazitelna biel emanowała niewinnością, ona jednak wiedziała, że to piękno skrywa w sobie bezlitosną wrogość.

Coś zwróciło jej uwagę i zmarszczyła brwi. Nie była pewna... słońce świeciło tak jasno. Spojrzała jeszcze raz, mrużąc oczy. Tak, u Gabriela wciąż paliły się światła. To już dwa dni. Wydawało się to dziwne.

Drgnęła, słysząc pukanie do drzwi.

– Wstałaś?! – zawołała Martha.

Amy przekreśliła zamek i wpuściła matkę.

– Przyniosłam ci herbatę. – Martha podała jej parujący kubek.

– Dzięki, mamó. – Amy wzięła go i postawiła na komodzie.

– Jak się czujesz?

– Znacznie lepiej.

– Wyglądasz promiennie.

Amy tylko się uśmiechnęła.

– Jutro wracamy do domu. Pomyślałam, że możemy wybrać się na mały spacer. Niedaleko od domu.

Odniosła wrażenie, że znowu jest niańczona. Matka była nadopiekuńcza od tego wieczoru, kiedy ona zgubiła się w śniegu. To było irytujące, ale tym razem ugryzła się w język. Nie zamierzała tracić czasu na kłótnie; chciała wziąć prysznic i pójść do Gabriela. Martha czekała na odpowiedź.

– Z Jackiem nigdzie nie pójde.

Spojrzała na nią ze zrozumieniem.

– Dobrze. W takim razie może tylko my, dziewczyny.

– Zgoda – skłamała Amy, myśląc, że znajdzie jakiś sposób, by się wymknąć.

– Wypijesz tę herbatę?

– Jeszcze nie. – Zauważyła, że przez twarz matki przemknął jakby cień niepokoju. – Wypiję później. Najpierw prysznic.

– Ale właśnie ją zaparzyłam. Wypij teraz, póki gorąca.

Spojrzała na matkę.

– Dlaczego tak usilnie namawiasz mnie, żebym ją wypila?

Martha szybko się uśmiechnęła.

– Wcale nie.

– Właśnie że tak. Wciąż skaczesz koło mnie.

– Nie skaczę.

– Zawsze skakałaś. Od czasu, kiedy złamałam nogę na La Face... – Amy nagle zamilkła.

Wypominanie tego było głupie. Wiedziała, że niepotrzebnie dolewa oliwy do ognia. Powinna trzymać buzię na kłódkę i iść pod prysznic. Czekala, co teraz nastapi.

– Przepraszam – odezwała się Martha po dłuższej chwili. – Nie chciałam.

Amy otworzyła usta.

– Wypijesz herbatę, kiedy zechcesz. Do zobaczenia na dole – dodała matka i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Amy pokręciła głową, zdumiona tą ustępliwością. To nie było w jej stylu. Zastanawiała się, czy zaszło coś, o czym nie wie, ale czas uciekał i chciała jak najszybciej wyruszyć do Gabriela.

Kiedy już wzięła prysznic i ubrała się, zauważyła stojący na szafce nocnej kubek. Stwierdziła, że herbata już ostygła. Zniosła kubek do łazienki i opróżniła go do umywalki. Gdy był już prawie pusty, dostrzegła na dnie ziarnistą substancję. Dziwne, pomyślała. Mama wie, że nie słodzę. Ale to nie wyglądało jak cukier. Powąchała: wilgotny proszek był bezwonny. Wetknęła w niego palec i polizała; poczuła na czubku języka lekko chemiczny posmak.

Zmarszczyła brwi. Nie mogła skojarzyć, co to jest. Znała ten smak; niedawno wyczuła go w czymś innym. Ale przecież nie jadła nic szczególnego. Same proste rzeczy: tosty z serem, zupa pomidorowa... Powoli zaczynało jej świtać. Matka naciskała, że ma wziąć tę, a nie inną, miskę zupy i wymusiła zamianę. Nagle Amy zdała sobie sprawę, że od dwóch dni zawsze ktoś jej podaje jedzenie. I że czuła się chora. Cholernie zmęczona... Wstrzymała oddech. Czyżby ją odurzali?

Oszołomiona, usiadła na brzegu wanny. Dlaczego? Wiedziała dlaczego, oczywiście, że wiedziała. Nie ufali jej, myśleli, że zachowuje się irracjonalnie, naraża się na niebezpieczeństwo. Nocna wyprawa w śniegu, strach matki, że spotka ją coś złego. Drgnęła, gdy uświadomiła sobie coś jeszcze. Właśnie o tym matka rozmawiała z Lisą! Wczoraj, gdy ona weszła do kuchni. „Raptem dwa dni”. Czy w ten sposób chciała zmusić ją do uległości?

Przez chwilę siedziała spokojnie, pozwalając, by zawładnęło nią poczucie zdrady. A więc naprawdę myślą, że traci rozum. Nie ufają jej, ani trochę. Uznały ją za paranoiczkę i zdecydowały, że trzeba nad nią zapanować.

Jest zupełnie sama.

Spojrzała na kubek, który wciąż trzymała w dłoni. Nie może im powiedzieć, co odkryła. Wstała, czując przyływ determinacji. Nie do wiary, że zmarnowała cały dzień. Musi natychmiast pójść do Gabriela.

Wróciła do sypialni po telefon i aż zaklęła, gdy znów nie mogła go znaleźć. Spojrzała na drzwi, uświadamiając sobie, że rozproszyła ją wizyta Marthy. Nie zamknęła ich na klucz. Jack, pomyślała ponuro. I każda z nich była zahipnotyzowana jego kłamstwami.

Ruszyła na dół i w kuchni zastała matkę.

– Dobra herbata, mamó – powiedziała, dokładając wszelkich starań, by nie zdrżał jej głos.

Martha zerknęła na nią z ledwie skrywaną ulgą.

– Cieszę się, że ci smakowała.

Amy wyszła do holu i odczekała chwilę. Matka nawet nie wyjrzała za nią z kuchni. Pozostali są zapewne na górze. Nie słyszała nikogo.

Włożyła skafander i buty i wymknęła się z domu.

PIĘĆDZIESIĄT DWA

2 marca

Amy usiłowała jak najszybciej przedrzeć się przez śnieg, który sięgał jej wysoko nad kolana. W takich warunkach nie dało się nabrać prawdziwej prędkości, ale robiła, co tylko mogła, desperacko pragnąc oddalić się od domu. Wciąż spoglądała za siebie, sprawdzając, czy ktoś ją obserwuje; na szczęście nikt jej nie zawołał, nikt nie szedł za nią. Ślady jej stóp sprzed dwóch dni całkowicie zniknęły, przykryte świeżym śniegiem, i nic już nie wskazywało, że tędy szła. Wkrótce zrobiło jej się gorąco; po raz pierwszy słońce miało w sobie prawdziwe ciepło. Zadyyszana spojrzała w niebo, wypatrując orła, znajomej sylwetki szybującej w górze, ze skrzydłami rozpostartymi na tle błękitu. Przestrzeń nad nią była pusta i bezchmurna. Czekala na próżno. Poczuła ukłucie zawodu. Przyzwyczaiła się, że go widzi, może podziwiać jego zdolność przetrwania w tak surowym środowisku. Akurat dzisiaj z wielką radością powitałaby jego towarzystwo.

Kiedy dotarła do drzew, już bolały ją mięśnie nóg. W lesie też zalegała gruba warstwa śniegu, ale mniej zdradliwa niż na otwartym terenie. Amy jak najszybciej przemykała między pniami i wreszcie znów wydostała się na słońce. Stąd widziała dom Gabriela, całkiem niedaleko. Gdy się zbliżyła, dostrzegła lampy na zewnątrz – miała rację, były włączone. Poczuła niepokój, aż ścisnęło ją w żołądku. Nie była to jedyna dziwna rzecz. Z komina nie snuł się dym. Gabriel miał centralne ogrzewanie, ale wiedziała, jak uwielbia ogień w kominku.

Zastukała kołatką do drzwi frontowych; ciężki mosiężny pierścień zadudnił o grube drewno. Nie było żadnej reakcji. Zastukała ponownie, tym razem na-

prawdę mocno. Echo poniosło się przez dolinę, cichnąc w zimnym powietrzu. Nadal nic. Powiedziała sobie, że jest zbyt niecierpliwa. Gabriel potrzebuje czasu, żeby podejść do drzwi. A może go nie ma. Obeszła chatę, lecz nie znalazła na śniegu żadnych śladów wskazujących, że ktoś stąd wychodził, na nartach lub w butach. Z każdą minutą denerwowała się coraz bardziej. Jeszcze raz okrążyła dom, zaglądając do wszystkich okien na parterze. Gabriela nie było w salonie, a kominek był wygaszony. W jadalni nie dostrzegła śladów życia, w gabinecie też nie. Zajrzała przez kuchenne okno i z ulgą zobaczyła na stole dwie filiżanki. Przy najmniej jest gdzieś w pobliżu. Wróciła do drzwi frontowych i zapukała jeszcze raz, po czym niepewnie nacisnęła klamkę. Klamka opadła i drzwi się otworzyły. Amy zmarszczyła brwi, zdziwiona. Ale dom stał na takim odludziu, że najpewniej Gabriel nie zawracał sobie głowy zamykaniem go na klucz.

Weszła do środka.

– Gabriel?! – zawołała. – Halo?!

Odpowiedziała jej cisza. W domu było ciepło, włączyło się ogrzewanie. Zawołała ponownie, myśląc, że Gabriel może śpi. Wchodzenie na górę wydawało się nietaktowne, ale uznała, że zrobi to, na wypadek gdyby zachorował czy zasnął. Drzwi do obu pokojów były otwarte. Zajrzała do pierwszego, gościnnego, i zobaczyła, że jest pusty. Drugi Gabriel dzielił z Esme. Łóżko było zasłane, kołdra schludnie podciągnięta do poduszek.

Westchnęła. Gdzie on się podziewa? Nie było śladów, że wyszedł, ale nie ma go w domu. Powoli wróciła na dół, zastanawiając się, co dalej.

Skręciła do kuchni. Uznała, że nie ma innego wyboru, jak iść z powrotem do domu, gdy nagle pod ekspresem do kawy na kuchennym blacie dostrzegła kawałek papieru. Podeszła bliżej i wyjęła go. Widniało na nim jej imię. Rozłożyła kartkę, zobaczyła nazwisko i numer telefonu kancelarii adwokackiej w Genewie. Prawniczka Esme, pomyślała z zadowoleniem.

Rozejrzała się, szukając telefonu stacjonarnego. Równie dobrze może zadzwonić do nich stąd. To była prywatna sprawa, a poza tym nie miała przy sobie ko-

mórki. Zdjęła słuchawkę z aparatu ściennego i wystukała numer. Przyłożyła ją do ucha. Brak sygnału. Ściągnęła brwi. Kilka razy nacisnęła przycisk wybierania tonowego, ale telefon pozostał głuchy. Powoli odwiesiła słuchawkę. Linia była martwa. Czy to przez burzę śnieżną? A może przez coś innego?

Amy odwróciła się i jej spojrzenie padło na blat, gdzie stały dwie filiżanki. Jedna turkusowa, druga czerwona. Przypomniała sobie, kiedy widziała je wcześniej. Przypomniała sobie, jak siedząc z Gabrielem przy tym stole, piła kawę z czerwonej filiżanki, a on z turkusowej.

To było całe dwa dni temu.

PIĘĆDZIESIĄT TRZY

2 marca

Dostała gęsiej skórki. Zmusiła się do myślenia. Może Gabriel nie miał czasu, żeby posprzątać po tym, jak wyszła w niedzielne popołudnie. Może postanowił wyjechać i na kilka dni zatrzymać się u znajomych.

Nie zrobił tego, uzmysłowiła sobie z głębokim przekonaniem. Ponieważ umówiła się z nim na następny dzień.

A więc gdzie on jest?

Musi go odszukać. Nie może wrócić, dopóki nie odkryje, gdzie się podział. Nie mogłaby sobie znaleźć miejsca, zastanawiając się, co się z nim dzieje, i nie będąc w stanie nic zrobić.

Musi rozejrzeć się uważniej.

Ponownie sprawdziła wszystkie pomieszczenia. Przeszła przez kuchnię do sieni, gdzie zobaczyła jego buty i narty. A zatem nie opuścił domu, w każdym razie nie na piechotę. Otworzyła drzwi na zewnątrz, zalał ją oślepiający blask słońca. Po drugiej stronie ścieżki był garaż. Zajrzała przez okno i zobaczyła samochód Gabriela.

Bezradnie rozglądała się dokoła. Ogród skrywał się pod nieskazitelnie białym kocem śniegu. Nic nie wskazywało na to, co rośnie tam latem: lawenda przy głównej ścieżce, róże pod kamienną ścianą. Kopczyki śniegu oznaczały miejsca, gdzie spoczywają uśpione rośliny.

Nagle jej spojrzenie padło na biały pagórek nieopodal wejścia. Był dość długi, prawie na dwa metry, i nieco wyższy niż otaczający go śnieg. Nie zwróciła na to

szczególnej uwagi, gdy pół godziny temu pukała do drzwi. Jeden koniec pagórka był skierowany ku słońcu i promienie stopiły nieco śniegu. Wystawał stamtąd skrawek brązowej skóry z białym szwem na brzegu. To był kapeć.

PIĘĆDZIESIĄT CZTERY

2 marca

Amy przez dłuższą chwilę stała jak wrośnięta w ziemię, czując wypełniające ją przerażenie. Nie, błagam, Boże, nie, prosiła w duchu, podchodząc do kopca. Odgarniała śnieg gołymi rękami, z początku powoli, bojąc się, co może znaleźć. Odsłoniła pantofel – i stopę. Krzyknęła w udręce. Zmusiła się, żeby przejść na drugi koniec kopca. To było prawie nie do zniesienia, ale nadal odrzucała śnieg, aż zobaczyła to, co potwierdziło jej najgorsze obawy.

Twarz Gabriela. Białą, zamarznąętą, martwą twarz Gabriela.

PIĘĆDZIESIĄT PIĘĆ

2 marca

Wiedziała, że to daremne, ale sprawdziła puls. Palce jej zdrętwiały, prawie nie miała w nich czucia. Jego skóra była zimna, martwa.

Powoli wstała. Najwyraźniej leżał tu od jakiegoś czasu – na pewno przez całą zawieję, bo pokrywała go gruba warstwa śniegu. Próbowwała ustalić, kiedy zaczęła się śnieżycą. Ostatnio wszystkie wspomnienia były mgliste, ale pamiętała, że śnieg zaczął padać wczoraj. Więc Gabriel leżał tu co najmniej dwadzieścia cztery godziny – może dłużej.

Ale dlaczego? Dlaczego wyszedł na śnieg w kapciach? Zastanawiała się, czy włożył skafander. Wiedziała, że może poznać odpowiedź tylko w jeden sposób. Pochyliła się i zgarnęła trochę więcej śniegu. Był w tym samym zielonym wełnianym swetrze, który miał na sobie podczas jej wizyty. Bez skafandra.

I nagle dostrzegła coś jeszcze. Kawałek folii, róg torebki. Odgarnęła śnieg i jej oczom ukazała się leżąca na piersi Gabriela paczka nasion dla ptaków. Amy wpa-trywała się w nią ze zdumieniem. Dokarmił ptaki? Dlatego wyszedł na zewnątrz? Przypuszczała, że to możliwe, ale w kapciach? Spojrzała na drzwi. Były zamknięte, gdy tu przyszła. Po co miałyby zamykać je za sobą? Czy nie zostawiłby ich otwartych, gdyby wyskoczył tylko na chwilę, żeby wysypać karmę?

Znów spojrzała na jego nieruchomą twarz i odgarnęła trochę więcej śniegu. Przynajmniej jest teraz z Esme, pomyślała ze smutkiem, strzepując śnieg z jego czoła. Wtedy to zauważyła. Czerwony ślad stłuczenia tuż pod linią włosów. Znieruchomiła, zaintrygowana. Czy Gabriel potknął się i upadł na coś? Stracił przy-

tomność i zamarznął, zagrzebany w śniegu? Ale przecież wtedy paczka z ziarnem poleciałaby gdzieś w śnieg, a nie spadła zgrabnie na jego klatkę piersiową. I telefon... dlaczego linia nie działa?

Nagle coś sobie przypomniała. Kiedy przyszła zobaczyć się z Gabrielem, czuła, że ktoś ją śledzi. Czy ten ktoś był w jego domu? Ktoś, kogo Gabriel nie chciał wpuścić za próg, ktoś groźny? Czy ten człowiek uderzył go w głowę i zostawił na pewną śmierć na mrozie? Jack, pomyślała, to jego oskarżała o to, że śledził ją dwa dni temu, kiedy ostatnio tu była. Czy Jack jest winny śmierci Gabriela?

Musi zadzwonić na policję. Zdenerwowana, uświadomiła sobie, że nie ma komórki. Zastanawiała się, czy nie pójść do wioski. Ale to co najmniej dwie godziny drogi – znacznie dalej niż do domu Esme. Może jednak wróci i tam skorzysta z telefonu.

Tylko że jest tam Jack. Z jej matką i przyjaciółkami. Morderca. Nie wiesz, czy jest mordercą, powiedział jej wewnętrzny głos. To mógł być wypadek. Czy ja wariuję? Czy paranoja doprowadziła mnie do utraty zmysłów?

Podjęła decyzję. Ruszyła ścieżką i dalej, po własnych śladach, przez las i dolinę. Gdy w polu widzenia ukazał się dom Esme, odruchowo zwolniła. Zdała sobie sprawę, że się boi.

Podeszła do drzwi domu i je otworzyła. Otrzepała nogi ze śniegu, włożyła buty do szafki i odwiesiła skafander.

Z salonu dobiegały głosy. Zatrzymała się, nasłuchując. Wszyscy tam byli: Lisa, Jenna, Jack i mama.

Przeszła przez hol i otworzyła drzwi. Odwrócili się, by na nią spojrzeć.

– Jesteś – powitała ją radośnie Lisa. – Widzieliśmy twoje ślady i mieliśmy zamiar do ciebie dołączyć.

Dlaczego nie są na nią źli? Przecież dotychczas opiekowali się nią jak dzieckiem, nie pozwalając jej wyjść z domu. Wpatrywali się w nią z napięciem, niemal

przewiercali ją wzrokiem. Najpewniej spodziewali się, że będzie zmęczona po wypiciu zaprawionej proszkami herbaty.

– Mamy piękny dzień – odezwał się Jack. – Powinniśmy jak najlepiej go wykorzystać. Później znowu zaczną sypać śnieg, a jutro wracamy do domu.

Przyglądała mu się uważnie, szukając jakichś oznak tego, że podejrzewa, dokąd się wybrała. Dwa dni temu próbował ją zatrzymać, zmusił, by zrezygnowała z wyprawy i wróciła do domu. Czy domyślił się, dokąd wtedy szła? Czy denerwował się, bo wiedział, co tam znajdzie?

– Byłam u Gabriela – oznajmiła.

– Faceta twojej ciotki? – spytała Jenna. – Co u nich?

– Nie żyją – odparła. – Oboje nie żyją.

Ośłupieli i w pomieszczeniu zapadła głucha cisza.

Martha pierwsza odzyskała głos.

– Co masz na myśli? – wyjąkała.

– Esme zmarła kilka miesięcy temu. Zginęła w wypadku samochodowym. Ale Gabriel... cóż, zmarł niedawno. Możliwe, że wczoraj.

Lisa podeszła do niej i objęła ją ramieniem.

– Usiądź – powiedziała.

Amy zauważyła, że wymieniają zdumione spojrzenia. Opadła na fotel.

Lisa przysiadła na podłokietniku.

– Jesteś pewna? – zapytała.

– Absolutnie tak – potwierdziła Amy. – Znalazłam ciało Gabriela. Właściwie... – chciała się podnieść – muszę zadzwonić na policję.

Lisa położyła dłoń na jej ramieniu.

– Zostań. Jesteś w szoku. Ktoś z nas może to zrobić.

– Co się stało? – spytał łagodnie Jack.

Amy spojrzała mu w oczy, czekając na jego reakcję.

– Leży na zewnątrz – oświadczyła. – Co najmniej od wczoraj. Zasypany śniegiem.

Martha odruchowo uniosła rękę do ust.

Jack wstał.

– Pójdę sprawdzić, zobaczę, czy można coś zrobić.

– Trzymaj się od niego z daleka – warknęła Amy.

– Jest lekarzem – przypomniała jej Jenna. – Może zdoła pomóc.

– Przecież mówiłam. Jest za późno.

Wszyscy milczeli. Amy zauważyła, że znów wymieniają między sobą zakłopotane spojrzenia.

– Powiedz nam wszystko – poprosiła Jenna.

Amy opowiedziała, jak zastała pusty dom, jak szukała Gabriela. Jak znalazła go tylko dlatego, że czubek kaptura wystawał spod śniegu. Pomięła część dotyczącą siniaka na jego głowie.

– O mój Boże, to straszne – szepnęła Martha.

– Muszę zadzwonić na policję – powtórzyła Amy.

– Ja się tym zajmę – oznajmił Jack i wyszedł z pokoju.

Amy poczekała, aż zniknie za drzwiami, po czym spojrzała na przyjaciółki i matkę.

– Myślę, że Jack jest w to zamieszany – rzuciła cicho.

Patrzyły na nią zdumione i zaniepokojone.

– Na czole Gabriela jest siniak. Wygląda na to, że został uderzony, a potem upadł. Napastnik zostawił go na mrozie, na pewną śmierć. – Powiodła po nich wzrokiem, ale nie znalazła w ich oczach zrozumienia.

– To niewątpliwie był wypadek – odezwała się niepewnie Jenna. – Biedny Gabriel, cóż, musiał się poślizgnąć i uderzyć w głowę.

– Nie sądzę. Byłam już raz u niego, w niedzielę. Dwa dni temu.

Martha nie kryła zdziwienia.

– Nie mówiłaś o tym.

– Ktoś mnie śledził – ciągnęła Amy. – To na pewno Jack.

– Przecież nigdy tam nie był – zaznaczyła Martha.

– Skąd wiesz, mamó? – spytała niecierpliwie Amy. – Bo tak mówił? Przypuszczam, że Jack poszedł za mną, a gdy już ruszyłam z powrotem do domu, wszedł do Gabriela. Myślę, że to on go skrzywdził.

– Czy to wtedy wybrał się po zakupy? – zapytała Lisa.

– Tak, zgadza się! – wykrzyknęła Martha z ulgą. – Czyli to nie mógł być on.

Oczywiście, mogła się tego spodziewać. Tak powiedziała matka, tak powiedzą wszyscy. Nie miała do nich pretensji; trudno było uwierzyć w jej słowa.

Ale co, do diabła, ma zrobić, żeby potraktowały ją poważnie?

– Dlaczego tak chętnie wierzycie zupełnie obcemu człowiekowi, a nie mnie, córce i najlepszej przyjaciółce? Poznałyście Jacka zaledwie kilka dni temu i uważacie, że jest idealnym facetem, idealnym chłopakiem, który nie może zrobić nic złego. Dlaczego, do licha, jesteście takie pewne?

Wszystkie spojrzały po sobie, ale odezwała się Martha:

– Przecież sama nas o tym przekonywałaś. Od miesięcy. Na Facebooku i gdy się z tobą spotykałyśmy. Przez telefon i gdy pisałaś SMS-y. Ty sama nam mówiłaś, jaki jest nadzwyczajny.

PIĘĆDZIESIĄT SZEŚĆ

2 marca

– Rozmawiałem z policją – oznajmił Jack, wchodząc z powrotem do pokoju. – Wyślą też karetkę.

Amy spojrzała na mężczyznę, którego najwyraźniej zaprosiła do ich życia. Mężczyznę, który zauroczył jej przyjaciółki i matkę. Jego twarz wyrażała troskę i życzliwość. Był praktyczny i opiekuńczy, a w sytuacji kryzysowej nie tracił głowy. Umiał gotować, był schludny. Pamiętała, że był dobry w łóżku.

Czy histeryzuję? – zadała sobie pytanie. Czy kompletnie mi odbiło? Czy uraz głowy przemienił moje życie w koszmar, w którym podejrzewam wszystkich o najgorsze zamiary?

Nagle ogarnęło ją zmęczenie.

– Dziękuję – powiedziała do Jacka. – Za wezwanie władz.

Niemal poczuła bijącą od nich wszystkich ulgę.

PIĘĆDZIESIĄT SIEDEM

2 marca

Nie mogąc znieść badawczych spojrzeń, pełnych litości i troski, Amy zapra-
gnęła stąd uciec, przez jakiś czas pobyć sama. Przeworsowanie tego pomysłu oka-
zało się niełatwe – nie chcieli jej puścić; w końcu, gdy bliska wybuchu oświad-
czyła, że potrzebuje trochę przestrzeni, ku jej ogromnej uldze zgodzili się, by wy-
szła z domu.

Nie oddaliła się zbyt daleko; nie mogła znieść myśli, że pójdą za nią, i podejrze-
wała, że obserwują ją przez okno. Wybrała się na krótki spacer doliną, by poczuć
siłę gór, aż w pewnym momencie zatrzymała się i opadła w zaspę. Siedząc na
śniegu, spojrzała w niebo. Proszę... Tylko jeden rzut oka, proszę. Ale orzeł się nie
pojawił. Znow ogarnął ją dręczący strach, wrażenie, że ze zwierzęciem stało się
coś złego. To wszystko było ponad jej siły.

Poczuła, że balansuje na krawędzi szaleństwa.

Nie mogę dalej tak żyć.

Siedziała w bezruchu, oddychając rześkim powietrzem. Wtedy po raz pierw-
szy od dłuższego czasu zadała sobie kilka trudnych pytań. Chciała przeanalizować
to, w co wierzyła. Zawsze szczyliła się swoim bystrym umysłem, nieomylną
umiejętnością rozpoznawania prawdy i fałszu. Ale wiedziała, że jej przyjaciółki
i matka bez wątplenia też to potrafią. I były głęboko przekonane, że jej stan psy-
chiczny odbiega od normy.

Jedna ze stron się myli. Przyjaciółki i matka? A może ona?

Musiała przyznać, że od czasu wypadku nie była sobą: zapomniała, gdzie położyła tę czy inną rzecz, wchodziła do pokoju, nie wiedząc po co.

A jeśli przez cały ten czas się myliła? Jeśli Jack jest prawdziwy, a problemem jest jej pamięć? To nie wykraczało poza sferę prawdopodobieństwa. Wiedziała, że urazy mózgu mogą mieć wiele dziwnych skutków. Zostało dobrze udokumentowane, że po wybudzeniu się ze śpiączki ktoś biegle mówi w nieznanym mu dotąd języku albo potrafi grać na fortepianie na wirtuozowskim poziomie, mimo że nigdy wcześniej nie dotknął klawiatury. Gdyby tylko taki był efekt uboczny w jej przypadku. Zostać muzycznym geniuszem! Smutny śmiech zamarł jej na ustach. Nie ma geniusza. Jest tylko Amy, zupełnie sama.

Samotność jest zabawna, pomyślała. Chodzi za tobą wszędzie, a ty wciąż jesteś sama jak palec. Płata figle podświadomości, sprawia, że zaczynasz wątpić w siebie i zastanawiasz się, czy naprawdę jesteś taka zła, że nie możesz przyciągnąć kogoś, z kim mogłabyś dzielić życie. Może właśnie tak się stało. Może w odpowiedzi na desperację, którą czuła, jej umysł stworzył desperacki scenariusz. Może jej podświadomość postanowiła wymyślić chłopaka, bo Amy rozpaczliwie tego pragnęła.

Wpatrywała się w śnieg. Czy rzeczywiście tak było?

Ta teoria przytłoczyła ją, coraz mocniejsza, coraz bardziej przekonująca. Teraz, gdy dostrzegła wiarygodne wyjaśnienie, wszystko stało się jasne jak słońce. Z pewnością tak właśnie było. Przez cały ten czas oszukiwał ją własny umysł.

Przełknęła gorycz, wstała i wróciła do domu.

PIĘĆDZIESIĄT OSIEM

2 marca

Amy zamknęła drzwi. Powitała ją niczym niezmacona cisza, ale była to cisza, która ma uszy. Wszyscy nasłuchiwali, niewątpliwie szepcząc między sobą, czekając na nią. Skóra mrowiła ją pod naciskiem ich oczekiwania.

Weszła do kuchni. Wszyscy tam byli; patrzyli na nią, równie zdenerwowani jak ona, czekając, aż coś powie.

Milczenie się przedłużało.

Nabrała powietrza. Musi położyć temu kres i mieć to za sobą. Otworzyła usta, ale żadne słowa nie padły. Aż skręcało ją z nerwów.

Co ma powiedzieć? Przepraszam, pomyliłam się. Nie, to zbyt wiele, zbyt nieodwracalne. W ten sposób przyznałaby, że kompletnie się pogubiła. Jej postrzeganie rzeczywistości było nierozzerwalnie związane z jej zdrowiem psychicznym. Straciłaby jedno i drugie. Nie mogłaby już sobie ufać.

Spróbowała jeszcze raz.

– Chciałabym... – Urwała nagle, nie mogąc już powstrzymać łez, i stała tak, ze zwieszonymi bezwładnie rękami.

Jack podszedł do niej ze współczującym wyrazem twarzy. Niepewnie uniósł rękę, a gdy nie zaprotestowała, wziął ją w ramiona.

Dała się przytulić, niezdolna do walki. Nie było już z czym walczyć.

– Wszystko w porządku – szepnął jej do ucha, podczas gdy łzy wciąż spływały jej po twarzy.

Poddanie się przyniosło jej ulgę, poczucie bezpieczeństwa. Przeciwiństwo strachu, jak przypuszczała; teraz nie ma już czego się bać. I wszystkie były o tym takie przekonane: Lisa, Jenna i matka. Nie tylko przekonane, bo przecież nigdy nie wątpiły; po prostu cieszyły się, że Jack jest zwyczajny i miły, że jest dobrym człowiekiem. W sam raz dla niej.

Odrzuciła resztki dotychczasowego oporu.

Odpuść, poleciła sobie. Przestań się torturować.

PIĘĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

2 marca

Kątem oka Amy zobaczyła, że Lisa skinęła głową do Jenny i Marthy, po czym wszystkie trzy wymknęły się z pokoju.

Jack delikatnie odsunął się, spojrzał jej w oczy.

– Wszystko dobrze?

Skinęła głową, bo taka reakcja wydawała się właściwa. W rzeczywistości nie wiedziała, czy kiedykolwiek będzie dobrze.

– Rozumiem – powiedział. – Utrata pamięci... jest straszna, wyniszczająca. O wiele dotkliwsza niż zapomnienie kilku faktów ze swojego życia.

Amy milczała.

– Wybierzmy się dokądś – zaproponował. – Tylko my dwoje. Gdzieś, gdzie nie będziemy nic robić, tylko wylegiwać się na plaży. Może... – uśmiechnął się, podniekcytowany swoim pomysłem – pojedziemy w naprawdę wyjątkowe miejsce. Tam, dokąd zawsze chciałaś jechać.

Spojrzał na nią porozumiewawczo, a ona zmarszczyła czoło, zastanawiając się, czy chodzi mu o jej marzenie.

– Tak, wyspy Tonga – ciągnął z entuzjazmem. – I ja stawiam. Chcę cię tam zabrać – dodał, widząc, że zamierza zaprotestować. – Chcę być tym, kto pojedzie z tobą w to wyjątkowe miejsce. Jeśli się zgodzisz. – Uśmiechnął się, zapalając się do pomysłu. – Zaraz zadzwonię do mojej przełożonej w szpitalu, zapytam, kiedy będę mógł wziąć urlop.

– Zaraz? – spytała, zdziwiona tym pośpiechem.

– Czemu nie? Po co czekać? Chcę, żebyś poczuła się lepiej. Chcę się tobą opiekować. Tonga jest miejscem, gdzie możemy zapomnieć o wszystkim. Zwolnić, odprężyć się, ty i ja. Co o tym myślisz? Dasz radę wziąć więcej wolnego w pracy?

Amy wzruszyła ramionami.

– Mam wolne na czas nieokreślony. Aż do... – wskazała swoją głowę – wiesz.

– Pamięć wróci. Tym szybciej, gdy odpoczniemy w słońcu. – Położył dłonie na jej ramionach i spojrzał jej w oczy. – Ufasz mi? Obiecuję, że wszystko będzie dobrze. Koniec z uciekaniem, żadnych wątpliwości, zgoda?

Wypuściła powietrze. Skinęła głową.

– Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie? – zapytał cicho.

Nie odpowiedziała. Trudno było to wytłumaczyć.

– Zresztą to bez znaczenia, po prostu cieszę się, że to zrobiłaś – powiedział. – Może pójdziesz odpocząć przy kominku, a ja dołączę do ciebie, gdy tylko pogadamy z szefową.

Pozwoliła, by wyprowadził ją z kuchni.

SZEŚĆDZIESIĄT

2 marca

Amy leżała na kanapie i patrzyła na płomienie, zauroczona ich migotaniem. Krótkie erupcje, a po nich nagłe wybuchy mocy; wszystkie kolory, od białego przez odcienie żółci i pomarańcza po sporadyczne przebłyski błękitu. Poza nią w salonie była tylko Jenna, znowu przy laptopie. Amy pożyczyła od niej telefon i zadzwoniła pod numer z kartki, którą miała w kieszeni. Prawniczka zajmująca się majątkiem ciotki akurat była na spotkaniu. Sekretarka powiedziała, że przekaże wiadomość.

Amy wstała z kanapy i podeszła do okna. Zaczął padać śnieg z deszczem. Po raz pierwszy od kilku dni temperatura wzrosła powyżej zera. Amy spojrzała przez dolinę na dom Gabriela. Nie dostrzegła ani śladu policji czy karetki, podobnie jak wcześniej, a sprawdzała już dwa razy. Od zgłoszenia minęło sporo czasu. Z drugiej strony, może głęboki śnieg utrudniał dojazd.

– Są już? – spytała Jenna znad laptopa.

Amy pokręciła głową. Gabriel wciąż jest sam, leży w śniegu.

– Drogi są nieprzejezdne – zauważyła przyjaciółka. – Pewnie trudno się tam dostać.

Amy odwróciła się do niej.

– Co robisz?

– Przeglądam zdjęcia z ostatnich dni.

– Jesteś z nich zadowolona?

– Niektóre są całkiem niezłe, tak – odparła po namyśle Jenna. – Te góry... są niesamowite.

– Kolejna wystawa?

Jenna spojrzała na nią ostro.

– Być może. Chociaż nie skorzystam z galerii Lewisa – dodała cicho.

Serce Amy zaczęło bić szybciej.

– Nie?

– On i ja... rozmawialiśmy. Wyprowadza się.

Amy przełknęła ślinę.

– Przykro mi.

– Nie twoja wina.

– Jak się z tym czujesz?

– Będzie dobrze. – Jenna zamilkła na chwilę. – Przepraszam, że postawił cię w tak niezręcznej sytuacji. Właściwie... nie tylko ciebie. Rok temu... też coś się zdarzyło. Obiecał mi, że to się więcej nie powtórzy. Głupi błąd, który zrobił po pijanemu. Jego asystentka w galerii.

– Tak mi przykro.

Skinęła głową, po czym skierowała wzrok na ekran i Amy zrozumiała, że przyjaciółka nie chce już rozmawiać. Słuchała stukania w klawiaturę, gdy Jenna przeglądała zdjęcia. Stuk, następne. Stuk, stuk, stuk. Jenna wpatrywała się w ekran, mocno skoncentrowana, a Amy znowu spojrzała w okno. Góry były potężne. Nawet zdradliwe. Stuk, stuk. Tam umarł jej ojciec. Przyłapała się na tym, że zastanawia się, co przeleciało mu przez głowę, gdy upadł, ścigając się z siostrą podczas zjazdu. Nigdy wcześniej nie zadawała sobie tego pytania. Zadrzała. Stuk, stuk. Miała nadzieję, że w tym ułamku sekundy, kiedy stracił kontrolę, nie wiedział, że zaraz umrze. Otuliła się swetrem. Nagle uświadomiła sobie, że coś się zmieniło. Stukanie ustało. Obejrzała się i zobaczyła, że Jenna patrzy szeroko otwartymi oczami na ekran.

– Co się stało? – zapytała.

– O mój Boże – szepnęła Jenna, podnosząc na nią wzrok.

Na jej twarzy malował się niepokój.

Amy podeszła i spojrzała nad jej ramieniem. Na ekranie widniało zdjęcie doliny, idealnie oddające jej odludny charakter i dzikość okalających ją gór. Po prawej stronie dostrzegła jakiś budynek i z ukłuciem serca go rozpoznała.

– Widzisz? – szepnęła Jenna.

– Tak, to chata Gabriela.

– Ciszej. – Jenna wymownie uniosła dłoń. – Czekaj.

Powiększyła zdjęcie i pojawił się na nim niewielki kształt. Sylwetka, coraz większa. Mężczyzna przed domem Gabriela. Ale to nie był Gabriel.

To był Jack.

Amy wpatrywała się, znów niepewna, co jest prawdą, a co nie. Powiększony obraz był rozmyty, ale tożsamość postaci nie budziła wątpliwości. Podskoczyła, gdy drzwi za ich plecami otworzyły się i do salonu weszła Lisa.

– Kiedy je zrobiłaś? – zapytała Amy ściszym głosem. – To Jack – szepnęła do Lisy, gdy przyjaciółka podeszła do nich. – Jenna ma jego zdjęcie przed domem Gabriela.

– Co takiego?

Jenna sprawdziła datę na dole ekranu.

– W niedzielę.

Amy dostała gęsiej skórki na ramionach. Tego dnia była pierwszy raz u Gabriela.

– Powiedział, że mnie nie śledził.

– No tak – mruknęła Jenna.

– To z całą pewnością on... – powiedziała Lisa, wpatrując się w ekran.

Amy czuła narastającą panikę.

– Miałam rację. Jack musiał mieć coś wspólnego ze śmiercią Gabriela.

– Nie uprzedzajmy faktów – rzuciła Jenna. – To, że widzimy Jacka przed domem Gabriela, wcale nie musi oznaczać, że go zamordował.

– Ale kłamał – zaznaczyła Amy. – Twierdził, że nawet nie zbliżył się do tego miejsca. Po co kłamać, jeśli nie masz nic do ukrycia?

– Nie wiem – odparła Jenna.

Amy przebiegł zimny dreszcz, ostre igły kłuły jej kręgosłup.

– Boże... – wykrztusiła. – Jedzenie...

– Co? – Lisa patrzyła na nią, wyraźnie skonsternowana.

– Jedzenie. Dwa dni temu Jack powiedział, że nie śledził mnie, że był w Val d'Isère po jedzenie.

– Zgadza się...

– Nie kupił go w sklepie.

– Co ty mówisz?

– Przyniósł zapasy z domu Gabriela. Pamiętam ser. Wiedziałałam, że wygląda znajomo – rzuciła ze złością Amy. – Tym serem poczęstował mnie Gabriel. I były też inne rzeczy. Jack poszedł tam i zabrał jedzenie jako przykrywkę. To wszystko pochodziło z domu Gabriela. – Podniosła wzrok na przyjaciółki. – Proszę, uwierzcie mi.

Spojrzała w okno. Wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce.

– A policja jeszcze nie przyjechała, bo Jack nikogo nie wezwał.

SZEŚĆDZIESIĄT JEDEN

2 marca

Amy obserwowała twarze przyjaciółek, przygotowując się, że zaraz usłyszy, że jest obłąkana, ma paranoję. Nie była wariatką ani paranoiczką, od początku miała rację.

– I co? – zapytała z sercem w gardle.

– Myślę, że jestem ci winna przeprosiny – odezwała się Lisa. – Myślę, że Jack nie był z nami do końca szczerzy.

– Ja też przepraszam, Amy – powiedziała Jenna.

Amy odczuła tak silną ulgę, że niemal zadrżała. Przepęłniały ją emocje.

– Dzięki Bogu. – Ze łzami w oczach wyciągnęła ręce do przyjaciółek. – Dziękuję wam... nawet sobie nie wyobrażacie... – Zduszony śmiech wyrwał się z jej ust, gdy wszystkie trzy padły sobie w objęcia. – Miałam rację – szepnęła na wpół do siebie. – Miałam rację.

Bezsilność, która dręczyła ją przez kilka ostatnich dni, zniknęła bez śladu. Czowała, że znów może oddychać.

– Coś zdecydowanie się tu nie zgadza – rzuciła Lisa.

– On nie jest moim chłopakiem – oświadczyła Amy stanowczo. – Ten kłamliwy drań nie jest moim chłopakiem.

– Nie, nie jest – powiedziała uspokajającym tonem Lisa.

– Musimy przekazać to Marcie – uznała Jenna. – Idę jej poszukać. – Wyszła z pokoju.

Amy otarła oczy i zrobiła głęboki wdech.

– Dobry Boże, w końcu nawet mnie zdołał przekonać. Ale dość tego. On jest niebezpieczny, Liso, wiem o tym. – Spojrzała znowu w okno. – Coś zrobił.

Lisa wyglądała na zaniepokojoną.

– Tak sądzisz?

– Zdecydowanie. Musimy zadzwonić na policję.

– Dobrze. Mój telefon jest w kuchni.

– Chodźmy. Im szybciej z nimi porozmawiamy... – zaczęła Amy i umilkła, bo drzwi nagle się otworzyły.

– Cześć – rzucił Jack. Podszedł do niej rozpromieniony. – Pomówiłem z szefową. Jest dość elastyczna, jeśli chodzi o terminy, byle nie pokrywały się ze świętami wielkanocnymi.

Amy przeszywała go wzrokiem. Nabrała wiary we własne siły. W końcu sytuacja się odwróciła.

– Patrzyłyśmy przez okno. Wygląda na to, że policja wciąż nie dotarła do Gabriela.

– Może z powodu śniegu – powiedział Jack. – Zadzwonię jeszcze raz, spytam, co się dzieje.

Nie, nie, pomyślała Amy. Kolejne kłamstwa. Czuła w sobie płonący ogień i wiele wysiłku kosztowało ją zachowanie spokoju.

Jack patrzył na nią z cieniem troski na twarzy.

– Jak się czujesz?

Te trzy niewinne słowa rozdrażniły ją, zirytowały. Amy próbowała je zignorować, ale coś w niej zmieniły. Jej gniew rósł niczym fala, aż zalało ją tsunami wściekłości, grożąc, że całą ją pochłonie – a potem fala się załamała.

– Wiem, że byłeś w domu Gabriela – oznajmiła, nie zważając na zaniepokojone spojrzenie Lisy.

Już się nie przejmowała; musiała mu coś powiedzieć, temu mężczyźnie, który manipulował jej umysłem, jej zdrowiem psychicznym.

– To nieprawda – zaprzeczył.

– Amy... – zaczęła Lisa.

– Ależ tak. Mam dowód – oświadczyła Amy.

Spojrzał na nią z ukosa, oczami pełnymi rozpaczy.

– Dowód? – Delikatnie położył dłoń na jej ramieniu. – Daj spokój, Amy, myślałem, że mamy to już za sobą.

Strząsnęła jego rękę.

– Tak, dowód. Zdjęcie. Jesteś tuż przed jego domem.

W pokoju zapadła cisza.

– Niemożliwe – szepnął Jack. – Nie było mnie tam.

Amy popatrzyła na Lisę.

– Powiedz mu, Lisa. Powiedz mu, co widziałyśmy.

Przyjaciółka wytrzymała jej spojrzenie, po czym zwróciła się do Jacka.

– Nie ma żadnego zdjęcia – powiedziała cicho. – Amy się myli.

To był cios w żołądek.

– Co?! – krzyknęła z przerażeniem Amy. – Przecież je widziałaś!

– Nie – odparła Lisa. – Nieprawda.

Amy wpadła w panikę.

– Nie, nie. Nie rób tego. Sama mówiłaś... Powiedziałaś, że mi wierzysz!

– Przepraszam – mruknęła Lisa, spuszczać oczy. – Ta paranoja robi z tobą straszne rzeczy.

– Przecież jest zdjęcie! Jest to cholerne zdjęcie!

Jack przeniósł wzrok z Amy na Lisę.

– Nie ma żadnego zdjęcia – oświadczyła stanowczo Lisa, po czym dyskretnie pokręciła głową, spoglądając na Jacka.

Amy to zauważyła.

– Nie... – wyjąkała. – Nie rób mi tego...

– Myślę, że powinieneś wyjść – powiedziała Lisa do Jacka. – Przez ciebie bardziej się denerwuje. Jenna poszła po Marthę – dodała znaczącym tonem. – Sądzę, że Amy przyda się coś do picia.

Spojrzał na Lisę, skinął głową, gdy zrozumiał, po czym odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Amy była załamana.

– Co jest, do cholery?

Lisa uniosła dłonie i szybko pomachała nimi w powietrzu.

– Wiem, że trudno się z tym pogodzić – powiedziała tym samym pojedynczym tonem, wskazując oczami w stronę drzwi. – Ale tak będzie lepiej. Obiecuję.

Amy wpatrywała się w nią, powoli uświadamiając sobie, o co tu chodzi.

– Przepraszam – szepnęła Lisa. – Po prostu uznałam, że informowanie Jacka, że go nakryliśmy, nie jest dobrym pomysłem... Boję się, co może zrobić.

SZEŚĆDZIESIĄT DWA

19 lutego

Harry ze złością szedł przed siebie; zaczął prosić drobny śnieg. Zobaczył, że autobus zatrzymuje się na przystanku. Przez chwilę chciał wsiąść, ale był zbyt wściekły. Musiał dać upust furii. Wszyscy byli gotowi podciąć mu nogi, wdeptać go w ziemię. Freddie Canning, Max, Kirsty. Bez względu na to, co robił, widzieli w nim kogoś, kogo można stratować, zbyt zajęci swoimi sprawami, by poświęcić mu choćby jedną myśl. Kogoś, kto wyczyści but, oczaruje klientów za marną pensję, podczas gdy oni będą zgarniać zyski; kogoś, kogo skopią ze strachu, że odbierze im przyjaciółkę. W oczach ich wszystkich był człowiekiem gorszego sortu.

Miał już dość bycia kimś, kogo można źle traktować, bezceremonialnie spychać na bok. Naprawdę starał się w tej robocie, ale Max był pozbawionym skrupułów, oszołomionym władzą skurwielem, który nawet nie próbował wierzyć swoim pracownikom na słowo. Harry nie ukradł tamtych trzydziestu funtów i tak wyglądała prawda. Dla szefa jednak był złodziejem – Max chciał w to wierzyć, bo to potwierdzało jego osobiste uprzedzenia. Harry mógłby go przekonać, że jest inaczej, gdyby nie napatoczyła się ta krowa. Kiedy skręcił w boczną uliczkę, uderzyła go nagła myśl – ta baba celowo wtrąciła się akurat w tym momencie, żeby ostatecznie go udupić. Słyszała, co mówił Max, i chciała dokopać leżącemu. Suka!

Potknął się i mało nie upadł. Jezu! Co to było, do cholery? Mały czarno-rudy kot odskoczył od niego i zaczął cofać się ku ścianie. Harry'ego ogarnął szal. Cholerny kot wbiegł mu pod nogi i prawie go przewrócił! Wszyscy chcą go dorwać.

Nawet pieprzony kot. Podniósł nogę i kopnął go ze złością. Kot pisnął, wzleciał w powietrze i z cichym łoskotem spadł na chodnik.

Harry zatrzymał się. Spojrzał na leżącego w ciemności kota. Nie ruszał się. Podeszedł i trącił go czubkiem buta, ale zwierzak leżał z otwartymi martwymi oczami.

Cała złość nagle go opuściła. Wyciągnął rękę i dotknął kociego łebka. Zachował się zupełnie jak ci, którzy go kopali – kopnął niewinną istotę. Wiedział, jak to jest, gdy stoi się niżej w hierarchii, i poczuł wyrzuty sumienia. Nie powinien tego robić. Podniósł kota i przytulił twarz do martwego ciała.

– Przepraszam – powiedział, a futro stłumiło jego głos.

Rozejrzał się, zobaczył kosz na śmieci koło czyjejś furtki i uniósł pokrywę. I wtedy jego uwagę przyciągnął jakiś ruch.

Odwrócił się i spostrzegł kobietę z telefonem, obserwującą go z drugiej strony ulicy. Wycelowała w niego komórkę i światło błysnęło mu w oczy. Po sekundzie zrozumiał, co się stało. Zrobiła mu zdjęcie. Zdjęcie, jak trzyma kota, którego właśnie zabił. Jej twarz wyrażała szok i oburzenie. Wrzucił zwierzę do kosza i ruszył w stronę kobiety. Zaczęła się cofać.

– Hej! – krzyknął.

Chciał z nią pogadać, wyjaśnić, że nie zabił kota umyślnie, ale rzuciła się do ucieczki.

SZEŚĆDZIESIĄT TRZY

2 marca

Amy skradała się przez hol, z Lisą za plecami. Nasłuchiwała. Z kuchni dobiegły ją głosy. Ostrożnie otworzyła drzwi i z wielką ulgą zobaczyła, że to matka i Jenna.

– Amy... – odezwała się Martha. – Jenna mi mówiła... O zdjęciu... Nie rozumiem... – Spojrzała na nią niepewnie. – Zrobiłam kawę. Dla ciebie też. – Wyciągnęła w jej stronę kubek z aromatycznym napojem i wirem spienionego mleka na wierzchu.

Amy zatrzymała się. Zerknęła na kubek.

– Nie, dziękuję.

Martha była zaskoczona.

– Zaparzyłam specjalnie dla ciebie.

Amy badawczo patrzyła jej w oczy, aż Martha poczuła się nieswojo.

– Ja wiem, mamo.

– Co wiesz? – zapytała wyzywająco, lecz zadrżał jej głos.

Amy przeniosła wzrok na Jenę.

– Wiesz, gdzie jest Jack?

– Zdaje mi się, że słyszałam, jak szedł do swojego pokoju.

– Jesteście pewne tego wszystkiego? – spytała Martha.

Amy chrząknęła ze zniecierpliwieniem.

– To prawda, Martho – wtrąciła Lisa. – Wygląda na to, że go nie doceniałyśmy.

Amy widziała, że matka traci pewność siebie.

– Przecież wiedział o tobie wszystko – rzuciła głuchym głosem. – Wiedział o wszystkim, co, jak twierdzisz, wymyśliłaś.

– Oczywiście, mamo. Byłam na tyle głupia, żeby publikować posty w mediach społecznościowych. Nie ma już czegoś takiego jak prawdziwa prywatność.

– Jeżeli Jack jest oszustem, to powinien przynajmniej jakoś się wytłumaczyć – powiedziała niemal szeptem Martha. – A jeśli rzeczywiście miał coś wspólnego ze śmiercią biednego Gabriela, to dokąd nas to zaprowadzi? – Spojrzała na drzwi, jakby spodziewała się, że Jack lada chwila tu wejdzie. – Czuję się jak mysz ścigana przez bardzo głodnego kota.

Amy uniosła głowę.

– Co powiedziałaś, mamo?

– Nie czuję się tu teraz całkiem komfortowo... – dodała Martha, ale Amy już nie słuchała.

Przypomniała sobie wieczór w Londynie. Tamten wieczór, kiedy miała spotkać się z Jenną w barze. Złapała autobus i już zbliżała się do swojego przystanku. Nacisnęła dzwonek, a gdy autobus się zatrzymał i drzwi się otworzyły, wyskoczyła na chodnik. Zaczął padać śnieg. Skręciła z głównej ulicy w wąską alejkę. Nadal czuła się winna z powodu spóźnienia. Ponownie spróbowała zadzwonić do Jenny. Przyłożyła telefon do ucha – palce drętwiały jej na przenikliwym zimnie. Słuchała sygnału, aż włączyła się poczta głosowa. Skrzywiła się; czuła, że Jenna jej unika. Kiedy wyszła z alejki na spokojną ulicę domów mieszkalnych, spojrzała na telefon, rozważając wysłanie SMS-a.

Coś sprawiło, że uniosła wzrok. Dziwny dźwięk, wysoki pisk. Po drugiej stronie ulicy dostrzegła w cieniu mężczyznę. Stał tam. Wpatrywał się w coś na ziemi. Przystanęła, niepewna. Zobaczyła, jak pochyła się i podnosi coś z chodnika. Co to było? Trzymając to w dłoniach, rozejrzał się i jego oczy spoczęły na koszu na

śmiesi. Wciąż patrzyła na niego, nie do końca rozumiejąc. Nagle dotarło do niej, co widzi. To kot. Trzymał kota. Po kompletnym bezruchu zwierzęcia i nerwowym zachowaniu mężczyzny domyśliła się, że kot musi być martwy, a mężczyzna jest odpowiedzialny za jego śmierć. Wzięła telefon i skierowała go w jego stronę. Jedno stuknięcie w ekran i jasny błysk rozdarł zasłonę ciemności.

Cholera. Patrzył na nią.

Ruszyła przed siebie, oddalając się od niego, w kierunku swojej ulicy. Krzyknął i rzucił się za nią. Zaczęła biec. Słyszała za sobą jego dudniące kroki. Z bijącym sercem zwiększyła tempo. Proszę, pomyślała, niech ktoś się tu pojawi. Ale było tak zimno, że wszyscy siedzieli w domach. Czuła, że chodnik jest śliski, i chciała zwolnić, ale wiedziała, że jeśli to zrobi, mężczyzna ją dopadnie. Jego tupot brzmiał coraz głośniej. Jeszcze kilka sekund i będzie mogła skrócić w swoją ulicę. Może zobaczy tam kogoś i zawoła o pomoc, a wtedy nieznajomy ucieknie.

Słyszała, jak się zbliża, słyszała jego głośny oddech. Odwróciła się na ułamek sekundy, żeby sprawdzić, gdzie on jest, i w tym momencie wyraźnie ujrzała jego twarz.

*

Teraz, z powrotem w górskim domu, Amy pochyliła się i gwałtownie wciągnęła powietrze. Serce próbowało wyrwać się z jej piersi.

– O co chodzi? Co się stało? – spytała zaskoczona Martha.

To było jak w jej śnie, tym, w którym uciekała po ciemnej oblodzonej ulicy. Tyle że to nie Jenna ją goniła; ścigał ją mężczyzna. Mężczyzna, który bardzo nie chciał, żeby była świadkiem tego, co zrobił.

– Wiem – wyjąkała. – Wiem, kto to jest.

– Kto? – zapytała nerwowo Jenna.

Amy spojrzała na nie ze strachem w oczach. Tak, wyglądał teraz trochę inaczej, miał krótsze włosy, ubierał się bardziej elegancko, ale nie miała wątpliwości.

– Jack – powiedziała. – Wiem, kim jest Jack.

SZEŚĆDZIESIĄT CZTERY

2 marca

Patrzyły na nią w oszołomieniu. Wysłuchały jej opowieści, usiłując pojąć to wszystko.

– Ale w jaki sposób przypadkowy facet z martwym kotem dostał się z ulicy w Earlsfield... tutaj? – spytała Jenna.

Amy zmuszała się do myślenia.

– Nie wiem...

– Powiedz nam, co się stało po tym, jak go zobaczyłaś – poprosiła Lisa, ujmując jej dłonie.

Amy zamknęła oczy, wdzięczna Lisie, że podsunęła jej krzesło. Miała wrażenie, że nogi nie są w stanie jej utrzymać. Pokręciła głową.

– Nie wiem. To znaczy pamiętam, że biegłam, a potem przerażające uczucie, że upadam i nie mogę temu zaradzić. Widziałam zbliżający się chodnik i... No właśnie. To wtedy musiałam uderzyć się w głowę. Następną rzeczą, jaką kojarzę, jest ocknięcie się w szpitalu.

– A więc leżałaś na chodniku, w ciemności, i w pobliżu nie było nikogo prócz Jacka... – podsumowała Lisa.

Amy zbladła. Zrobiło jej się niedobrze.

– Mój Boże... – jęknęła Martha.

– Wszystko w porządku? – dobiegł głos od strony drzwi.

Martha krzyknęła przestraszona.

Amy zamarła. Jack stał w progu kuchni. Jak długo?

Lisa ochłonęła pierwsza.

– Tak, dzięki – odparła. – Namawiamy Amy na kawę. – Powoli pchnęła w jej stronę kubek nietkniętej kawy, którą wcześniej przyrządziła Martha.

Amy wpatrywała się w kawę, w kuszący wir śmietanki.

Zesztywniała, gdy Jack powoli wszedł do środka. Nie spuszczał z niej oka.

– Powinnaś wypić. – Wskazał kubek.

Położyła rękę na naczyniu. Próbowwała rozluźnić mięśnie twarzy, ale czuła, że rysy zastygły jej w wyrazie, który ją zdradzi. Spojrzała na matkę i zobaczyła, że ona też zaniemówiła ze strachu. Jack obserwował je wszystkie. Za kilka sekund będzie wiedział. Zrozumie, że został zdemaskowany.

Zamknęła rękę na kubku.

– Zaczekaj – powiedziała Martha. – Chyba jest trochę ciastek.

Amy drgnęła.

– Słucham?

– Ciastek. W kredensie jest trochę francuskich ciastek – powtórzyła matka.

– Ja też poproszę – odezwała się Lisa.

– I ja – dodała Jenna.

Martha podeszła do szafki. Na półce była napoczęta paczka ciastek. Wyjęła ją i położyła na blacie.

– Dzięki, mamó – powiedziała Amy i wzięła jedno; Jenna i Lisa również.

Martha spojrzała na Jacka, zawahała się.

– Chcesz, Jack?

– Z przyjemnością – rzucił, podchodząc do stołu.

Ani drgnij, ani drgnij, mówiła sobie bezgłośnie Amy. Obserwowała go, gdy podszedł, przyglądała się jego twarzy, rozpoznając ją z absolutną pewnością. To był mężczyzna, który ścigał ją zaledwie kilka dni temu.

Chciała, żeby stąd wyszedł. Chciała, żeby wyszedł, by mogła jasno myśleć, zdecydować wraz z innymi, co dalej.

Jack ugryzł maślane ciastko, trzymając rękę pod brodą, żeby okruszki nie spadły na podłogę. Zaśmiał się cicho.

– Nie ma eleganckiego sposobu, żeby je zjeść. – Uśmiechnął się do Amy.

Lekko skinęła głową. Zachowuj się tak, jakby nic się nie zmieniło. Pamiętaj, jak się upierałaś, że jest oszustem.

– Pewnie zaraz mi powiesz, że to moje ulubione – rzuciła.

Spojrzał na nią.

– Nie, wcale nie. Wolisz herbatniki.

Amy drgnęła. To prawda. Przepadała za herbatnikami.

– Przepraszam, czy w czymś przeszkodziłem? – spytał, patrząc po ich twarzach.

– Ależ nie – zapewniła Lisa.

Amy czuła, że go nie przekonały i zaraz zaprotestuje, gdy odezwała się Jenna:

– Prawdę powiedziawszy, właśnie mówiłam dziewczynom... Rozstałam się z Lewisem.

– Tak mi przykro – odparł zaskoczony.

Amy zauważyła, że była to nowość również dla jej matki i Lisy, ale na szczęście stonowały swoje reakcje.

– Zostawię was z tym – dodał niezręcznie Jack.

Wszystkie patrzyły, jak wychodzi z kuchni.

SZEŚĆDZIESIĄT PIĘĆ

2 marca

Jack zatrzymał się tuż za drzwiami. Stał nieruchomo, licząc do dziesięciu. Panowała cisza. Żadna z nich się nie odezwała.

Wiedzą, pomyślał.

Jeśli nawet nie wszystko, to wystarczająco dużo. Cholera. Przez chwilę zastanawiał się, jak poznały prawdę, ale przecież nie miało to znaczenia. Bez względu na to, czy Amy pamiętała wieczór, kiedy zrobiła mu zdjęcie, czy też może w końcu zdołała je przekonać, że Jack Stewart nie istnieje, wiedział, że zostało mu bardzo mało czasu. Nie może dłużej ciągnąć tej gry. Dotychczas sprzyjało mu szczęście. Uśmiechnęło się do niego w chwili, gdy Amy tydzień temu poślizgnęła się na lodzie i straciła przytomność. Ścigał ją, ponieważ druga możliwość, czyli pozwolić jej uciec, była wykluczona. Jeśli Amy opublikuje to zdjęcie, jeśli trafi ono do władz, zabicie kota zostanie uznane za znęcanie się nad zwierzętami i spowoduje odwieszenie wyroku. I wtedy Harry trafi za kratki.

Kiedy się przewróciła, zatrzymał się, a potem ostrożnie podszedł. Pochylił się nad nią i stwierdził, że straciła przytomność. Słyszał odległe głosy – nadchodzili jacyś ludzie. Torebka i telefon wypadły jej z rąk, gdy się poślizgnęła. Szybko, zanim ktokolwiek mógłby go zobaczyć, podniósł jedno i drugie z chodnika i uciekł.

SZEŚĆDZIESIĄT SZEŚĆ

19 lutego

Harry siedział w kawiarni na Garrett Lane i obejmował kubek z kawą, grzejąc zmarznięte dłonie. Pod kurtką trzymał damską torebkę. Wyjął z niej kilka rzeczy: terminarz, portfel z prawem jazdy. Znalazł też list od prawniczki ze Szwajcarii, informujący kobietę, Amy Kennedy, że jest spadkobierczynią majątku zmarłej Esme Kennedy. Gdy przeczytał, jaką kwotę ma otrzymać, serce załomotało mu w piersi.

Podniósł wzrok, gdy jękliwy sygnał karetki stał się głośniejszy, i po chwili niebieskie migające światła przemknęły za oknem. Wiedział, że kobieta – Amy – trafi do odległego o półtora kilometra szpitala St. George. Z pewnością lekarze zatrzymają ją tam co najmniej na noc. Doznała wstrząśnienia mózgu, więc będą chcieli ją zbadać.

Spojrzał na list od prawniczki. Na górze figurował adres Amy Kennedy. To tylko kilka ulic dalej. Szczęśliwy traf zrządził, że w torebce znalazł też klucze do domu.

SZEŚĆDZIESIĄT SIEDEM

2 marca

Harry chodził tam i z powrotem po swoim pokoju. Czas uciekał. Co Amy i pozostałe mają zamiar zrobić teraz, gdy poznały przynajmniej część prawdy? Zostało mu bardzo mało czasu.

W jego kieszeni zabręczała komórka i przebiegł go dreszcz podniecenia. Niełatwo było zakradać się do pokoju Amy i zabierać jej telefon, z nadzieją, że tego nie zauważy. Spojrzał na ekran. Wreszcie wiadomość, na którą czekał. Prośba zajmującej się spadkiem prawniczki o dane bankowe, potrzebne do zdeponowania środków. Starannie ułożył odpowiedź. Nacisnął „wyślij”. Jeszcze chwila, a będzie mógł wynieść się stąd i uciec, zawsze oglądając się przez ramię, zastanawiając się, czy zostanie złapany. Czuł się zupełnie jak wtedy, gdy wszedł do mieszkania Amy w Londynie.

SZEŚĆDZIESIĄT OSIEM

19 lutego

Harry skręcił w ulicę, której nazwa widniała w liście do Amy Kennedy. Po obu stronach stały zaparkowane samochody i rosły drzewa, równie nagie jak słupy latarni między nimi. Po krótkim spacerze znalazł numer dwadzieścia dwa, narożne mieszkanie Amy z osobnym wejściem. Drzwi znajdowały się tuż obok tych prowadzących do lokalu na piętrze. Spojrzał w górne okna i zobaczył światła. Musi zachowywać się cicho. Zerkając przez ramię, otworzył czarną metalową furtkę, powoli i ostrożnie, by nie zaskrzypiała. Ustąpiła bezszelestnie. Ruszył ścieżką do drzwi. Wysoki żywopłot osłaniał go od strony ulicy, ale Harry nie marnował czasu. Wyciągnął spod kurtki torebkę Amy, wyjął klucze, włożył je do zamka i otworzył drzwi. Wstrzymał oddech. Nie było alarmu. Po cichu wślizgnął się do środka i zamknął za sobą.

Pierwszym, co zauważył, był silny zapach kwiatów – w blasku latarní ulicznych zobaczył róże na stoliku w przedpokoju. Obok wazonu leżała kartka. *Dla najpiękniejszej kobiety na świecie. Wiem, że jesteś dziwnie sceptyczna wobec walentynek, ale nie mogłem się oprzeć. Dostajesz kwiaty, czy Ci się to podoba, czy nie. Ponieważ Cię kocham. Jack.*

Harry odłożył kartkę na miejsce i wszedł do salonu. Nie mógł jeszcze ryzykować włączenia latarki w telefonie, nie przy odsłoniętych oknach. Szybko zaciągnął zasłony, notując sobie w pamięci, żeby rozsunać je przed wyjściem.

Włączył latarkę i omiół światłem pokój. Dominowały w nim odcienie błękitu i biel. Na kanapie w kolorze głębokiego turkusu schludnie leżały żółte poduszki.

Nad kominkiem wisiała fotografia: Amy – rozpoznał ją ze zdjęcia z prawa jazdy – stojąca między dwojgiem starszych ludzi, mężczyzną i kobietą, rodzicami, jak przypuszczał.

W kącie stało biurko z laptopem. Usiadł i położył przed sobą torebkę Amy. Wyjął jej telefon. Musi skasować zdjęcie, które mu zrobiła. Poświecił latarką po biurku, szukając czegoś, co mogłoby mu pomóc. Stały tam lampka i pojemnik w kształcie palmy, z kilkoma długopisami. Na stosiku papierów leżała książka podróżnicza o wyspach Tonga na południowym Pacyfiku – parę kartek zostało zagiętych. Otworzył szufladę. Zobaczył artykuły papiernicze, a także notes i telefon komórkowy, nowy, które były okręcone gumką.

Wyjął i otworzył notes. Było to coś w rodzaju pamiętnika. Amy wiele miejsca poświęciła Jackowi, facetowi, który przysłał jej kwiaty, i szczegółom dotyczącym lokali odwiedzanych wspólnie w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Były to głównie rzeczy praktyczne: nazwy restauracji, daty, co zamówili. Zero romantyzmu. Zapisła nawet jego pełne imię i nazwisko – doktor Jack Stewart – i przypuszczalnie miejsce pracy: szpital St. Thomas. Według dziennika miał trzydzieści dwa lata. Harry uznał, że spisywanie danych osobowych własnego chłopaka jest co najmniej dziwne. Niemal jakby go śledziła. Odłożył notes i podjął poszukiwania, skupiając się na regale z książkami. Stało tam jeszcze jedno zdjęcie tamtego mężczyzny z fotografii nad kominkiem, tym razem nieoprawione. Przykuwało uwagę. Fotograf naprawdę uchwycił charakter mężczyzny. Miał w sobie jakiś magnetyzm, biła od niego radość życia. Harry odwrócił zdjęcie. Zobaczył imię i daty:

Peter: 26.07.60. – 09.01.11.

Wpisał pierwsze sześć cyfr do telefonu Amy i na ekranie pojawił się komunikat „nieprawidłowy PIN”. Zmarszczył brwi. Z pewnością nie będzie to druga data, to byłoby zbyt makabryczne, ale spróbował, na wszelki wypadek. Ku jego radości telefon się odblokował. Harry wszedł do galerii, szybko znalazł obciążające go zdjęcie i je usunął. Dla pewności sprawdził, czy komuś go nie wysłała. Nie sądził, by miała na to czas, ale na wszelki wypadek zajrzał do ostatnich wiadomości. Nic do Lisy, Jenny czy Jacka. Tak więc dowód fotograficzny zniknął, choć nadal ist-

niało ryzyko, że Amy zgłosi zdarzenie policji. Widziała jego twarz, wiedziała, jak był ubrany.

Usiadł na krześle, splótł dłonie za głową. Intensywnie rozważał ten problem. Amy jest w szpitalu. Widziała jego twarz. Pewnie doniesie władzom – skoro zrobiła zdjęcie nieznanemu z martwym kotem, to raczej nie do swojego albumu, ale dla policji. Istniało ryzyko, że była w winiarni, może nawet ją obsługiwał. Może wie, kim on jest, i gdy tylko powiadomi gliniarzy, znajdą go bez trudu.

Znów wziął telefon i otworzył jej profil na Facebooku. Znalazł tam wiele rozmów o Jacku i ich randkach. Wszystko wskazywało na to, że jest jej nowym chłopakiem, po długim okresie bycia singielką. Dwie przyjaciółki Amy pojawiały się częściej niż inne osoby: Lisa i Jenna – takie same imiona jak w SMS-ach. Obie skomentowały wysłane przez nią zdjęcia jej i Jacka, szczególnie Lisa rozplýwała się, jaki jest nadzwyczajny. Nie posiadały się z zachwytu.

Tyle że tak naprawdę zdjęcia ukazywały nie Amy i Jacka, tylko to, gdzie jedli i co pili. Było kilka ujęć faceta, ale bez twarzy. Harry czytał dalej. Lisa ekscytowała się przewidzianym na dwudziestego czwartego lutego wspólnym wyjazdem do Val d'Isère, by świętować urodziny Amy. Harry sprawdził datę – następna środa. Była „zdruzgotana”, bo Jack do nich nie dołączy. Wyglądało na to, że jest zajęty ratowaniem życia. Szczęściarz z niego, miał dziewczynę, która nie potraktowała go jak śmiecia – nie rzuci go dlatego, że ma gównianą pracę. Co więcej, jego dziewczyna odziedziczy ogromne pieniądze. Co nie znaczy, że którekolwiek z nich klepało biedę. Harry szacował, że mieszkanie, w którym siedział, jest warte co najmniej pół miliona. Jack mieszkał w jeszcze droższej części Londynu – Battersea. Zawsze było tak samo: bogaci stawali się jeszcze bogatsi, natomiast biedni byli spychani z dolnego szczebla drabiny w momencie, gdy udało im się pochwycić go czubkami palców. Harry przypomniał sobie, że nie ma pracy, nie będzie mógł opłacić czynszu. Czeką go kolejne wizyty Nicka, faceta na posyłki właściciela. Jak ma uniknąć pobicia?

Rozważał, czy nie rozejrzeć się po mieszkaniu i nie sprawdzić, czy jest tu coś wartościowego – może w sypialni znajdzie jakąś biżuterię. Może też zabrać oba

telefony. Otworzył szufladę i wyjął ten owinięty gumką. Bardziej z ciekawości niż z innych pobudek wpisał to samo hasło co poprzednio. Zadziało. Usiadł, kręcąc głową, zdumiony ludzką bez troską. Wszedł na pocztę. Z początku niezupełnie rozumiał – wszystkie wiadomości pochodziły od Amy. Dlaczego miałyby wysyłać maile do samej siebie? Otworzył jeden i zobaczył, że jest zaadresowany do Jacka. Przeczytał kilka, rozbawiony treścią niektórych. Ściągnął brwi. Czy to telefon Jacka? Dlaczego Amy ma u siebie w mieszkaniu komórkę swojego chłopaka? Ponownie spojrzął na wiadomości – wszystkie były od niej. Zdziwiło go, że nie ma żadnej od nikogo innego. Zajrzał do folderu wysłanych. Wszystkie maile trafiły do jednej osoby – z powrotem do Amy. Były trochę dziwne: przesadne achy i ochy, jaka to ona jest cudowna. Najlepsza kochanka, najdowcipniejsza kobieta, jaką Jack kiedykolwiek spotkał. Wydawały się prawie nierealne, wręcz śmieszne. To samo z SMS-ami – i też tylko jeden odbiorca, Amy. Większość wiadomości sprowadzała się do przeprosin: Jack w ostatniej chwili odwołuje kolację z Amy i jej matką lub którąś z jej przyjaciółek. Harry był zaintrygowany. Umiał rozpoznać oszustwo na pierwszy rzut oka – coś tutaj przemawiało do jego własnych instynktów.

Postanowił rozejrzeć się po mieszkaniu. Wszedł do sypialni – na łóżku leżał tylko jeden komplet poduszek. Tak jak przypuszczał, znalazł biżuterię. Gdy zaczął otwierać pudełeczka, jedna rzecz wpadła mu w oko: naszyjnik z diamentem. Na razie zostawił go na miejscu. Starannie przejrzał szuflady, gdzie znalazł tylko białiznę Amy – ani śladu męskiej odzieży, zarówno tam, jak i w szafie. W łazience była tylko jedna szczoteczka do zębów. Uśmiechnął się. Co zrobiła Amy, zabiła swojego chłopaka i ukryła ciało w zamrażarce? Wrócił do salonu, podniósł telefon i obracał go w dłoni, zastanawiając się nad tą dziwną sprawą.

Wpadł na pomysł. Włączył telefon i sprawdził informacje o lokalizacji. Ze zdziwieniem zobaczył, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy komórka przeważnie pozostawała w mieszkaniu. Nic nie wskazywało, że była w szpitalu St. Thomas, co przecież nie miało żadnego sensu. Opuszczała mieszkanie tylko na czas wizyt kobiety w restauracjach. Jednym z tych lokali był Bentley's w Mayfair. Nazwa

brzmiała znajomo. Szybko sprawdził SMS-y. Wieczorem piętnastego stycznia Jack wysłał do Amy wiadomość z przeprosinami, że nie może przyjść na kolację z jej matką. Wspomniał o ciastkach krabowych w Bentley's. Ale z historii lokalizacji wynikało, że tego dnia telefon właśnie tam się znajdował. Skoro Jacka nie było w Bentley's, skąd się tam wzięła jego komórka? Kto ją tam przyniósł? I wtedy go olśniło: mogła to zrobić tylko Amy.

Zaczęło mu coś świtać. Wyjął swoją komórkę i zadzwonił do szpitala St. Thomas. Po krótkiej rozmowie jego podejrzenia się potwierdziły – nie pracował tam żaden doktor Jack Stewart. Harry usiadł wygodnie. Najwyraźniej Amy Kennedy z sobie tylko znanych powodów wymyśliła Jacka Stewarta.

Wrócił na dół, rozejrzał się po kuchni. Nic nie jadł od lunchu i uznał, że warto coś przekąsić. Nie weźmie wiele, nic, co dałoby się zauważyć. Znalazł herbatniki, całe trzy paczki. Zamknął szafkę i odwrócił się w stronę lodówki. Myślenie zawsze sprawiało, że robił się głodny. A teraz myślał dużo i intensywnie. Jeśli doktor Jack Stewart nie istnieje, to oznacza, że nie ma szczęściarza, z którym Amy mogłaby podzielić się kilkumilionowym spadkiem. W pewien sposób było mu go żal – mimo że nie istniał. Wyglądało to na wielkiego pecha, jak zgubienie wygranego losu na loterii. Ale bardziej naglące było ryzyko, że Amy powiadomi gliny i namierzą go w winiarni. Niewątpliwie Max z radością głębiej wbije nóż – oskarży go o kradzież pieniędzy. Harry już widział siebie z długim wyrokiem za kratkami.

Musi jakoś powstrzymać Amy.

Zrobił sobie kawę i zjadł dwa jajka po szkocku w wersji mini. Sięgnął po telefon.

Znalazł numer szpitala St. George. Zapytał o stan Amy Kennedy. Gdy pielęgniarka spytała, kim jest, miał już gotową odpowiedź: Jack Stewart, chłopak Amy. Najbliższa osoba spoza jej rodziny.

Czekał, wstrzymując oddech, pewien, że pielęgniarka każe mu spadać, ale zmiękła i powiedziała, że Amy jest w zadowalającym stanie. Dopiero niedawno

odzyskała przytomność i zatrzymano ją na obserwację.

Harry zapewnił, że rozumie – w końcu jest lekarzem. Zapytał, czy mógłby ją zobaczyć. Pielęgniarka podała mu godziny odwiedzin, a następnie powiedziała coś, co zaparło mu dech w piersi.

– Może być zdezorientowana, kiedy pan przyjdzie.

– Zdezorientowana?

– Tak. Mówię to, żeby pana uprzedzić. Cierpi na amnezję.

Umysł Harry’ego wszedł na najwyższe obroty.

– Czy to znaczy, że straciła pamięć?

– Tego się obawiamy – przyznała pielęgniarka. – Ma kłopot z przypomnieniem sobie ostatnich miesięcy.

Harry milczał.

– Halo? – odezwała się. – Jest pan tam jeszcze?

– Przepraszam... tak, słucham. Jestem trochę zszokowany, to wszystko. – Podziękował jej i się rozłączył.

Bóg zsyłał mu okazję i Harry wiedział, że nigdy więcej się taka nie powtórzy.

SZEŚĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

19 lutego

Harry zabrał się do pracy. Włączył telefon Amy i przejrzał pocztę. Znalazł wiadomość z tej samej kancelarii adwokackiej, która przysłała list. W pochodzącym ledwie sprzed tygodnia mailu prawniczka informowała, że testament został urzędowo zatwierdzony i ustalono datę przelewu środków na wtorek, drugiego marca. Rankiem tego dnia nawiązą kontakt, żeby omówić szczegóły transferu.

Zapamiętał datę. To za dziesięć dni. Może być wolny na zawsze. Jego pomysł był śmiały, bezczelny, ale całkiem realny – czuł się tak, jakby z góry znał zwycięskie liczby w lotto. Wiedział, że może to zrobić. Skasował maila od prawniczki i wszelką inną korespondencję z kancelarii. Odłożył telefon Amy do torebki i schował do kieszeni ten należący do „Jacka”. Swoją komórką zrobił zdjęcia mieszkania, żeby utrwalić jego układ i szczegóły. Wrócił do sypialni i zanotował nazwę sklepu jubilera, gdzie został kupiony naszyjnik z diamentem. Był tak zajęty, że zapomniał dopić kawę. Gdy wychodził z mieszkania, kubek wciąż stał na kuchennym blacie.

SIEDEMDZIESIĄT

2 marca

Harry stał na balkonie, wiatr sypał mu śniegiem w twarz. Zimno nie pomagało mu zebrać myśli. Potrzebował maila z potwierdzeniem, że pieniądze zostały przebrane na konto bankowe. Oczywiście jego konto. Nie potrafił skupić się na niczym innym – miał wolność w zasięgu ręki, ale w tym domu przebywały cztery kobiety, które mogły zniweczyć jego starania.

Zabrzęczała komórka Amy. Z drżeniem serca otworzył maila. Czytał, czekając na wybuch euforii, gdy dowie się, że jest bogatszy o trzy miliony euro.

Cholera! Ta suka prawniczka serdecznie dziękowała Amy za przesłanie danych bankowych, ale zgodnie z procedurą musi do niej zadzwonić, by potwierdzić ich autentyczność.

Harry do tej pory zdołał oszukać mnóstwo ludzi, ale mówienie głosem kobiety po trzydziestce przerastało jego możliwości.

Do licha, jak pokonać tę przeszkodę?

Kopnął w balustradę. Frustracja była prawie nie do zniesienia. Jest tak cholernie blisko. Nie zmarnuj okazji, powiedział sobie. Musi być jakieś wyjście, zawsze jest. Jeśli prawniczka chce pogadać z Amy, to on coś wymyśli. Amy musi jej powiedzieć, że jego dane należą do niej. Odpisał kobiecie, proponując rozmowę telefoniczną za godzinę.

Potem zszedł na dół.

SIEDEMDZIESIĄT JEDEN

2 marca

Wrócił do kuchni, gdzie dziesięć minut wcześniej zostawił cztery kobiety.

Była pusta.

Dziwne. Harry potrzebował chwili, by zrozumieć, co to może oznaczać. Czując przypływ adrenaliny, zastanawiał się, co zrobić. Podeszedł do szafki i wyjął z szuflady mały składany nóż. Włożył go do kieszeni i odwrócił się twarzą do drzwi.

Jeśli nie ma ich w kuchni, to gdzie są?

Zajrzał do salonu, ale tam też ich nie było. Ruszył na górę, coraz bardziej zdenerwowany, i zaczął sprawdzać kolejne pokoje, nie zwracając sobie głowy pukaniem.

Nigdzie ich nie było.

Sposępniał. Nie ma czasu na zabawy. Gdzie one są? Jeśli dotąd nie był pewien, czy nabrały wobec niego podejrzeń, to teraz nie miał już wątpliwości.

Wrócił do holu i oburącz otworzył szafę.

Zostały tylko jego buty i kurtka.

Otworzył drzwi i od razu zobaczył ślady. Droga nadal była nieprzejezdna, więc musiały pójść pieszo.

I dobrze wiedział, dokąd się udały.

SIEDEMDZIESIĄT DWA

2 marca

– Szybko, szybko – ponaglała Amy, oglądając się na resztę.

Brnęły przez las, za którym stała chata Gabriela. Stwierdziła, że tylko tam będą względnie bezpieczne do czasu przybycia pomocy. Jenna wezwała policję, ale nie miały pewności, kiedy funkcjonariusze dotrą na miejsce. Żadna z nich nie chciała zostać w domu.

Amy zobaczyła, że matka się potknęła. Złapała ją za ramię, pomagając jej zachować równowagę. Nie miały czasu zabrać nart albo rakiet śnieżnych; wymknęły się w cichym pośpiechu, zdesperowane, pilnując, by Jack nie zauważył ich ucieczki. Jeszcze kilka kroków i znalazły się na otwartej przestrzeni, zostawiając za sobą wyniosłe sosny. Przed sobą miały dom Gabriela.

Amy zatrzymała się na chwilę. Wiedziała, czego się tam spodziewać, ale nie mogła sobie pozwolić na utratę zimnej krwi. Muszą bezpiecznie dotrzeć do chaty, zanim Jack spostrzeże ich nieobecność i ruszy w ślad za nimi. Była pewna, że tak zrobi. Zmusiła się, by iść dalej, do głównej ścieżki; deszcz ze śniegiem smagał jej twarz. Odwróciła się na moment do pozostałych.

– Nie patrzcie – przykazała im drżącym głosem. – Po prostu idźcie za mną.

Przeszła obok ciała Gabriela i na przekór własnej radzie nie zdołała tam nie spojrzeć. Jego twarz była odsłonięta, jak poprzednio, i nagle poczuła, że nie może znieść tego bezruchu, szokującej ostateczności utraconego życia. Przyspieszyła kroku, nacisnęła klamkę drzwi frontowych i chwiejnie weszła do domu. Usłyszała

za plecami krzyk matki i zaraz potem wszystkie trzy także weszły do środka, z twarzami posępnymi po tym, co zobaczyły.

Amy mocno zamknęła drzwi.

– Tylne wejście – rzuciła nagląco i szybko ruszyła do kuchni, by upewnić się, czy tamte drzwi są zamknięte.

Dopiero wtedy poczuła cień ulgi.

– On nie ma kluczy, prawda? – spytała nerwowo Martha.

– Nie wiem, skąd mógłby mieć – odparła Amy.

Pytanie Marthy wytrąciło je jednak z równowagi. Przesunęły ciężki dębowy stół pod drzwi frontowe i wcisnęły oparcie krzesła pod klamkę tych na tyłach. Postanowiły czekać w salonie. Okna wychodziły na daleki dom Esme, ledwie widoczny w padającym deszczu ze śniegiem.

– Będzie wiedział, że tu przyszliśmy – odezwała się Lisa. – To jedyne miejsce, do którego można dotrzeć.

Miała rację, Amy skinęła głową.

– Policja wie, że tu jesteśmy – powiedziała. – I na pewno są już blisko.

– A jeśli utknęli w zaspie? – spytała Martha, wyglądając niespokojnie przez okno.

– Odsuń się, mamo. Na wszelki wypadek.

– Na wypadek czego?

Amy nie знаła odpowiedzi. Czuła się zagubiona. Właściwie nie wiedziała, dlaczego przed nim uciekały; a może jej umysł odmówił udania się w miejsca mroczne na tyle, żeby zrozumieć, czego Jack od nich chce i co zrobi, by to osiągnąć.

– Nie podali, kiedy będą – powiedziała Jenna do Marthy. – Obiecali tylko, że postarają się przybyć jak najszybciej. – Urwała. – Pogoda nie pomaga.

– Więc myślisz, że zostawią nas własnemu losowi? – W głosie Marthy dało się słyszeć panikę.

W pokoju zapanowała cisza.

Lisa klasnęła w dłonie.

– Słuchajcie, musimy coś zrobić, żeby oderwać myśli od problemów.

– Co na przykład? – zapytała Jenna.

– Zagramy? – zaproponowała Martha, widząc przy kominku stertę podniszczonych pudełek.

– Mamo, wybacz, jeśli nie dołączę do ciebie w rundzie tysiąca pytań – rzuciła ostro Amy.

– Dobrze! Ja tylko próbowałam... Och, sama nie wiem. Co robi się w takich sytuacjach? – Martha znów z lękiem spojrzała w okno.

Lisa podeszła do Amy, która dyskretnie wyglądała na zewnątrz, ukryta za zasłoną.

– Przepraszam – powiedziała. – Gdybym cię słuchała, może teraz nie byłibyśmy w tej sytuacji.

Amy uśmiechnęła się nieznacznie.

– W porządku.

– To mnie zniechęca do publikowania czegokolwiek w mediach społecznościowych.

– Nadal nie rozumiem, skąd miał dostęp do tego wszystkiego – odezwała się Martha. – Na przykład do telefonu Jacka. Wiem, myślisz, że dostał się do twojego mieszkania, ale jak? Zostawiasz gdzieś zapasowe klucze?

– Nie – odparła Amy. – To znaczy mam dodatkowe w mieszkaniu, na wypadek gdybym zgubiła te w torebce... – Urwała, coś sobie uświadamiając. – Ktoś przyniósł do szpitala moją torebkę. Upuściłam ją, kiedy upadłam. Pomyślałam, że to ktoś przyzwoity, osoba, która wezwała karetkę, ale...

– To był Jack. – Jenna przerwała jej w pół słowa. – Po tym, jak upadłaś, musiał ją zabrać i sprawdził, co jest w środku.

– Trzymam tam prawo jazdy, z adresem. – Przeszły ją ciarki. Jack miał doskonałą okazję, żeby rozejrzeć się po jej domu, wetknąć nos w jej prywatne sprawy.

– Chce mi się pić – mruknęła Martha, ze ściągniętą twarzą opadając na krzesło.

– Zrobić kawę? – zwróciła się po cichu Lisa do Amy. – Jeśli myślisz, że wypada – dodała szybko.

Nie było chętnych.

– Jesteśmy łatwym celem – jęknęła Martha z rozpaczą.

– Nie może tu wejść – przypomniała jej Amy.

– To cholerna gra na przetrzymanie. Siedzimy tu i czekamy, żeby zobaczyć, kto dotrze pierwszy, policja czy obłąkany morderca.

– Mamo, przestań.

– Ale tak jest, prawda?

– Widać coś? – zapytała Lisa.

Amy znów wyjrzała przez okno. Deszcz ze śniegiem zmienił się w ulewę, przysłaniającą widok na dolinę. Wyteęzała wzrok, próbując dostrzec dom Esmę, ale widziała tylko rozmyte światła. Na śniegu nie było nikogo, ani śladu życia. I słyszała tylko szum deszczu. Jack z pewnością już odkrył, że uciekły. Domyślił się, że wezwały pomoc, i odgadł, że udały się do chaty Gabriela. Dlaczego więc nie poszedł za nimi? I co z policją? Nasłuchiwała huku łopat nadlatującego śmigłowca, ale było cicho.

– Nic – powiedziała do Lisy.

Nagle gdzieś w domu rozległ się straszny dźwięk tłuczonego szkła. Amy usłyszała krzyk matki, a potem w pokoju zjawił się Jack. Chwycił Marthę i ściągnął ją z krzesła, przykładając nóż do jej szyi.

SIEDEMDZIESIĄT TRZY

2 marca

– Nie zrobię jej krzywdy – powiedział Harry – jeśli wszystkie zachowacie spokój i nie zrobicie niczego głupiego.

Widział, że wpatrują się w niego osłupiałe, ze strachem w oczach. Martha stała nieruchoma jak posąg. Lekko przyciskał ostrze do jej szyi, czując się niezbyt komfortowo ze swoim modus operandi, ale nie miał innego wyjścia. Naprawdę nie chciał użyć noża. Byłoby to nieprzyjemne i traumatyczne, zarówno dla niego, jak i dla nich. Amy spoglądała to na niego, to na matkę. Niemal widział, jak jej umysł powoli kojarzy fakty. Nagle nieznacznym ruchem jej oczu zaalarmował go, że coś się dzieje z boku pokoju: Jenna sięgała po pogrzebacz przy kominku.

– Nie rób tego – rzucił ostrzegawczo, a Martha jęknęła, gdy mocniej przycisnął nóż.

Jenna puściła pogrzebacz i głośno zaklekotał o kamienne palenisko.

– Jeszcze jedna taka próba – podjął Harry – a będziesz winna temu, co się stanie. – Żadna się nie poruszyła. – Połóżcie telefony na stole. – Wskazał głową stół na środku salonu. Wciąż oszołomione, stały bez ruchu. – Ale już! – huknął.

Lisa i Jenna posłusznie odłożyły telefony.

– Nie mam komórki – powiedziała Amy – jak sam dobrze wiesz.

Harry ją zignorował.

– Lisa, zwiąż Amy i Jenkę.

– Co? – spytała ze zdumieniem Lisa.

– Zwiąż je – powtórzył. – Sprawdzę węzły, więc nie próbuj żadnych sztuczek.

Puścił Marthę, ale nie odsunął noża od jej szyi. Wolną ręką wyjął coś z kieszeni i rzucił na podłogę.

Lisa podniosła kłębek sznurka.

– Pospiesz się – warknął.

Patrzył, jak Lisa wiąże ręce za plecami najpierw Jennie, a potem Amy. Kazał jej związać Marthę, a następnie sam skrępował ręce Lisy. Pozbierał telefony, dokładając komórkę Marthy.

– Przypuszczam, że wezwaliście policję?

Odpowiedziało mu milczenie.

– Łatwo sprawdzić – dodał, wskazując telefony.

– Tak – powiedziała Jenna.

– Ale śnieg ich opóźnia.

Potwierdziło to ich milczenie.

– W porządku. Czekamy. – Zobaczył, że Amy zmarszczyła czoło, nie rozumiejąc, dlaczego on chce przeciągać swój pobyt w tym domu.

– Kim jesteś? – zapytała. – Poznaję cię. Próbowaleś mnie zatrzymać po tym, jak zrobiłam ci zdjęcie.

A więc pamięta. Szkoda, że przypomniała sobie tak szybko. To było pytanie, którego nie zadał pielęgniarce: kiedy odzyska pamięć.

– Harry – rzucił. – Możesz mówić mi Harry.

– Poszedłeś do mojego mieszkania?

Spojrzał na nią. Rozpracowała to. Musiała przypomnieć sobie wiele fragmentów tamtego wieczoru.

– I do szpitala. Nie kłamałem, kiedy ci to mówiłem. Ale prawdą jest też to, że cię nie widziałem.

Nazajutrz po jej upadku i po tym, jak od pielęgniarki dowiedział się o jej amnezji, wszedł głównym wejściem do szpitala St. George. Ruszył prosto do wind i pojechał na trzecie piętro we wschodnim skrzydle. Kierując się znakami, zmie-

rzał na oddział Amy. Minął kilka sal i natknął się na dyżurkę – pielęgniarka stała w odległości kilku metrów, pogrążona w rozmowie z kimś z personelu. Dyskretnie położył torebkę Amy na blacie i szedł dalej, nie zwalniając kroku. Spojrzał na zegarek. Pora odwiedzin skończyła się piętnaście minut temu. Tak jak zaplanował.

Na oddziale Amy podszedł do dyżurki. Pielęgniarka spojrzała na niego i widział, jak pręży ramiona, przygotowując się do wysłuchania i odrzucenia jego prośby.

Dostrzegł jej plakietkę z imieniem: *siostra Morgan*, i uśmiechnął się.

– Wiem, że się spóźniłem, ale przyszedłem zobaczyć się z Amy Kennedy.

– Skończyły się godziny odwiedzin – oświadczyła stanowczo.

Spojrzał na nią z przygnębieniem.

– Wiem. – Zawahał się, jakby rozważał, co ma zrobić, i westchnął. – Bez obaw, nie zamierzam wdrzeć się siłą. – Zobaczył, jak pielęgniarka unosi brew, jakby chciała powiedzieć: tylko spróbuj. – Wczoraj miałem nocny dyżur, jestem lekarzem. Dopiero teraz udało mi się wyrwać. Jak się czuje Amy?

– A kim pan dla niej jest?

– Jej chłopakiem. Jack Stewart.

– Lekarz jest na obchodzie. Może pan wrócić później.

Skinął głową, chociaż nie miał zamiaru wracać.

– Tak zrobię. Amnezja ustępuje?

– To pytanie do specjalisty.

Zrobił zrezygnowaną minę.

– W porządku. Wrócę później.

Ale siostra Morgan już go nie słuchała; była przepracowana, miała nawał obowiązków. Zobaczył, że podchodzi do niej druga pielęgniarka.

– Spóźniony gość? – zapytała.

– Tak, goguś wyobraża sobie, że wystarczy zatrzepotać rzesami, a skapituluję.

Druga pielęgniarka roześmiała się.

– Najwyraźniej cię nie zna.

Harry spostrzegł, że zerknęła przez ramię, i zaświtała mu nadzieja, gdy dostrzegł jej współczujący wyraz twarzy.

Przez kilka minut kręcił się po korytarzu, udając, że pije wodę, dopóki nie pojawiła się druga pielęgniarka, sama. Ruszył prosto w jej stronę.

– Naprawdę przepraszam, że przeszkadzam...

Zatrzymała się.

– Och, to pan. Nie mogę łamać zasad dotyczących odwiedzin, rozumie pan...

– Tak, tak, oczywiście. Ale mam pytanie... jeśli może siostra odpowiedzieć. Wiem, że Amy straciła pamięć, ale... cóż, oświadczyłem jej się. – Zobaczył, że oczy pielęgniarki rozbłysły z zachwytu. – Sześć miesięcy temu. – Po chwili spytał z zapartym tchem: – Czy ona pamięta?

Pielęgniarka uśmiechnęła się.

– Powiem wprost – zaczęła cicho – będzie pan musiał ponownie przyklęknąć.

– A więc nie pamięta niczego z ostatnich sześciu miesięcy? W ogóle niczego?

– Obawiam się, że nie. Niczego od sierpnia. – I odeszła.

Światło rozbłysło mu w głowie i kaskadą spłynęło po ciele. Starannie ukrył euforię, odwrócił się i dopiero wtedy pozwolił, by szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz. Boże, uwielbiał, gdy wszystko szło zgodnie z planem. Było to niesamowicie satysfakcjonujące uczucie, wręcz ożywcze.

Nie będzie go w pobliżu, kiedy Nick odkryje, że on znowu spóźnia się z czynszem. Wybierze się na wycieczkę do Francji. Umiał jeździć na nartach; dawna praca w ośrodkach narciarskich, która kosztowała go koniuszek palca, w końcu przyniesie korzyści. Był w mieszkaniu Amy. Sporo się o niej dowiedział. Wie, gdzie pracuje, kim są jej przyjaciółki i jak wyglądają. Wie o jej związku z Jackiem, wie, jaką on ma pracę i jak się ubiera. Wie, dokąd z nim chodziła, zna treść jego SMS-ów. Lekko dotknął kieszeni, czując krzepiący ciężar telefonu „Jacka” i notesu, które znalazł w biurku Amy.

Co najważniejsze, wie, kiedy zaczęła spotykać się ze swoim fikcyjnym Jackiem – niecałe sześć miesięcy temu. Nie będzie niczego pamiętał.

SIEDEMDZIESIĄT CZTERY

21 lutego

Harry kręcił się na końcu ulicy, ze spuszczoną głową, obserwując front winiarni Maxa. Żaluzje wciąż były zasunięte po minionej nocy. Już niedługo. Był szary poranek, niskie chmury nie pozwalały podnieść się lodowatej mgle. Sklepów jeszcze nie otworzono i oblodzone chodniki były puste. Wreszcie w oddali dostrzegł zbliżającego się mężczyznę. Podszedł do niego, zanim ten zdążył go zauważyć.

– W porządku, Alex? – zagadnął go uprzejmie.

Jego były kolega drgnął, ale szybko się opanował.

– Harry. Tak. Co tutaj robisz?

– Przyszedłem z tobą pogadać.

Alex nerwowo wskazał winiarnię.

– Nie mogę. Lecę do pracy.

– Miło jest mieć pracę.

Alex milczał, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Nie moja wina, że szef cię wylał za podbieranie z kasy.

Harry'ego krew zalała. Przyparł Alexa do muru, mocno go przytrzymał. Był większy i miał przewagę. Mówił cicho, para buchała mu z ust.

– Nie zadzieraj ze mną, pieprzony dupku. Obaj wiemy, że ty kradłeś, a mnie się oberwało. Jesteś mi dłużny. Zaraz cię puszczę i spokojnie pójdziemy do ban-

komatu tu obok. Wypłacisz maksymalną dozwoloną kwotę. Jak forsa trafi do mojej kieszeni, wszystko się skończy i pójdzie w niepamięć. Kapujesz?

– A jeśli nie? – spytał ponuro Alex.

Harry pchnął go jeszcze raz i usłyszał stęknięcie.

– To wtedy Max otrzyma anonimowego maila od klienta, który cię widział z łapami w kasie.

Poczuł, że Alex już nie stawia oporu, pokonany.

*

Harry siedział w fotelu i obserwował fryzjerkę w lustrze przed sobą. Tęsknie unosiła jego długie ciemne kędziory.

– Jesteś pewien? – spytała.

Uśmiechnął się. „Jack” na zdjęciu z Facebooka, widoczny od ramion w dół, na pewno nie miał długich włosów. Musi się z nimi rozstać.

– Czas na zmianę – powiedział. – Na nowego mnie.

U jego stóp leżały torby z zakupami. Przemyślał, co może nosić Jack, i kupił kilka zwykłych koszul, granatowe chinosy, miękki wełniany pulower pasujący do lekarza, który po pracy siada przed kominkiem. I oczywiście kilka par skarpetek – żółtych. Najmniejsza torebka zawierała najdroższą rzecz, którą kupił tego dnia. Kolczyki z diamentami ze sklepu jubilerskiego Ruth Wood.

Był prawie gotowy. Poszperał w internecie i znalazł kogoś, kto chętnie zaopatrzy go w fałszywe prawo jazdy – okazało się to dziecinnie proste. Wystarczy, że za dwa dni stawi się na wielopoziomym parkingu w południowym Londynie z kilkoma banknotami, od których w tej chwili pęczniał jego portfel. Zarezerwował też lot do Genewy. Do wyjazdu zostały jeszcze trzy dni – poświęci je na zdobycie jak najwięcej informacji medycznych, przynajmniej na tyle, by w niezobowiązującej rozmowie móc uchodzić za pediatrę. Będzie też ćwiczyć swoją historijkę. Kim jest. Kim są oni – on i Amy. Będzie idealnie przygotowany, kiedy

wpadnie do domu w Val d'Isère z „niespodziewaną wizytą”, możliwą dzięki temu, że w ostatniej chwili udało mu się załatwić wolne.

– Znam kobiety, które zabiłyby za takie włosy – powiedziała fryzjerka. – Masz dziewczynę?

Harry skinął głową.

– Co sądzi o twojej decyzji?

– Podoba jej się – odparł. – W zasadzie można powiedzieć, że to był jej pomysł.

SIEDEMDZIESIĄT PIĘĆ

2 marca

Harry spojrzał na Amy.

– Nie możesz mnie winić za to, że stałem się „Jackiem”. Zostawiłaś szeroko otwarte drzwi.

– Nie zostawiłam szeroko otwartych drzwi do mieszkania – powiedziała Amy.
– Nikt nie zaprosił cię, żebyś przeglądał moje rzeczy, kradł mój telefon.

– Masz na myśli telefon Jacka.

Skrzywiła się.

– Dlaczego tu siedzimy? Co się stanie?

Widział ledwie tłumiony strach na ich twarzach. Nic bardziej nie rozstraja człowieka niż to, co nieznane. Sam się o tym przekonał, kiedy nie mógł zapłacić czynszu i czekał, zastanawiając się, czy Nick zapuka do drzwi, by zażądać pieniędzy.

– Zamierzasz nas skrzywdzić? – spytała cicho Martha.

Spojrzał na nią. Był zadowolony, że sprawuje nad nimi wszystkimi kontrolę. Już chciał rozproszyć jej obawy, może nie do końca, ale powiedzieć, że jeśli nie będą sprawiać kłopotów...

– Dlaczego zabiłeś Gabriela? – spytała nagle Amy. – Przecież nic ci nie zrobił.

Ścisnęło go w dołku. Wizyta u Gabriela nie przebiegła po jego myśli.

– Właściwie się mylisz. Zaatakował mnie.

– Nie wierzę ci.

– To prawda.

– Bo wtargnąłeś do jego domu? Groziłeś mu?

Harry skrzywił się. Nie do końca tak było. Tamtego niedzielnego ranka zobaczył, jak Amy wymyka się z domu, i wiedział, że musi czuć się osamotniona. Nikt nie traktował poważnie jej słów, wszystkie uważały, że uraz głowy zaburza jej osąd, wpędza ją w paranoję. Z bijącym sercem patrzył, jak odchodzi. Podejrzewał, że będzie szukać sojusznika. Szedł za nią do chaty partnera jej ciotki, rozważając, co może się stać, gdy Amy dowie się o śmierci Esme, bo oczywiście tego nie pamiętała. Ani tego, że odziedziczyła majątek. Istniało ryzyko, że kiedy pozna prawdę, zniweczy jego plan.

Czekał na zewnątrz parę godzin, podczas gdy ona rozmawiała z Gabrielem, i starał się nie zamarznąć, obserwując dom ze skraju lasu. Kiedy wyszła, spróbował ocenić wyraz jej twarzy. Była zbyt daleko, widział ją niewyraźnie. Czy wie, że odziedziczy kilka milionów euro? Czy powiedziała facetowi ciotki o „Jacku”? Czy zrozumiała, co się naprawdę dzieje tuż pod jej nosem? Musiał się tego dowiedzieć.

Zaczekał, aż Amy zniknie z pola widzenia, po czym zdjął narty i podszedł do domu Gabriela. Uniósł dłoń w rękawiczce i zastukał żelazną kołatką.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich partner Esme, zaskoczony, że ma gościa.

Harry uśmiechnął się.

– Przepraszam, że niepokoję, ale nawaliło mi wiązanie. – Wskazał nartę, którą przytrzymał dłonią. – Wywróciłem się i coś jest nie w porządku. Miałem zamiar zjechać Południowym Stokiem, ale z takim felernym wiązaniem wolę nie ryzykować. Nie ma pan przypadkiem śrubokręta? Podreperuję je, żeby jakoś zjechać. Później naprawię, jak trzeba.

– Oczywiście. – Gabriel szerzej otworzył drzwi.

Harry wszedł do sieni.

– Przepraszam za buty – powiedział, gdy śnieg zaczął topnieć na podłodze.

Gospodarz machnął ręką.

– Proszę się nie przejmować. – Wskazał w górę. – Skrzynkę z narzędziami mam w pokoju gościnnym. Pójdę po nią.

Harry odprowadził go wzrokiem. Potem rozejrzał się. To było schludne miejsce. Buty stały pod ścianą na małej półce. Na metalowych kołkach wisiły okrycia wierzchnie: mieszanka sportowych skafandrów i bardziej eleganckich płaszczy.

– Nie ma jej tam, gdzie myślałem! – krzyknął Gabriel. – To chwilę potrwa.

Harry podszedł do schodów.

– Przepraszam! – zawołał. – Tylko zawracam panu głowę.

– Nic nie szkodzi. – Wyjrzał znad schodów. – Na pewno gdzieś tu jest.

Gdy tylko zniknął, Harry ruszył po schodach. Dotarł na piętro i usłyszał, jak Gabriel przetrząsa jeden z pokoi. Zobaczył, że drzwi są uchylone. Wszedł.

– Udało się? – zapytał.

Gabriel nie krył zdziwienia, widząc go na górze.

– Przepraszam – powiedział Harry. – Nie chciałem się narzucać. Chcę tylko powiedzieć, żeby nie marnował pan czasu, jeśli nie ma narzędzi pod ręką. Naprawię wiązanie w Val d'Isère.

Rozejrzał się po pokoju. Była to sypialnia z oknami od podłogi do sufitu, wychodzącymi na balkon. Na komodzie stało kilka fotografii w ramkach. Wiele przedstawiało kobietę po sześćdziesiątce; na jednej obejmowała kogoś, kogo natychmiast rozpoznał. Zbliżył się do komody.

– Rodzina? – spytał, mając nadzieję, że jego ton brzmi przyjaźnie.

Gabriel obejrzał się.

– To bratanica Esme, mojej partnerki. Właśnie niedawno stąd wyszła.

– Tak?

– Tak. Trochę zszokowana. Nie wiedziała o śmierci ciotki.

– Przykro mi to słyszeć.

Gabriel wydobył śrubokręt.

– Znalazłem.

– Super. – Harry zdjął rękawiczki i podszedł, żeby wziąć śrubokręt z wyciągniętej dłoni Gabriela. Pomyślał, że mężczyzna patrzy na jego palec, ten z brakującym czubkiem. Wziął śrubokręt. – Pójdę podreperować wiązanie. – Odwrócił się, żeby iść na dół.

– To ty, prawda? – usłyszał za plecami.

Przystanął. Gabriel patrzył na niego w taki sposób, że poczuł się nieswojo.

– Co ja?

– Ty jesteś tym chłopakiem. Problematycznym facetem.

Harry’emu zaczęło bić szybciej serce. Zaśmiał się nerwowo.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Twój palec... Nie okłamuj mnie. Wiem. Czego naprawdę chcesz? Dlaczego tu jesteś?

– Mówiłem, moja narta...

– Nie wciskaj mi kitu. – Gabriel położył dłoń na jego ramieniu. – Chcę wiedzieć, co tak bardzo niepokoi Amy.

Harry próbował strząsnąć jego rękę, ale starszy mężczyzna okazał się zaskakująco krzepki.

– Nie mam pojęcia, o co panu chodzi.

– Wiesz, nie pozwolę jej skrzywdzić.

– Odczep się pan ode mnie. – Spojrzał oziębło na Gabriela, ale ten nie odstąpił.

– Amy wie, że tu jesteś?

Harry milczał.

Gabriel puścił go i poszedł po telefon.

– Co robisz? – spytał z niepokojem Harry. Zaczął panikować. Jeśli ten facet zadzwoni do Amy i powie jej o jego wizycie, będzie po wszystkim. – Odłóż telefon – warknął.

Gabriel go zignorował. Już wybierał numer.

Harry nie miał wyjścia. Próbując wyrwać mężczyźnie komórkę, złapał go za szyję i zaczęli się szamotać. Telefon upadł na podłogę. Harry poczuł cios w szczękę. Cofnął się i uderzył plecami w wysokie przeszklone drzwi. Gabriel rzucił się na niego, a on, upadając, chwycił za klamkę i drzwi się otworzyły. Natychmiast owionął go zimny podmuch. Gabriel nacierał, Harry się cofał. Musiał użyć całej swojej siły, żeby tamten nie zdobył przewagi. Nagle zdał sobie sprawę, że zyskuje pewną kontrolę, i odepchnął Gabriela. Raczej wyczuł, niż zobaczył, że mężczyzna uderzył w drewnianą balustradę, i rozległo się łupnięcie, gdy spadł na śnieg. Jednocześnie Harry usłyszał inny dźwięk. Taki, jakiego nigdy nie zapomni: ostry, krótki trzask pękającej kości.

Oddychając ciężko, wstał i wychylił się z balkonu – czekał, aż Gabriel wstanie. Ale sekundy mijały, a on wciąż leżał, twarzą do ziemi. Zbiegł na dół i podszedł do niego. Ostrożnie, podejrzewając pułapkę. Odczekał dłuższą chwilę, lecz mężczyzna ani drgnął. Harry pochylił się, złapał go za ramię i obrócił na plecy. Ujrzał jego otwarte zmętniałe oczy. Miał na skroni czerwony ślad od uderzenia, ale nie to go zabiło. Jego głowa była odchylona pod dziwnym kątem. Wtedy Harry zrozumiał, co to był za dźwięk. Gabriel skreślił kark. Małeńki kręg pęka i niepełna minutę później człowiek umiera. Cholera, pomyślał. Cholera, co ja zrobiłem?

*

Harry wytrzymał oskarżycielskie spojrzenie Amy.

– Prawda jest taka, że Gabriel mi groził – oznajmił. – Walczyliśmy. To był wypadek. Spadł z balkonu.

– I upozorowałeś to tak, żeby wyglądało, jakby poślizgnął się na śniegu przed domem?

Harry nie odpowiedział. Wyjął z kieszeni jej telefon i położył go przed nią na podłodze.

– Za siedem minut zadzwoni prawniczka, która zajmuje się testamentem twojej ciotki. Poprosi o potwierdzenie danych konta, które dziś rano podałaś w mailu.

– Przecież ja nie... – zaczęła Amy.

– Musisz jej to przeczytać. – Podsunął jej kartkę z danymi. – I nie kombinuj, bo użyję tego.

Uniósł nóż i obrócił go w dłoni.

SIEDEMDZIESIĄT SZEŚĆ

2 marca

Amy wpatrywała się w leżący na podłodze telefon. Po chwili spojrzała na Jacka... nie, jak on ma naprawdę na imię? Harry. Całkiem obcy człowiek. Nie lekarz, nie mężczyzna, który mieszka w Battersea i w weekendy gra w rugby. Nie jej chłopak, z którym spędziła Boże Narodzenie w Lake District. To ktoś nieznamy, cwaniak, na którego pechowo natknęła się pewnego zimnego wieczoru w lutym. Wkradł się w jej życie jak wirus, powoli zdobywając kontrolę, próbując – z powodzeniem – wzbudzić jej zaufanie i przekonać ją, że są w związku. A teraz to. Prawdziwy powód, dla którego kłamał i knuł. Niebawem przejmie wszystko, co zostawiła jej Esme. Za kilka minut zadzwoni jej telefon i będzie musiała przekazać serię cyfr, które nieodwracalnie przekierują pieniądze na konto tego oszusta.

Obserwował ją uważnie. Czekał. Nie miała czasu na myślenie – zostało zaledwie kilka minut. Mało prawdopodobne, że zdąży wkroczyć policja. Nie wiedziała, jak mogłaby choćby spróbować odwieść go od tego, co zamierzał – sama myśl o tym była niedorzeczna.

Było także za mało czasu, żeby dokończyć rozluźnianie sznura. Mimo zapowiedzi Harry nie sprawdził węzłów, a Lisa nie zaciągnęła ich zbyt mocno. Amy bardzo powoli, bardzo ostrożnie je rozwiązywała. Było to mozolne, precyzyjne zadanie, jak gra z dzieciństwa, operacja, która polegała na wyjęciu z piersi tekturowego pacjenta atrapy ludzkiego serca. Wystarczył jeden fałszywy ruch pęsetą, a włączał się alarm. Harry nie spuszczał z niej oka. Jeśli wykryje jakikolwiek ruch, wszystko się skończy. Spojrzała na nóż. Był to kieszonkowy sprężynowiec.

Miała wrażenie, że Harry nie chce go użyć. Gdyby był totalnym świrem, trzymałby Marthę tuż obok siebie. Ostrze nadal spoczywałoby na szyi jej matki.

Poczuła, że sznur na nadgarstkach trochę się luzuje. Może... może jest szansa. Musi pomyśleć o tym, co zrobi, jeśli uda jej się uwolnić. Musi chwycić nóż szybciej, niż zdąży sięgnąć po niego Harry. To jedyny sposób. Potem jakoś go obezwładni...

Zadzwonił telefon i ekran się rozświecił.

– Teraz – zaczął Harry, znów łapiąc za nóż – naciśnę „odbierz”, a potem przełączę na głośnik. Zrobisz dokładnie to, co mówiłem.

Amy patrzyła, jak podchodzi do Marthy i przykładła nóż do jej gardła, jak matka zamyka oczy.

– Siedźcie cicho – przykazał pozostałym.

I nacisnęła zielony przycisk.

Amy zastygła. Proszę, zawieś się, bezgłośnie błagała telefon. Zawiodłeś mnie tyle razy, możesz to zrobić jeszcze raz. Nagle poczuła kopnięcie w nogę. To był Harry.

– Halo? – powiedziała, zaskoczona, że jej głos brzmi normalnie.

– Czy rozmawiam z Amy Kennedy? – zapytała kobieta.

– Tak.

– Tu Kim Moreau z kancelarii Vibert i Keller. Jak się pani ma?

– Dobrze – skłamała Amy. – A pani?

– Doskonale, dziękuję. Jak rano wspomniałam w mailu, musi pani tylko potwierdzić dane bankowe, które przesłała pani wcześniej.

Tyle że to nie ja je przesłałam, pomyślała Amy.

– Rozumiem – usłyszała swój głos.

– Może je pani przeczytać?

Amy spojrzała na Harry'ego i zobaczyła, że wskazuje głową w stronę kartki leżącej obok niej na podłodze. Nic nie mogła zrobić. Wyrecytowała numer konta, a prawniczka powtórzyła cyfry. Głos Kim brzmiał pogodnie, bez wątplenia była

zadowolona, że doszła do końca długiej procedury prawnej, że Amy otrzyma ogromną sumę, którą jej zostawiła ukochana ciotka.

– Dobrze, gotowe – powiedziała prawniczka. – Środki powinny zostać prze-
lane w ciągu godziny.

– Dziękuję – mruknęła Amy, czując się kompletnie ograbiona.

Pożegnały się i Harry przerwał połączenie.

– Dobrze. – Zabrał telefony ze stołu oraz komórkę Amy i ruszył do wyjścia.

– Dokąd idziesz? – spytała Jenna.

Uśmiechnął się i wyszedł z pokoju. Kilka sekund później usłyszały trzaśnięcie drzwi frontowych.

SIEDEMDZIESIĄT SIEDEM

2 marca

Amy była wściekła. Wykręcała ręce, ciągnąc i szarpiąc sznurek, aż się uwolniła. Skoczyła na równe nogi, chwyciła nóż, który Harry zostawił na podłodze, myśląc jedynie o ucieczce, i najpierw podbiegła do matki.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Tak, tak – wymamrotała roztrzęsiona Martha.

Amy przecięła więzy na jej rękach.

– Mamo, musisz być silna. Musisz rozwiązać Lisę i Jennę – poleciała jej.

Martha spojrzała na nią, zdezorientowana.

– Co chcesz zrobić?

Amy schowała nóż do kieszeni i pobiegła do drzwi.

– Idę za nim.

– Co?

– To moje dziedzictwo. Tego chciała Esme. Zabrał jej pieniądze. Słyszałaś prawniczkę. Mam mniej niż godzinę na zatrzymanie przelewu. Muszę do niej zadzwonić. Jak najszybciej.

– Oszalałaś?

– On musi wrócić do wioski, do Val d’Isère – odezwała się Jenna. – Będzie potrzebował środka transportu.

– Jestem lepsza na nartach. Mogę go złapać.

– To Południowy Stok – jęknęła Martha.

– Tak.

– Twój ojciec zginął na tej trasie. Proszę, Amy, nie ryzykuj.

Nie odpowiedziała. Wyszła z pokoju i rozejrzała się w sieni, szukając butów narciarskich. Znalazła parę; były o dwa numery za duże, ale nie miała wyboru. Wiedziała, że Gabriel trzyma narty w schowku przy kuchni. Pobiegła, a potłuczone szkło z rozbitego okna, przez które wdarł się Jack, chrzęściło jej pod nogami. Chwyła narty i kijki i pognęła z powrotem. Wyskoczyła na zewnątrz, przypięła narty i odjechała, nie patrząc na Gabriela. Widziała ślady Harry'ego prowadzące w kierunku Południowego Stoku. Jechała ich tropem wzdłuż wąskiego grzbietu, który po jej lewej stronie opadał stromo ku bezkresnemu morzu bieli. Po kilku minutach zatrzymała się, zbierając siły.

Opiekuj się mną, tato, poprosiła w duchu.

Skierowała narty w bok i ruszyła w dół.

SIEDEMDZIESIĄT OSIEM

2 marca

Amy wiedziała, że musi jechać szybko, jeśli chce mieć szansę na dopędzenie Harry'ego. Trasa była trudna, o wiele trudniejsza niż wszystkie te, z których korzystała od czasu złamania nogi. W rzeczywistości nie jeździła na nartach od ponad dziesięciu lat. Odkąd jej ojciec zginął na tej samej górze.

Nie myśl o tym, przykazała sobie. Nie myśl o tym. Po prostu skup się, patrz przed siebie. Gdybym tylko mogła widzieć wyraźnie, pomyślała. Nie miała gogli i deszcz zalewał jej oczy. Zmrużyła powieki, zastanawiając się, czy nie popełnia strasznego błędu; wtedy spostrzegła, że pogoda się poprawia. Deszcz słabł, chmury rzedły. Nadal padało, ale mniej intensywnie.

Czuła, jak jej stopy przesuwiają się w butach. Pomyślała, że sobie z tym poradzi, po prostu musi się skoncentrować. Widziała przed sobą ślady nart i wiedziała, że zostawił je Harry. Nabrała prędkości, czując, że ma kontrolę nad zjazdem. Adrenalina pulsowała jej w żyłach. Skup się, powtarzała sobie co jakiś czas, mokry śnieg jest niebezpieczny. Jechała zakosami, pewna swojej siły. Nagle dostrzegła przed sobą małą postać. Serce jej drgnęło. Harry. To znaczy, że już zmniejszyła dystans. Jeżeli nie zwolni tempa, wkrótce go dogoni.

Skierowała uwagę na zjazd, z niepokojem rozpoznając zbliżający się ostry zakręt. Jeśli źle oceni odległość, spadnie z krawędzi w dwustumetrową przepaść. Po kilku sekundach znalazła się na zakręcie, przerażona, przez chwilę pewna, że krawędź urwiska połknie ją i wypluje w pustą przestrzeń. Potem narty skrzyły i wróciła do względnie bezpiecznego stoku, pozostawiając otchłań za sobą. Ogarnęła ją

radość. Jest niezwykła! Odległość między nią a Harrym wciąż malała, a stok był coraz bardziej stromy. Mogłaby przyspieszyć. Przez głowę przemknęły jej nagłe wątpliwości, ale je zignorowała. Deszcz przestał padać i błękit rozlewał się po niebie. Widziała przed sobą słoniowate szare skały, ciągnące się wzdłuż trasy, niektóre bardzo blisko.

Nie, pomyślała. Nie wejdziecie mi w drogę. Nie powalicie mnie jak mojego tatę. Zdawała sobie sprawę, że jedzie zbyt szybko, ale upór sprawiał, że nie zwalniała – nie miała zamiaru zostać pokonana – i krawędzie nart cięły śnieg na odcinku, którego nachylenie wynosiło osiemdziesiąt pięć procent. Wiedziała, że musi skręcić w odpowiednim momencie, żeby uniknąć zderzenia ze skałą. Wiedziała, że musi zachować równowagę, ale jej stopy ślizgały się w butach, co utrudniało kontrolowanie nart. Jeśli teraz upadnie, zacznie się zsuwać po stoku z prędkością stu kilometrów na godzinę w płataninie rąk i nóg, bez kontroli nad kierunkiem, aż jej głowa albo tułów – albo jedno i drugie – roztrzaska się na skałach. Zaschło jej w ustach. Mięśnie nóg paliły ogniem. Pokonywała strach, skręcając tuż przed kolejnymi przeszkodami, i niemal krzyczała z ulgi za każdym razem, gdy znów się udało.

Harry spojrzał za siebie. Amy zobaczyła, jak mierzy ją wzrokiem, i podwoiła wysiłki, zdecydowana za wszelką cenę go dopędzić. Jak śmiesz, pomyślała, jak śmiesz myśleć, że możesz tu przychodzić, okłamywać mnie i brać to, co zgodnie z prawem należy do mnie. Esmé będzie jej kibicować. Amy była już prawie przy nim, zaraz go dopadnie. I wiedziała, że jakoś uniemożliwi mu dalszą ucieczkę.

Jeszcze chwila. Jeszcze tylko kilka sekund. Nagle zobaczyła, że Harry zwalnia i zjeżdża z trasy na bok. Zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc dlaczego. Wtedy jakiś ruch przyciągnął jej uwagę. Na śniegu pod nią z prędkością błyskawicy tworzyła się szczelina, która prowadziła do drugiej, i pod nartami Amy pojawiła się cała siatka pęknięć. Śnieg poruszał się, przemieszczał, zsuwał się na nią, aż poczuła, że upada, a śnieg pochłaniał ją i niebo zaczęło znikać. Ogromny ciężar uderzył ją w klatkę piersiową i poleciała do przodu... czy może w tył? – nie wiedziała, gdzie

jest góra, gdzie dół, śnieg wciskał się jej w usta, w uszy, otulał ją, a potem niejasno uświadomiła sobie, że znieruchomiła.

Było ciemno. Jej płuca próbowały wciągnąć choć trochę powietrza. Ciężar śniegu uniemożliwiał jej oddychanie. Leżała na plecach. Nie mogła poruszyć rękami.

Mogła myśleć tylko o tym, że musi nabrać tchu. Nie panikuj, nie panikuj, powtarzała sobie, wiedząc, że przez cały czas panikuje, rozpaczliwie łaknąc powietrza.

Kiedy w dzieciństwie Esmé zabierała ją na narty, ciągle wbijała jej do głowy jedną rzecz. Jeśli jeździsz z kimś na nartach i porwie go lawina, masz jedenaście minut, by go odnaleźć. Jedenaście minut, zanim będzie za późno.

SIEDEMDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

2 marca

Uczucie było niemal przyjemne, cisza i spokój. Wrażenie, że odpływa. W głębi serca wiedziała, że traci przytomność. Wiedziała też, że musi temu zapobiec, ale to było trudne, bardzo trudne. A odpływanie było takie miłe. Próbowwała myśleć o czymś, co zatrzyma jej świadomość. Musi wrócić. Pomyślała o matce siedzącej na podłodze w domu Gabriela. O jej ostatnich słowach, błaganiu, by córka nie zjeżdżała po stoku. O tym, jaka będzie wzburzona, jak będzie powtarzać: „A nie mówiłam?”. Ogarnęła ją znajoma irytacja i w duchu wybuchła śmiechem. Zabawne, że matka może cię irytować nawet wtedy, gdy umierasz. Umierasz. Natarczywa myśl dopominała się o jej uwagę. Nie odpływaj, skup się. Matka się załamie, jeśli się poddasz. Śpiewaj, nakazała sobie, śpiewaj! Natychmiast przyszła jej na myśl piosenka z dzieciństwa: *MMMBoP*. Tekst rozbrzmiewał w jej głowie, śpiewany cukierkowymi, szczerymi i piskliwymi głosami nastoletnich braci Hanson; wesoła melodia wpadła jej w ucho i Amy nie mogła się od niej uwolnić.

Nie, nie, pomyślała rozpaczliwie. Nie umrze dla Hansonów. Nie może. Pomyślała o tacie, o tym, czy wiedział. Wiedział? Czekał? Przez jej umysł przemknęło kuszące uczucie, by się o tym przekonać. Przynajmniej dożyła trzydziestki. Szkoda, że nie zobaczy lata. Czują, że odpuszcza. Było tak spokojnie. I nagle odniosła wrażenie, że szybuje nad górami. Jakby leciała na paralotni. Przepęniało ją uczucie wolności, unoszenia się pod piękną błękitną czarą nieba.

OSIEMDZIESIĄT

2 marca

Czucie w nodze. Coś na nią napierało. Na jej tors. Amy początkowo była zirytowana; cokolwiek to było, przeszkadzało jej, ściągało ją z nieba. Miała okropne wrażenie, że spada, że czasza nad nią zawali się i ona umrze. Nagle poraziło ją jasne światło. Wciągnęła powietrze. Niebo było boleśnie błękitne. Zmrużyła oczy. Dostrzegła górującą nad nią sylwetkę. Ktoś przysłał słońce. To Jack, uświadomiła sobie. Nie, Jack nie istnieje, pamiętaj.

Harry.

Pozwoliła opaść powiekom.

– Amy, otwórz oczy – powiedział Harry.

Zignorowała go. Może odejdzie.

– Amy. Otwórz oczy – powtórzył, tym razem bardziej stanowczo.

Zrobiła to. Zamrugła. Patrzył na nią. Nie mogła odczytać wyrazu jego twarzy. Słońce świeciło za jego plecami, oślepiło ją. Zabije mnie, pomyślała. Uznał, że lawina nie załatwiła sprawy, więc teraz dopilnuje, żeby nie było już żadnych wątpliwości. Czekala, unieruchomiona przez śnieg, przez narastający w niej strach.

Dostrzegła jakiś ruch. Pęd brązu i złota, przenikliwe skrzeczenie. Orzeł. A więc nie zniknął, nie upolowali go kłusownicy. Wezbrała w niej radość. Patrzyła za Harry'ego, skupiając się na ptaku, jego dostojnym locie, jego wolności. Wiedziała, że przyleciał, żeby być z nią. Esme z nią jest. Amy śledziła wzrokiem orła, teraz wiedząc, że już nie będzie się bała.

Ręka.

Amy miała taki mętlik w głowie, że z początku nie zwracała na nią uwagi.

Pociągnął ją za ramiona, uwalniając je spod śniegu. Chwycił ją za nadgarstek. Amy poczuła nagle, że musi się spieszyć. Podparła się na wolnej ręce i Harry pomógł jej wstać.

– Złamałaś sobie coś? – zapytał.

Spojrzała na niego, nie w pełni rozumiejąc, co on robi.

– Złamałaś sobie coś? – powtórzył.

– Nie – odparła. – Chyba nie.

Wskazał na ziemię.

– Tutaj jest twoja narta. Drugą porwała lawina. Znalezienie jej zajmie ci trochę czasu.

Przypiął swoje narty i podniósł ze śniegu kijki.

Przebłysk jasności przebił się przez jej oszołomienie.

– Nie ujdzie ci to na sucho – rzuciła.

– Nie zdołasz mnie znaleźć. Nie będziesz wiedziała, kim jestem.

Pozwolił sobie na uśmiech, a potem odepchnął się i odjechał. Patrzyła, jak zjeżdża z góry, a jego sylwetka maleje, aż w końcu zniknął jej z oczu.

OSIEMDZIESIĄT JEDEN

5 września

Harry odchylił oparcie luksusowego fotela pod bardzo wygodnym kątem czterdziestu pięciu stopni. Zbliżyła się kobieta w uniformie, elegancka i piękna, z idealnie wysklepionymi brwiami. Podsunęła mu tackę z kieliszkiem szampana.

– Trzy godziny do lądowania, panie Lombard.

Wziął kieliszek i spostrzegł, że kobieta przygląda mu się tak dyskretnie, że ledwie zauważalnie. Ale sugestywny błysk świadczył o zainteresowaniu, o propozycji. Nie skorzystam, pomyślał, nie tym razem. Nie teraz, gdy był bogatszy, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał. Uśmiechnął się i wrócił do przeglądania czasopiśma, a ona odeszła.

Szampan chłodził mu język, bąbelki rozkosznie musowały w ustach. Miał sześć miesięcy na spełnienie każdego życzenia, jakie przyszło mu do głowy. Ma nową tożsamość. Jest znakomicie ubrany, z nowym zegarkiem na rękę, obok złotych spinek do mankietów od Tiffany’ego, o których marzył od tak dawna i wreszcie mógł je kupić. Spędził lato we Włoszech, gdzie wynajął willę na brzegu jeziora Como i codziennie rano pływał; jego ciało było jędrne i gibkie, mocno opalone. Pił wino i kawę na placach. Zaprzyjaźnił się... nie, nie zaprzyjaźnił – nawiązał znajomości z pustymi, bogatymi ludźmi. Zadawał się z nimi przez kilka tygodni, aż miał ich dość – albo oni jego. Uwolnił się od wcześniejszych zmartwień, związanych z brakiem pieniędzy, ale mimo to był niespokojny. Siedział z lampką wina na tarasie do wczesnych godzin rannych, patrząc na gładkie jezioro, księżyc przeglądający się w ciemnej tafli i zaprzętały go myśli o jednej osobie. O Amy.

Harry stracił rachubę, ile razy myślał o niej, odkąd zostawił ją na zaśnieżonym stoku. Nadal pamiętał strach w jej oczach, gdy stał nad nią, wyciągając ją z lawiny. To wspomnienie wciąż przyprawiało go o dreszcz trwogi. Nie był złym człowiekiem. Nie chciał, żeby się go bała. Co więcej, serce zamarło mu z przerażenia, gdy patrzył, jak lawina porywa Amy i grzebie ją żywcem. Zastanawiał się, gdzie jest teraz, co robi. Czy nadal pracuje jako prawniczka, wspierając tych gnębionych przez wielkie koncerny? Od czasu do czasu zastanawiał się, czy z kimś się spotyka, ale nie lubił o tym rozmyślać. Kilka razy nawet ją googlował, jednak zniknęła ze wszystkich mediów społecznościowych. To w dużej mierze moja zasługa, stwierdził cierpko.

Wzniósł za nią cichy toast i poczuł coś, co towarzyszyło mu od jakiegoś czasu. Ból utraty.

EPILOG

18 września

Amy nie była pewna, czy chce wrócić do swojego mieszkania, ale w końcu ustąpiła. Rozzłościł ją pomysł, żeby je sprzedać. To jej dom i niech ją szlag, jeśli Harry i to jej odbierze. Oczywiście zmieniła zamki i zapłaciła za odmalowanie ścian, więcej nawet, niż oczekiwano. Była to okazja do nowego startu. A potem, jakiś miesiąc temu, zaprosiła tam kogoś.

Poznała Nathana w lokalnym centrum sportowym. Zapisła się na zajęcia jogi, w nadziei że odrobina duchowej równowagi pomoże jej zgasić wściekłość, która tliła się w niej przez cały czas i wybuchała za każdym razem, gdy Amy myślała o Harrym korzystającym z jej dziedzictwa. Nathan też uczestniczył w zajęciach i był taki wyluzowany, zadowolony ze swojego losu, wcale nie w słaby, naiwny sposób. Był typem faceta, który we wszystkim dostrzega dobre strony. Przywiązywał wielką wagę do aktywności na świeżym powietrzu i miał szczęście pracować jako architekt krajobrazu. Cieszył się wzięciem – w przeszłości zdobył kilka medali na Chelsea Flower Show, dzięki czemu nie narzekał na brak klientów.

Spojrzała na niego, gdy przyrządzał coś w rodzaju koktajlu owocowo-warzywnego, podczas gdy ona smażyła jajecznicę. Wciąż odkrywała różne aspekty życia w związku. Na przykład to, że zawsze niósł sprawunki do domu, gdy wracali z supermarketu. Nawet zakupy spożywcze nabierają zupełnie nowego znaczenia, gdy robisz je z drugą osobą. Planujesz posiłki, a niepisana umowa polega na tym, że wieczór spędzicie razem. Odkrywasz, że twój nowy chłopak uwielbia kremową śmietankę w spreju i sardynki w puszcze, których nienawidziłaś. Kupujesz odświe-

żacz powietrza do łazienki, nagle skrepowana nieprzyjemnymi zapachami, na co nigdy nie zwracałaś uwagi, mieszkając sama. Weekendy całkowicie różnią się od tych wcześniejszych. Nie ma już potrzeby motywować się do tego, by wstać z łóżka i znaleźć zajęcie, które sprawi, że nie będziesz czuła się zbędna i nikomu niepotrzebna; nie ma dni marnowanych w samotności. Chociaż teraz często nie mam ochoty wstawać z łóżka, pomyślała z uśmiechem, patrząc, jak Nathan sieka jabłko, i podziwiając jego mocno opaloną, ogorzałą od wiatru skórę i rozjaśnione słońcem włosy.

Była singielką przez tak długi czas, że w głębi duszy zastanawiała się, czy to wszystko jest prawdziwe, ale potem przypominała sobie sytuacje, kiedy czuła się zaskoczona, jak łatwe, jak naturalne jest przebywanie w jego towarzystwie, i domyślała się, że on czuje podobnie. Nathan spotkał się z Marthą i oczarował ją wiedzą o bylinach i o tym, jak mogłaby pozbyć się mszyc ze swoich róż. Poszli razem na kolację z Lisą, Davidem i Jenną. Początkowo była zakłopotana, że Jenna jest sama, pamiętając aż za dobrze, jak ona się czuła w takiej sytuacji, ale już po godzinie miała wrażenie, że wszyscy znają się od lat. Na jej prośbę nikt nie wspominał o Harrym. Pieniądze przepadły na zawsze i musiała się z tym pogodzić.

Posmarowała tosty masłem, nałożyła na wierzch jajecznicę i postawiła talerze na kuchennym stole. Zdążyła usiąść, gdy usłyszała, jak otwiera się skrzynka na listy i poczta spadła na podłogę.

– Przynieść? – spytał Nathan, stawiając koktajle.

– Tak, dzięki.

Wrócił z plikiem kopert.

– Masz ochotę wyskoczyć dzisiaj do Kew? Może podłapiemy jakieś pomysły na twój ogród.

Uniosła wzrok znad kopert i uśmiechnęła się. To jedna z największych zalet bycia w związku. Spontaniczne decyzje. Rzeczy, które nie wymagają tygodni planowania, ponieważ wspólne spędzanie czasu jest po prostu naturalne.

– Mają tam palmiarnię, prawda? – spytała podekscytowana.

Nathan zaproponował, że zagospodaruje jej maleńki ogródek – w prezencie, jak powiedział.

– Nadal podoba ci się ten styl? – zapytał.

– Myślisz, że zmieścimy palmę na tyłach?

– Do licha, tak. Może nie kokosową, ale jakąś na pewno.

Amy zerknęła na niego z lekkim zdziwieniem i zobaczyła, że wskazuje coś w jej ręce. Spojrzała na pocztę. Była tam pocztówka, zdjęcie tropikalnej plaży. Wyglądało to na wyspę gdzieś na południowym Pacyfiku.

– Ładna plaża – powiedział.

– Tak – mruknęła cicho.

Miała mętlik w głowie. Odwróciła kartkę. Poza jej nazwiskiem i adresem, wypisanymi schludnie i precyzyjnie czarnym atramentem, nic tam nie było. Przeczytała maleńki druk na dole kartki – informację, gdzie zrobiono zdjęcie. Serce jej załomotało.

– Od kogoś z wakacji? – zapytał Nathan.

– To chyba tylko reklama – odparła.

Wstała, nacisnęła pedał kosza na śmieci i wyrzuciła widokówkę. Uśmiechnęła się i dokończyła śniadanie, próbując cieszyć się rozmową z Nathanem o nowym projekcie ogrodu.

Gdy poszedł pod prysznic, ona zaczęła sprzątać ze stołu. Otworzyła kosz, żeby zeszkrobać resztki z talerzy, i pocztówka jakby na nią spojrzała. Nieskazitelna plaża w Tonga. Po chwili wahania wyjęła kartkę z kosza.

Drań, pomyślała, podły złodziej. Jednak tam pojechał. A teraz śmiał jej się w twarz. Jej plaża, jej marzenie, jej pieprzone pieniądze. Jak on śmie. Jak Harry śmie wydawać pieniądze jej ciotki, jej spadek, a potem wysyłać jej cholerną pocztówkę z raju. Była pewna, że to od niego. Wróciła myślą do czasu, który wydawał się odległy o całe wieki, do popołudnia w domu w górach, do rozmowy o jej urlopie rekonwalescencyjnym. Ja stawiam, powiedział. Kłamca.

Zmrużyła oczy, rozmyślając. Powiedzieli, że pieniądze są nie do odzyskania. A jeśli się mylą? Na listach rezerwacji hotelowych muszą być zapisy: numery telefonów, adresy. Niekoniecznie prawdziwe, ale może będzie tam jakiś trop; była pewna, że coś znajdzie, jeśli tylko dobrze poszuka.

Jeszcze raz spojrzała na pocztówkę i zamiast wyrzucić ją do kosza, przypięła ją na lodówce. Robiąc to, wpatrywała się w zdjęcie plaży. W wyobraźni widziała Harry'ego, jak wyleguje się w hamaku rozpiętym między palmami. Widziała jego zadowoloną twarz, gdy pisał jej adres na pocztówce. Jedna myśl utkwiała jej w głowie. Jasna, klarowna i przepojona determinacją, która nigdy nie osłabnie.

Amy będzie go tropić i nie spocznie, dopóki go nie odnajdzie.

PODZIĘKOWANIA

Byłam już grubo po trzydziestce, kiedy poznałam mojego męża, a zanim się to stało, w różnych momentach swojego życia stawiałam sobie te pytania: dlaczego tak trudno spotkać kogoś, kto nie jest beznadziejny? Gdzie znaleźć takiego osobnika? Czy on w ogóle istnieje? Co jest ze mną nie tak? Dlaczego samotność jest taką pustynią bez granic? I jeszcze kilka podobnych, równie głębokich pytań. Można więc powiedzieć, że pomysł na *Mojego chłopaka* wziął się po części z własnych doświadczeń. Moje życie było długim oczekiwaniem, w którym wiatr hulał po pustych korytarzach, i wtem – zupełnie bez zapowiedzi – pojawił się on i wszystko zmieniło się bezpowrotnie. Nasz związek jest zupełnie inny od tego, który łączy postaci z powieści (na szczęście), ale u nas też zaszła ta niesamowita, gwałtowna zmiana kierunku, kiedy ktoś spada niczym bomba do twojego życia i wiesz, że nic już nie będzie takie jak wcześniej. Jak mówiła moja babcia: spodziewaj się niespodziewanego.

Ogromne dzięki dla Trishy Jackson i Jayne Osborne, cudownych redaktorek, które wybrały się ze mną w tę podróż. A także dla całego fantastycznego zespołu wydawnictwa Pan Macmillan, który pomógł przygotować tekst do druku, ozdobić piękną okładkę i wypuścić w świat. Dziękuję też wam, czytelnikom, za to, że jesteście ze mną – wasze wsparcie znaczy dla mnie wszystko.

Podziękowania dla Gai, Lucy i Alby – wspaniałego zespołu agentek. Jesteście zawsze na posterunku i macie dla mnie nieskończone zasoby wiedzy, porad i poczucia humoru.

Ruth Wood, dziękuję za niezwykle wartościowe uwagi na temat wstrząśnienia mózgu. Kim Thomas, najlepsza prawniczka, jaką miałam zaszczyt poznać, dzię-

kuję za informacje dotyczące testamentów – i przepraszam, że musiałaś się napocić nad moimi pomysłami dotyczącymi wypłacania spadku.

Na koniec ogromne wyrazy miłości i podziękowania dla mojej cudownej rodziny – a zwłaszcza męża, który nie wiadomo skąd pojawił się w moim życiu.